

PRZYJACIEL SPISZA I ORAWY



KALENDARZ 1938.

PRZYJACIEL SPISZA I ORAWY

KALENDARZ
NA ROK PAŃSKI
1938

UŁOŻYŁ
JULIUSZ SERAFIN.

WYDAWCA
„ZWIĄZEK GÓRALI SPISZA I ORAWY“.

KRAKÓW — KRAKOWSKIE ZAKŁADY GRAFICZNE I WYDAWNICZE.

Kiedy zważam krótkie trwanie mego życia wchłonięte w wieczność będącą przed nim i po nim, kiedy zważam małą przestrzeń, którą zajmuję, a nawet, którą widzę, utopioną w nieskończonym ogromie przestrzeni, których nie znam i które mnie nie znają, przerażam się i dziwię, iż znajduję się raczej tu, niż tam nie ma bowiem racji dlaczego raczej tu niż tam, dlaczego raczej teraz niż wtedy. Kto mnie tu postawił? Na czyj rozkaz i zarządzenie przeznaczono mi to miejsce i ten czas?

. . . .

Wiekuista cisza tych nieskończonych przestrzeni przeraża mnie.

B. Pascal

Z dniem 1. stycznia wchodzimy na próg Nowego Roku Pańskiego 1938.



Bóg prowadzi nas dziwnymi drogami: Wiemy, że chce naszego szczęścia, ale nie znamy jakie jest nasze szczęście i jaka droga. Jesteśmy ślepi: pozostawieni sobie, wybraliśmy złą drogę: Bogu musimy to zawierzyć.

T. Neuman



MATKA BOSKA
ZIEMI KRAKOWSKIEJ
miniat. K. Dąbrowskiej.

STYCZEŃ

Dnie		Święta rzymsko-katolickie
1	**S.**	**N. Rok. Obrz. P. J.** Mieczysława 🌕
1.		Ewang. u św. Mat. 2, 19—23: O ucieczce do Egiptu.
2	**N.**	**Po N. Roku.** Makarego op., Izydora
3	P.	Genowefy p., Florentego b., Daniela
4	W.	Eugeniusza m., Grzegorza b., Akwil.
5	Ś	Telesfora p. m., Edwarda, Emiliany
6	**C.**	**Obj. P. J. — Trzech Króli.**
7	P.	Lucjana m., Juliana m., Kryspina b.
8	S.	Seweryna op., Maksymiana i Eugen.
2.		Ewang. u św. Łuk. 2, 42—52: Dwunastoletni Jezus w świątyni.
9	**N.**	**1 po 3 Kr.** *Św. Rodziny.* Marcjan. 🌓
10	P.	Jana Dob. b. w., Agatona, Wilhelma
11	W.	Hygina p. m., Honoraty p., Aleks.
12	Ś.	Tacjany m., Arkadiusza m., Ernesta
13	C.	40 żołn. męcz., Leoncjusza bisk.
14	P.	Hilarego b. w., Eufrazego, Makryny
15	S.	Pawła I. pust., Maura op., Micheasza
3.		Ewang. u św. Łuk. 2, 1—11: O Imieniu Jezus i O godach w Kanie Gal.
16	**N.**	**2 po 3 Król.** *Im. Jezus.* Marcel. 🌑
17	P.	Antoniego op., Eleonory od ś. J. wd.
18	W.	Stol. św. Piotra w Rz., Pryski p. i m.
19	Ś.	Mariusza i Marty mm., Kanuta kr.
20	C.	Fabiana i Sebast. mm., Maura b.
21	P.	Agnieszki p. m.; Epifaniusza bw.
22	S.	Wincentego i Anastaz. mm., Roberta
4.		Ewang. u św. Mat. 8, 1—14: O uzdrowieniu trędowatego i syna setnika.
23	**N.**	**3 po 3. Kr.** *Zaślub. NMP.* Rajm. 🌗
24	P.	Tymoteusza bm., Eugeniusza, Łucji
25	W.	Nawróc. św. Pawła, Konstancji Nar.
26	Ś.	Polikarpa b. m., Pauli wd., Jana Cor.
27	C.	Jana Złotoustego b., Anieli Merici
28	P.	Agnieszki II. p. m., Flawiana m.
29	S.	Franciszka Salez. b., Sabiniana m.
5.		Ewang. u św. Mat. 8, 23—27: O burzy na morzu.
30	**N.**	**4 po 3 Kr.** Martyny p. m., Hipolita
31	P.	Piotra z Nolasko w., Marceli wd. 🌕

PRZYSŁOWIA I PRZEPOWIEDNIE POGODY według kalendarza stuletniego.

Styczeń.

Sucho, lekkie mrozy.

1. Na Nowy Rok przybyło dnia na zajączy skok.

6. Na Trzech Króli, każdy się do pieca tuli.
Od Trzech Króli będą mrozy do Gertruli.
Gdy Trzej Króle pogodą obdarzą, nie zasypiaj ranków gospodarzu.
Królowie pod szopę, dnia na kurzą stopę.

21. Święta Agnieszka zagrzeje kamyszka.

25. Na nawrócenie świętego Pawła, połowa zimy przepadła.

ZAPISKI.

LUTY

Dnie		Święta rzymsko-katolickie
1	W.	Ignacego b. m., Sewera, Brygidy p.
2	**Ś.**	**Oczyszcz. N. M. P.** Katarz. de Ric.
3	C.	Błażeja b., Oskara i Remediusza b.
4	P.	Andrzeja Kors. b., Akwilina m.
5	S.	Agaty p. m., Izydora żołn., Awita b.
6.		Ewang. u św. Mat. 13, 24—30: O pszenicy i kąkolu.
6	**N.**	**5 po 3 Kr.** Tytusa b., Doroty p.
7	P.	Romualda op., Teodora ż., Ryszarda
8	W.	Jana z Mathy, Honorata bisk. ☽
9	Ś.	Cyryla b., Apolonii p., Nicefora m.
10	C.	Scholastyki, Sylwaniusza, Ireneusza
11	P.	*M. B. z Lourdes.* Saturnina, Łazarza
12	S.	7 zał. Serwit., Eulalii p., Gaudent.
7.		Ewang. u św. Mat. 20, 1—16: O robotnikach w winnicy.
13	**N.**	**Starozapustna.** Benigna, Stefana
14	P.	Walentego m., Antonina, Cyryla 🌕
15	W.	Faustyna i Jowity br. m. Klaudiusza
16	Ś.	Julianny pm., Samuela i Daniela m.
17	C.	Aleksego Falk., Faustyna i Donata
18	P.	Symeona b. m., Maksyma i Klaud.
19	S.	Mansweta b., Gabina i Marcelego m.
8.		Ewang. u św. Łuk. 8, 4—15: O siejbie na roli.
20	**N.**	**Mięsopustna.** Leona b., Sylwana
21	P	Feliksa b., Seweriana i Fortunata
22	W.	Stol. ś. Piotra w Ant., Małgorzaty ☾
23	Ś.	Piotra Damiana b., Romany p.
24	C.	Macieja ap., Modesta b., Flawiana m.
25	P.	Wiktora m., Klaudiana i Cezarego
26	S.	Aleksandra b., Fortunata i Faustyn.
9.		Ewang. u św. Łuk. 18, 31—43: Jezus przepowiada mękę, uzdr. ślepego.
27	**N.**	**Zapustna.** Bazylego i Prokopa w.
28	P.	Romana op., Makarego i Rufina m.

PRZYSŁOWIA I PRZEPOWIEDNIE POGODY

według kalendarza stuletniego.

Luty.

Do 13 pogoda, potem śnieg z wiatrem i do końca ostre mrozy.

1. Spyta luty — maszli buty?

2. Na Święto Gromnicy napije się bydło na ulicy.

4. Św. Weronika, słonko pomyka.

14. Na św. Walentego, bywa zwykle mróz niczego.

24. Św. Maciej zimę traci albo ją bogaci.

ZAPISKI

MARZEC

Dnie		Święta rzymsko-katolickie
1	W.	Albina b., Antoniny i Eudocji mm.
2	Ś.	*Popielec.* Łucjusza b. m., Januarii 🌑
3	C.	Kunegundy ces., Fortunata i Marcji
4	P.	Kazimierza kr., Arkadiusza b.
5	S.	Hadriana, Euzebiusza m., Gerazyma
10.		Ewang. u św. Mat. 4, 1—11: Kuszenie Pana Jezusa na pustyni.
6	**N.**	**Wstępna.** Kolety p., Perpetuy m.
7	P.	Tomasza z Akw., Pawła b., Wilhel.
8	W.	Wincentego Kadł., Jana Bożego w.
9	Ś.	*Such.* Franciszki Rzym., Katarz. ☽
10	C.	40 Męcz., Wiktora m., Simpliciusza
11	P.	*Such.* Kandyda m., Konstantego w.
12	S.	*Such.* Grzegorza W. p., Piotra m.
11.		Ewang. u św. Mat. 17, 1—9: O Przemienieniu Pańskiem.
13	**N.**	**Sucha.** Krystyny p., Sabina męcz.
14	P.	Leona b. m., Matyldy ces.
15	W.	Longina żołn., Klemensa Dworzaka
16	Ś.	Cyriaka m., Hilarego, Agapita b. 🌕
17	C.	Jana Sarkandra, Gertrudy p.
18	P.	Cyryla Jeroz., Anzelma i Narcyza b.
19	S.	*Józefa Obl. N. M. P.*. Apoloniusza
12.		Ewang. u św. Łuk. 11, 14—28: Pan Jezus wypędza szatana.
20	**N.**	**Głucha.** Pawła, Cyryla i Eugenius.
21	P.	Benedykta op., Filemona i Domnina
22	W.	Oktawiana m., Benwenutego bisk.
23	Ś.	Wiktoriana, Fidelisa i Pelagii mm.
24	C.	Gabriela ar., Marka i Tymoteusza ☾
25	P.	*Zwiastowanie N. M. P.* Ireneusza b.
26	S.	Dyzmasa dobr. Łotra, Kasjana męcz.
13.		Ewang. u św. Jana 6, 1—15: Pan Jezus karmi cudownie 5.000 osób.
27	**N.**	**Środopostna.** Jana Damasc., Lidii
28	P.	Jana Kapistr., Kostora i Doroteusza
29	W.	Eustazjusza op., Wiktoryna m.
30	S.	Jana Klimasa op., Kwiryna męcz.
31	C.	Balbiny p., Benjamina d., Kornelii 🌑

PRZYSŁOWIA I PRZEPOWIEDNIE POGODY

według kalendarza stuletniego.

Marzec.

Z początku lekki mróz, potem odwilż, 8 i 9 deszcz ze śniegiem, 10—12 znaczne oziębienie, 22 i 23 słota, 24—27 pogoda z przymrozkami, od 28 pochmurno i deszcze.

---

1. W marcu, jak w garncu.
   Co marzec wypiecze, to kwiecień wysiecze.

---

4. Na św. Kazimierza wyjdzie skowronek spod pieża.

---

10. Czterdziestu Męczenników jakich, będzie czterdzieści dni takich!

---

12. Na św. Grzegorza, idzie zima do morza.

---

21. Na święty Benedykt, kaczka jajko myk (znosi).

---

25. Na Zwiastowanie — przybywaj bocianie!

ZAPISKI.

KWIECIEŃ

Dnie		Święta rzymsko-katolickie
1	P.	Hugona b. w., Teodory, Wenantego
2	S.	Franciszka z Pauli, Teodozji, Marii
14.		Ewang. u św. Jana 8, 46—59: Żydzi chcą Pana Jezusa ukamienować.
3	**N.**	**Czarna.** Ryszarda b., Pankracego
4	P.	Izydora b., Benedykta w.
5	W.	Wincentego Fer., Ireny p., Zenona
6	Ś.	Tymoteusza m., Marcelina m.
7	C.	Epifaniusza b., Cyryaka, Saturn. ☽
8	P.	*M. B. Boles.* Dionizego b., Januarego
9	S.	Marii Kleofas., Hilarego m., Hugona
15.		Ewang. u św. Mat. 21, 1—9: O wjeździe Pana Jezusa do Jerozolimy.
10	**N.**	**Palmowa.** Ezechiela pr., Makarego
11	P.	Leona pap. I., Filipa b., Izaaka w.
12	W.	Juliusza p., Zenona b., Damiana b.
13	Ś.	Hermenegilda m., Idy i Maksyma m.
14	C.	*Wielki.* Justyna m., Lamberta b. 🌕
15	P.	*Wielki.* Anastazji m., Wiktoryna m.
16	S.	*Wielka.* Benedykta Labre, Turybius.
16.		Ewang. u św. Marka 16, 1—7: O Zmartwychwstaniu Pana Jezusa.
17	**N.**	**Wielkanoc.** Aniceta p. m., Roberta
18	**P.**	**Wielkanocny.** Apoloniusza m.
19	W.	Wincentego i Pafnucego m., Leona
20	Ś.	Teotyma b., Krzysztofa i Seweriana
21	C.	Anzelma bw., Symeona, Anastazego
22	P.	Sotera i Kajusa mm., Teodora b. ☾
23	S.	Wojciecha b., Jerzego m., Gerarda b.
17.		Ewang. u św. Jana 20, 19—31: O niewiernym Tomaszu.
24	**N.**	**Przewodnia.** Fidelisa, Honoriusza
25	P.	Marka Ew., Ermina b., Filona diak.
26	W.	*M. B. Dobrej Rady.* Kleta i Marcel.
27	Ś.	Piotra Kaniz., Kastora m., Zyty p.
28	C.	Pawła od Krzyża w., Waleryi m.
29	P.	Piotra z Wer., Emiliana ż., Hugona
30	S.	Katarzyny Sen., Donata, Mariana 🌑

PRZYSŁOWIA I PRZEPOWIEDNIE POGODY według kalendarza stuletniego.

Kwiecień.

Z początku pogoda, 6 deszcz, kilka dni mrozu, a potem ładna wiosenna pogoda.

1. Kwiecień, gdy jest suchy, nie daje dobrej otuchy.

5. Na święty Wincenty nie chodź jeszcze w gołe pięty.

24. Na święty Jerzy, każdy już ozimę oblicza a mierzy.

25. Na świętego Marka sieje się ostatnia miarka.

ZAPISKI.

MAJ

Dnie		Święta rzymsko-katolickie
18.		Ewang. u św. Jana 10, 11—16: O dobrym Pasterzu.
1	**N.**	**2 po Wielk.** Filipa i Jakóba ap.
2	P.	Atanazego b., Zygmunta k., Graty
3	**W.**	**N. M. P. Król. Korony Polsk.**
4	Ś.	Znal. ś. Krzyża, Floriana m., Moniki
5	C.	Piusa V. pap., Anioła m., Ireny m.
6	P.	Jana w Oleju ap., Benedykty p. ☽
7	S.	Flawii i Domiceli mm., Teodory m.
19.		Ewang. u św. Łuk. 3, 21—23: O świadectwie przy chrzcie P. Jezusa.
8	**N.**	**3 po Wielk.** *Op. św. Józefa.* Stanisł.
9	P.	Grzegorza Naz. b., Geroncjusza b.
10	W.	Antonina b. w., Izydora rolnika
11	Ś.	Franciszka de Hier., Mamerta b.
12	C.	Nereusza i Achillesa m., Pankracego
13	P.	Roberta Bel., Serwacego, Mucjusza
14	S.	Bonifacego m., Wiktora i Justyny 🌑
20.		Ewang. u św. Jana 16, 5—14: O odejściu Pana Jezusa do Ojca.
15	**N.**	**4 po Wielk.** Zofii, Jana de la Salle
16	P.	Andrzeja Boboli m., Jana Nepomuc.
17	W.	Paschalisa Bayl. w., Wiktora m.
18	Ś.	Wenantego m., Eryka kr., Feliksa w.
19	C.	Piotra Celest. V. p., Pudencjany p.
20	P.	Bernardyna Sen. w., Anastazego b.
21	S.	Tymoteusza m., Wiktoriusza i Donat.
21.		Ewang. u św. Jana 16, 23—30: O prawdziwej modlitwie.
22	**N.**	**5 po Wielk.** Heleny p., Faustyna ☾
23	P.	† Dezyderiusza m., Michała bisk.
24	W.	† *N. M. P. Wspom. wiern.* Zuzanny
25	Ś.	† Grzegorza VII. p., Magdal., Zofii
26	**C.**	**Wniebowst. P. J.** Filipa Nereusza
27	P.	Bedy w., Juliusza m., Jana I. p. m.
28	S.	Augustyna b. w., Emila m., Germana
22.		Ewang. u św. Jana 15, 26—27: Obietnica zesłania Ducha Świętego.
29	**N.**	**6 po Wielk.** Marii Magd. de Paz. 🌕
30	P.	Feliksa p. m., Ferdynanda w., Joanny
31	W	*N. M. P. Pośr. łask.* Anieli Merici p.

PRZYSŁOWIA I PRZEPOWIEDNIE POGODY według kalendarza stuletniego.

Maj.

Od 2 do 22 pogoda, ciepło, czasem deszcz i burza, 23 aż do końca pochmurno i przymrozki.

1. Suchy marzec, mokry maj, będzie żyto jako gaj.

3. Znalezienie św. Krzyża, chleb się przybliża.

4. Na świętego Floriana deszczyk rzęsisty.
Będzie plon obfity i dobry i czysty.

15. Święta Zofia kłosy wywija.

16. Na Jana Nepomucena, wiadoma już zboża cena.

ZAPISKI.

CZERWIEC

Dnie		Święta rzymsko-katolickie
1	S.	Jakóba Strepy b., Fortunata pr.
2	C.	Sadoka i Tow. mm., Eugeniusza I. p.
3	P.	Klotyldy p., Pauli p., Klaudiusza m.
4	S.	*Wig.* Franciszka Car. w., Kwiryna
23.		Ewang. u św. Jana 14, 23—31: O zesłaniu Ducha Świętego.
5	**N.**	**Zesł. Ducha św.** Bonifacego b. ☽
6	**P.**	**Świąteczny.** Norberta b., Aleksan.
7	W.	Roberta op., Sabiniana m., Pawła b.
8	S.	*Such.* Medarda, Seweryna i Wiktor.
9	C.	Pryma i Felicjana m., Pelagii p.
10	P.	*Such.* Bogumiła b., Małgorzaty wd.
11	S.	*Such.* Barnaby ap., Feliksa i Fortun.
24.		Ewang. u św. Mat. 28, 18—20: „Dana mi jest wszelka władza".
12	**N.**	**1 po Św. Trójcy Przenajśw.**
13	P.	Antoniego Pad. w., Akwiliny pm. 🌕
14	W.	Bazylego w., Waleriana i Rufina m,
15	S.	Wita, Modesta i Krescencji m., Libii
16	**C.**	**Boże Ciało.** Jana Fr. Regis w.
17	P.	Adolfa m., Nikandra i Marcjana m.
18	S.	Efrema diak., Leoncjusza ż., Maryny
25.		Ewang. u św. Łuk. 14, 16—24: O wezwaniu na ucztę.
19	**N.**	**2 po Św.** *NMP. Nieust. Pom.* Juliany
20	P.	Sylweriusza p. m., Florentyny p.
21	W.	Alojzego Gonz. w., Cyriaka i Apol. ☾
22	S.	Paulina b., Albana m., Inocentego p.
23	C.	Zenona m., Agrypiny p., Feliksa m.
24	P.	*Najśw. Serca P. J.* Nar. Jana Chrzc.
25	S.	Wilhelma op., Febronii p., Prospera
26.		Ewang. u św. Łuk. 15, 1—10: O zgubionej owcy i drachmie.
26	**N.**	**3 po Św.** Jana i Pawła m,, Dawida
27	P.	Władysława kr., Krescentego m. 🌑
28	W.	Ireneusza bm., Benigna bm., Pawła
29	**S.**	**Piotra i Pawła ap.,** Benedykty
30	C.	Emilii m., Lucyny p., Teobalda pust.

PRZYSŁOWIA I PRZEPOWIEDNIE POGODY według kalendarza stuletniego.

Czerwiec.

Do 8 zimno, potem do 21 pogoda i ciepło, ale na 14 obawa przymrozku, 22 wiatr, zimny deszcz, po 24 do końca upały. Jeżeli na świętego Medarda będzie deszcz, to pogoda niepewna przez 40 dni.

1. Czerwiec temu się zieleni, kto do pracy się nie leni.

8. Od świętego Medarda, 40 dni szarga.

13. Na święty Antoni, pierwsza się jagódka zapłoni.

15. Na święty Wit, słowik cyt.

24. Kiedy człowiek łąki kosi, lada baba deszcz uprosi.
Nie udawaj biedo pana, nie zawsze świętego Jana.

ZAPISKI.

LIPIEC

Dnie		Święta rzymsko-katolickie
1	P.	*Przen. Krwi P. J.* Juliusza i Teodor.
2	S.	*Nawiedzenie N. M. P.*, Ottona b.
27.		Ewang. u św. Łuk. 5, 1—11: O obfitym połowie ryb.
3	**N.**	**4 po Św.** Leona II. p., Anatola b.
4	P.	Teodora b., Wawrzyna, Uldaryka ☽
5	W.	Antoniego M. Zacc., Cyryli i Filom.
6	S.	Dominiki p., Łucji p., Antonina m.
7	C.	Cyryla i Metodego ap., Klaudiusza
8	P.	Elżbiety kr., Prokopa m., Hadriana
9	S.	*N. M. P. Król. Pokoju.* Weroniki p.
28.		Ewang. u św. Mat. 5, 20—24: O sprawiedliwości faryzeuszów.
10	**N.**	**5 po Św.** 7 Braci męcz., Rufiny p.
11	P.	Piusa I. p. m., Cypriana m., Olgi p.
12	W.	Jana Gwalberta op., Marcjanny p. 🌕
13	S.	Małgorzaty p. m., Anakleta p. m.
14	C.	Bonawentury b., Kamila i Marcelina
15	P.	Henryka ces., Atanazego, Florencj.
16	S.	*M. B. Szkaplerznej.* Walentyna b.
29.		Ewang. u św. Marka 8, 1—9: O cudownym nakarmieniu 4.000 ludzi.
17	**N.**	**6 po Św.** Aleksego w., Marceliny p.
18	P.	Szymona z Lip., Symforozy i 7 synów
19	W.	Wincentego á Paulo w., Makryny p.
20	S.	Czesława, Hieronima, Małgorzaty ☾
21	C.	Praksedy p., Aleksandra ż., Daniela
22	P.	Marii Magdaleny pok., Wawrzyńca
23	S.	Apolinarego b., Liboriusza, Birgitty
30.		Ewang. u św. Mat. 7, 15—21: O fałszywych prorokach.
24	**N.**	**7 po Św.** Kunegundy kr., Krystyny
25	P.	Jakuba ap., Krzysztofa, Walentyny
26	W.	Anny matki NMP., Olimpiusza m.
27	S.	Pantaleona m., Aurelii i Natalii m. 🌑
28	C.	Wiktora m., Inocentego, Peregryna
29	P.	Marty p., Feliksa II p., Lucylli i Flory
30	S.	Abdona i Sennena mm., Julitty m.
31.		Ewang. u św. Łuk. 16, 1—9: O niesprawiedliwym włodarzu.
31	**N.**	**8 po Św.** Ignacego Loyoli w.

PRZYSŁOWIA I PRZEPOWIEDNIE POGODY

według kalendarza stuletniego.

Lipiec.

Na początku chłodno, od 9—12 noce chłodne, dni gorące, od 13 upały do końca miesiąca.

1. Lipiec ostatek starej mąki wypiecz.

2. Na Nawiedzenie Panny Marii deszcz,
Niepogody długiej wieszcz.

4. Źle jak na Prokopa zmoknie w polu kopa.

16. Wraz ze Szkaplerzną Matką idź na zagon z czeladką...

25. Na święty Jakub, już chleba nie kup.

26. Od świętej Anki, chłodne wieczory i poranki.

ZAPISKI.

SIERPIEŃ

Dnie		Święta rzymsko-katolickie
1	P.	Piotra w okowach, Justyna m.
2	W.	*M. B. Anielskiej.* Alfonsa Liguor. b.
3	S.	Znal. Ciała św. Stefana I. m., Lidyi ☽
4	C.	Dominika w., Eufroniusza, Perpetuy
5	P.	*M. B. Śnieżnej.* Oswalda, Kasjana b.
6	S.	*Przem. Pańskie.* Ksystusa d., Jakóba
32.		Ewang. u św. Łuk. 19, 41—47: O zburzeniu Jerozolimy.
7	**N.**	**9 po Św.** Kajetana w., Donata b.
8	P.	Cyriaka m., Emiliana b., Sewera w.
9	W.	Jana Vianney w., Romana ż. m.
10	S.	Wawrzyńca m., Pawły i Asteryi pm.
11	C.	Tyburcego m., Zuzanny p., Rufina ☺
12	P.	Klary p., Hilarii m., Makarego m.
13	S.	Hipolita i Kasjana mm., Jana Berch.
33.		Ewang. u św. Łuk. 18, 9—14: O faryzeuszu i celniku.
14	**N.**	**10 po Św.** Euzebiusza b., Atanazyi
15	**P.**	**Wniebowzięcie N. M. P.**
16	W.	Joachima ojca NMP., Rocha wyzn.
17	S.	Jacka Odr. w., Liberata op., Klary z.
18	C.	Agapita m., Firmina, Heleny ces. ☾
19	P.	Jana Eudes w., Tymoteusza, Sebalda
20	S.	Bernarda op., Krzysztofa, Łucjusza
34.		Ewang. u św. Marka 7, 31—37: O głuchoniemym.
21	**N.**	**11 po Św.** Joanny Frem. de Chant.
22	P.	Tymoteusza m., Hipolita, Symforiana
23	W.	Filipa Benicjusza w., Flawiana b.
24	S.	Bartłomieja apost., Patrycego op.
25	C.	Ludwika kr., Grzegorza, Patrycji ●
26	P.	*M. B. Częstochowskiej.* Zefiryna p.
27	S.	Józefa Kalas. w., Eutalii p.
35.		Ewang. u św. Łuk. 10, 23—37: O miłosiernym Samarytaninie.
28	**N.**	**12 po Św.** *N. Serca NMP.* August.
29	P.	Ścięcie św. Jana Chrzcic., Sabiny p.
30	W.	Róży Lim. p., Gaudencji, Feliksa m.
31	S.	Rajmunda w., Paulina b., Rufiny m.

PRZYSŁOWIA I PRZEPOWIEDNIE POGODY według kalendarza stuletniego.

Sierpień.

Na początku ładnie, 11 deszcz, potem pogoda, od 29 słota.

1. Kto we żniwa patrzy chłodu,
Nacierpi się w zimie głodu.

4. Na święty Dominik, kopy z pola myk, myk.

10. Na święty Wawrzyniec — wolny przez pola gościniec.
Na święty Wawrzyniec — czas orać w ozimięc.

16. Na święty Roch — w stodole groch.

17. Na święty Jacek, będzie nowy placek.

ZAPISKI.

WRZESIEŃ

Dnie		Święta rzymsko-katolickie
1	C.	Bronisławy p., Idziego op., Anny ☽
2	P.	Stefana kr., Antonina m., Filipa m.
3	S.	Szymona Słupn., Bazylisy, Erazmy
36.		Ewang. u św. Łuk. 17, 11—19: O dziesięciu trędowatych
4	**N.**	**13 po Św.** *M. B. Pocieszenia.* Rozalii
5	P.	Wawrzyńca, Justyn. b., Urbana m.
6	W.	Zachariasza pr., Petroniusza b. w.
7	S.	Melchiora Grodz. m., Reginy p. m.
8	C.	*Narodzenie N. M. P.* Hadriana m.
9	P.	Piotra Klawera, Gorgoniusza m. 🌕
10	S.	Mikołaja z Tol., Pulcherii i Kandydy
37.		Ewang. u św. Mat. 6, 24—33: O Opatrzności Boskiej.
11	**N.**	**14 po Św.** *Imienia Marii.* Teodory
12	P.	Gwidona, Leoncjusza, Silwiniusza
13	W.	Amata b., Eulogiusza b., Juliana m.
14	S.	*Podwyż. św. Krzyża.* Korneliusza p.
15	C.	Nikomedesa m., Albina b., Emila m.
16	P.	Korneliusza i Cypriana bb., Eufemii
17	S.	Blizn św. Franc. Seraf., Edyty kr. ☾
38.		Ewang u św. Łuk. 7, 11—16: O wskrzeszeniu młodzieńca z Naim.
18	**N.**	**15 po Św.** *M. B. Bolesnej.* Ireny m.
19	P.	Januarego i tow. m., Konstancji m.
20	W.	Eustachego m., Fausty i Filipiny m.
21	S.	*Such.* Mateusza ap., Ifigenii p.
22	C.	Tomasza z Wil., Maurycego m.
23	P.	*Such.* Lina p., Tekli p. m., Konst. 🌑
24	S.	*Such. N. M. P. Okupu.* Gerarda m.
39.		Ewang. u św. Łuk. 14, 1—11: Uzdrowienie opuchłego.
25	**N.**	**16 po Św.** Władysława z Gieln.
26	P.	Cypriana i Justyny m., Euzebiusza
27	W.	Kosmy i Damiana m., Adolfa m.
28	S.	Wacława kr., Heliodora m.
29	C.	Michała Arch., Gudelii p. m.
30	P.	Hieronima dk., Antonina męcz.

PRZYSŁOWIA I PRZEPOWIEDNIE POGODY

według kalendarza stuletniego.

Wrzesień.

Do 10 słota, potem trzy dni pogody, od 14 do 21 zmiennie, do 25 deszcz, koniec pogodny.

1. Święty Idzi w polu nic nie widzi.

8. Na Matkę Boską Siewną, zła ta gospodyni,
Która lnu swego z wody nie wyczyni.

21. Po świętym Mateuszu chucha, kto sobie nie kupił kożucha.

29. Grzmot w święto Michała, żywność ludzka, Boska chwała.

ZAPISKI.

PAŹDZIERNIK

Dnie		Święta rzymsko-katolickie
1	S.	Jana z Dukli w., Remigiusza b w. ☽
40.		Ewang. u św. Łuk. 1, 26—38: O zwiastowaniu Najśw. Marii Panny.
2	N.	**17 po Św.** *M. B. Różań.* Aniołów Str.
3	P.	Teresy od Dz. J., Ewalda, Gerarda
4	W.	Franciszka z Asyżu w., Petroniusza
5	S.	Placyda m., Flawiany p., Apolinar.
6	C.	Brunona w., Emila, Marii Franciszki
7	P.	Marka p. w., Julii i Justyny p. m.
8	S.	Brygidy kr., Wawrzyny i Benedykty
41.		Ewang. u św. Mat. 9, 1—8: O uzdrowieniu powietrzem ruszonego.
9	N.	**18 po Św.** Dionizego b., Atanazji 🌕
10	P.	Franciszką Borg. w., Florencjusza
11	W.	*Macierz. N. M. P.* Emiliana, Placydy
12	S.	Maksymiliana b., Cypriana b.
13	C.	Edwarda kr. w., Chelidonii p.
14	P.	Kaliksta p. m., Gaudentego, Fortun.
15	S.	Teresy p., Jadwigi kr., Aurelii p.
42.		Ewang. u św. Mat. 22, 1—14: O szacie godowej.
16	N.	**19 po Św.** Gerarda Maj., Saturn. ☾
17	P.	Małgorzaty M. Alacoq., Mariana m.
18	W.	Łukasza ew., Justyna i Tryfonii m.
19	S.	Piotra z Alk., Pelagii p., Akwilina b.
20	C.	Jana Kantego w., Wendelina w.
21	P.	Urszuli i tow. mm., Hilariona op.
22	S.	Marii Salome, Korduli, Melaniusza b.
43		Ewang. u św. Jana 4, 46—53: O uzdrowieniu syna dworzanina król.
23	N.	**20 po Św.** Seweryna b., Teodora 🌑
24	P.	Rafała arch., Feliksa b., Marcina d.
25	W.	Kryspina i Kryspianina m., Daryi m.
26	S.	Ewarysta p. m., Floriusza i Lucjana
27	C.	Florencjusza m., Sabiny i Wincent.
28	P.	Szymona i Tadeusza ap., Cyryli p.
29	S.	Maksymiliana i Walentyna mm.
44.		Ewang. u św. Jana 18, 33—37: Pan Jezus przed Piłatem.
30	N.	**21 po Św.** *Chrystusa Króla.* Alfonsa
31	P.	*Wig.* Wolfganga, Narcyza i Urbana ☽

PRZYSŁOWIA I PRZEPOWIEDNIE POGODY

według kalendarza stuletniego.

Październik.

Do 8 pogoda, do 14 pochmurno, trzy dni pogody, 17 przymrozek, 18 mróz, od 19 do 21 rano zimno, dnie ciepłe, od 27 do końca pochmurno.

4. Na świętego Franciszka chłop już w polu nic nie zyska.

8. O święty Placydzie babie lato przydzie.

18. Święty Łukasz, czego w polu szukasz?

21. Święta Urszula dzieci do pieca przytula.

25. Na świętego Kryspina, każda pijana szewczyna.

28. Jak przyjdzie Szymona i Judy, zagoń bydło z pola do budy.

ZAPISKI.

LISTOPAD

Dnie		Święta rzymsko-katolickie
1	**W.**	**Wszystkich Świętych.**
2	S.	*Dzień Zaduszny.* Ambrożego b.
3	C.	Huberta b., Cezarego m., Sylwii
4	P.	Karola Bor., Emeryka w., Modesty
5	S.	Zachariasza i Elżbiety, Euzebiusza
45.		Ewang. u św. Mat. 22, 15—21: O monecie czynszowej.
6	**N.**	**22 po Św.** Leonarda w., Feliksa m.
7	P.	Engelberta b., Hierona i Nikandra ⊕
8	W.	Klaudiusza, Symforiana i Kastorego
9	S.	Teodora i Oresta mm., Ursyna w.
10	C.	Andrzeja z Awelinu w., Nimfy p.
11	P.	Marcina b., Felicjana m., Menny ż.
12	S.	5 Braci męcz. polsk., Emiliana b.
46.		Ewang. u św. Mat. 19, 13—21: O szukaniu doskonałości.
13	**N.**	**23 po Św.** Stanisława Kostki wyzn.
14	P.	Jozafata Kunc. m. b., Weneranda ☾
15	W.	Alberta W. dk., Leopolda b., Feliksa
16	S.	*M. B. Ostrobramskiej.* Gertrudy p.
17	C.	Salomei p., Grzegorza i Hugona bb.
18	P.	Romana m., Odona op., Tomasza m.
19	S.	Elżbiety król., Poncjana p. m.
47.		Ewang. u św. Mat. 24, 15—35: O wielkim spustoszeniu.
20	**N.**	**24 po Św.** Feliksa Walez. w.
21	P.	*Ofiar. N.M.P.* Heliodora i Honoriusza
22	W.	Cecylii p., Filemona i Marka m. 🌑
23	S.	Klemensa p. m., Felicyty i Lukrecji
24	C.	Jana od Krzyża, Chryzogona, Flory
25	P.	Katarzyny p. m, Erazma m.
26	S.	Jana Berchm. w, Leonarda w.
48.		Ewang. u św. Łuk. 21, 25—33: O znakach dnia ostatecznego.
27	**N.**	**1 Adwentu.** Waleriana i Wirgil.
28	P.	Florencjana b, Zdzisławy p., Urbana
29	W.	Saturnina m., Filomena i Iluminaty
30	S.	Andrzeja ap., Justyny i Konstant. ☽

PRZYSŁOWIA I PRZEPOWIEDNIE POGODY według kalendarza stuletniego.

Listopad.

Do 7 pogoda, potem deszcz, od 11 do 16 śnieg, trzy dni pogody, potem jesienna słota.

---

1. Na Wszystkich Świętych od zrębu, utnij gałąź dębu,
Gdy dąb soku nie ma, będzie tęga zima.

---

2. Kto w Dzień Zaduszny da grosz ubogiemu,
Odda sto groszy za grosz Pan Bóg temu.

---

11. Na św. Marcina, gęś do komina.
Święty Marcin po wodzie, Boże Narodzenie po lodzie.

---

25. Święta Katarzyna Adwent zaczyna.

ZAPISKI.

GRUDZIEŃ

Dnie		Święta rzymsko-katolickie
1	C.	Eligiusza b., Mariana m., Natalii
2	P.	Bibiany p. m., Hipolita i Aurelii m.
3	S.	Franciszka Ks., Klaudiusza i Hilarii
49.		Ewang. u św. Mat. 11, 2—10: O świętości Jana Chrzciciela.
4	**N.**	**2 Adw.** Barbary p. m, Piotra Chryz.
5	P.	Sabby op., Kryspiny i Juliana mm.
6	W.	Mikołaja b., Dionizji i Leoncji mm.
7	S.	Ambrożego bw., Agatona ż., Teod. 🌕
8	**C.**	**Niepokal. Pocz. Najśw. Marii P.**
9	P.	Waleryi i Leokadyi pm., Gorgonii
10	S.	*N. M. P. Loretańsk.* Melchiadesa p.
50.		Ewang. u św. Jana 1, 19—28: O świadectwie Jana Chrzciciela.
11	**N.**	**3 Adw.** Damazego p., Sabina b.
12	P.	Aleksandra m., Dionizji, Justyna m.
13	W.	Łucji pm., Eugeniusza m., Otylii m.
14	S.	*Such.* Izydora, Lotara, Arseniusza ☾
15	C.	Waleriana b., Chrystiany m., Faust.
16	P.	*Such.* Euzebiusza b., Adeli i Albiny
17	S.	*Such.* Łazarza b., Floriana m.
51.		Ewang. u św. Łuk. 3, 1—6: O posłannictwie Jana Chrzciciela.
18	**N.**	**4 Adw.** *Oczek. N. M. P.* Teotyma
19	P.	Tymoteusza m., Nemezjusza, Fausty
20	W.	Teofila ż., Liberata i Juliusza mm.
21	S.	Tomasza ap., Anastazego i Sewer. 🌑
22	C.	Honorata m., Zenona ż., Flawiana
23	P.	Wiktorii pm., Ewarysta i Saturnina
24	S.	*Wigilia.* Adama i Ewy, Grzegorza m.
52.		Ewang. u św. Łuk. 2, 1—14; 15—20; u św. Jana 1, 1—14: O narodzeniu P. Jezusa, hołdzie pastuszków i odwiecznemu rodzeniu od Ojca
25	**N.**	**Boże Narodzenie.** Eugenii p. m.
26	**P.**	**Szczepana I. m.** Dionizego p. ☽
27	W.	Jana ap. i ew., Teodora i Maksyma
28	S.	Młodzianków m., Bogumiła i Teofili
29	C.	Tomasza b. m., Dawida kr., Honorata
30	P.	Eugeniusza b., Sabina i Rajnera b.
31	S.	Sylwestra p., Hilarii i Pauliny

PRZYSŁOWIA I PRZEPOWIEDNIE POGODY
według kalendarza stuletniego.

Grudzień.

Mgły, wróżące śnieg, 10 sucho, od 18 do 27 mroźno, 28 deszcz, 30 i 31 pogoda.

1. Grudzień ziemię zgrudzi i izby wystudzi.

3. Kiedy na Barbarę mróz, to szykuj chłopie wóz.

13. Święta Łuca dnia przyrzuca.

25. Mroźne Gody będą wczesne wody,
A jak słota, to nierychło doczekasz się błota.

26. Na święty Szczepan, każdy se pan.

ZAPISKI



Rok 1938 Ery Chrześcijańskiej

jest rokiem zwyczajnym, mającym 365 dni. Odpowiada r. 5698—5699 wedle rachuby żydowskiej. (N. Rok u żydów 1 października).

Zaćmienie księżyca i słońca.

W r. 1938 będą dwa zaćmienia słońca i dwa zaćmienia księżyca, ale w Europie widzialne będzie tylko zaćmienie księżyca 7—8 listopada.

a) *Całkowite zaćmienie księżyca* dnia 14 maja od godziny 5.44 do godziny 11.43 według czasu w Greenwich. Będzie widzialne na Oceanie Atlantyckim, w Ameryce, na Oceanie Spokojnym, w Australii i na północno-wschodnim skrawku Azji.

b) *Całkowite zaćmienie słońca* dnia 29 maja między godziną 11.46 a 15.53 według czasu w Greenwich, widzialne na południowo-wschodniej części Oceanu Spokojnego, w południowej części Ameryki Południowej i Oceanu Atlantyckiego, oraz na południowym skrawku Afryki.

c) *Całkowite zaćmienie księżyca* w dniach 7—8 listopada od godziny 19.30 7 listopada. A 1.14 8 listopada według czasu w Greenwich, czyli od 20.39—2.14 według czasu środkowo-europejskiego. Będzie widzialne wszędzie, prócz Oceanu Spokojnego i wschodniej oraz środkowej Australii.

d) *Częściowe zaćmienie słońca* w dniach 21—22 listopada między godziną 21.45 a 1.59 według czasu w Greenwich, widzialne w północno-wschodniej części Azji, na północy Oceanu Spokojnego i w północno-zachodniej części Ameryki Północnej.

Dni świąteczne.

We wszystkie niedziele, oraz w dni: Nowego Roku, Trzech Króli, Wniebowstąpienia Pańskiego, Bożego Ciała, śś. Apostołów Piotra i Pawła, Wniebowzięcia Najśw. Marii Panny, Wszystkich Świętych, Niepokalanego Poczęcia Najśw. Marii Panny i Bożego Narodzenia wszyscy obowiązani są pod grzechem ciężkim, jeśli nie mają ważnej usprawiedliwiającej przeszkody, wysłuchać całej Mszy św. i wstrzymać się od prac służebnych. W inne dni, chociażby uroczyste nabożeństwa odbywały się w świątyniach, Kościół obowiązku tego nie nakłada.

Dni postne.

W piątki i soboty Wielkiego Postu, w Suchedni i wigilie Zielonych Świąt, Wniebowzięcia Najśw. Marii Panny, (Wszystkich Świętych) i Bożego Narodzenia, obowiązuje post ścisły, oraz wstrzymanie się od potraw mięsnych. (W Wielką Sobotę od 12 godziny nie ma już żadnego postu). We wszystkie inne dni Wielkiego Postu, prócz niedziel, obowiązuje tylko post ścisły.

We wszystkie piątki całego roku (prócz wyżej wymienionych) obowiązuje tylko wstrzymanie się od potraw mięsnych. *Jeśli jednak w piątek wypadnie święto uroczyste*, jedno z wymienionych wyżej p. t. „Dni świąteczne“, *ustaje obowiązek wstrzymania się od potraw mięsnych.*

Natomiast w *Dni krzyżowe* nie ma żadnego postu; wolno jeść mięso, jak w inne dni roku.

Za potrawy mięsne uważa się tylko rosół i mięso. Wszystkie przyprawy i omasty, choćby pochodziły ze zwierząt, zawsze są dozwolone, więc nie tylko masło i jaja, ale też sadło, słonina (jako przyprawa), smalec i t. p. mogą być używane we wszystkie postne dni całego roku; również ryb wolno używać zawsze, nawet jeżeli w dni postne używa się potraw mięsnych. *Również we wigilie z postem, jeśli wypadną na niedzielę, nie ma obowiązku poszczenia ani w niedzielę, ani w poprzednią sobotę.*

Takie są przepisy prawa ogólnego kościelnego. W niektórych diecezjach Najprzew. Księża Biskupi zwykli przed rozpoczęciem Wielkiego Postu, dawać *obszerniejsze dyspensy.*

Czasy zakazane.

W czasie od 1 Niedzieli Adwentu do Bożego Narodzenia włącznie i od Środy popielcowej do Niedzieli Wielkanocnej włącznie, zabaw weselnych wyprawiać nie wolno, *ani też żadnych zabaw tanecznych i z muzyką.* To się odnosi i do *święta św. Józefa 19 marca.*

Święta ruchome.

Niedziela Starozapustna — 13 lutego.
Popielec — 2 marca.
Suchedni I — 9, 11, 12 marca.
Wielkanoc — 17 kwietnia.
Wniebowstąpienie — 26 maja.
Zielone Święta — 5 czerwca.
Suchedni II — 8, 10, 11 czerwca.
Boże Ciało — 16 czerwca.
Najśw. Serce Jezusa — 24 czerwca.
Suchedni III — 21, 23, 24 września.
Dzień misyjny — 23 października.
Urocz. Chrystusa-Króla — 30 paźdz.
Niedziela I Adwentu — 27 listopada.
Suchedni IV — 14, 16, 17 grudnia.

Duch Narodu

Historia nie wie dnia jego narodzin, ani dnia krwawej kąpieli, w której go chrzczono, to pewna, że wzrósł on, zmężniał i opanował Polskę w bohaterskich czasach Bolesława Chrobrego — i dotąd trwa. On był i jest tą siłą, która utrzymuje rzecz i imię Polski, która stanowi istotne jej granice. On to nie dał jej zginąć w strasznej zawierusze, która rozpętała się nad Polską ze śmiercią Bolesława Chrobrego, on imię Polski, zatracone w miazdze małych państewek podziałowych, wypisał znowu na sztandarze Przemysława, on krzepił Łokietka i jak huragan szedł przez pola Grunwaldu, a kiedy po dwóch wiekach potęgi szwedzkiej, potok zalał Polskę, duch ten, utajony w piersi Kordeckiego, wybuchnął z siłą, która zdaje się cudem, i duch ten nie dał dawnej Polsce zginąć w zupełnym spodleniu, on dał jej Racławice. Dziwna to siła. Jest ona, jak te nowoodkryte ciała, promieniujące z najmniejszej cząsteczki energię, która zdaje się nie wyczerpywać i być nieproporcjonalną do masy tej cząsteczki. Mówimy: „Duch narodu“, i wyobrażamy całość pewnego obszaru ziemi, zamieszkałą przez ludzi, z których każdy jest tym duchem ogarnięty i daje w sumie to, co stanowi życie i historię narodu. A tymczasem duch ten niekiedy opuszcza tłumy i pozostaje w jedynej duszy, jak: Joanna d'Arc, Kordecki, Kościuszko... Były chwile, kiedy zdawało się, że na obszarze Polski nie było śladu tego ducha i serce jej biło we Włoszech — w legionach Dąbrowskiego. Odtąd rośnie on i potężnieje, niezmożony klęskami, nie dający się zabić przez żadne prześladowania. Jest to znamiennym zjawiskiem, że Polska w ciągu tych stu lat, staczając się z klęski w klęskę, z nieszczęścia w nieszczęście, w miarę jak polityczny jej upadek, wyrażający się utratą resztek cieniów jej niepodległości, zwiększa się, że Polska rośnie jako siła ducha. Dopóki naród miał do stracenia jakąkolwiek resztkę dawnych urządzeń politycznych, dopóki o nie walczył zwykłą bronią, dopóty był zwyciężany i po każdej przegranej tracił coś materialnie. Z chwilą, w której jedynym pozostałym dobrem i jedyną siłą stał się Duch narodowy, nie tylko że się nie dajemy, ale zwyciężamy.

Jest pewna granica ucisku, poza którą naród staje się nieszczęśliwym i nie ma mocy, któraby go mogła zgnieść, zdusić i pozbawić życia. Chyba, żeby go wyrżnięto do nogi, jak Jaćwież. I to jednak nie zawsza jest pewne. Z grobów wstają mściciele, dowodem Grecja. Taka jest logika ludzkiego życia, logika bezwzględna, nieprzeparta... Siły narodu nie stanowią ani wymowni panujący, ani bagnety, ani miliony, ani ziemia — siłę narodu stanowi jego Duch, on jest istotą jego życia i czynu. Duch ten przejawia się w najrozmaitszych sferach działania. Ci, co ziemię polską trzymają w politycznym posiadaniu, czują pod stopami jakby nieustanne wrzenie wulkanu — czują ciągłą, trwałą, nieustanną robotę tego ducha, który rozsadza skorupę niewoli i ujawnia się milionami iskier. Iskry można zgasić — ale ognisko jest wiecznotrwałe. Ilu za naszego życia przeszło przez polską ziemię ludzi uzbrojonych w największą władzę, prawo i siłę zniszczenia, ludzi opanowanych śmieszną nadzieją, że za ich marnego życia zginie naród... Ludzi tych prochy wiatr rozwiał, a naród jest, rośnie, pracuje, walczy — żyje.

Stanisław Witkiewicz

Jeśliś ty Polsko...

„Jeśliś ty, Polsko, takie miała Duchy,
Co wielkie życia wieszczyły ci słowo,
Jeśli płomienne natchnienia wybuchy
Rzuciły ciebie na drogę globową,
Gdzie gwiazdom wnętrze wypala wiatr suchy
W kształt nowy, iskrą ducha piorunową,
Jeśliś prorockie wzięła namaszczenie,
To iść nie możesz w proch i w znicestwienie!

Jeśli cię Duchów trzymają kolumny
Wzniesioną hostią u wieków ołtarzy,
Jeżeli u twej niezamkniętej trumny
Duchy twej pieśni stanęły na straży,
Jeśli ci szumi sztandar, gdzie znak dumny
Imienia twego narodom się żarzy,
Jak gwiazda, ręką Bożą wykowana,
To ty nie możesz paść i być zdeptana!“

Maria Konopnicka



J. H. Newman

Królestwo Chrystusowe.

Królestwo Boże nie przyjdzie z rozgłosem: I nie powiedzą: oto tu jest albo tam; bo oto Królestwo Boże jest w was.
(Św. Łukasa XVII, 20-21).

Co Pan nasz zapowiada w tych słowach urzeczywistniło się w pełni. Lubimy sobie to na pamięć przywodzić w tym dniu i w tym okresie roku. Królestwo Boże zapoczątkowane zostało przez apostołów i szybko się rozszerzyło. Napełniło świat, dotarło do miejsc najbardziej wyniesionych na świecie. Ale Królestwo to przyszło i rozwinęło się „bez rozgłosu". Wszystkie inne królestwa, jakie kiedykolwiek istniały dęły przed sobą w surmy trąb, hałaśliwie zwracały na się uwagę.

Ukazały się „z mieczem, włócznią i tarczą". Były dzikim zwierzem przychodzącym z północy, lotnym orłem czy chmurą żarłocznej szarańczy; prorok określa to słowami: „Przed obliczem jego ogień pożerający, a za nim płomień palący. Jako widzenie koni, widzenie ich, a jako jezdni tak pobieżą... Jako szum płomienia ognistego, pożerającego słomę, jako lud mocny, zgotowany ku bitwie". Zawsze w ten sposób objawiało się przyjście wszelkiej potęgi ziemskiej: przyjdzie też również dzień, w którym dokona się podobne zjawienie w historii niebios: stanie się to wówczas, gdy Pan Jezus po raz drugi przyjdzie. Według słów Pisma św. przyjdzie On „ze słowem władcy, z głosem archanioła, wśród odgłosu trąb". Wówczas przyjście to będzie z rozgłosem. W ten sposób zakończy się Królestwo Jego Kościoła na ziemi; ale nie chciał Chrystus, by w ten sposób się zaczęło. Zapowiedzieli to prorocy, mówiąc o Nim: „nie będzie się wadził, ani nie będzie wołał i nikt nie usłyszy na ulicach głosu Jego. Trzciny zgniecionej nie złamie, a lnu kurzącego się nie zagasi, aż wystawi sąd ku zwycięstwu". A to zdobycie ziemi, dokonane bez rozgłosu i bez popisywania się przez apostołów Chrystusa Pana stało się w stosunku do żydów jeszcze więcej tajemnym, gdyż oni zupełnie czegoś innego się spodziewali: byli przekonani, że to Królestwo winno było przyjść z zewnętrznym przepychem i napróżno Chrystus starał się utwierdzić ich w przeciwnym poglądzie. Faryzeusze szukali znaku z nieba. Nie chcieli uwierzyć, żeby Jego Królestwo już nadeszło, zanim Go sami nie ujrzeli nadchodzącym: liczyli, że będzie to książe nadciągający z wojennym orszakiem. A kiedy przyszedł z dwunastu biednymi ludźmi, bez żadnej widocznej pompy, był dla nich „Jak złodziej wpośród nocy" i w tym tkwił błąd ich niewiary: a jednak już przyszedł i zanim zechcieli Go uznać był już w posiadaniu swego Królestwa.

I nieodmiennie nastanie Jego Królestwa byłoby zawsze tajemnym i za takie musi uchodzić, cokolwiekby o tym zawyrokowali w swej mądrości mędrcy tego świata. A On sam w ustępie, który wyżej przytoczyłem powiada nam dlaczego tak ma być: „I nie powiedzą: oto tu jest albo tam: bo oto Królestwo Boże w was jest".

Mówi nam przeto dlaczego przyszedł tak tajemniczo i jakby w ukryciu. W rzeczywistości, nie mogło być inaczej, gdyż nie ciała, ale serca przyszedł zdobywać. I nie przyszedł z zdobywaniem od zewnątrz, ale pragnął wywrzeć wpływ od wewnątrz, dać odczuć się w duchu, nie aby podbić człowieka zewnętrznego za pośrednictwem zmysłów, ale, by według słów św. Pawła: „w niewolę podbić wszelki umysł pod posłuszeństwo Chrystusowe".

Królestwa tego świata rozciągają się w czasie i w przestrzeni: zaczynają od ja-

kiegoś punktu, idą stopniowo naprzód i rozszerzają się. Postęp ich łatwy byłby do opisania: takimi czy innymi środkami zabezpieczają sobie piędź po piędzi kraje, które je otaczają, przyłączając jedne, zdobywając drugie. W miarę, jak prą naprzód, umacniają grunt pod nogami i utrwalają władzę. Zapewne, że i Królestwo Chrystusowe, będąc *w świecie*, ma swą zewnętrzną i widzialną formę, ma swe powodzenia i klęski, swą historię, jak wszelkie instytucje tego świata, mimo, że *nie jest z tego świata*. Rozpoczęło od Jerozolimy, rozszerzyło się u Scytów i w Afryce, przeszło do Indyj i na północ: ma swoją hierarchię, zakony, ministrów i ustawy: praktykuje surową dyscyplinę i domaga się konsekwentnie posłuszeństwa. Wszystko to jest jednak pobocznym: nie można bowiem przez rozważanie tego tylko, zdać sobie sprawę w pełni ze sposobu, w jaki się wzniosło i utrwaliło, a jeszcze mniej z rozwoju i z rzeczywistego postępu. Broń jego bojowania nie miała nic z tego świata cielesnego. Jeśli chce się zrozumieć Królestwo Chrystusowe i wytłumaczyć sobie jego rozszerzanie się, należy sobie uprzytomnić, że przyszło drogą wewnętrznego i ukrytego przenikania: były to jakby odwiedziny Boże. Bezwątpienia dokonywało się to i przy pomocy zewnętrznych środków, ale osiągnięte wyniki były innego rodzaju i niewspółmiernie wyższe od formalnego i widocznego aparatu. Prawdą jest, że brały w tym udział i głoszenie słowa i rozumowanie i wymiana zdań, ale w rzeczywistości wszystko działo się za sprawą i przez czynność Boga samego. Ten, który jest wszechwiedzą i wszechpotęgą, Tenci podbijał serca. Było to widzenie nagłe i powtórzone naraz w tysiącznych miejscach. Wszyscy, możnaby powiedzieć, poczęli naraz mówić tym samym, zgodnym językiem: stąd wydawało się, że mowa ta udzielała się od jednego do drugiego, gdy tym czasem On to sam nauczał ich pieśni Baranka Bożego. Czy też, jeśli przypuścimy, że od ludzi otrzymali oni pierwszą zaprawę, to następowało to tak szybko, jakby już wszystko rozumieli, zanim słowa zostały im wypowiedziane w całości. Tak wszystko: czas i przestrzeń, przyczyny i skutki były narzędziem Jego woli.

I w ten sposób podniósł się nagle koncert nieznanych dotąd głosów, bijących w niebo, by Go chwalić i uwielbiać na wschodzie i na zachodzie, na północy i na południu: świat zdziwiony i niepewny napróżno szukał skądby mogła przyjść harmonia tych dźwięków tak słodkich i tak religijnych. Było tak, jakby powietrze świętości napełniło całą ziemię. Niech tylko zjawił się któryś z Jego wysłanników dobrej nowiny, a przy pierwszym jego słowie, przy pierwszym pouczeniu czy poruszeniu wargami, tłum zawieszony na jego ustach odpowiadał jednym głębokim i ogromnym przyświadczeniem: pełna, wnikliwa i subtelna zgoda łączyła wszystkich w głoszeniu jednomyślnym chwały Zbawcy.

Było tak dlatego, bo Duch Boży zstąpił z niebios i wypełnił ziemię: wszędzie zadrżały serca, oddychały szybko piersi, szły stęsknione spojrzenia.

Był to czas święty, otwarty dla błogosławieństw z wysoka: był to okres, w którym Bóg nawiedził swój lud, w którym słabi mieli stać się mocnymi, a ostatni pierwszymi.

Był to triumf wiary skorej i nieodwlekającej, która szczodrze przyjmuje i bez wahania, jak tego pragnie Pismo św. „blisko jest słowo w ustach twoich i w sercu twoim, a to jest słowo wiary, które przepowiadamy". Podobnie jak niegdyś Niniwa i Babylon zostały zaskoczone przez nieprzyjaciela, tak świat został zaskoczony przez Tego, który według słów proroków jechał na białym rumaku i nosił miano: „Wiernego i Prawdziwego" Bóg zstąpił z wysoka między swoich i był wszędzie. Pan aniołów chodził po ziemi. Dary swe otwarcie rozdzielał i na wszystkim zaznaczał piętno swego obrazu. W tym też sensie należy rozumieć słowa Mistrza, że „będą nieprzyjaciółmi człowieka domownicy jego". Wpływ ten rozszerzał się, ale ze strony świata napotykał na nienawiść i pogardę. W miejscach odległych, w najwyższych rodzinach, wśród wielkich tego świata i wśród surowych żołnierzy, w pośród zabobonów czci bożków i zepsucia niewolnictwa wszystko, co było najszlachetniejsze, najinteligentniejsze, najwięcej wytrawne jak i najsurowniejsze i najordynarniejsze stawało się jakby łupem Kościoła i Chrystusa dzięki jakiejś tajemnej sile. W ten to sposób zostało powołane do życia wielkie Królestwo o nieskończonym promieniowaniu: przyszło z wewnątrz, by wybuchnąć na zewnątrz: wyszło z tajemniczych i ukrytych głębin, jak wiosna przychodzi po zimie... (C. d. n. na str. 42)

Jesienią

Jak gwiazdy spadłe na czarne zagony,
Jaśnieją sterty pszenne i żytniane,
A czoła w mleczną owinął im pianę
Pajęczych przędziw łańcuch wysrebrzony.

Z ognisk pastuszych bije blask czerwony,
Złocą się iskry przez dymy przesiane,
I słychać głosy tęskne, rozśpiewane —
Rusińskich dumek rozełkane tony.

I cisza znowu. Chłopskie wierzby siwe
Opadłym liściem mącą wodą w stawie —
Słychać ciągnące odlotne żórawie.

Białe przędziwa gdzieś lecą przez niwę,
Białe przędziwa płyną -- wiatr je miota
I płynie z stepów bezdenna tęsknota...

Kazimiera Zawistowska.

Nie mów...

Nie mów — chociaż byś miał zginąć
z pragnienia —
Że wszystkie źródła wyschły już bijące:
Tyś gonił pustyń piaszczystych złudzenia,
A minął strumień na zielonej łące.

Nie mów — chociaż byś umierał z tęsknoty—
Że nie ma czystej miłości na ziemi:
Tyś pewnie w drodze blask jej rzucił złoty,
Za ognikami zdążając błędnymi.

Nie mów, że wszystko, czegoś ty nie umiał
Odnaleźć w życiu, marą jest zwodniczą:
Zdrój czystych uczuć będzie innym szumiał
I inne serca poił swą słodyczą.

Adam Asnyk

Bez co się święci dostali na kępę

Beło dwok hłopów i mieskali przy wodzie, jeden z jednej strony, a drugi z drugiej; ten, co beł na prawo, to sie nazywał Kuba Jamrozik, a ten na lewo Wawrzek Bieńkowski.

A to beło przy wsi, kajsi koło Białego Dunajca.

Ci hłopi mieli grunta koło wody, proci sobie. Kie wody sły, na wiesne, to abo jednemu urwało, a drugiemu przycyniło, abo temu zaś urwało, a hańtemu darowało.

Miał kazdy z tyk dwok gazdów po świentym z drzewa wyrzezanym Kuba miał Świentego Jantoniego, a Wawrzek Świentego Jacka.

Kie woda sła, powódź od Tater, to sie oba modlowali: Jamrozik pytał: He, Świenty Jantoni, urwijze tys Wawrzkowi, a mnie przicyń!... a Bieńkowski zaś wołał: Świenty Jacku, ślicny, piekny, kieby tys Kubowi ubyło, a mnie przyrosło!...

He, cos, prziseł taki rok, co i Kubowi i Wawrzkowi urwało.

Idzie Kuba ku Świentemu Jantoniemu, co na półce stał: je cos to robis?!

A Wawrzek samo to we swoim domie.

Pośli po rade, oba wraz, do starego pustelnika, co w lesie nieobdalno mieskał.

Pustelnik pokiwał głowom i pada im:

— Moi ślicni piekni, Świeńci tys musom uwazować, coby do kłopotu pomiendzy sobom nie przisli. Jeden drugiemu na despet nie fce zrobić.

Hebaby musieli w pośrodku rzeki stać, coby sprawiedliwie wode dzielili.

— Hy — pada Jamrozik — to nie trudno. Jest hań kępa na samym środku.

— No to ig hań wynieśmy — pada Bieńkowski.

— Nawet im bedzie weselej, bo bedom wroz.

Wynieśli tyk Świentyk i postawili pod daskem, coby na nig nie lało.

— No i jako beło?

— Jako beło? Sprawiedliwie Świeńci dzielili: zakiel Kuba i Wawrzek pomarli, kozdemu do równości po półtora morga gruntu wody urwały.

No wicie! Co świenty rozum, to świenty!

— Zyjdyć to! Nie biadkał juz zodem, ba se przikwalali, jako im ten pustelnik dobrze poradzieł. Dziś ta jakiesi tamy bijom, cosi kajsi, wode ucom, coby wiedziała, jako ma iść, a drzewiej to se hłop wiedział i ze Świentymi sam poradzić i Pon Bóg go nie opuścieł.

— Nie opuścieł... *K. Tetmajer*

Istotą, którą człowiek najmniej zna, której zawsze wierzy, a która go często zawodzi, jest — on sam.

Pasterka na włoskim froncie

Dnia 19 grudnia 1915 r. po południu koło godziny trzeciej zbliżałem się do komendy III batalionu 57 pułku tarnowskiego na włoskim froncie. Śnieg padał gęstymi i dużymi płatkami. Po serpentynach górskich stąpało się jak po grubych i miękkich dywanach. Na tym odcinku frontu — a był to odcinek Plöcken w Karyntii — Włosi wszędzie zaglądali z góry Cellon; droga do pozycyj austriackich była zakryta wysokim i gęstym parawanem sztucznym, sporządzonym z liściastych gałęzi krzaków i drzew. *Przechadzka za tym parawanem była mimo to zawsze pełna emocji, bo gwizdki kul karabinowych orzeźwiały człowieka i przyspieszały kroku.* Kroczyło się zawsze w żywym tempie.

Po takiej przechadzce półtoragodzinnej stanąłem przed zgrabnym budyneczkiem komendy III batalionu 57 pułku na górze Freikofel. Przybyłem do rodaków z Tarnowa po raz pierwszy. Komendantem batalionu był major Papaczek, człowiek bardzo dziwny, ale dobry żołnierz. Słynął szczególnie w całej 94 dywizji z oryginalnego nastawienia do księży. Ale mimo jego dziwactw



Jedna z przelicznych kapliczek w Polsce.

powszechnie go lubiano. Gdy mię wysłano do 25 brygady górskiej, do której należał i batalion tarnowski, mój przełożony polowy przestrzegł mię, że major Papaczek może mię łatwo wyrzucić. Wszedłem zatem na ciemny korytarzyk komendy zaciekawiony i na wszelkie możliwości przygotowany. Ledwiem zrobił kilka kroków w ciemnościach, usłyszałem krzykliwy głos: do stutysięcy pieronów! Kto się tu plącze? — Nie wrzeszcz, jak ci nic nikt nie robi — odpowiedziałem. — A to kto się waży tak mi odpowiadać? Ja jestem komendant batalionu, major Papaczek! — Źle się zaczyna nasza znajomość — pomyślałem, ale opanowawszy się szybko, rżnąłem: Panie majorze! Kapelan polowy, ks. F. M. melduje się posłusznie jako kapelan 25 brygady górskiej. — Poco się tu ks. przywlókł, ja księdza nie potrzebuję. — P. majorze, melduję posłusznie, ja nie przybyłem do p. majora, lecz do moich rodaków, którzy pod jego sławną komendą pełnią zaszczytną służbę na polu chwały. Pragnąłem ukłonić się p. majorowi, jako gospodarzowi tej góry, nim ruszę do rowów strzeleckich, by tam przywitać się z jego dzielnymi żołnierzami, moimi rodakami. — Ależ tam strzelają, i ks. może nie wrócić. — Wielka rzecz, to nie wrócę. Czy to ja będę pierwszy? Do widzenia p. majorze! — Nie puścił mię samego, lecz dał mi za przewodnika podoficera.

Front na Freikoflu przedstawiał wówczas olbrzymi labirynt tuneli śnieżnych. Murowane i cementowane okopy tonęły w lodzie i skrzącym śniegu. Zwiedzanie pozycyj nie należało do przyjemnych trzeba było być bez przerwy zgiętym w niskich tunelach. Rzecz jasna, że żołnierze ucieszyli się niezmiernie na widok swojego księdza. Prosili i błagali wszyscy, bym przybył odprawić pasterkę. Przyrzekłem — żegnano mię więc wszędzie radosnym: „do widzenia we wilię!“ Gdy się p. major Papaczek dowiedział o moich zamiarach odprawienia pasterki na Freikoflu — oficerowie mu bowiem donieśli telefonem o moich rozmowach z żołnierzami — zapałał strasznym gniewem. Przywitał mię wyrzutami, że mu religijnymi buntami zakłócam spokój w obliczu nieprzyjaciela, i że on nie może na to pozwolić, by w oddaleniu 30—40 metrów odprawiano

nabożeństwo, i narażono batalion na ewentualne ciężkie straty w ludziach, jeżeli by Włosi rzucili np. bombę do zgromadzonych tłumów żołnierzy. — Zresztą — kończył — do żydów i innych wyznań nie przychodzi żaden duchowny, ja chcę być sprawiedliwym, i nie zgodzę się na to, by dla katolików odprawiono nabożeństwo. — Widząc niebylejaki upór u p. majora, wystrzeliłem z największej armaty: — Melduję posłusznie, p. majorze, że nie omieszkam donieść moim i jego najwyższym władzom wojskowym, jak p. major dba o bezpieczeństwo swoich żołnierzy, ale ponieważ moim obowiązkiem jest dbać o bezpieczeństwo i spokój duchowy żołnierzy, melduję posłusznie p. majorowi, że idąc za rozkazami Jego Cesarskiej Mości, i spełniając obowiązek kapelana polowego, pasterkę na Freikoflu u p. majora muszę odprawić.

Długośmy sobie jeszcze docinali, nim doszliśmy do porozumienia i drobiazgowego ustalenia, o której godzinie i na którym miejscu odbędzie się nabożeństwo. Wzajemnymi ustępstwami uzgodniliśmy w końcu, że nie będzie pasterki ścisłej, lecz Msza św. w sam dzień Bożego Narodzenia o g. 10. Ołtarz sporządzono w oddaleniu jakich 150 metrów od okopów. Był śliczny mroźny dzień. Około 250 żołnierzy przebierało nogami na skrzypiącym śreniu. P. major Papaczek co chwila im groził, że ich rozpędzi, jeżeli spokojnie stać nie potrafią. Tuż przed rozpoczęciem Mszy św. zjawiła się u mnie delegacja, bym im pozwolił śpiewać kolendy podczas Mszy św. — Czy wyście zwariowali — zapytałem. — Włosi słyszą przecież każdy silniejszy szmer! To byśmy im dopiero pracę ułatwili głośnym śpiewaniem naszych kolend! — Proszę księdza — zaczęli mi tłumaczyć — gdy ci makaroniarze usłyszą nasze kolendy, tak zbaranieją z uciechy, że zamiast strzelać, brawa nam bić będą, i prosić, byśmy dalej śpiewali. — Idźcie, poproście p. majora. — Nie ma głupich, to musi ksiądz sam z nim załatwić, bo nas toby porąbał!... Znając dziwactwa p. majora, nie miałem jakoś odwagi nawiązywać z nim nowej rozmowy i zamiast przygotowania, roznamiętniać się zawsze dokuczliwymi choć dowcipnymi uwagami p. majora. Biedni żołnierze byli zmarkoceni i wprost zrozpaczeni. Boże Narodzenie bez kolend, to wesele bez muzyki i śpiewu. — Zanućcie sobie pod nosem, cichutko... — pożegnałem ich, zaczynając prędko Mszę św.: In nomine Patris... Ledwiem rozpoczął, ku mojemu niemałemu przerażeniu usłyszałem cichy śpiew kolendy: „Wśród nocnej ciszy...“ A niechże ich — pomyślałem, przerywając modły mszalne — ja im na odczepne, tak od niechcenia, byleby się ich pozbyć — powiedziałem: Zanućcie sobie pod nosem... a oni to wzięli dosłownie. Udając skupionego w modlitwie, nie oglądałem się, ani się nie odzywałem, będąc szczęśliwym, że rozpocząwszy Mszę św. — nie muszę sam interweniować i ciszyć żołnierzy, coraz bardziej rozśpiewanych. Zwracając się do żołnierzy przy „Dominus vobiscum“ zauważyłem — mimo spuszczonych oczu — jak p. major rękami wymachiwał i groził. Lecz żołnierze (jak mi później opowiadali) za moim przykładem również pospuszczali pobożnie oczy, większa ich część przyklękła, i dalej nucili... „czemprędzej się wybierajcie...“ Ale to już nie było cichutko i pod nosem, lecz pół gardłem, a „przywitać Pana...“ to już niektórzy śpiewali nawet całym gardłem. Gdy skończyli, odetchnąłem. P. major zmierzył surowym wzrokiem wszystkich obecnych, pogroził im jeszcze kilka razy, i zdawało się, że koniec śpiewaniu. Głosząc króciutkie kazańko po Ewangelii, ani słówkiem nie wspomniałem o śpiewie, uważając sprawę za załatwioną ostatecznie. Żołnierze zaś wzięli moje milczenie za aprobatę, i jak tylko zakończyłem przemówienie — ktoś w tyle stojący, zaintonował wdzięcznym basem: „W dzień Bożego Narodzenia...“ Śpiew w mig podchwycili wszyscy obecni, nie wyłączając nawet oficerów, i śpiewali rzewnie i uczuciowo, a równocześnie tak zdecydowanie, po męsku i melodyjnie, że p. major, który przedtem nie znał kolend polskich, jakby zapomniał języka w gębie i jakby mu ręce niespodziewanie zdrętwiały i nogi w ziemię wrosły, nie przeszkadzał w śpiewaniu. Serce mi wprost rosło z zadowolenia artystycznego, czy jakiegoś tam innego. W przyrodzie panowała grobowa cisza, której nie zamącały strzały armatnie i świsty kul karabinowych, ani ohydny ryk min lub trajkot karabinów maszynowych. Słońce prażyło, w kryształkach płatków śnieżnych lśniło milionowymi światełkami; gałązki buków i sosen obwisały bialusieńkimi kiściami świątecznymi, głazy kamienne lśniły

w oddali paradą jakiejś rajskiej bieli, a z ust żołnierzy-Polaków ptaszki w górę wylatywały i Jezusowi małemu przyśpiewywały... Cuda, cuda się działy wtedy na Freikoflu! — Gdy jednak przyszedł koniec i na te nieziemskie używania, p. major Papaczek miał ochotę powiedzieć mi kilka słów dziarskich, ale zdobył się tylko na jedno słowo: „Unerhört!“ — niesłychane! — Co jest niesłychane? — zapytałem. — Wszystko, co się tu dziś stało — odpowiedział. — I wasz pobyt, kochany klecho — mein lieber Pfaff — i ten buntowniczy śpiew moich żołnierzy, który ukołysał mię w jakichś anielskich marzeniach nadprzyrodzonych. Za dwa tygodnie jedzie mój batalion na wypoczynek; niechże ksiądz przyjeżdża do Oberdrauburgu. Tam będziecie mogli śpiewać i śpiewać do syta... Niesłychane... niesłychane... w wielkim mrozie tym Polakom ptaszki w górę wylatują! Niesłychane... ale piękne!

Ks. F. Machay.

Nowicjat małżeński

Nowicjatem nazywa się czas próby w zakonie. Jeśli ta próba daje dobre wyniki — przełożeni zakonu zgadzają się, by brat czy siostra związali się ślubami z danym zgromadzeniem zakonnym. Dla wstępującego w progi zakonu, nowicjat jest także czasem wypróbowania swych sił i zamierzeń, utwierdzenia się czy też wycofania na czasie i ostatecznie bez ujmy. Może się bowiem zdarzyć, że ten czy ów działał zbyt gorączkowo, że zdrowie jego nie wytrzymuje rygoru zakonnego, że duchowe czy umysłowe właściwości inną mu polecają drogę życiową.

Małżeństwo jest stanem: ale jest też jakby zakonem. Ma okres nowicjatu — okres narzeczeństwa i ślub, decydujący o życiu. Okres narzeczeństwa będąc przygotowaniem do samego aktu ślubu ma stąd ogromne znaczenie. Nie zawsze docenia się je i nie zawsze umie się zachować właściwą postawę w czasie jego trwania. Ot załużmy, że okres narzeczeństwa, to okres duchowego i umysłowego obcowania młodych dla wzajemnego poznania się. Jest rzeczą przez się zrozumiałą, że obcowanie takie dwojga młodych osób wtenczas tylko winno się rozpocząć, kiedy oboje znajdą się w wieku, uprawniającym do zawarcia ślubu, kiedy mężczyzna uczynił wybór swojej narzeczonej i kiedy panna prośbę o rękę przyjęła. Okres narzeczeństwa nie powinien trwać zbyt długo, gdyż pociąga za sobą niebezpieczeństwo i pokusy: lepiej, by trwał rok niż dwa lata.

Okres narzeczeństwa, to nie okres zabawiania się, jak twierdzą złośliwi doradcy czy nieszczęśni towarzysze — ale to okres, w którym obydwoje narzeczeni starają nawzajem lepiej i gruntowniej się poznać, by się umocnić w czystej i szczerej miłości. Zapewne, że narzeczony zanim oświadczy się młodej pannie, winien wpierw zasięgnąć informacji co do jej osoby w kole rodziny, krewnych i znajomych, ale niezależnie od tego bliższe poznanie ma na celu wypróbowanie, czy dana osoba odpowiada jednak pod względem usposobienia, charakteru i zalet moralnych ideałowi, jaki się pielęgnuje we własnej duszy. Gdyby zaznaczyły się zbyt znaczne różnice, lepiej jeszcze na czas odstąpić, niż później czynić sobie wyrzuty i wzajemnie sobie ciążyć.

Naturalnie i dla mężczyzny jest ten nowicjat egzaminem z jego charakteru, cnót i zalet. Jest okresem władania sobą; za nic w świecie nie należy mącić obrazu miłości, przez pofolgowanie sobie jakimś zachciankom zmysłowym, któreby okazały się grobem górnych i prawdziwych uczuć.

Miłość nakazuje bowiem wzajemne poszanowanie, uległość zaś wobec namiętności wzbudziłoby niesmak i pogardę — miłość domaga się męstwa, nieposłuszeństwo cnocie czyni nas tchórzami. Nie jest to już miłość szczera, ale obłudna, ale samolubstwo, poszukujące, jakby zadośćuczynić swym namiętnościom, nawet za cenę cnoty i honoru.

„Jakżeż nierozważne są dziewczyny, które chcą przywiązać do siebie młodzieńców, dając im w zastaw niedozwoloną miłość, pisze jeden z autorów. Często takie ukarane są srodze: porzuca je bowiem młodzieniec nie dochodząc do ślubu, bo nie przedstawia ona dla niego żadnej już wartości“.

Młodzieńcy winni więc zachować czystość niesplamioną. Być godnym swej przyszłej małżonki towarzyszem i ojcem swoich dzieci,

oto piękne pobudki do wytrwałości w dobrem! W przeciwnym razie, choćby i doszło do ślubu, to pamięć moralnego występku, położy się cieniem w przyszłe życie rodzinne i zakłócić może raz na zawsze miłość obojga małżonków i harmonię współżycia, a w każdym wypadku wzbudzać będzie nieufność dla wzajemnej wierności i zazdrość.

Jakąż więc należy zachować postawę w czasie narzeczeństwa?

Odpowiedź krótka: obydwoje narzeczeni uszanują zasady roztropności i czystości. Narzeczony spotykać będzie narzeczoną u jej rodziców i w ich obecności. Może wydawać się to regułą zbyt surową, ale lepiej od niej nie odstąpić. Odwiedziny nie powinny trwać za zbyt długo, ani być zbyt częste. Dając wyraz swym uczuciom, nie powinni narzeczeni przekraczać norm przyzwoitości i sumienia. Zbytnia poufałość w obcowaniu może wyrodzić się w niepożądane dla cnoty skutki.

W okresie narzeczeństwa, nie zapomną obydwoje młodzi o wezwaniu Chrystusa „czuwajcie", bo czas narzeczeństwa zawiera niebezpieczeństwa. Potrzeba więc uzbroić się w roztropność: kto szuka sposobności, łatwo może upaść. Potrzeba też modlić się, by wytrwać w czystości i uprosić sobie błogosławieństwo Boże. Trzeba niekiedy i walczyć ze sobą, ale odważnie, gorąco. Wieniec zwycięstwa będzie nagrodą za nasze wysiłki.

Kalina

Rosła kalina z liściem szerokim,
Nad modrym w gaju rosła potokiem,
Drobny deszcz piła, rosę zbierała,
W majowym słońcu liście kąpała.
W lipcu korale miała czerwone,
W cienkie z gałązek włosy wplecione.
Tak się stroiła, jak dziewczę młode,
I, jak w lusterko, patrzyła w wodę.
Wiatr co dnia czesał jej długie włosy,
A oczy myła kroplami rosy.
U tej krynicy, u tej kaliny
Jasio fujarki kręcił z wierzbiny
I grywał sobie długo, żałośnie,
Gdzie nad krynicą kalina rośnie.
I śpiewał sobie: dana, oj, dana!
A głos po rosie leciał co rana.
Kalina liście zielone miała
I, jak dziewczyna, w gaju czekała,
A gdy jesienią w skrzynkę zieloną
Pod czarny krzyżyk Jasia złożono,
Biedna kalina snać go kochała,
Bo wszystkie swoje liście rozwiała,
Żywe korale rzuciła w wodę,
Z żalu straciła całą urodę.

Teofil Lenartowicz

Zaloty i zmówiny wśród Słowian

Przede wszystkim trzeba się przekonać, czy i kiedy sądzone jest małżeństwo. Więc na wiosnę, gdy po raz pierwszy słyszy się k u k u ł k ę, trzeba pytać: „Zazula! Zazula! ile lat do mego wesela?" i liczyć ile razy zakuka. Ale ona często kłamie. Jeszcze dwa ptaki są wieszcze. *Żurawi* zwą *weselikami*, bo jeżeli którą chatę w locie okrążą, to tam na pewno będzie wesele. Rzeczą zaś bardzo dobrą brać żonę z tej chaty, nad której dachem bocian uwił gniazdo. Są nadto wróżby w rozmaite uprzywilejowane dni, jak naprzykład w wigilię św. Andrzeja. W tym dniu rzuca się trzewik za siebie, jeżeli padł noskiem do drzwi, to znaczy, iż dziewczyna wyjdzie za mąż, ale jeśli piętą, to źle. Wychodzi się w nocy przed chatę i słucha się, skąd psy szczekają, lub co lepsze, kury pieją, z tej strony przyjdzie zalotnik. Trzeba też wiedzieć, czy kawaler, czy wdowiec, więc liczy się po ciemku kołki w płocie, ile ich starczy — z nich ostatni jest stanowczy. Figlarze wiejscy na Ukrainie, a zapewne i w innych stronach, podsuwają się wieczorem do takich dziewczęcych płotów i smarują kołki rozmaitymi brudami, co w nocy dostaje się na ręce ukochanych, ale to przecie tylko wiejski dowcip. Kładą też dziewczęta szereg klusek i puszczają do nich psa lub kota. Okręcają koguta z głową pod skrzydłem, a do której odurzony pobiegnie, ta wyjdzie — gąsiorowi zakładają pończochę na głowę i pędzą po izbie.

Wigilia św. Jana jest także dobrą na czary. W tym dniu związują łodygi młodych konopi. Jeżeli się okaże, że jedna była ploskunem, a druga maciorką, to dobrze, ale jeżeli obie jednego rodzaju, to małżeństwa

nie będzie. Tegoż dnia wszystkie dziewczęta dają trzewiki do niecułki, którą następnie silnie trzęsą. Czyj trzewik wypadnie, ta wyjdzie za mąż. Jeżeli dziewczyna koniecznie chce wyjść za mąż, to na wigilię Nowego Roku niech chwilę potańczy w czepcu — to ma skutek niezawodny, bo ten wieczór zwie się *szczodrym*, co się na nim wywróży, to pewne.

Chęć wyjścia za mąż jest rzeczą godziwą, więc również godziwą wypowiedzenie tego jawne. Więcej kłopotliwym jest dla dziewczyny powiedzenie komuś: „za ciebie chętnie pójdę!“ ale na to radzi wybornie symboliczna mowa. Gdzie jest dziewczyna na wydaniu, tam chata jest umalowana na pstro, lub umajona łopianem i bylicą, na chałupie i płocie są powieszone białe płatki, lub wystawione jest na czterech żerdziach koło, a nawet wprost zawieszony na żerdzi wianek. W dniu Sobótek jedna z dziewcząt jest przodownicą w chórze, a świadoma wiejskich stosunków, układa w śpiewie pary — ten z tą a tamten z tamtą. Śpiewka przyjęta aplauzem sprawdzi się napewno, jest także grzecznym zapytaniem z daleka. Można sobie wyobrazić, jak taka przodownica jest oblęganą przez chłopców i dziewczęta. Na św. Jana puszczają wianki na wodę — zwyczaj ten nie tylko w Krakowie przyjęty, są ślady tego zwyczaju w całym naszym plemieniu od Gangesu po Atlantyk. Czy wianek utonął, czy był przez chłopaka złapany — czy dwa wianki zeszły się z sobą, to wszystko przepowiadało przyszłość dziewczyny.

Po zapytaniach z daleka idą już bezpośrednie. Chłopak daje dziewczynie na odpuście jakiś podarek, jeżeli ona to chętnie przyjmie, jeżeli, co więcej, przyszle mu po W. Nocy kraszanki (w Radomskiem zwą te jaja dyngusem), to oczywiście sprawa stoi dobrze. Toż samo widzimy na Ukrainie. W zapusty, na kołodku dziewczęta są traktowane przez parobków, czasem dostają podarki, to zapytanie; odpowiedź przychodzi po W. Nocy w formie pewnej ilości pisanek, szczególnie, jeżeli są ofiarowane bez prośby. Jeżeli chłopak zerwie dziewczynie wstążkę lub ściągnie z palca pierścionek, ona się upomina, on jej zwraca, ale inne, ona jednakże to przyjmie, to znaczy, iż chłopak może posłać swaty. Chłopakowi w tej sprawie o wiele łatwiej — on wprost powiada o swych zamiarach; jeżeli biedak, stara się służbą wkupić do rodziny. Jedna piosnka powiada: „cztery lata wierniem służył gospodarzowi“, a druga mówi chłopcu o rezygnacji: „Jasiu mój nie cudaj, darmo twoja strata — nie dadzą ci dziewczyny i za cztery lata“.



Gwarno jest i wesoło na weselu chłopskim.

mal. C. Tański

Pierwsze miesiące współżycia

Pragnę, by parę tych zdań zastanowiło młodzieńców, wstępujących w związek małżeński. Mówiono mi już nieraz, że kobiety często są niezrozumiałe, nawet dla swoich mężów; jeśli umieją obserwować, zdadzą sobie z tego sprawę już w pierszych miesiącach małżeństwa.

Pierwsze te miesiące są jakby kamieniem probierczym: w wielu małżeństwach żłobi się już wtenczas rów, nawet bez uświadomienia sobie tego z obu stron: to znów małżonkowie czują, że nie bardzo się to współżycie układa i obydwoje cierpią: w rzadszych już wypadkach dostrzegają lekarstwo na taki stan, bez zastosowania którego nie mało byłoby tych ognisk, gdzie małżonkowie żyjąc obok siebie, nie przenikają się wzajemnie.

Trzeba, ażeby mężczyźni uświadomili sobie rzeczywistość: oto młoda kobieta, którą tkliwie kochają, z tkliwością niekiedy wiekszą niż w okresie narzeczeństwa. Jakaż to jednak zmiana dla niej! Wczoraj jeszcze, jako młoda dziewczyna, bez większych była trosk i bez większej odpowiedzialności. Dziś jest gospodynią domu, to znaczy, że dźwiga odpowiedzialność za całość męczących obowiązków materialnych i rodzinnych. Często zmieniając wieś i okolicę, znajduje się w swym nowym stanie w środowisku ludzi nieznanych jej, a choćby ich przedtem znała, zawsze to są obcy. Moralnie czuje się przeto odosobnioną. Nowe to życie, z nowymi obowiązkami i ciężką odpowiedzialnością, nie przeraża młodej kobiety, która z sercem im się poświęca i niczego nie żałuje, ale jest w niej czasowy jakby niepokój, bo ona jeszcze nie wzwyczajona w nowy tryb życia. Jest jak drzewo przesadzone. Cóż więc ma czynić małżonek? Źleby było, gdyby tego nie dostrzegał i nie chciał swej żonie przyjść z pomocą czyto w gospodarstwie jej kobiecym, czyto interesując się delikatnie szczegółami wynurzeń jej serca. Niechże przede wszystkim stara się usunąć poczucie odosobnienia duchowego. Niech z nią częściej przebywa, okazuje się pogodnym i wyrozumiałym dla duchowych odrębności swej młodej małżonki. Niech zwłaszcza dąży do tego, by przez uprzejme obejście z żoną wzbudzić w niej zaufanie do własnej osoby, by żona przez wstydliwość nie zamykała przed nim swej myśli i serca, bo ucierpiałaby na tym wspólnota pożycia małżeńskiego.

Mąż łatwiej znosi zazwyczaj zmiany miejsca czy sposobu życia. Jeśli zjawią się nowe troski, łatwiej im zaradzi, w każdym razie mniej się nimi przejmuje. Jak w dawnej rodzinie wnętrze domu jest posprzątane, potrawy przygotowane starannie: żyje w atmosferze przyjaźni: stąd może nie wyczuwać, że dusza kobiety wrażliwa na wiele rzeczy przechodzi ciężki okres dopasowania się do nowych warunków. Dlatego potrzeba, by mężczyźni byli mniej gruboskórnymi i starali się wyczuć duszę swej żony, daleko więcej złożonej od ich własnej duszy i dopomogli jej miłością tkliwą pokonać te słabości pierwszych miesięcy współżycia. *P.*

M. KLIPFEL.

Hymn do oczekiwanego dziecięcia

(z francuskiego)

Istotko tajemnicza, złożona w głębokościach mego ciała,
o której nic nie wiem, boć nie znam nawet twego rodzaju:
stworzonko nieświadome, które żywisz się mą krwią,
owocu, który wzrastasz powolnie,
przędziwo, którego nici nawijają się dzień po dniu,
widziałam cię w mych marzeniach,
przyzwałam się w mych prośbach,
zapragnęłam Cię całą gorącością mych pragnień.
Czy będziesz mi wdzięczne za życie, które ci dałam?

W pewnej określonej chwili czasu zaistniałoś, a serce moje nie odrazu to
ciało me pozostało niewzruszone, [odczulo,
przez wiele dni nie rozpoznałam twej obecności,
nic nie wiedziałam o nadzwyczajnym rozkwicie, jaka się dokonuje we mnie,
o cudzie, który z człowieka czyni współtwórcę Boga.
Jakież to dziwne życie mamy prowadzić razem
ze sobą tak blisko złączeni, zjednoczeni,
że serce moje regulować będzie ruchy twego serca,
że Twe istnienie zawisłe jest od mego,
że nic cokolwiek dotyczy ciebie nie może mnie nie dotyczyć!

Czółenko kruche, czy prąd życia zaprowadzi cię do portu?
Tkliwy pączku, czy rozkwitniesz na gałązce?
A kiedy będę cię mieć w ramionach, laleczko śliniąca się i krzycząca, czy
przypomnisz sobie te długie miesiące, kiedyś była razem ze mną?
Kiedyś tylko do mnie należała?
bo dziecię własnego ciała często tak jest obcym dla niewiasty, która je poczęła!
Tyle ciemnej dziedziczności, która kryje się w twojej twarzyczce i w sercu
twym czyż nie oddzieli cię ode mnie?
Naprawdę będziesz mojem tylko w dniach oczekiwania, kiedy nie znam twego
Kiedy poruszasz się w więzieniu mego łona. [oblicza,
Życie też jest ciemnym więzieniem,
Pocóż cię do niego przywoływać?
Ileż ono gotuje ci zasadzek?
O ileż to przeszkód zawadzi twoja noga,
kiedy nie będziesz już w cieniu mych skrzydeł?
Przed jutrem o niewiadomej barwie i formie
jestem w trwodze dla ciebie.
Chciałabym, by dnie, które idą, były dla ciebie zwycięstwem
były skąpane w radości i miłości,
oh! nad kołyską twą tkać będę marzenia wszystkich nierozsądnych matek.
Przed narodzeniem już zmierzasz ku śmierci
oto jedyna pewność, którą mam o tobie.

Ale oczy podniosłam poza krąg dni policzonych,
naszych ciał skazanych na śmierć.
Skoro zaufałam przyrzeczeniom wieczności, obyś i ty miało tę ufność
i zachowało przynajmniej nadzieję twej matki.
Podobnie, jak masz porzucić to przejściowe i ciemne życie, jakim żyjesz
w mym ciele, by ujrzeć światło dnia,
tak musimy przejść do słońca bez plam,
do życia bez końca.

Idźmy razem naszą drogą,
Zjednoczeni, ze sobą złączeni,
Istotko tajemnicza, która już moim jesteś dzieckiem.
Niechaj Bóg cię prowadzi i strzeże,
i niech twe serduszko, które wespół z moim bije,
będzie litościwe dla nędzy
mocne w doświadczeniach,
i niechaj nigdy nie zazna
nienawiści czy zciemnienia nadziei.

M. Klipfel

PAWEŁ CLAUDEL.

Magnificat ojca

Boże mój, który na początku wszystkiego i samego siebie postawiłeś ojcowstwo,

Bądź błogosławiony za to żeś mi dał to dziecię,

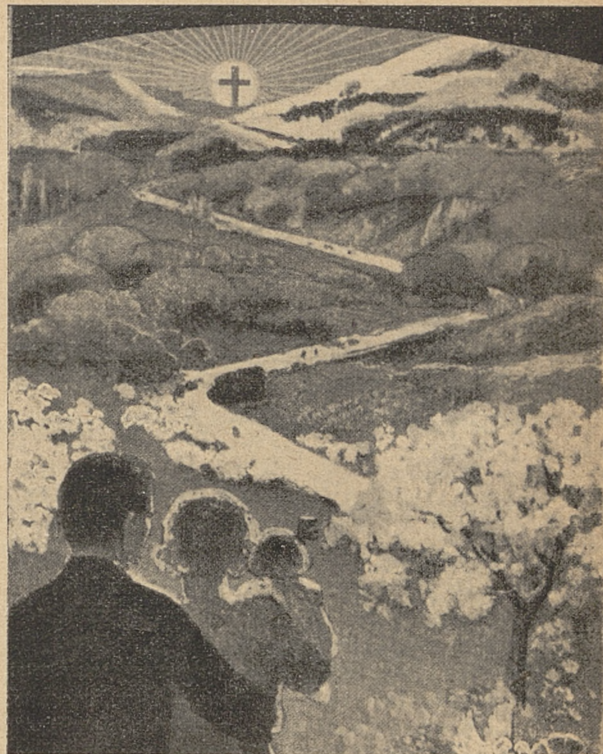
I uczynił, że mogę Ci oddać to życie, jakieś Ty mi dał,

Bo oto jestem ojcem wraz z Tobą...

Bądź błogosławiony, żeś mnie nie pozostawił samemu sobie,

Lecz, że przyjąłeś mnie jako rzecz, która służy i dobra jest dla celów przez Cię wytyczonych...

Wraziłeś we mnie moc Twojej pokory, z jaką sam uniżasz się przed swoimi dziełami.



Chrzciny w Gręboszowie

Chrzciny odbywano tutaj suto, zwłaszcza gdy to był upragniony synuś. Gdy kobieta była przy nadziei, przestrzegano, aby nie wpatrywała się w szpetne przedmioty, kaleki i t. p., a także i na pożar, bo by noworodek miał znamię płomienne. Po porodzie przezorne akuszerki kładły w oknach kwiaty dzwonków leśnych, bojąc się, by broń Boże „Mamuny" nie odmieniły dziecka, dając w zamian zwykle jakiegoś niemrawca. Opowiadano, że dzwonek ma moc cudowną i to oczywistą, bo gdy raz „Mamuna" chciała kobiecie Połonce dziecię ukraść, czy odmienić, akuszerka narobiła krzyku, mówiąc: „Połonka! trzymaj się dzwonka!" i obrzydliwa „Mamuna" musiała dać spokój. Dzisiejsze akuszerki nie mają o tem, dzięki Bogu, ani pojęcia.

Położnicom dawano na pokrzepienie wódkę przepalaną z miodem, albo z szperką, aby się im „kutrzoba" czyli wnętrzności podgoiły. Trudno uwierzyć, że nasze babki i matki miały zdrowie nie do uwierzenia. Ta lub owa żęła do południa na zagonie, zeszła z pola, chłopak lub dziewuszka bęc, a drugiego lub trzeciego dnia już się imała roboty. Przestrzegano tylko, aby kobieta taka nie nabierała wody w studni, pokąd nie była na wywodzie w kościele, a to dlatego, żeby się żaby lub jaszczurki w studni nie „kociły".

Na kumów proszono krewnych albo zamożniejszych sąsiadów, a gdy się dzieci nie chciały rodzicom chować, proszono, jako ostatni na to środek, dziadków szpitalnych. W przesąd ten wierzyła nie tylko wiejska prostota, ale wielmożni i jaśnie wielmożni.

Nie można podawać w wątpliwość intencji chwalebnej rodziców niemowląt, trzymanych do chrztu przez ubogich dziadków kościelnych, ale śmiało można przypuścić, że i przesąd, do ostatnich lat rozpowszechniony między prostym ludem, odgrywał i u jaśnie wielmożnych nie ostatnią rolę.

Myślę, że ubodzy kumowie tak możnych panów wcale na swój los skarżyć się nie mogli. Szkoda, że ten zwyczaj się nie utrzymał, bo przez ten sposób dwór z wieśniakiem miałby bardziej stosunek familijny i przyjacielski.

Dodaję i to, że gdy dziady szpitalne kumowały, podawano im dziecko oknem i oknem je odbierano, przyszedłszy z kościoła.

Dzieci nieprawego łoża odbierał nieraz ksiądz z rąk kumów, a niby to na wzgardę dawał je trzymać do chrztu dziadom, z czego sobie nie wiele robiono. I owszem, mawiano,

że taki znajduszek będzie miał szczęście, bo się „Paniezus w ubóstwie kochał".

Kumowie kochali się i „szacowali", czyli szanowali niezwykle. W święta i przy lada okazji familijnej zapraszali się wzajemnie, goszcząc się serdecznie, a bawiąc, choćby przy chlebie z solą i gorzałce. Wspomagali się w każdej doli i niedoli i słusznie mawiano, że „dobry kumoter, to za trzech psów obstoi".

Z obcych gmin kumowie wstępowali po chrzcie z kościoła do karczmy. Kładziono dziecko w bety żydowskie, a sami się raczyli. Był wypadek i to niejeden, że dziecko wypadło podpitej kumie z sani i dopiero zgubę w domu spostrzeżono.

Obowiązkiem chrzestnej matki było dać chrzestniakowi koszulę do kościoła, a chrzestnicy prócz tego fartuszek i chusteczkę.

Chrzciny odbywały się dwa dni i więcej, przyczem była nie raz muzyka, jeżeli nie smyczkowa, to chociaż na maglówce.

Kumowie, idąc za wielki ołtarz na ofiarę, całowali się, aby dziecko miało szczęście w miłości, a w domu musieli być weseli i śpiewać, aby i ono było takie.

Kąpiąc noworodka, wrzucano groszaki do wanienki dla dziecka rzekomo, które zabierała akuszerka. *Jakób Bojko.*

Królestwo Chrystusowe

(Ciąg dalszy ze str. 31)

Jeśli zapytacie się mnie, jakimi to sposobami dokonał On tego cudu: jakich używał środków i narzędzi, by z pomocą łaski działać na dusze, rzeczywiście zaś na istoty, które sam stworzył, a które mógł przemienić tylko na mocy środków zaczerpniętch z praw samego stworzenia wystarczy, bym dla odpowiedzi powołał się na przeszłość historyczną ludzkości. Jest przecież rzeczą pewną, że człowiek sam sobie wystarczyć nie może, gdyż jest niezdolny, by w całości być kowalem swego własnego szczęścia: nie jest całkowicie samym sobą lub inaczej jeszcze — nie jest sam ze sobą w zgodzie, jeśli w nim nie jest obecna łaska, dana z wysoka od Tego, który znając naszą niewystarczalność szczodrze pragnie nam udzielić swej łaski. Kiedy człowiek został stworzony, tchnął w niego Stwórca życie nadnaturalne Ducha św., gdyż tak tylko mógł znaleźć swe prawdziwe szczęście. Lecz kiedy upadł, człowiek pozbawiony został tego daru, jednocześnie zaś zniknęła jego szczęśliwość. Odtąd już był tylko nieszczęśliwym, czuł próżnię w swojej duszy i nie wie czym ją wypełnić. Z trudem nawet zdaje sobie sprawę z tego co jest w nim zmącone i jakie poruszają nim potrzeby. Lecz bezwolne, czysto samorzutne tęsknoty jego umysłu i serca wykazują, że czuje tę swoją niedostateczność; i zdarza mu się, że albo wpada zwolna w obojętność i apatię, wyczerpany głodem, który mu nie daje spokoju, albo też gorączkuje się i rzuca, nie mogąc nigdzie odnaleźć spokoju: raz tej, raz tamtej chwyta się rzeczy: wszędzie i we wszystkim szuka tej szczęśliwości, którą zagubił. Przez jakiś czas, być może aż do starości, ten i ów postara się o znalezienie sobie bożka, którym może się nakarmić, a który



J. Newman, wielki myśliciel angielski (1801 - 1890)

daje mu, pozór istnienia, podobnie jak trawa polna czy korzenie leśne mogą w pewnej mierze zaspokoić cierpienia głodu. I tak jeden szuka. jakby zrobić się znacznym, inny zamyka się w kole rodziny. Lecz najwięcej jest takich, dla których dni i lata płyną w jednostajności: składają się na nią przyjemności w dniach wypoczynku i jarzmo interesów dnia codziennego. Bogacze puszczają się na przepych i okazałość, biedni oddają się pijaństwu, a młodzi najczęściej brukają się w przyjemnościach zmysłowych. Człowiek nie może przecież żyć bez przedmiotu, który by nie zajmował jego życia, choćby ten przedmiot był zupełnie niegodnym ducha nieśmiertelnego.

Cóż więc dziwnego, że z tą chwilą, kiedy prawdziwe życie jedynie mogące stać się niezbędnym pokarmem dla ludzkości, zostało zaofiarowane ludziom, niosło ono ze sobą taką moc przekonywania, że stało się łatwem do przyjęcia? I cóż dziwnego, że skoro tylko zostało zapowiedziane wzbudziło entuzjazm i pociągnęło i dając skosztować swych owoców i doświadczyć skutków, wznieciło zapał do jeszcze większego korzystania z tych darów? W tym leży cały sekret tego triumfu tak trudnego do wytłumaczenia odnośnie do Królestwa Bożego, jedynego Królestwa, które nie jest jest z tego świata i to wśród synów Adamowych, tak upartych w swej własnej woli i przekorności.

Żołnierze otrzymują premię przy dobrowolnym zaciąganiu się: biorąc ją, stają się sługami ziemskiego Króla. Czy nie więcej wiernymi, wiernymi aż do śmierci będą ci, którzy otrzymali zadatek prawdziwego bogactwa, którzy byli karmieni „manną ukrytą", którzy według słów apostoła „raz oświeceni skosztowali też słodyczy słowa Bożego i mocy przyszłego wieku".

Królestwo Boże, jeśli się je bierze od zewnątrz, rozciąga się więc stopniowo na całą ziemię, ale tylko dzięki temu, że od wewnątrz bierze nas w swe władanie, gdyż, jak to już wyżej podałem „jest w nas", w sercu każdego ze swych członków z poszczególna. Ci, którzy przypatrują się temu zjawisku, dziwią się i nie wiedzą co powiedzieć: wynajdują też różne przyczyny, mające rzecz tę wytłumaczyć, powody ludzkie i przyczyny naturalne. Nie mogą jednak dojrzeć, czego nie czują, a nie chcą wierzyć, że działają tu w rzeczywistości wpływy nadprzyrodzone. Kładą to na karb kaprysu umysłowego czy nadzwyczajnego uporu lub pociągającej siły nowości czy tajemniczego i podstępnego przekonywania. Inni mówią o ciemnym spisku, wzniecają stąd alarmy i usiłują osłabić ten żar władczy, jaki bije z osoby Chrystusa. Siłę tego przenikania i podbijania dusz promieniującą z oblicza Syna Człowieczego opisuje Pismo św..: Kiedy Chrystus, obróciwszy się rzucił wzrokiem na Piotra „jako błyskawica wychodzi od wschodu słońca i okazuje się aż na zachodzie". Wystarczy, by zniżył tylko oczy na swe stworzenie: dość jednego spojrzenia, by powiedzieć, że przyszedł Pan, przeszedł i dokonał swego dzieła, dzieła już niezniszczalnego..

Świat nie jest zdolnym zdać sobie z tego sprawę. Widzi wynik: ale nie odczuł ani nie dojrzał ręki Bożej sprawującej swe dzieło.

Jest jeszcze coś więcej. Nie tylko świat, ale i Kościół sam jest niekiedy zaskoczony — by nie powiedzieć — zakłopotany tem działaniem łaski Bożej sprawiającej bez rozgłosu to pomnożenie tak widocznie cudowne liczby swych dzieci. Niekiedy tak jest jakby sieć Piotrowa miała się zerwać, tyle w niej ryb: staje się wprost niemożliwą rzeczą dociągnąć ją do brzegu. Tak było w szczególności w pierwszym okresie, w chwalebnym okresie nawróceń bez liku. „Pan codzień przymnażał do ich liczby tych, którzy mieli być zbawieni", powiadają Dzieje Apostolskie.

I to trwało przez trzy wieki. Później nastał okres prześladowania, straszny i bezludzki: w końcu wszystko się uciszyło.

Wówczas rozeszła się na cały świat przygniatająca wiadomość, że władca świata cesarz rzymski przyjął chrześcijaństwo a z nim cała mnogość narodów, które mu podlegały. Wiadomość ta rozeszła się nagle, jakby niesiona na skrzydłach wiatru.. Co za zdarzenie! Żadna ręka ludzka nie brała w tym udziału: nie przygotował tego żaden z kaznodziejów czy z apologetów. Nie można było powiedzieć: „ono, jest tu lub tam". Zdziałała to jedynie tajemnicza moc Boża, która nad wszystkiemi duszami pracuje bez rozgłosu i ukazywania się. Nagle, kiedy się go najmniej spodziewano, w ciemnej nocy prześladowania zjawił się On „jak złodziej". Nagle, na barki przełożonych Kościoła spadło potworne zadanie przebudowy świata,

nadania mu nowych form i trwałości. Tylko Kościół mógł dorównać takiej pracy.... Wiecie, że Pan Nasz, opuszczając apostołów mówił, że wróci nie tylko nagle i znienacka, ale wkrótce. Otóż w sensie, jaki wyżej podałem przychodzi On o każdej porze i jest z nami. Bezustannie powraca do swego Kościoła, mnożąc swe odwiedziny: i ciągle zjawia się jako potężny wojownik, uprowadzający ze sobą nowych brańców, którzy dostali się pod jego strzały i włócznie. Cudowny widok tego pierwszego Kościoła powtarza się w ciągu historii i do naszych dni, dając obraz tej zadziwiającej pracy wewnętrznej w duszach i to w olbrzymich rozmiarach.

Kościół jest i czeka, a tłumy napływają do jego łona, jak ongiś do sieci Piotrowej w liczbie przewyższającej wszelkie przewidywania, te zwłaszcza, które rozsądnie mogły by wypływać z jego własnych wysiłków; przypisać to jedynie należy bezpośredniemu i tajemniczemu działaniu łaski Tego, który rządzi duszami i doprowadza je do portu. Bez przesady to i dziś się dzieje i to na szeroką skalę w całym chrześcijaństwie.

Zaledwie 50 lat temu wydawała się religią czymś skazanym na wymarcie. W oczach ludzi była na pochyłej staczania się i powolnego zaniku w ciągu całego ubiegłego wieku. Byli wprawdzie w tym okresie i święci i doktorowie, nawet gorliwi kaznodzieje i prawowierny lud tak jak przedtem, ale w oczach świata coraz mniej to stało się widocznym: świat nie mógł już nic dostrzec. Moc religii rozpadała się po kawałku i co groźniejsze — wpływ jej społeczny malał wyraźnie.

Wkońcu wybuchła w Europie straszna rewolucja, gotowa wszystko obalić: w opinii ludzi wszystko było stracone. Wówczas właśnie, w okresie największego upadku, kiedy religia wydała się raz na zawsze straconą, wtedy dopiero rozpoczęło się dla niej najcudowniejsze odrodzenie, najbardziej zadziwiające zmartwychwstanie; był to nawrót i odnowienie, które już bez przerwy się rozwijało, dając jeszcze dziś oznaki trwałego postępu...

Lipy kwitną

(W skróceniu).

Lipy kwitną... Woń przesłodka dyszy,
Puch się kwietny sypie poprzez płoty,
Wskróś szerokiej, wskróś porannej ciszy
Brzęczy w słońcu pszczelny rój nasz złoty!

Lipy kwitną... Złoty rój nasz brzęczy,
Miodem pachnie prastara pasieka,
Malowany kolorami tęczy
Tuman siny wieje gdzieś z daleka.

Lipy kwitną... W sinym wskróś tumanie
Ciche, senne w zorzach widać chaty,
A do każdej światła zwiastowanie
Jasną stopą niesie duch skrzydlaty...

M. Konopnicka.

Ciekawa ankieta

Jedno z katolickich pism francuskich rozpisało ankietę wśród dziewcząt na temat ich przyszłych narzeczonych i małżonków. Pytania brzmiały:

1) Jakie zalety pragnęłybyście znaleźć u swych narzeczonych? Jaką zaletę wysunęłybyście na pierwsze miejsce? 2) Jaką wadę najtrudniej byłoby wam znieść? 3) Jaką wadę najłatwiej wybaczyłybyście?

Jedna z najlepszych odpowiedzi, od grupy dziewcząt z Alzacji wyglądała tak: Dla młodej dziewczyny jest rzeczą bardzo zrozumiałą

myśleć o małżeństwie, zwłaszcza kiedy czuje, że taką drogę przeznacza jej Bóg do spełnienia swych obowiązków. Małżeństwo jest jednak sprawą poważną i nie wolno jest rzucać się w jego objęcia z zamkniętymi oczyma. Trzeba często i poważnie zastanawiać się, obserwować wokół siebie, porównywać i poznawać samą siebie, by uniknąć tych nieszczęsnych, a zbyt licznych związków. Skoro Bóg wzywa mnie do założenia ogniska, jakichże mam domagać się zalet u tego, którego chcę mieć mą podporą, towarzyszem życia i ojcem przyszłych dzieci?

Ideałem, dla młodej dziewczyny katoliczki, jest poślubić młodego katolika o nieposzlakowanej przeszłości. Ma mieć wiarę głęboką w duszy i religijnie praktykować, tak, by nasz związek na tych zasadach rósł i wzmacniał się we wspólnej modlitwie. Jednym słowem pragnę prawdziwego katolika, *żołnierza Chrystusowego*, który by umiał odnaleźć w miłości Boga siłę, przykłady do podtrzymania i kierowania rodziną, kiedy po godzinach radości przyjdą chwile utrapienia.

Nie będzie moim narzeczonym człowiek, który nie ma męskiej, czynnej i szczerej wiary: jest to pierwszy warunek, zanim stwierdzimy czy nasze charaktery mogą się zgodzić, uzupełnić czy stopić w jedność.

Pragnę znaleźć u narzeczonego przede wszystkim dobroć: Jest to cnota, podnosząca człowieka ponad niego samego i jest u podstawy wielu innych cnót. Jeśli jest dobrym, jest tym samym i miłosiernym: a miłość Chrystusowa jest najpiękniejszym uczuciem, jakie może łączyć ludzi między sobą.

Ma również być zgodliwy i szanujący cudze myśli i zdania, co nie tak łatwo napotkać u mężczyzn, zbyt nadużywających tytułu głowy rodziny.

Pragnę następnie, by narzeczony był *pracowitym*. Praca uszlachetnia człowieka. Bóg stworzył nas do pracy. Jest to więc zgodne z prawem Bożym, kiedy u narzeczonego pragniemy widzieć przywiązanie do pracy, poświęcenie się jej z całą mocą duszy. Chcę też, by był *energiczny i odważny*.

Energia jest siłą popędową każdego motoru. Człowiek pozbawiony energii do niczego nie dochodzi. Jest bezdusznym ciałem. „Chcieć, to módz". Niechajże ma wolę pójścia za swym ideałem i niech go w tym wspierają moc i odwaga.

Trzy te zalety streszczają niejako jego życie duchowe: dobroć reguluje uczucia, praca życie umysłowe a energia życie czynne. — Ponadto pragnę, by mój narzeczony *kochał ojczyznę* i był godnym jej synem, by był *wiernym swemu powołaniu*, wiernym swym obowiązkom, choćby one były twarde i surowe niekiedy, by był wiernym wobec drobnych obowiązków każdego dnia, bo one stanowią o wielkości życia.

Mój narzeczony musi być człowiekiem sumiennym, obowiązkowym.

Co się tyczy wad, to nie o jedną tu chodzi, ale o wiele. Wiele, bardzo wiele będę miała wyrozumiałości dla mnóstwa drobnych błędów, ale nie zcierpię nigdy *samolubstwa*, nigdy!

Tymczasem jest to wada tak częsta u mężczyzn!

Wada ta rozwija się jeszcze z latami i sprawia, że z takim mężczyzną trudno jest współżyć.

Narzeczony, jak wosk nie jest niebezpieczny, natomiast niewygodnym typem wydaje mi się mężczyzna ciągle narzekający i mrukliwy. Nie chcę też by mój narzeczony był obojętny wobec życia rodzinnego, bo toby spowodowało osłabienie uczuć między nami.

Jakąż wadę najchętniej bym wytłumaczyła?

Właściwie żadna wada nie daje się usprawiedliwić, ale przepuściłabym mu z dobrego serca te drobne usterki, jak zamiłowanie do jedzenia, palenie papierosów, pieczołowitość w ubiorze, bo nie stoją one na zawadzie szczęścia rodzinnego.

„Mężczyzna z fajką jest pełnym mężczyzną" — powiada przysłowie francuskie. Mieć zamiłowanie do jedzenia może też być nieznaczną wadą, bo czyż nie powiedziano, że „dobre jedzenie utrwala współżycie małżonków".

Zniosę chętnie przekomarzania się narzeczonego „bo kto się czubi, ten się lubi".

Może wszystko to razem, to zbyt wielkie marzenia.

W każdym razie, dobry katolik, o sercu tkliwym, o prawym sumieniu i obowiązkowy to typ nowoczesnego męża. Taki tylko mocen jest zbudować silną rodzinę przyszłości.

Ojczyzna i lud

Z Ojczyzną jest tak. jak z Królestwem Bożym. Szczęśliwa Ojczyzna jest Królestwem Bożym. Szczęśliwa Ojczyzna da i tobie szczęście — bogactwo. Ale jeśli szukać będziesz swego szczęścia, licząc na to, że z niego i Ojczyzna skorzysta, zminiesz się i ze swoim i z Ojczyzny szczęściem. Jeśli zaś zapomniawszy o sobie dążyć będziesz do *szczęścia Ojczyzny*, znajdziesz własne.

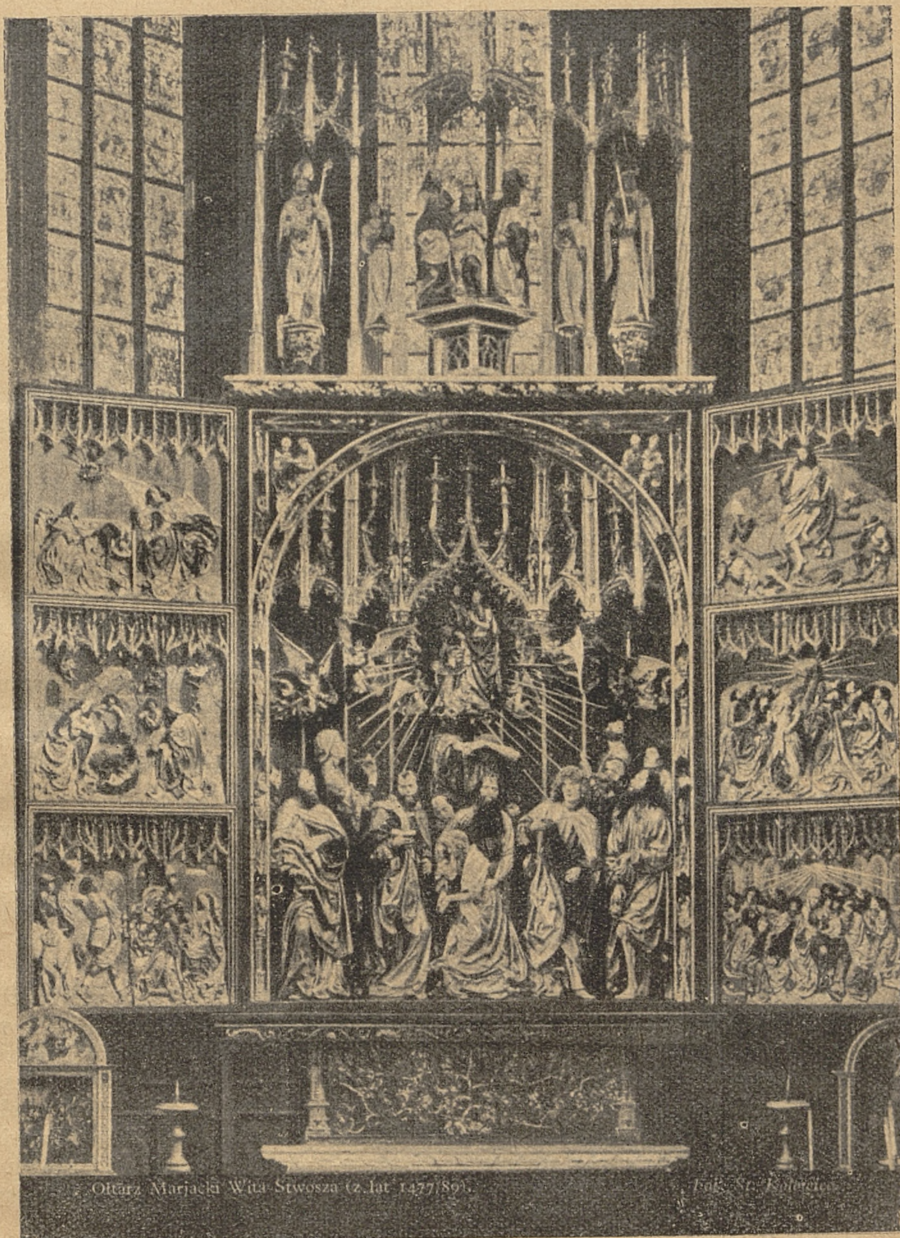
Owóż jest tych dróg zwodniczych, po których ludzie szukają w Ojczyźnie tylko szczęścia własnego. Jedni szukają *urzędów i tytułów*, inni *okazyi do interesów i korzyści pieniężnych;* szlachetniejsi radziby jak najprędzej widzieć siebie udrapowanych *w szaty wielkiej doniosłości dziejowej;* najczęstsi są ci, co w Ojczyźnie widzą niewyczerpane źródło do nasycenia *swej pychy*. Pycha pcha ich do polityki, bo poprostu chcą błyszczeć, chcą być na widowni, chcą mieć wpływy, chcą mieć słuchaczy i wykonawców swych zamysłów. Jakże często łudzą sami siebie niepojętym dla się, mętnie przez mgłę nieświadomości widzianym widmem dobra Ojczyzny, wtedy, kiedy *tylko pychę swą mają w sercu!* Zjawisko to jest tak powszechne, że nikogo nie dziwi, wydaje się przyrodzonym prawem obywatela. Ambicja w polityce jest uznaną, chwaloną nieraz, pobudką w polityce; ambicja ma swoje prawa; i kiedy trzeba robić zgodę w narodzie, ileż wysiłku idzie na zaspokojenie ambicyi. Ileż razy poświęca się dla niej zasługę i wartość! Ambicje polityczne mają *prawa*, skutkiem których za szkodliwe niemal się uważa stronnictwa czy partie, mające dużo tęgich sił, bo zajmują miejsce *ambitnym miernotom*. Czyż nie potworne są te prawa ambicyi, które są nie tylko tolerowane, są faktycznie *uznane* w opinii publicznej? Otrząśnijmy się z tego zwyczaju, który nam każe opłatą danin płytkim ambicjom kupować zgodę narodową, i spojrzyjmy prawdzie prosto w oczy: zaiste, potworny, *„plugawy“ jest każdy haracz, płacony temu molochowi.* Oswoiliśmy się z nim tak łatwo tylko dlatego, że ostatni wiek w całej Europie tak konsekwentnie wyganiał wzniosłe i zgodne pojmowanie Ojczyzny z polityki państw Europy, że *demoralizacja* stała się czymś z *przyrodzenia* do tej gałęzi działalności ludzkiej *przywiązanym*. Nie dziw, że tyle szlachetnych umysłów z obrzydzeniem się od niej odwraca...

Jeśli z nadzieją i zaufaniem oczekujemy wielkich wartości politycznych od ludu polskiego, to nie dlatego, abyśmy szukali wielkiego szczęścia w udarowaniu tymi samymi prawami ambicyi politycznych, z których tylu ludzi na szkodę Ojczyzny korzysta. Sam triumf zasad demokratycznych byłby słabą pociechą, gdyby z *żywego udziału ludu w życiu Narodu* nie miała wyjść dla niego specjalna korzyść.

Ta nadzieja, to zaufanie do ludu opiera się właśnie na tym przekonaniu, że „biednym łatwiej wejść do Królestwa Niebieskiego“, *jeśli do polityki doprowadzi nasz lud jego miłość Ojczyzny*, będzie to miłość *czystsza, bardziej bezinteresowna* — jednocześnie *prostsza, bardziej instynktowna*, bogatsza w jasne wskazania niż w zawiłą grę interesów i ambicyi.

Ale o to właśnie chodzi, by go wyprowadziła na widownię miłość Ojczyzny, *a nie gra interesów*. Jest to oczywiście droga pełna trudności i cierniów, trzeba sobie z tego jasno zdawać sprawę. prawdzie udział ludu usunie z polityki naszej cały legion miernot i lichych ambicyi. Ale na ludzie oprzyć się i znaleźć posłuch mogą dwie siły: *rzeczywista zasługa i rozum* z jednej strony, z drugiej — *demagogia*, schlebiająca jego poziomym interesom i złym instynktom.

Zbyt jaskrawy przykład niebezpieczeństwa demagogii dała nam Rosja, byśmy mogli nie odczuwać całej jego potwornej grozy. Ale też dał nam ten przykład doświadczenie, dał nam możność głębokiego zrozumienia i odcyfrowania do ostatnich szczegółów tego zjawiska, które pozostanie zawsze jedną ze strasznych tajemnic społecznego bytowania ludzkiego. Gdyby zresztą ludziom w ich postępowaniu wystarczyły wskazania mędrców, gorzkie to doświadczenie nie byłoby potrzebne, bo to co w naszych oczach się dzieje w Rosji, można było przewidzieć i przepowiedzieć. Już Arystoteles i Tomasz z Akwinu z całą przenikliwością i trafnością opisali ten sam bieg zdarzeń, który jest nieodzowną konsekwencją forsownego *wprowadzania w czyn bez-*



Piękno Krakowa: OŁTARZ WITA STWOSZA W KOŚCIELE MARIACKIM.

względnych zasad apriorystycznych (powziętych z góry) *bez liczenia się z rzeczywistością*. W Rosji zaraz po rewolucji, nad rozumnym dążeniem do wolności wzięła górę żądza wprowadzenia bezwzględnych zasad demokracji — jako drogi do socjalizmu. By w krótkości przedstawić co się stało, przytoczę szkicowe streszczenie teorii Arystotelesa i Tomasza z Akwinu.

Są dwa *gatunki* demokracji, które z konieczności zlewają się ze sobą.

„Jedna, to ta, gdzie *cały tłum jest* wszechwładny, bez różnicy fortuny ani cnoty; w tej demokracji panuje równość powszechna między wszystkimi obywatelami. Druga demokracja to ta, w której tłum rządzi nie według praw, lecz za pomocą dekretów dotyczących poszczególnych faktów i nie mających wagi ogólnej.

„Jak ta ostatnia forma demokracji, najgorsza i najbardziej tyraniczna ze wszystkich, wyłania się z pierwszej?

„Jest to dzieło przywódców, których filozof grecki nazywa demagogami.

„W demokracjach, w których prawo jest postawione *ponad wolą ludu*, rządzą *nie demagodzy*, lecz „arystokraci“ (po grecku zn. najlepsi), bo lud *jest kierowany przez prawa a nie przez wolę ludzi.*

„Lecz kiedy *wola ludu postawiona jest wyżej, niż prawo* wtedy zjawia się demagog, bo lud, nie wiedząc czego chce, potrzebuje kierownika. Tym kierownikiem jest mówca, który pozyskuje łaskę ludu przez *pochlebstwo*.

„W tej formie demokracji znajdują się ludzie, którzy wynoszą doskonałość ludu, mówiąc, że wszystko z niego wyłonić się powinno, i że żaden obywatel nie może być uznany za lepszego od innych, bo wszyscy są równi. Owóż, ponieważ każdy lubi się uważać za doskonałość i lubi słyszeć o niej świadectwo, skutkiem tego w tej demokracji, pochlebcy i demagogowie są słuchani i szanowani.

„A ponieważ władza najwyższa należy do całego ludu, ten rządzi jak monarcha i z konieczności dochodzi do *despotyzmu*. Dlatego przyjmuje i szanuje tych, co mu schlebiają, bo jest to zwyczaj wszystkich tyranów.

„Owóż, lud, który tak rządzi, jest tym pośród republik, czym tyrania pośród monarchii. Jest to ta sama metoda i ten sam sposób postępowania w obu wypadkach: mianowicie *ucisk lepszych przez gorszych;* dobrzy są rządzeni despotycznie, bo rządy sprawowane są nad nimi *gwałtem, a nie dla ich dobra*.

„To demagogowie, którzy dekrety ludu stawiają na miejsce rządów prawa.

„Demagogowie mówią, że masy muszą być panami swego losu, i sądzić dzieło urzędników, gdyż wszystko powinno pochodzić od ludu i lepiej, żeby społeczeństwo rządzone było przez całość niż przez część społeczeństwa.

„Lud, mówi św. Tomasz, chętnie słucha podobnej doktryny, bo nie ma człowieka, który by z łatwością nie przyjmował tego, do czego czuje pociąg, jak nałogowiec do nałogu“.

Widzimy, że choroba jest stara, i diagnozę według powyższych znamion łatwo postawić. Dodać trzeba, że na nowożytną jej formę wpłynęła w tak niepohamowany sposób proklamowana przez *socjalizm teoria nienawiści*. Ona to sprawia, że ludzie ciemni, tą nienawiścią wprowadzeni *w obłęd podejrzliwości bez granic, tracą wszelką miarę rozumu i bezrozumu*, dobra i zła i tym samym robią się zupełnie nieprzystępni dla jakiegokolwiek rozumnego rozważania, dla jakiegobądź programu realnego, a słuchają tylko pochlebców, którzy bez programu powołują ich do sprawowania swoich praw.

Dziś widzą wszyscy, że jest to stan chorobowy społeczeństwa. Ale nie wszyscy widzą, jak bezpośrednio się on wyrodził z zasad bezwzględnej demokracji i socjalizmu. Dlatego warto zastanowić się nad przytoczonymi powyżej rozważaniami starych mędrców.

U nas zachodzi w tym względzie wielka różnica między ludem miejskim i wiejskim.

Lud miejski do nałogów chorobotwórszych socjalizmu nakłaniany od lat, w znacznym stopniu się z nimi otrzaskał. W dodatku, przywódcy jego niewątpliwie zrozumieją — wielu z nich już zrozumiało — naukę, płynącą z doświadczenia rosyjskiego. Może unikną tej samej kolei.

Lud wiejski u nas był od wielu lat męczony przez demagogów, ale zachowywał się względem nich dotąd opornie. Zwyciężał w nim zdrowy sens. Dość przypomnieć rozbicie stronnictwa ludowego w Galicji i powstanie nowych jego formacji z posłem

Witosem i Zamorskim. W Królestwie trzeba wskazać na nierównie większą popularność kółek rolniczych C. T. R. od Staszicowskich, które wszak dużo bardziej demagogicznymi operowały hasłami.

Ale czy lud wiejski zachowa swoje zdrowie moralne? Czy wytrzyma piekielną pokusę demagogii, jak przyjdzie wielka fala nowych praw politycznych przy organizacji nowożytnego państwa? Czy nie wypadnie i jemu przejść przez tę straszną chorobę, która odsunęłaby na dziesięciolecia sprawę wolności, sprawę niepodległości i sprawę rozkwitu Ojczyzny?

Zależy to, oczywiście, w pierwszej linii od tych, co do ludu pójdą, od przywódców.

Fachowych demagogów nikt nie powstrzyma. Wiemy, że tacy są. Nic nie pomoże krytyka i potępienie opinii publicznej, bo to są ludzie bez sumienia.

Ale i ci, co z uczciwymi zamiarami idą do ludu, powinni strzec się wszelkiego cienia schlebiania tłumom. Jest to igranie z ogniem. Bo wszystkie masy są podatne do tego, by popaść w niewolę swoich poziomych a burzycielskich instynktów. Pod tym względem wielki błąd popełniają ci, którzy tworzą „partie ludowe". Program polityczny powinien odpowiadać na pytanie, co robić należy, jaką politykę prowadzić, jakie reformy przeprowadzić, a nie jaka klasa czy warstwa społeczeństwa ma rządzić. Rządzić powinni i faktycznie rządzą zawsze wybrani, a nie klasy społeczne. A wybierać należy tych, którzy doradzają mądrą politykę, a nie tych, którzy napraszają się, by reprezentować jakąś klasę. Tę prostą i oczywistą prawdę trzeba by raz oczyścić z naleciałości przestarzałych i dawno przez najjaskrawsze fakty obalonych teorii. Ci, napraszający się przedstawiciele ludu doczekają się kiedyś strasznej zemsty, kiedy lud zrozumie jak zbrodniczo był przez nich oszukiwany.

Bo ludu jego wielka rola w życiu Ojczyzny ominąć nie może. I nie dlatego jest ona wielka, że lud będzie miał prawa, które wskutek jego wielkiej liczebności będą mogły być przeważające w Ojczyźnie. Nigdy jeszcze liczba nie dokonała wielkich rzeczy, ale dlatego, po pierwsze, że jako warstwa ludzi ubogich i prostych wniesie bardziej bezinteresowny stosunek do Ojczyzny w polityce, a powtóre, bo jako warstwa młoda, nie przepojona rozkładowymi czynnikami okresów racjonalizmu i pozytywizmu wniesie bardziej instynktowne, bardziej przyrodzone poczucie zbiorowe życia Ojczyzny i jej szczęścia, a po trzecie, bo jako warstwa dorabiająca się wniesie większy rozpęd, większą energię rozwojową w życie Narodu.

Ale warunkiem, bez którego wszystkie te nadzieje ziścić się nie mogą jest oświata. Oświata, oświata i jeszcze raz oświata. Właśnie dlatego, że ginąc z hypertrofii (wybujałości) rozumu wiek nasz będzie musiał budować na instynktach, potrzebna jest ludowi oświata, by z głębin świadomości i podświadomości wydobyć instynkty szlachetne i twórcze, a nie stać się pastwą pierwotnych, niszczących instynktów mas.

Potrzebna jest oświata moralna, która by dała poznać ludowi niebezpieczeństwa, tkwiące w jego własnym łonie, a która by odkryła i uświadomiła prostemu człowiekowi ogromną cenę moralną jego pracy i obowiązkowości, tej tajemnicy, dla której biednemu łatwiej wnijść do Królestwa Niebieskiego. Haniebną byłaby taka oświata, która by ten skarb zniszczyła i zresztą dałaby mu tylko zawód, a nie szczęście. Lud wiejski nie jest narażony na tę demoralizującą walkę, która stała się jakby obowiązkiem klasy robotniczej, walkę o mniej pracy a więcej pieniędzy. Lud wiejski wszystkie „interesy" swoje może zamknąć w organicznym, szeroko pojętym dążeniu do „lepszej gospodarki", która jest w pierwszej linii interesem Ojczyzny. Niechże żywi się tym budującym poczuciem, że pracuje dla dobra Ojczyzny, a nie śpieszy się do „oświeconego" pojmowania swoich własnych korzyści tylko przez tak reklamowane przez agitatorów uświadomienie klasowe. — W zmyśle moralnym gospodarza rolnego jest nieoceniony dla Narodu skarb: właśnie ta oczywista nieodłączność własnej korzyści z dobrem Ojczyzny — pozwala w wychowaniu moralnym młodego pokolenia kłaść *cały nacisk* na *obowiązki*, nie zaś na *prawa* narodowe. Moralnej wartości tego czynnika nikt nie może poddawać w wątpliwość.

Prawdziwa miłość Ojczyzny jest w dziedzinie instynktów. Ale żeby ją uświadomić i zamienić w żywą siłę, trzeba ją oświecić poznaniem rzeczy Ojczystych, ziemi, dziejów, liczb i stosunków. Dlatego potrzebna jest oświata narodowa. I jeśli z takim zau-

faniem patrzymy w przyszłość ludu, to dlatego, że dziesięciolecia pracy nad oświatą narodową ludu wykazały nam, jak z tego żyznego gruntu bujnie wyrastają przepiękne rośliny. Włościanin i robotnik polski ma przyrodzone pojęcie dobra Ojczyzny. Dowiódł tego w ciągu tej wojny w kilku uderzających swoją jaskrawością wypadkach. I tylko żałować można — powiem więcej — rozpacz chwyta na widok, jak te zdrowe a potężne instynkty ludu polskiego nie znalazły należytego oddźwięku i realizacji w polityce wyłonionych z wyższych warstw naszego narodu przedstawicieli.

Lud polski pojął wszystkie wielkie zadania naszego narodu w jego najbardziej przełomowej chwili i to pojął w sposób piękny, jasny, niedwuznaczny, i z tego pojęcia wysnuł odrazu najtrafniejsze porywy do decyzji i czynu.

W pamięci Narodu powinno zawsze pozostać, że Uchwały Majowe Krakowskiego Koła Sejmowego są dziełem ludu polskiego. Nie dlatego, że były powzięte na wniosek posła ludowego. Ale, że ten poseł do ich powzięcia był popchnięty przez zachowanie się ludu na licznych zgromadzeniach, które poprzedziły zebranie Koła Sejmowego. Politycy byli wówczas jakby w orbicie wielkiej fali woli ludowej, która opanowała atmosferę kraju. Jednomyślność tej uchwały była tylko wynikiem tego faktu, bo jak się okazało później, bynajmniej nie odpowiadała zamiarom znacznej części, kto wie, czy nie większości posłów. Był to nakaz ludu.

Lud polski od początku wojny pojął do gruntu, do dna swego instynktu jedną ideę: Zjednoczenie Polski. To samo wywołało entuzjazm legionów, które nie zdawały sobie jasno sprawy ze sprzeczności tej inicjatywy z możnością przyłączenia Poznańskiego, ale szły przyłączyć Królestwo, i to z wiarą i wolą nieugiętą, proroczą. I dziś nie mamy niemal wątpliwości, że to przeczucie spełnić się musi, w najgorszym nawet wypadku. Lud w Królestwie szedł do mobilizacji z jakąś instynktowną gotowością, z zapałem, którego podkład stanowiło również proste, nierozumowane poczucie, że ta ziemia, na którą go wojna popchnąć miała — to ziemia polska, że na niej mieszkają jego bracia, których z przemocy najgroźniejszego wroga Polski wybawić trzeba.

Idea Zjednoczenia w prostej duszy ludu to przyrodzone poczucie *całości*, to poczucie takie naturalne w gospodarzu, płynące z elementarnego przywiązania do ziemi, ze zmysłu ładu, z tego naturalnego instynktu, który wiąże naród z jego terytorium. Dla ludzi myślących zawile, robiących politykę, rozmaite trudności i spory terytorialne zasłaniają czasem całą prostotę i kategoryczność postulatu Zjednoczenia, jako postulatu *całości*.

Józef Lutosławski.

Moje głupstwa

Świat jest pełen bied niezliczonych, ale największą jet ta, że kto się w nim zagrzebie, prędko Boga obrazi. Ja zaś mam rozkosz w świecie, jak wieprze w bagnie.

To jest pierwsze moje głupstwo!

Wiem o tym, że wola ludzka jest zepsuta jeszcze z grzechu pierworodnego, i że ją hamować potrzeba. A ja jestem wolnomyśliciel, swojej woli nie hamuję tak, jak konia hardego, i to mnie w końcu zabije.

To jest drugie moje głupstwo!

Lękam się wszystkiego złego, ale siebie choć dużo złego w sobie mam, to się nie lękam.

To jest trzecie moje głupstwo!

Raduję się często, a w końcu widzę, żem się adował z mojego nieszczęścia.

To jest czwarte moje głupstwo!

Śmieję się często, a w końcu widzę, żem się śmiał z mojej biedy.

To jest piąte moje głupstwo!

Wszystkie moje prace śmiało wykonuję a czy one będą dobre, na to nie zważam.

To jest szóste moje głupstwo!

Jestem głupi, ale uczyć się nie chcę niczego.

To jest otchłań mojego głupstwa!

Piotr Borowy, gazda z Orawy

Myśli

Największą chlubą nie jest to, by się nie potknąć, lecz — by za każdym upadkiem dźwigać się i stawać na nogi.

*

Nigdy nie trzeba mieć tyle rozumu, jak wtedy, gdy się ma do czynienia z głupcem

O naprawie zepsutego przetaka



Brama Floriańska w Krakowie.

Był mąż czcigodnego żywota, imieniem i łaską „Benedictus", t. j. „Błogosławiony", który od samej młodości miał serce stateczne. Albowiem obyczajami nad wiek dojrzały, serca swego na żadną nie wydał rozkosz, lecz na tej jeszcze będąc ziemi i mogąc doczesnego używać świata, tak nim, jakoby uschłym kwiatem wzgardził. Urodzony w powiecie nursyjskim (ziemi Włoskiej) ze szlachetnego rodu, oddany był do Rzymu na świeckie nauki. Ale zobaczywszy tam, że przez nie wielu wpada do przepaści występku, gdy już był jedną nogę postawił na progu światowego życia, nazad się cofnął, aby snać i sam, skosztowawszy z jego mądrości, nie zginął w tej strasznej otchłani. Wzgardziwszy tedy tymi naukami, dom i majętność ojcowską opuścil, a chcąc się samemu tylko Bogu podobać, na żywot się świątobliwy udał. I tak oddalił się umiejętny bez nauki i mądry w nieumiejętności swojej . . .

Gdy tak porzuciwszy nauki, iść na pustynię umyślił, jedynie piastunka jego, która go bardzo miłowała, udała się za nim. Przybywszy do miejsca, zwanego Enfide, byli przez tamecznych dobrych mieszkańców z miłością zaproszeni i zatrzymali się przy kościele św. Piotra. Wspomniana piastunka jego pożyczyła raz od sąsiadek przetaka do czyszczenia pszenicy a zostawiwszy go niebacznie na stole, odeszła. Przypadek zdarzył, że naczynie na dwie części się rozbiło. Gdy piastunka przyszła i pożyczony przetak rozbitym znalazła, zaczęła płakać gorzko. Benedykt zaś, pobożny i pełen miłości młodzieniaszek, ujrzawszy płaczącą piastunkę, współczuciem dla jej smutku tknięty, zebrał obydwie części stłuczonego naczynia i począł się modlić ze łzami. A gdy wstał od modlitwy, znalazł obok leżący przetak tak naprawionym, że ani śladu rozbicia dojrzyć na nim nie było można. I wnet zaczął ze słodyczą piastunkę pocieszać i oddał jej naprawione naczynie, które był wziął stłuczonym.

Zdarzenie to stało się głośnym w owym miejscu i taki wzbudziło podziw u wszystkich, że mieszkańcy zawiesili przetak ów przy wejściu do kościoła, aby wszyscy współcześni i potomni wiedzieli, z jak wielką już łaską młody Benedykt drogę doskonałości zaczął. Przez wiele lat był ów przetak na widok publiczny wystawiony i aż do naszych longobardzkich czasów wisiał nade drzwiami kościelnymi.

„Kwiatki" św. Benedykta.

Czy ten, taki prosty i rzewny cud, nie przypomina cudu naszego patrona, św. Jana Kantego, dokonanego dla małej dziewczynki, która rozbiła sobie dzbanuszek z mlekiem?

O miłości Ojczyzny

Miłość Ojczyzny, w istotnym słowa znaczeniu, nie polega bynajmniej na jakimś przyrodzonym upodobaniu do narodowych przywyknień, potraw, obyczajów złych czy dobrych, jedynie dlatego, że się do nich przywykło. Takie usposobienie, chociażby było bardzo wybitne, nie stanowi wcale zadośćuczynienia obowiązkowi miłości Ojczyzny. Ani też przeciwne usposobienie, to jest brak upodobania do tego, co ojczyste, nie zwalnia bynajmniej od obowiązków na każdego przez miłość Ojczyzny nałożonych.

Śródziemne morze i alpejskie szczyty mogą się lepiej podobać od pińskiego błota, klimat egipski może się wydać milszym od inflanckich śniegów, a kopuła św. Piotra kształtniejsza od dzwonnicy własnego parafialnego kościoła, ale to w niczym nie zmienia obowiązku miłości. *Ułomności rodziców nie zmniejszają obowiązków synowskich*, tak jak ułomności dziecka nie zmniejszają obowiązków rodzicielskich. Każdy jest naraz *synem i rodzicem Ojczyzny* i ma względem niej podwójne stąd wynikające obowiązki.

Wykonanie obowiązków polega na *czynach*, a nie na uczuciach. Wrodzone uczucia ułatwiają lub utrudniają wykonanie obowiązków, ale nie mogą ani ich zmienić, ani od nich uwolnić, ani same przez się być poczytane za spełnienie onych.

Miłość Ojczyzny nie polega na jakimś *majaczeniu* o prawach narodowych i na poetyzowaniu ich, nie polega na manifestacjach, patriotycznych biesiadach, toastach, szumnych mowach i tkliwych wrażeniach.

Miłość ojczyzny nic nie ma wspólnego z narodową pychą i próżnością, jak to niektórzy mniemają, robiąc sobie jakby punkt honoru narodowego z odrzucenia wszystkiego, co obce, choćby było pożądanym, dlatego że obce, a broniąc do upadłego tego, co swoje, choćby było szkodliwym, dlatego że swoje. Próżność narodowa, tak jak wszelka próżność i jak wszystko, co z zatrutego źródła pychy płynie, jest wadą zabójczą — zabójczą dla wszelkiego postępu i ulepszenia. „Podłość czy pycha“, mówi Krasiński, „to jednakie śmiecie“.

Miłość Ojczyzny nie tylko że nie wyklucza“, ale raczej powoduje zgrozę i boleść wobec tego, co w kraju zdrożnym być może.

Miłość Ojczyzny nie polega na nienawiści tych, którym się przypisuje klęski narodowe. Nienawiść może czasami niszczyć to, czego nienawidzi, ale niczego nie może stworzyć, niczego nie może zbudować, żadnej rany nie zagoi, żadnej szkody nie naprawi, żadnej korzyści nie przyniesie.

Miłość Ojczyzny jest cnotą, — cnotą w porządku woli bożej, bo wynika z obowiązku stanu, cnotą obywatelską; — a dlatego że cnotą, to siłą, a że jest miłością, więc jak wszelka miłość jest twórczą.

Miłość ma dwie główne cechy: chce posiadać przedmiot swego kochania i chce mu się poświęcić. Taką jest miłość Boga, taką miłość Ojczyzny. Miłość zespala się z przedmiotem swojej miłości: cierpi jego cierpieniem i chce mu ulżyć; odczuwa jego potrzeby i chce je zaspokoić; przeczuwa, co mu grozi i chce go bronić; widzi, coby mu było korzystnym, i nie spocznie, póki mu tego nie pozyska. Poświęcenie jest tak od miłości nierozdzielne, tak z niej wynika, że nie można mówić o miłości Ojczyzny, żeby nie mówić o służbie dla Ojczyzny i o tym wszystkim, co ona nastręcza, a mianowicie:

1. Szanowanie i utrzymanie w kraju tego, co dobre.
2. Poprawienie i odpokutowanie tego, co złe.
3. Zdobywanie dla kraju i przeprowadzenie w nim tego, co pożądane.

Zakład Kórnicki

Dobroć

Tak mało na świecie dobroci,
A tyle jej światu potrzeba,
Nią życie jak słońcem się złoci,
Nią ziemia się zbliża do nieba.

Potęga jej, w sercu poczęta,
Nie mija bezpłodnie i marnie:
Sieroty i polne ptaszęta
Litośnie pod skrzydła swe garnie.

Aż leśne ptaszyny oswoi,
Że same do rąk się zlecą,
I serca najdziksze rozbroi,
Że same dobrocią zaświecą..

Lucjan Rydel.

Obrzydło nam życie w Rosji Sowieckiej

Chrześcijańsko-Społeczny Instytut Oświatowy w Krakowie, ul. Stolarska 7, wydał ciekawą książkę: „Obrzydło nam życie w Rosji Sowieckiej", napisaną przez kilku austriackich robotników-zbiegów z raju sowieckiego. Poniżej dajemy z niej parę wyjątków. — (Książka ta kosztuje z przesyłką 1.10 zł.).

„Czarnoraboczyj"

Byłem okropnie głodny, poszedłem więc do jadalni naszej stolarni. Wskazano mi miejsce. Zupę zostawiłem nietkniętą, jakkolwiek głód skręcał mi kiszki. Gdy zabrałem się do jedzenia rosyjskiego gulaszu, podszedł do mnie robotnik rosyjski i prosił mnie, bym mu pozwolił zjeść ową zupę. Pozwoliłem mu i zaprosiłem go zarazem, by usiadł obok mnie. Odmówił i przepraszał mnie, bym się nie gniewał. Odpowiedział: „Nie mogę siedzieć przy tym stole, gdyż miejsca przy nim są dla udarników. Ja jestem robotnikiem niekwalifikowanym i mam miejsce przy innym stole". Opowiedział mi, że nie dostaje mięsa, tylko kaszę, zupę jarzynową i czarny chleb. Gdym zdziwiony pytał się, czy to jest możliwe, oświadczył mi ów robotnik: „Jestem robotnikiem niekwalifikowanym (czarnoraboczyj). — Nie potrafię wykonać tego, co zrobi udarnik albo robotnik z grup przodujących, to też mięsa nie dostaję". Ponieważ nie tak sobie wyobrażałem komunizm, zwróciłem się z tym do funkcjonariusza partyjnego. Ten odpowiedział mi: „Wprowadziliśmy system robotników nieotrzymujących mięsa, ażeby zachęcić do większej wydajności pracy. Robotnik wtedy dopiero zyskuje prawo do mięsa, gdy osiągnął normę robotników z brygad czołowych". Gdym wzburzony protestował przeciwko temu, odpowiedział mi: „Wprowadzamy w życie konsekwentnie nasz plan. Nas to nie wzrusza, że przy tym miliony zginą. Nas więcej obchodzi rewolucja światowa, niż kwestie żołądka".

Papierosem zagłuszam głód.

Mam metalowy znaczek, na podstawie którego mogę otrzymać zupę i główne danie. Zupa, którą nam podano, to jakiś szary płyn bez jakiegokolwiek tłuszczu. Po prostu brudna woda. Jestem głodny, a jednak mam wstręt do jedzenia tego. Czekam na drugie danie. Otrzymuję kaszę i rybę. Jedzenie to ma wstrętny zapach, to też zbiera mi się na mdłości. Próbuję coś przełknąć. Nie da się. Wstaję i wolę zapalić papierosa, który nieco zagłusza uczucie głodu.

Żyjemy jak świnie.

Towarzyszka Lorenz, przyrzekłszy, że zwiedzi fabrykę, dotrzymała słowa. Idę z nią w czasie pauzy obiadowej do jadalni i proszę, by zasiadła do stołu. Przynoszą jedzenie. Rosyjscy robotnicy patrzą zdziwieni, co będzie. Podsuwam towarzyszce mój talerz zupy. „Proszę, może towarzyszka spróbuje". Towarzyszka miesza łyżką w nieokreślonej, brudnej, ciepłej wodzie. Pytam się: „Czy ta t. zw. zupa nadaje się do jedzenia. Czy zawiera jakiś tłuszcz? Co będzie z tych ludzi, którzy muszą jeść te pomyje, które u nas daje się świniom?" „Widzisz, mówię dalej, wskazując na siedzących dokoła robotników — „wszyscy są bladzi i mają zapadnięte policzki. Dwudziestoletni wyglądają jakby mieli trzydzieści lat, a trzydziestoletni jakby byli pod pięćdziesiątką. Co będzie z tych dzieci, które już w łonie matki nie mają tego, czego potrzeba do rozwoju ciała?"

Towarzyszka przerywa, wołając: „Po co się tak unosisz?" Gdy podano drugie danie, musiała przyznać, że nie da się go jeść. Przyrzekła, że podejmie odpowiednie kroki. Gdy potem tłumaczyłem robotnikom, że skarżyłem się na złe nasze jedzenie, dziękowali i ucieszyli się, że wreszcie znalazł się człowiek, który miał odwagę wystąpić w ich obronie. Mówili: „Dobrześ zrobił. Patrz jak wyglądamy. Żyjemy jak świnie".

Stalin, najgorszy faszysta.

Jeden był szczególnie rozdrażniony. Muskuły jego policzków drgały. Krzyczał: „Wiedz, że jest na świecie może wielu faszystów, jak ich się tutaj u nas nazywa, ale my w kraju mamy najgorszego faszystę: Stalina". Byłem, jak by uderzony obuchem w głowę. Mówi się przecież, że robotnicy kochają swych przywódców.

Robotnicy niewolnikami.

Rosjanie patrzyli krzywym okiem na obcokrajowców, gdyż tych zawsze wyróżniano. To też dziś jasnym mi jest, dlaczego robotnicy rosyjscy dopuszczali się względem

nas aktów sabotażu. Mówiono nam ustawicznie, że robotnik rosyjski chętnie poświęca się dla budowy socjalizmu. Mieliśmy sposobność przekonać się o czymś zgoła przeciwnym. Robotnik nie ujawnia swych bólów wobec partyjnych dygnitarzy. Gdyby powiedział to, co mu leży na sercu, utraciłby nie tylko pracę, ale również mieszkanie, kartę żywnościową i paszport, to znaczy: wszystko, co posiada. Przekonałem się, że robotnik w każdym kapitalistycznym państwie, nawet tam, gdzie nie ma demokracji, ma więcej wolności i swobody, niż robotnik w Rosji. Robotnik rosyjski jest niewolnikiem systemu.

Tak być nie może.

Coraz wyraźniej widziałem, że między tym, co komunistyczni agitatorzy mówili u nas w ojczyźnie a tym, co działo się w Rosji, było ogromne przeciwieństwo. Czułem się źle w tych stosunkach. Skoro robotnik pracuje uczciwie cały tydzień po to, żeby jego dzieci musiały wyczekiwać na odrobinę nędznej zupy, to coś jest nie w porządku. Walczyliśmy w ojczyźnie jako idealiści, by poprawić swój los i los naszych braci. Obecnie byliśmy w państwie, które miało nam służyć za wzór, żyliśmy w systemie, któryśmy chcieli wywalczyć. Gdziekolwiek spojrzeliśmy, wszystko nas odstręczało. Długo rozmyślałem, nim powziąłem zamiar powrotu do ojczyzny, za którą walczyłem. Wolałem, by mnie raczej na całe lata zamknięto w kryminale, niż bym miał zostać w Sowietach i pomagać systemowi, który według mego przekonania był systemem niezmiernie szkodliwym dla robotników.

Ludzie wsi i miasta

Są ludzie w mieście urodzeni i wychowani, którzy nie widzą nic poza rogatkami. Coś tam jest — jakiś tam świat, zrzadka zamieszkały, który ich jednak niewiele obchodzi. Słyszą z gazet, czytają o jakichś biednych czy bogatych chłopach, o jakichś tam zabójstwach, jakichś ruchach, lecz tak, jakby o Persji czy Turkiestanie czytali. Legendy różne o tej tam dalekiej wsi przyjmują chłodno na słowo; w ich to zainteresowania śródmiejskie nie wkracza. Wieś jeno widzą — i to pośrednio przez żonę, służącą — pod kątem drogości sprzedawanych na targu: nabiału, drobiu, jagód, jarzyn. Widzą wrogość wsi odnośnie do swej kieszeni. W dyskursach polityczno-kawiarnianych mówią przeto o partiach chłopskich, jako o jakiejś chytrej, wrogiej sile, idącej ławą na zagubę miast.

Ludzie zaś wsi (mowa wciąż o chłopach) miasto uważają w zazdrości swej za miejsce zabaw beztroskich, albo też w oburzeniu, za Sodomę wieczną i Gomorę. O pracy, jaka się w głębi jego dokonywa, nie mają zgoła pojęcia. Taki człek wsiowy, znalazłszy się w mieście dużym, chodzi jak otumaniony. Ruch uliczny, turkot dorożek, ryk znienacka samochodów, działają nań przerażającą, jak zamach nieustanny. Patrzącemu na ony ruch, pośpiech, zgłupiałemu, nie wiedzącemu gdzie przed zewsząd zagrażającym niebezpieczeństwem, w jaką ujść zachronę, wydaje się, że dzień ostateczny nadszedł i wszystko w obłędzie jakimś gdzieś bez kierunku pędzi. Jedyną tedy jego żądzą: wyrwać się z tej szalonej obłęzi i odnaleźć się na Bożym świecie w ciszy, w spokoju, we wsi.

Mieszczanin z krwi i z przywyku, bawiący przypadkiem na wsi, nie wie znów, co z sobą począć. Jest jak pstrąg z wody na brzeg wyrzucony; bez atmosfery żywotnej, bez ruchu widzi się mu, że w martwość popada. Pejzaż wsi jest dlań rzeczą pustą, nieczytelną, o wiele mniej zajmującą, niż kulisy teatru. Cichość działa nań, na ducha jego, czującego się jedynie wirująco w ruchu, jak trutka nasenna; gorzej, bo ostawia świadomość bezczynności — w próżni. Nic się nie dzieje wokół — czas jakoby zleniwiał i stanął. Nie umiejąc sam ze sobą bez zewnętrznych pobudzeń żyć, popada w gniotącą nudę. Aby się z jej przycisku wyrwać, poczyna się czymś interesować, zagadywać gaździnę o to, o owo, np.:

— Czy ta krówka dużo daje mleka?

— To bycek, z przeproszeniem — odpowiada, wstydząc się za nieświadomość pana miejskiego, kobieta.

Nielepiej idzie z innymi pytaniami, np.:

— Ile też, gospodarzu, z tego żyta omłócicie korcy?

— To jęcmień, panie, zyto juz zebrane.

— Aha... a tamto zielone to ozimina?

— Nie, to owies — odpowiada gazda pobłażliwie — zwycajnie z wiesną sie go siewa...

Człek miejski, człek niby uczony, budzi na wsi pożałowanie litosne. Wyczerpawszy wnet trud zainteresowań, gnany nudą, ucieka do swej ojczyzny, do miasta.

Człowiek wsi, żyjący pośrodku przyrody, widzący na każdym kroku cuda Boże a człowieczą wobec klęsk bezradność, z religijną odnoszący się czcią i trwogą do wszelkich niecodziennych zjawisk i żywiołów, musi być ogółem lepszy, niż człek miasta, a w swe siły człowiecze nieufny. Wszelki postęp techniki, ludzkim umysłem zdobyty, zadziwia go, zaciekawia, lecz podobnie jak śmiałość grzechu — trwoży. Widzi w tym nieczystą siłę, pychę, przez szatana podszepniętą, by Bogu w dziełach dorównać. Z ostrożną też zachowawczością odnosi się do tych nowych, przez rozum ludzki wykonanych cudów.

A człowiek zasie miasta, wyrosły pośród ciasnych dziedzińców i murów, ponad którymi, głowę do góry zadarłszy, może jeno jak ponad ścianami kulis dojrzeć niekiedy jasny skrawek nieba — nie bojący się burz wobec gromochronów, gdy grad jest dlań ciekawym spektaklem — ma przez ciąg żywota swego jedynie z ludźmi do czynienia, którzy mu przesłaniają sobą jakąś tam, w szkołach, na modelach pokazywaną przyrodę. Widzi też na każdym kroku dzieła człowieczych wysiłków.

Rośnie mur niezrozumienia pomiędzy miastem a wsią. Kursują między tymi dwoma, można rzec, światami, w wyłączni żyjącymi, legendy fałszywe, które niezrozumienie wzajemne i obcość potęgują, do wrogości je niecąc. Gorszy — powiedzmy — jest stosunek między miastem a wsią, niż nieraz między dwoma sąsiadującymi z sobą narodami. Tyleż, a może mniej — na podstawie legend bałamutnych — wzajem o sobie wiedzą.

Gdyby wieś zdołała pojąć, co z kultury rzetelnej w mieście się wytwarza, a miasto znów przyjrzało się bliżej życiu Bożemu wsi — gdyby z onego poznania zrodził się



Barbakan w Krakowie

szacunek wzajemny, chęć wymiany swych dóbr — to kto wie... może...

Wład. Orkan.

Zemsta jest słodka

Apfelbaum otrzymał od swego przyjaciela Moryca list nieopłacony, od którego musiał zapłacić porto z dopłatą. Po otwarciu listu czyta: „Jestem zdrów, powodzi mi się b. dobrze, interesy idą świetnie“ i t. p. nic nie znaczące wiadomości.

Apfelbaum wściekły, że musiał za list opłacić podwójne porto zapakował ciężki kamień i wysłał go pocztą pod adresem przyjaciela, dołączając do nieopłaconego pakunku list następującej treści: „Ten oto ciężki kamień spadł mi z serca, gdym się z listu twojego dowiedział, że ci się tak znakomicie powodzi“.

Nieśmiertelność duszy

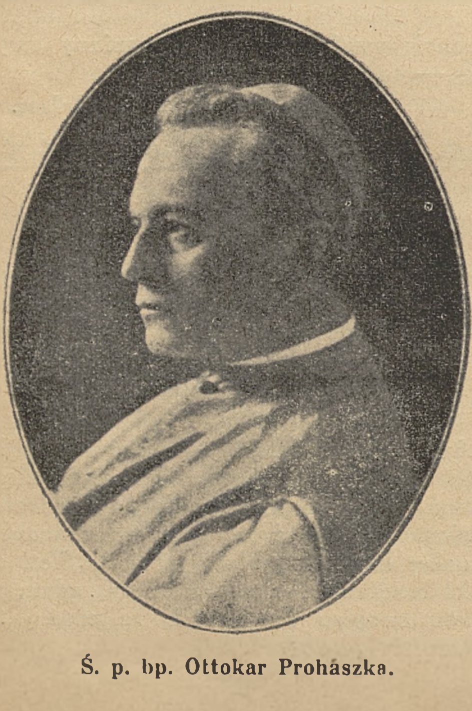
Nieśmiertelność duszy, to dla nas rzecz tak ważna, dotycząca nas tak głęboko, że trzeba chyba zatracić wszelkie uczucie, aby trwać w obojętności w tym względzie. Wszystkie nasze uczynki i myśli muszą iść różnymi drogami, wedle tego, czy mamy się spodziewać dóbr wiekuistych czy nie, niepodobna nam uczynić jednego kroku z rozsądkiem i zastanowieniem, o ile nie miarkujemy go względem na ten punkt, który ma być naszym ostatecznym celem. To też pierwszym naszym obowiązkiem i interesem jest oświecać się w tym przedmiocie, od którego zależy całe nasze postępowanie. Dlatego to wśród ludzi, nieposiadających wiary, czynię ogromną różnicę między tymi, którzy pracują ze wszystkich sił, aby się oświecić, a tymi, którzy żyją nie zadając sobie trudu i nie myśląc o tym.

Mogę jedynie mieć współczucie dla tych, którzy szczerze cierpią w tej wątpliwości, patrzą na nią jak na najcięższe z nieszczęść i nie oszczędzając niczego, aby się z niej wydobyć, czynią to poszukiwanie swoim głównym i najpoważniejszym zajęciem.

Ale co się tyczy tych, którzy trawią życie nie myśląc o tym ostatecznym celu życia? Dla tej jednej racji, iż nie znajdują w sobie samych światła, któreby ich przekonało, zaniedbują szukać go gdzieindziej i badać do gruntu, czy to mniemanie jest z tych, które lud przyjmuje przez łatwowierną naiwność czy też z tych, które, mimo iż czynne same przez się, posiadają wszelako nader trwałe i niewzruszone podstawy! Na takich ludzi patrzę w zgoła odmienny sposób.

Niedbałość ta, w sprawie w której chodzi o nich samych, o ich wieczność, o ich wszystko, więcej mnie drażni, niż rozczula; zdumiewa mnie i przeraża; jest to dla mnie coś potwornego. Nie mówię tego przez nabożną żarliwość uduchowionej dewocji; rozumiem przeciwnie, iż powinno się mieć to uczucie z pobudek ludzkiego interesu oraz interesu miłości własnej; na to potrzeba jedynie widzieć to, co widzą osoby najmniej oświecone. *(Pascal).*

Dostojeństwo śmierci



Ś. p. bp. Ottokar Prohászka.

Wszystko, co łączy się ze śmiercią — nastraja człowieka poważnie. Wzmianka o śmierci mrozi wszystkich. Gdy dochodzi się do słupa granicznego, do bariery celnej potężnego, tajemniczego mocarstwa śmierci, trzeba pozostawić za sobą życie i wszystko co miłe, radosne, pełne pochlebstw, uśmiechów i gwaru. Dostojna, przedziwna cisza panuje w państwie śmierci i zmarłych. W proch się rozpada człowieczy okręt, trumna w dół zstępuje, grób zaś chłonie ją, rzucając na pastwę robactwa mahoniową, orzechową — czy metalową skrzynię wraz z szarfami i kwiatami. Śmierć wszystko niszczy, co wielkie w oczach świata, ona jednoczy wrogów, tłumi nawznioślejsze porywy, kładzie kres różnicom społecznym. Pod tchnieniem śmierci wszystko, co ziemskie, rozwieje się, jak dym pochodni na wietrze.

Biada tylko, że życie rozprasza ten poważny nastrój, każe o nim zapominać, rozjaśniając smutek uśmiechem. Gdy po roku lub dwóch latach uklękniemy u mogiły

bardzo opłakiwanej osoby, jakże cichy i spokojny jest już nasz ból! Wokół nas igrają promienie słońca, na samej mogile kwitną kwiaty, a tuż obok na gałęzi śpiewa ptaszę; wrzawa życia nie zatrzymuje się przy ogrodzeniu cmentarnym i ponad grobami dzwoni radość. Człowiek nie potrafi długo zachować powagi śmierci. Tylko religia zawsze jednako poważnie odnosi się do śmierci. Mówiąc: *Requiem aeternam dona eis Domine*, natychmiast możemy odczuć powagę śmierci. Kościół pielęgnuje, ochrania i przywodzi nieraz na pamięć ludziom myśl o śmierci, i nie lubi, a nawet za grzech poczytuje brak poszanowania dla majestatu śmierci, nie lubi, jeżeli ktoś płytkimi myślami mąci święty, uroczysty i smutny spokój; nie lubi, jeżeli zakłóca go bezmyślnymi żarty.

Trzy zwłaszcza myśli ma na względzie Kościół, mówiąc o powadze śmierci i o potrzebie zbawienia duszy; pierwsza: pamięć na żywot wieczny, druga: na sprawiedliwość Boga, i trzecia — na cierpienie.

1. Pierwszą cechą, znamionującą majestat śmierci, jest nieśmiertelność. Czyż może człowiek, jak drobna jętka, owad jednodniowy, raz na zawsze zerwać łączność ze swym krótkim życiem i przenieść się do wieczności? Jak wygląda oko, oglądające nieskończoność? Oczy nasze widzą dzień dwunastogodzinny, a nawet jeszcze krótszy, a później odpoczywają w nocy, oglądają zamknięty widnokrąg, który to się kurczy we mgle, to rozprzestrzenia w świetle słońca; lecz kto z nas może zobaczyć świat nieśmiertelny, niesłyszany, niewidziany, niezmierzony? Żyjemy przecież obliczając nasz byt na minuty, godziny, lata, a kto z nas potrafi znieść wrażenie nieśmiertelnego życia? Żyjemy na razie w przestrzeni, pod nogami mamy ziemię, a gdzie jest życie wieczne, nie mające widocznego podłoża namacalnego gruntu? Nie ma go na gwiazdach, na ziemi, nie ma w powietrzu; może więc jest we wszechświecie? Wskutek tego, że określamy wszystko, co istnieje, przez pojęcia przestrzeni i czasu, świat naszego poznania jest bardzo ograniczony, podczas gdy dusze pozostają w krainie wieczności i nieskończoności. Gdyby jakaś dusza spojrzała na nas z tamtych bezkresów, o jakiż przenikliwy byłby jej wzrok! Mówią, że człowiek jest spiętrzeniem i zarazem bramą wypadową wrażeń. Kiedy stoimy pod wielkim, potężnym wodospadem, albo na skraju jakiejś niezmierzonej przepaści, jakże przygniatające odbieramy wrażenia! Jakże mamy wyobraziś sobie duszę, stojącą w obliczu wieczności?

Poza wrażeniami świadomość nasza zależy i od myśli. Myśli nasze w najprostszych sprawach nie mogą rozwikłać tysiąca zagadek. Inaczej wygląda to w świecie dusz, które rozumieją najgłębszą mądrość; dusza niemowlęcia doskonale pojmuje najważniejsze zagadnienia życia i ducha, a dusza najbardziej zacofanego człowieka również rozumie najwyższą teologię. Życie nasze w porównaniu z życiem duszy wyzwolonej z ciała, jakże jest nierozwinięte! Przypomina raczej poczwarkę, nieruchomo i leniwie przyczepioną małą niteczką do gałązki, ukrytą w cieniu, żyjącą w jakimś półsnie, a nie barwnego, latającego z kwiatka na kwiatek motyla.

Najmilsi! Nikt z nas nie ma pojęcia o wieczności, z wyjątkiem tamtych, wyzwolonych z ciała dusz! Z pomiędzy żyjących, święci wznieśli się najbliżej wieczności, lecz i oni stali tylko w jej przedsionku. Nikt nie potrafił się zbliżyć do nieskończoności, bohaterowie i święci w swym życiu ziemskim widzieli jedynie świt nieskończoności. Co właściwie znaczy westchnienie: *Requiem aeternam dona eis Domine?* Odpoczynek wieczny daj im Panie! I czy rozumiesz, co mówisz? Czy rozumiesz, co to jest odpoczynek wieczny? Starajmy się więc rozumieć tę modlitwę, która stanie się przez to gorętszą, żarliwszą i poważniejszą.

2. Druga poważna myśl, tkwiąca w pojęciu śmierci, to sprawiedliwość Boża. Z wrażeniem wieczności i z poczuciem nieśmiertelności dążą dusze do celu ostatecznego, do wiecznego piękna, sprawiedliwości i dobra, do Boga. Istnieje w nich tęsknota za szczęściem. Tak, jak w wodospadach Niagary kropelki wodne z zawrotną szybkością padają w przepaść, tak dusze dążą do Boga. Jak wiatr jesienią liście z drzew, tak namiętne pragnienie szczęścia porywa dusze ziemi i unosi w nieskończoność. Lecz wtedy, kiedy dusze lecą ku wiecznemu szczęściu i dobru, zbliża się straszne widmo i wbija w nie swe szpony, i nie można się przed nim obronić, niepodobna ni głosu jego uciszyć, ni zaprzeczyć słuszności, bo widmem

tym, to poczucie odpowiedzialności. Odpowiedzialność dochodzi do pełnej świadomości w duszy ludzkiej, gdyż Bóg ją sam oświeci, dzięki czemu ujrzy sama siebie, swą potworność, nicość i ohydę — wynik kary za grzech pierworodny. Aczkolwiek Bóg zmazał z duszy, która się oczyszcza — grzech śmiertelny i darował karę wieczną, jednak mimo to dusza pozostała smutną i brzydką. Dusza nasza wobec Boga jest tak samo nieudolna, uboga, jak małe dziecko, które by wzięło udział w międzynarodowym konkursie malarzy, nie mając pojęcia o perspektywie, o harmonii barw, umiejące zaledwie nakreślić kilka linii. Dusza wobec Boga czuje się zawstydzoną swą nieumiejętnością i zacofaniem, pełno w niej uczuć, lecz niedojrzałych, oszpeconych namiętnościami, które, jak rysunek dziecka, nie tworzą harmonijnej całości. Dusza ludzka odczuwa nędzę, sama sobie wydaje się tylko biedną kramarką, ubogim przekupniem. Gdy odsłonię oczy duszy, widzę jak płonie w nich żółty blask zazdrości; jeżeli przyglądam się ustom, spostrzegam, że są spalone gorączką namiętności, okryte wyrzutami; widzę twarz zapadłą pod wpływem marnych myśli i zawodnych rozumowań. Jeżeli zwrócę uwagę na stosunek duszy do Boga, to widzę, jak jest zacofaną; najszlachetniejsze struny jej opadły tak, że niepodobna wydobyć harmonijnego dźwięku niebiańskiej chwały. Na czole duszy nie ma znaku pomazania chryzmatem Bożej miłości, nie widać skruchy; oto tak sobie wyobrażam smutny wizerunek duszy wobec niezmierzonej sprawiedliwości Boskiej. Wieczna piękność, dobroć i mądrość Boga stają się dla niej sprawiedliwością, stawiają wymagania, które dusza czyśćcowa ze względu na swe siły może tylko cierpieniem uiścić. Wtedy, gdy już odczuwa swą niezdolność, Bóg lituje się nad nią i rzuca w ogień cierpienia. Rozpoczyna się cierpienie, a sam Bóg jest ogniem oczyszczającym, pod którego tchnieniem dusza kurcząc się i spalając, omal nie obróci się w popiół, podobnie jak zżółkły liść, który w wielkim ogniu skręca się, kurczy i rozpala płomieniem. Dusza ludzka, jak wiemy ze słów świętych, sama odczuwa potrzebę oczyszczenia się w płomieniach czyśćca, biegnie do czyśćca, by odrzucić brud, niegodziwość, stać się jasną, jak kryształ.

3. Skoro dusza ludzka w braku zadośćuczynienia sama pragnie cierpieć, wymaga tego i Bóg nieskończony! W czyśćcu trzeba zniszczyć wszystko, co nie harmonizuje z Najwyższą Doskonałością; należy wymazać każdą złą cechę, a choćby nie wiem jak głęboko wżarła się w duszę ludzką niedoskonałość, to Bóg posiada ostre dłuto płomienia, którym potrafi oczyścić wszystkie skazy. W czyśćcu przekształca się dusza w ogniu cierpienia. Jeżeli przemiana człowieka już na ziemi wymaga tylu ofiar, jeżeli człowiek musi walczyć sam z sobą, by dojść do doskonałości, to można sobie wyobrazić, ile trzeba skruchy, ile trudów, ile mąk i udręczeń, by się przeobrazić, już nie na miarę ludzkich ideałów, lecz wymagań Bożych. Słowa Ewangelii: „Umartwiaj się, byś się stał do mnie podobny“ — sprawdzają się w całej rozciągłości. Duszę w czyśćcu cierpiącą przygniata za pokutę krzyż Pana Jezusa, a ona przejmuje się i boleje na widok cierpienia Pana, nie po to, by zdobyć jakąś zasługę, bowiem w czyśćcu nie można zebrać zasług, lecz tylko, by lepiej cierpieć. Bo dusza chce cierpieć jak najwięcej i jak najdłużej, tak, jak Chrystus.

Te trzy myśli wymownie wskazują na poważny nastrój pozaziemskiego świata: nieśmiertelność, sprawiedliwość Boża i cierpienie. Dusze zmarłych już przebywają w wieczności, a nasze rychło się tam dostaną. Kochając własną duszę, troszczmy się o dusze w czyśćcu cierpiące. Im bardziej pokochamy duszę własną, tym gorliwiej będziemy myśleć o duszach cierpiących w czyśćcu. Im lepiej zrozumiemy wymagania Boga nieskończonego co do czystości serca i doskonałości, tym łatwiej przyjdzie nam ponieść ofiarę, by osiągnąć doskonałość duszy. Wstąpmy więc w szeregi krzewicieli wielkich idei i przejmijmy się wstydem na widok naszej oziębłości i obojętności, małostkowej i egoistycznej miłości. Niech nas zagrzewa myśl o wieczności! Pełni zapału rozpocznijmy pracę koło zbawienia duszy. Zastanówmy się głęboko nad tym, że przecież mamy sobie zdobyć odpoczynek wieczny. Boże mój! pewno, że nieprędko i niełatwo zdobyć to, co wieczne! Prawda, że człowiek o własnych siłach nigdyby tego nie osiągnął, ale pomaga nam przecież Chrystus, a chce tylko naszej współpracy. Łaska Pana Jezusa prowadzi nas do wiecznej światłości i chce, byśmy się wzruszyli nieskończoną wiecznością.

Módlmy się więc gorliwie za dusze zmarłych, starajmy się im jak najwięcej ulżyć, a bądźmy przekonani, że będzie to dla nas samych z największym pożytkiem. Dzięki tej gorliwości staniemy się sami lepszymi i doskonalszymi. Gdy im wypraszamy zbawienie, sobie je zapewniamy, i łatwiej potrafimy ustrzec się grzechu powszedniego, godniej i wspanialej staniemy przed obliczem sprawiedliwości Boskiej. Przez ćwiczenia w cnocie przysporzymy sobie łaski Bożej i na nas samych spełnią się kiedyś słowa modlitwy, którą zanosimy za dusze w czyśćcu cierpiące: Odpoczynek wieczny racz im dać Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci. Amen.

Ks. bp. O. Prohászka.

Gdzie kto będzie po śmierci,
Za życia odgadnie:
Gdzie chylił się za życia,
Tam po śmierci wpadnie.

*

Bóg może świat zniszczyć
I drugi wystawić,
Lecz bez naszej pomocy —
Nie może nas zbawić.

A. Mickiewicz.

Wielka miłość

Wszelkie namiętności mogą mną owładnąć, bo wszystkie one tkwią we mnie. Jako poskramiacz dzikich zwierząt, trzymam je w klatce i na uwięzi, ale nieraz słyszę ich pomruk. Zgasiłem nie jedną rodzącą się we mnie miłość. Dlaczego? Bo z proroczą pewnością moralnego odczucia uważałem je za niemającą jutra i kłócącą się z prawdą życiową. Gasiłem ją na rzecz mego przyszłego ostatecznego uczucia. Przeniknąłem i odrzuciłem miłość zmysłów, wyobraźni, czułostkowości, bo pragnąłemześrodkowującej i głębokiej miłości. I jeszcze w nią wierzę. Nie chcę zaś tych namiętności słomianych, które jak błędne ogniki, łzawią i wysuszają; wzywam, oczekuję i spodziewam się wielkiej, świętej i poważnej miłości, która żyje wszystkimi włóknami i mocami duszy. I choćbym miał zostać sam, wolę w zaświaty unieść me nadzieje i me marzenia, niż obniżyć lot mej duszy. *(Amiel).*

Zwierzęta w życiu świętych

(Ze starego almanachu francuskiego).

O słodkiej poufałości świętych ze zwierzętami

Wiele dałoby się powiedzieć o miłości św. Franciszka z Asyżu do zwierząt: ale któż mocen jest oddać wytworną prostotę i wielkość jednej strony „Kwiatków św. Franciszka“? Św. Franciszek nie mógł zcierpieć, by wyrządzano krzywdę jakiemukolwiek stworzeniu, nawet najmniejszemu. Jednego razu zakupił parę synogarlic, które niesiono na targ i puścił je na wolność, innym razem to samo uczynił z jagniętami, które wieziono do rzeźni, z powiązanymi nogami.

Taką była jego miłość, iż robaki podnosił z drogi, by ktoś z przechodniów nie nadeptał je nogą.

Znaną jest mowa, jaką miał do braci ptaków na wsi asyskiej, by ich skłonić do chwalenia Boga. Towarzyszący mu brat opowiadał, że żaden z ptaków nie poruszył się ani na trochę w czasie tej mowy. Kiedy skończył, ptaszki pobożnie skłoniły głowę do ziemi i czekały, aż im pozwoli odlecieć.

W dzień św. Porcjonkuli usłyszał święty Franciszek ćwierkanie świerszcza na drzewie figowym, tuż na przeciw jego celi. Wyciągnął rękę i rzecze: bracie świerszczu, przyjdźno do mnie.

Natychmiast świerszcz przyszedł mu do ręki i na wezwanie męża Bożego uderzył w hymn pochwalny ku czci Boga.

Życie św. Antoniego z Padwy obfituje również w nadzwyczajne rzeczy, pełne wdzięku. W Rimini, kiedy pewnego dnia odmówili ludzie pójścia za wezwaniami wyrzeczonymi w kazaniu, podszedł Antoni do morza, w pobliżu ujścia rzeki i tak przemówił do ryb:

„Słuchajcie słowa Bożego, wy ryby morza i rzeki, bo nie chcą go słuchać ci niewierni“. A ryby dalejże napływać, uszykowane w porządku, jak armie w batalii, najpierw wielkie, a później małe schowane pod pletwami wielkich. W czasie mowy świętego, wszystkie ryby trzymały głowy nieco ponad wodę, a kiedy skończył odebrały błogosławieństwo i zniżając głowę, zniknęły.

Św. Walaryk prosił swych braci, by nie czynili krzywdy jego małym przyjaciołom, słowikom.

Opowiadają, że kiedy św. Kolomban szedł przez las w Luxenil wiewiórki zlatywały mu do rąk, a ptaki świergotały radośnie wokół niego.

Kiedy św. Wilhelm Ferrat siadał nad brzegiem jeziora, będącego w pobliżu jego celi, brał do rąk ryby przychodzące do jego stóp, głaskał je czule i wkładał z powrotem do jeziora.

Jest w życiu św. Maglorego karta pełna słodkiej wesołości. Jeden książe armorikański, z wdzięczności za uleczenie go z trądu, darował mu połowę swych dóbr. Wówczas wszystkie stworzenia, które napełniały lasy i wody drugiej połowy przeszły do niego. Książe wielce się tym wzruszył. Zmieniono więc część zakonnika: zwierzęta jednak poszły za nim. Wrócono mu ją z powrotem: napróżno, gdyż one znów za nim podążyły, wyrażając w ten sposób życzenie pozostania z nim razem.

Cisi i pokornego serca, zachowują święci to dzieciństwo duszy, tak miłe Bogu. Słodycz ta jest ich siłą i ich autorytetem. Co za nauka! Ludzie szydzą z nich i prześladują ich, ale zwierzęta słuchają ich i służą im.

Opowiadają, że św. Teodoz, rozkazawszy szarańczy, by nie rzucała się na ziemiopłody, ona zadowolniła się ostami.

Kiedy gęsi niszczyły pola sąsiadujące z zamkiem jej ojca, św. Wereburga, córka króla Mersii przywołała do siebie te „ptaki“, by przyszły do jej drzwi. Kiedy to uczyniły, poleciła im, by zaniechały niszczenia dóbr ojca.

A w jaki to sposób przywołał do rozumu św. Marcin z Porrès szczury, które zjadały ubrania zakonników?

Zebrawszy je w koszyku, wyniósł je do ogrodu i spisał z nimi pakt o nieagresji: szczury musiały zobowiązać się do poszanowania szat zakonnych, święty natomiast związał się przyrzeczeniem przynoszenia im jedzenia. Od tego dnia szczury dały spokój.

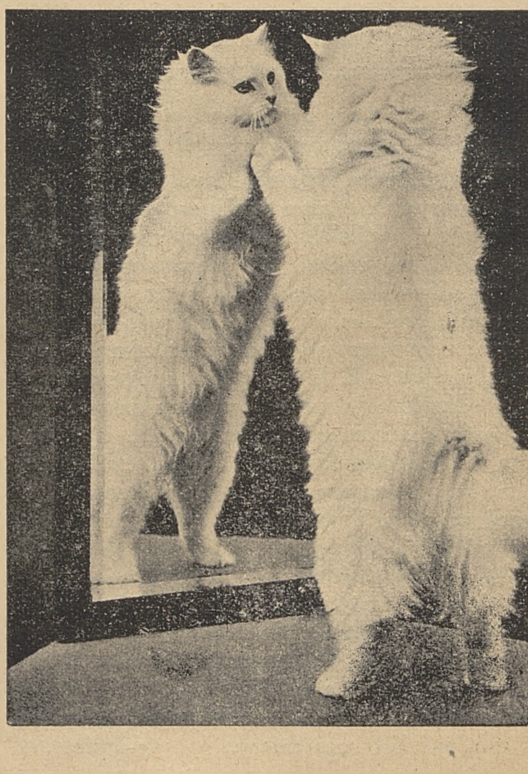
Jak to dzikie zwierzęta pełne są względów dla mężów Bożych.

Nie tylko nad zwierzętami domowymi rozciągała się władza świętych, ale i nad dzikimi zwierzętami, którymi w opowiadaniach straszy się dzieci.

Malarze skwapliwie podchwycili legendę o św. Franciszku i jego wilku z Gubbio, — stanowiącą jeden z najbardziej czarujących rozdziałów z książki „Kwiatki św. Franciszka“.

Wilk ten był tak srogi, że mieszkańcy miast wychodząc poza mury uzbrajali się, jak na wojnę. Przygnębienie panowało przeto w Gubbio, kiedy zjawił się tam św. Franciszek. Litując się nad biednymi ludźmi, wyszedł święty za mury miasta, w towarzystwie jednego z braci, przeżegnawszy się wprzódy znakiem krzyża.

I zwracając się do wilka, który z paszczęką otwartą ku niemu nadbieżał, rzecze: Przyjdźno do mnie, bracie wilku; w imię Chrystusa zabraniam ci, byś robił zło mnie lub komukolwiek. Wilk złagodniał, jak jagnię, położył się u stóp św. Franciszka, który mu wielkie czynił wyrzuty z powodu jego złych uczynków. Wilk odpowiedział na to znakiem wielkiego żalu i skruchy, a kiedy święty zażądał gwarancji, położył łagodnie swą łapę na wyciągniętą przez świętego rękę. Lecz któż wie, co może się dziać w głowie wilka? Św. Franciszek uznał za stosowne zaprowadzić wilka do Gubbio i tu kazał mu wobec ludu powtórzyć swą przysięgę. Wilk jak najchętniej wezwania posłu-



chał. Odtąd, zawarłszy taką umowę z mieszkańcami miasta, otrzymywał od nich pożywienie aż do samej starości. Nikomu już jednak nie wyrządził krzywdy.

Na pustyni Rube, gdzie żył św. Jan Milczący, lew strzegł wejścia do jego kryjówki; kiedy św. Zozym smucił się wielce, że siły nie pozwalały mu na wykopanie grobu dla św. Marii Egipskiej, która w owych dniach umarła, przyszedł mu z pomocą lew.

Podobnie dwóch lwów wygrzebało rów, w którym św. Antoni mógł zakopać ciało św. Pawła.

Opowiadają o św. Błażeju, że przychodziły do niego dzikie zwierzęta, by prosić go o opiekę i błogosławieństwo: zawsze jednak zatrzymywały się u wejścia jaskini, kiedy widziały go modlącym się i nie wchodziły wcześniej aż skończył.

Lew, którego św. Saba przyszedł zająć jaskinię, nie tak łatwo ustąpił miejsca. Wyrażał to jednak bardzo grzecznie, bo łagodnie pociągnął św. Sabę za ubranie, zamiast go pożreć. Był zaś olbrzymiej wielkości. Św. Saba wytłumaczył mu o co chodzi: skoro lew nie chciał podzielić się jaskinią, słuszną było rzeczą, by Saba stworzony na obraz Boży, sam zajmował jaskinię. Lew zgodził się na tę mowę i odstąpił.

Ileż to jeszcze niesłychanych dziwów w różnych innych wypadkach!

I tak niedźwiedź podsyca ogień św. Galowi, indziej niedźwiedź poddaje się jarzmu na wynagrodzenie szkód popełnionych przez niego w zaprzęgu św. Areja.

Podobnie postąpili z wilkiem, który pożarł im osła, święci Malo i Norbert, a błogosławiony Sanctès z Urbino tak srogie czynił wyrzuty temu „mięsożernemu zwierzęciu“, że tenże zdjęty wielką skruchą, pozostał odtąd na służbie świętego.

Św. Eutychiusz nie obawiał się oddać w opiekę niedźwiedzia, ofiarującego się z usługami, czterech swoich owiec, które spadały z wagi, gdyż nie było pasterza, któryby je regularnie prowadził na pastwisko.

O usługach, jakie święci oddali zwierzętom i o wdzięczności tychże.

Któż nie zna historii św. Zilesa, który w ręce zatrzymał strzałę, mającą ugodzić łanię, która przyszła do niego szukać w ucieczce schronienia. Któż nie zna historii św. Godryka, pustelnika, który otworzył swą celę ściganemu jeleniowi?

Podobnie uczynił św. Frukcjusz koziorożcowi, za co tenże nie chciał go więcej opuścić.

Ścigany przez myśliwego, kryje się zając w rękawach św. Markula.

Św. Józef z Kupertynu zająca, który rzucił mu się w ramiona z podobnej opresji wydostał. Święty trochę go tylko pokrzyczał i puścił go, taką mu dając radę: Wpadnij, maleńki, do tego krzaczka, siedź tam cicho i nie ruszaj się.

Raz św. Makary przywrócił wzrok hyeniątkowi: z wdzięczności za to przyniosła mu hyena owczą skórę.

Inny święty wydobył z łapy lwa wielki kolec, za co tenże pozostał na służbie świętego i przyszedł na jego grobie zakończyć swój żywot.

A iluż to świętych żywiło się mlekiem sarn, w głębi lasów. Tak św. Iwan i wielu innych. Inni znów ojcowie pustelnicy żywieni byli przez ptaków. Św. Paweł, św. Hieronim, św. Erazm.

Kiedy pewnego razu przyszedł z wizytą do św. Pawła św. Antoni Pustelnik, kruk, który zwykle przynosił pół bochenka chleba na dzień, zdwoił porcję.

Do św. Rocha, złożonego chorobą w swej kryjówce, przyszedł raz jakiś pies i lizał mu rany, których żaden człowiek nie chciałby się dotknąć. Odtąd zapewne utarło się powiedzenie, że „ślina psa goi rany“.

Św. Ida miała do towarzystwa jelenia, którego rogi świeciły się wieczorem, by służyć świętej za pochodnię.



Zając służył za przewodnika św. Oryndze, która zbłądziła w lesie, dwaj zaś wilcy przywiedli na dobrą drogę św. Triwiusza i towarzyszy, udających się do diecezji lońskiej.

Św. Teleusz udawał się na objazd parafii na grzbiecie jelenia.

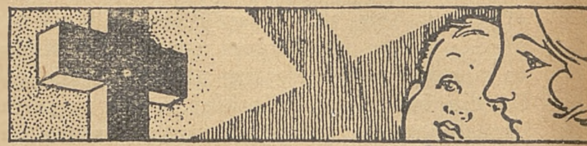
Św. Serwacy miał do usług orła, który rozpościerał swe skrzydła nad świętym, kiedy tenże w ciągu dnia kładł się na spoczynek.

Opowiadają w Bretanii o św. Malo, że kiedy ten znalazł się na morzu w dniu Wielkiejnocy i zapragnął odprawić Mszę świętą, kazał wysadzić się na grzbiet wieloryba, którego wziął za wyspę. Legenda głosi, nie bez humoru, że nic się nie zdarzyło złego w czasie Mszy św., natomiast po jej skończeniu, wieloryb wsunął łeb pod wodę i zniknął.

Krokodyle nie są chyba, o ile wszystkim wiadomo, miłymi towarzyszami. Kiedy jednak św. Pakom pragnął przedostał się na drugą stronę Nilu, zgłosiło się do usług jego wiele krokodyli.

Zaofiarowano raz św. Aldebrandowi, którego osłabiły długie posty, pieczoną kuropatwę. Nic nie mówiąc pobłogosławił ją święty i kazał jej odlecieć — co też i ptak uczynił.

Historia z rybą św. Koryntyna jest jeszcze więcej uderzającą. Święty i ryba byli sami jedni na pustyni: kiedy święty był głodnym, wycinał z boku ryby kawałek mięsa, dostateczny, by się mógł posilić, a później wkładał rybę do sadzawki, ryba odrastała, by znów służyć do następnego posiłku świętego.



Z sierocych gniazd

Gdy wschodzą ciche promienie gwiazd
Na wieczorowym niebie,
Ojcze nasz, Boże! z sierocych gniazd
Podnosim głos do Ciebie.

Na chwałę Twoją rosnąć nam daj;
Niech nam Twa łaska świeci,
A niech ma chlubę ojczysty kraj
Z swych przygarniętych dzieci.

Tyś nas opieką otoczył swą,
Pisklęta Twe bezpióre...
Niechże się dusze nasze rwą
W górę, ku światłu, w górę!

Ojcowską ręką błogosław nas,
Otwórz nam serca bliźnie,
A pozwól służyć, gdy przyjdzie czas,
I Tobie, i Ojczyźnie.

MARIA KONOPNICKA

Humor krzepi

U LEKARZA.

— Czy pan wie, że przyjmuję pacjentów tylko do siódmej?

— Ja wiem, ale pies widocznie nie wiedział, ponieważ ugryzł mnie o pół do ósmej.

USZY CZY OCZY?

Nauczycielka: — Na co są nam potrzebne uszy?

Uczeń: — Żebyśmy mogli widzieć.

Nauczycielka: — Co, to uszami się patrzy?

Uczeń: — Proszę pani, gdybym nie miał uszu, to czapka spadła by mi na oczy i niebym nie widział.

U LEKARZA NEUROLOGA.

— Musi pan unikać wszystkiego, co może pana podrażnić, a więc alkoholu, kawy, herbaty, tytoniu i t. p.

— Ależ, panie doktorze, czy pan myśli, że mnie to nie drażni, co pan teraz powiedział?

ZDOLNY CHEMIK.

Synek winiarza: — Tatusiu, z czego się właściwie robi wino?

— Ze wszystkiego, synku.

NASZE DZIECI.

— Ciociu, zamknij oczy!

— Dlaczego, moje dziecko?

— Bo tatuś powiedział, że jak ty oczy zamkniesz, to będziemy bogaci.

W SKŁADZIE WYROBÓW ŻELAZNYCH NA GRZYBOWIE.

— Panie kupiec, jaby chciałem kupić nóż. Duży i ostry.

— Czemu nie. Ale jaki ma on być? Kuchenny, czy do bitki?

UPOŚLEDZENIE.

Szef: — Jakto, czwarty raz prosi pan o podwyżkę?

Urzędnik: — Żona potrzebuje pieniędzy, panie naczelniku.

— Czy można zapytać na co?

— Tak, pan może, ale ja nie.

I TAK ŹLE I TAK NIEDOBRZE.

— Jak nazywają człowieka, który nigdy nie mówi prawdy?

— Kłamczuchem.

— A takiego, co zawsze mówi prawdę?

— Gburem.

ZE ZMARTWIENIA.

Sędzia: — Oskarżony wiedział przecież, że nie ma pieniędzy na zapłacenie rachunku, dlaczego zatem tyle pił?

Oskarżony: — Ze zmartwienia, panie sędzio, że nie będę mógł zapłacić rachunku.

PROSTE!

A: — Moja żona na śniadanie zawsze chce herbatę, a ja znów kawę...

B: — To wy bardzo nieoszczędnie żyjecie. Takie podwójne gotowanie...

A: — Jakie podwójne? Widać, że nie jesteś żonaty! Pijemy herbatę i koniec!!...

HISTORIA BIBLIJNA.

W pewnej górskiej wiosce omawia nauczyciel ze swoimi chłopcami obraz, który przedstawia wyjście żydów z Egiptu. Widać tam faraona, dostojnych dygnitarzy, strojnych egipskich obywateli, bardzo wielu żydów i jeszcze więcej ubogich niewolników odzianych tylko do pasa. Nauczyciel każe sobie objaśniać poszczególne postacie. A więc Faraon! Dostojnicy! Egipcjanie! Żydzi!

— Dobrze! A ci ludzie, nadzy do pasa?

Długotrwałe namysły i narady. Wreszcie zgłasza się Kasperek:

— To som ano letniki.

❇

Nauczyciel: — Powiedz mi, kiedy zrywa się jabłka?

Uczeń: — Gdy psy są na uwięzi.

PRAWDA MYŚLIWSKA.

Myśliwy: — Zaręczam wam, moi panowie, że zeszłego roku biłem za jednym strzałem trzy zające...

— Jakto? Czy to możliwe?

— Słowo wam daję! To było tak: jednego trafił nabój, drugi zdechł ze strachu, a trzeci utopił się z żalu po stracie towarzyszów.

NA LEKCJI GEOGRAFII.

Nauczyciel: — Który z was powie mi, gdzie jest południe?

Uczeń: — Południe jest tam, gdzie obiad jedzą...

Nauczyciel: — Źle! Następny! Gdzie jest Jamajka?

Uczeń: — U mego ojca w kredensie.

W SĄDZIE.

Sędzia: — A więc znaleziono was w nocy w sklepie z tytoniem. Jak to wytłumaczycie?

Włamywacz: — Chciałem sobie wziąć parę cygar, które chętnie palę.

Sędzia: — Tak? ale jednocześnie włamaliście się do kasy!

Włamywacz: — A właśnie chciałem wrzucić do niej pieniądze za te cygara.

DWÓCH CHORYCH.

Dwóch razem mieszkających przyjaciół postanowiło zaprzestać pić wódkę, a tylko na wypadek zasłabnięcia zachowali jedną flaszkę. Już w trzecim dniu mówi jeden z nich:

— Józek, mnie jest dzisiaj jakoś niedobrze. Boję się febry, napiłbym się wódki.

— Spóźniłeś się, bo ja cały dzień byłem wczoraj chory.

ZŁY POCZĄTEK.

Kłótliwa i wiecznie niezadowolona żona, oglądając kupioną przez męża na jarmarku chustkę, mówi gderliwie:

— Ach ty zawsze wybierasz, co najbrzydsze i najgorsze!

— Niestety — mówi mąż — bo już żeniąc się z tobą byłem taki.

❇

— Co pan woli, jeść siano, czy świeżą trawę?

— Ależ dziecko, tym żywią się tylko zwierzęta!

— No, przecież tatuś właśnie mówił o panu, że jest osłem.

Bolszewickie zbiórki zboża

Z broszury: *„Pańszczyzna w Sowietach“*,

Po sprzeczkach i kłótniach między sobą bolszewicy ostatecznie zdecydowali, że nie ma co płacić chłopom za ich produkty. Lepiej produkty te brać *za darmo, rekwirować*.

W lecie każdego roku bolszewicy ustalają, ile i jakich produktów rolnych ma być zebrane (zarekwirowane) u chłopów w każdej gminie, powiecie, gubernii i całym państwie. Bolszewicy z góry nakazują chłopom dostawić zboże według ich teoretycznych obliczeń, nie licząc się z tym, czy chłopom zostanie co na wyżywienie rodziny, inwentarza i zasiew. To też wieś rok rocznie głoduje po takich rekwizycjach, a stan zasiewu jest coraz gorszy. Pomysł bolszewicki korzystania z „nadwyżek zbiorów“ jest w sprzeczności z właściwym stanem wsi rosyjskiej.

Na wielkich obszarach Sowietów są całe kraje bardzo urodzajne, które dawniej były jakby spichlerzami i dostarczały produktów nie tylko na wyżywienie całego państwa, lecz i na wywóz za granicę. Do takich należała przede wszystkim Ukraina, kraje Nadwołżańskie, południowe gubernie środkowej Rosji, południowa Syberia.

Inne okolice mają znów bardzo nędzną glebę, nieurodzajną, w dodatku są gęsto zaludnione. Chłopi tych okolic, najczęściej małorolni, nie tylko nie mieli i nie mają żadnych „nadwyżek“ produktów rolnych na sprzedaż, ale produktów tych nie starczyło im i nie starczy nawet na wyżywienie swych rodzin. Do takich okolic należy kilka gubernii środkowej Rosji. Jeżeli weźmiemy taką naprzykład gubernię kałuską czy włodzimierską, to istniejące tam kilkomorgowe karłowate gospodarstwa służyły chłopom i ich rodzinom tylko za oparcie i schronienie na zimę. Właściwym zajęciem chłopów tych okolic były i są najrozmaitszego rodzaju rzemiosła i stałe, coroczne wędrówki na różne roboty do innych gubernij i do miast. Chłopi jednych powiatów zajmowali się wyrobem skór, kożuchów; innych znów krawiectwem, szewstwem, koszykarstwem, zabawkarstwem, wyrobem noży, zamków i t. p. Naprzykład, chłopi guberni kałuskiej corocznie wędrowali po krajach i zatrudniani byli przy kopaniu rowów, torfu, karczowaniu lasów, tłuczeniu kamieni, przy robotach w polu. Narówni z mężczyznami na zarobki wędrowały i kobiety. W domu pozostają tylko starcy, dzieci i jako głowa domu żona udającego się na zarobki chłopa. Całe bogactwo gospodarstw chłopskich stanowi jedna — dwie krowy, dla których paszę zazwyczaj kupują. Jeden koń wypada na dwa — trzy gospodarstwa. Własnych produktów na życie wystarcza im zaledwie na kilka pierwszych miesięcy po zbiorach. Zwykle na zimę chłopi powracają do domów i żyją wraz z rodzinami z zarobków, zdobytych po za domem. Na wiosnę znów wedruia.

O jakichkolwiek *„nadwyżkach“* zbiorowych w takich gospodarstwach chłopskich nie może być mowy. Jednak w 1929 roku wobec głodu, panującego w miastach, bolszewicy wydali „ukaz“, że wszędzie, gdzie tylko chłopi mieszkają i mają gospodarstwa, chociażby gospodarstwa te składały się z 2 do 3 morgów lotnych piasków lub bagien — „nadwyżki“ zboża być muszą. Trzeba je tylko umieć wydobyć. A już „wydobyć“ i wycisnąć z chłopa bolszewicy potrafią.

Do zbiórki produktów rolnych od chłopów, do przeprowadzenia t. zw. *„chlebozagotowok“* powołane są specjalne urzędy: Związek zbożowy, Związek mięsny i inne (po bolszewicku: Sojuzchleb, Sojuzmias), których agenci grasują po wszystkich zakątkach kraju. Do pomocy tym urzędom w czasie przeprowadzania rekwizycyj (od sierpnia do kwietnia) komuniści mobilizują całą partię, wszystkie bez wyjątku urzędy sowieckie, kooperatywy, robotnicze związki zawodowe. Po całym związku sowieckim rozjeżdżają uzbrojeni agenci wymienionych organizacyj, całe „brygady robotnicze“ zbierają, a właściwie rabują nie tylko rzekome „nadwyżki“, lecz wszystko, co tylko chłopi mają i czego nawet nie mają. Może to wydać się żartem i przesadą, żeby u chłopa zabrać to, czego on nie posiada, lecz komuniści, jak się o tym przekonamy, i takie rzeczy potrafią.

Do wsi *Peszczanki* (w gub. kałuskiej) przyjechał taki bolszewik „zagotowitiel“ zbożowy, opatrzony nieograniczonymi pełnomocnictwami. Zbiera on chłopów i wydaje rozkaz, ażeby w ciągu 3 dni dostarczyli

oznaczoną ilość zboża. Na podstawie spisu gospodarstw kontrybucję tę rozkłada na poszczególne gospodarstwa: kułackie, zamożne, średnie i biedackie. Oczywiście na pierwszy ogień idzie „kułak“ Wołkow. Posiada on półtorej dziesięciny ziemi (dziesięcina równa się prawie 2 morgom), w tym pół dziesięciny siedliska z ogrodem i 1 dziesięcinę ziemi ornej, poza tym dom, chlewek i 1 krowę. To całe jego „bogactwo“. Dlaczego więc „kułak“? A z tego powodu, że przed rewolucją miał 15 dziesięcin ziemi, parę koni, kilka krów. Był pracowitym i zaradnym. Jak na ówczesne stosunki gub. kałuskiej, gdzie większość stanowiły kilkomorgowe gospodarstwa, Wołków był istotnie zamożnym chłopem i zajmował się wyłącznie gospodarstwem. Po rewolucji przeprowadzono nowy podział gruntów we wsi, Wołkowowi odebrano inwentarz, zabudowania, pozostawiając zaledwie półtorej dziesięciny ziemi, na której wybudował chałupę, chlewek i żył, ciężko pracując.

Przybyły bolszewik zdecydował, że Wołkow posiada „nadwyżki“ 100 pudów zboża, które ma oddać państwu proletariackiemu (pud = 16 kilogramom). Wołkow nawet nie protestuje i nie prosi. Wszelkie protesty i prośby „kułackie“ mogłyby mieć wprost odwrotny skutek. Protestuje „biedota wiejska“: „Jakżeż, towarzyszu, nałożyliście na niego 100 pudów zboża, jako nadwyżki poza jego potrzebami, kiedy on i trzeciej części tej ilości nie zebrał. Miał zasiane pół dziesięciny żyta. Jak na nasze grunty, to zebrał 23—30 pudów. Skąd on weźmie dla was 100 pudów? A z czego będzie żył? Prawda, kiedyś był kułakiem, ale dziś ziemią jego podzielili się inni. Zresztą, będąc kułakiem, nikogo nie wyzyskiwał, był uczynnym sąsiadem, ile mógł to biedniejszym pomagał. Dziś taki on kułak, jak i my wszyscy. Nie można, towarzyszu, tak krzywdzić człowieka i wymagać od niego, czego on nie ma“.

„Towarzysza“ nie przekonują prośby biedaków. Wrzeszczy: „Cicho tam, podkułaczniki, milczeć! Wy wszyscy nie macie, znamy się na tym. Powiedziałem, że ma dostarczyć 100 pudów i koniec. Niech spod ziemi wykopie, a dostarczy, to nie moja rzecz. Ja swoje zadanie wykonam. Mam zebrać tyle to tysięcy pudów zboża i zbiorę“.

Zresztą dla „średniaków“ i „biedoty“ towarzysz wcale nie był łaskawy. Wiadomo,



że to wszystko, nędza, że żyje z zarobków sezonowych, gospodarstwa ich samych wyżywić nie mogą. Bolszewicy sami o tym dobrze wiedzą. Ale w miastach głód. Co będzie, gdy zgłodniali robotnicy — proletariat miejski podniesie bunt? *Trzeba chłopu odebrać ostatni kęs chleba, ażeby zatkać gardło zgłodniałemu miastu.* Więc się chłopom ten ostatni kęs chleba wydziera. Z niezorganizowanym, rozbitym chłopstwem można łatwiej dać sobie radę.

Produkty rolne rabują komuniści od chłopów nie tylko na wyżywienie miast. Potrzebne są one jako surowiec do fabryk, na wywóz za granicę, na kupno maszyn, no i na agitację w krajach „kapitalistycznych“, na rewolucję wszechświatową, bo za sowieckie ruble, które za granicą nie mają prawie żadnej wartości, rewolucji wszechświatowej zrobić nie można. Na to potrzebne są dolary, a dolary otrzymać można tylko za zrabowane chłopom produkty.

Gdy przybyły „towarzysz“ wyznaczone na wieś zboże rozłożył na kułaków, średniaków i biedaków — w tłumie chłopów podniosły się głosy oburzenia: „Jakżeż, towarzyszu! Gdybyśmy wszystkie swoje zbiory oddali, to i tak nawet połowy tego, co od nas żądacie, nie zbierzemy. A z czego wraz

z rodzinami przez cały rok żyć będziemy? Czy wyście rozum i sumienie postradali? Tak nie może być. Musi być przecież jakaś wyższa władza, która wejdzie w nasze położenie i na takie rzeczy nie pozwoli. Powiedzcie, do kogo możemy wnieść zażalenie?

Bolszewik odpowiedział: „Zboże ma być dostarczone w ciągu 3-ch dni bez żadnych wymówek i wykrętów. Skarżyć się możecie, owszem. Przychodźcie do powiatu, tam jest „*trójka*“ naszych towarzyszy, która takie „skargi“ rozpatruje. Tylko radzę wam: idąc do miasta za skargami i żalami, na wszelki wypadek zabierzcie ze sobą chleba na zapas. *Mieszkanie i wodę do picia to już my wam* dostarczymy bezpłatnie“.

Nie tylko bezpłatne „mieszkanie i wodę“ (t. zn. czerezwyczajkę) mają bolszewicy dla chłopów. Mają jeszcze i inne sposoby „przekonywujące“. Więc chłopi i nie skarżą się. Poco to i naco? Przynajmniej „kułak“ Wołkow nie myślał nawet o proteście. Na drugi dzień poprowadził ostatnią krowinę do miasta, tam oddał ją do kooperatywy komuniście za cenę wyznaczoną przez państwo proletariackie, to jest za bezcen. Za otrzymane pieniądze skupował, gdzie mógł, zboże, oczywiście potajemnie i nielegalnie, płacąc po 6 rubli za pud. W ten sposób zebrał coś około 25 pudów. Do ostatniego snopka wymłócił cały swój zbiór, z tego otrzymał 30 pudów. Te 55 pudów włożył na wóz, wziął zaświadczenie z Rady wiejskiej, jakie ma gospodarstwo i ile zebrał z niego zboża i z tym wszystkim pojechał do miasta, dokąd wszyscy chłopi z okolicy obowiązani byli zwozić zboże. Oddał 55 pudów, otrzymał kwit, który wraz z zaświadczeniem przedstawił odpowiednim władzom, oświadczając: „To wszystko, co miałem swego i co udało mi się kupić za sprzedaną krowę. Brakujących 45 pudów nie mam skąd wziąć. Róbcie ze mną, co chcecie“.

Tak to bolszewicy potrafią wydobyć i zabrać chłopom nawet to, czego nie mają.

„Wieczerniaja Moskwa“ z dnia 21 grudnia 1929 r. pod tytułem „Za kontrrewolucyjną agitację“ pisze:

„1 października na zebraniu włościan we wsi Słoboda z wyjaśnieniami o zbiórce nadwyżek zbożowych wystąpił sekretarz Borodyńskiej komórki partyjnej, tow. Pietrow, zaznaczając, że chociaż zbiórka tych nadwyżek jest akcją dobrowolną, to jednak włościanie powinni przyjąć i wypełnić w całości nałożoną na nich ilość zboża. Jeden z włościan — Kryłow — wystąpił z oświadczeniem: „Bardzo dobrze, że towarzysz wyjaśnił nam wszystko dokumentnie. Skoro dobrowolnie, to zbierzemy dla państwa tyle zboża, ile będziemy w możności. A nałożono na nas stanowczo za wiele, tyle zebrać nie będziemy w stanie“. Na skutek wystąpienia Kryłowa włościanie postanowili: nałożoną na wieś ilość zboża, jako przekraczającą ich możliwości, uchylić; każdy gospodarz ma wywieźć dla państwa tylko istotne nadwyżki posiadanego zboża“.

„Kryłow *za kontrrewolucyjną* agitację został oddany pod sąd. Sprawa Kryłowa rozpatrywana będzie przez Sąd Okręgowy pod przewodn. tow. Berdennikowa w mieście Nowo-Pokrowsku...“

Chłop „dobrowolność“ i „nadwyżki“ bolszewickie zrozumiał po swojemu, po chłopsku. Ani się obejrzał, jak posadzono go na ławie oskarżonych o kontrrewolucję. A za to kara śmierci, lub conajmniej kilka lat ciężkiego więzienia.

Taż sama gazeta w innym miejscu podaje: „W odpowiedzi kułakom. Ogólne zebranie biedaków i średniaków wsi Czebotarychy i Kujtuna Okręgu Tulinowskiego w odpowiedzi *na rozstrze-*



Ogonki przy sklepach sowieckich.

lanie 7 kułaków postanowiło zorganizować czerwony obóz zbożowy w liczbie 120 wozów i dostarczyć do magazynów państwowych 2 tysiące pudów zboża".

Ano, niechby spróbowali nie zorganizować „czerwonego obozu" i nie dostarczyć zboża „*dobrowolnie*". W ślad za 7-miu rozstrzelanymi „kułakami" *rozstrzelanoby 70 innych* pierwszych z brzegu chłopów. Podobne wiadomości od czasu do czasu drukowane są w gazetach bolszewickich dla wywołania „dobrowolnego, żywiołowego" organizowania czerwonych obozów ze zbożem dla państwa proletariackiego. A wogóle tak, na codzień, chłopi rozstrzeliwani są bez rozgłosu, bez sądów i ogłaszania o tym w gazetach.

U bolszewików wszystko nazywa się „*czerwone-krasnoje*": czerwony obóz, czerwone zboże, czerwone państwo proletariackie. I słusznie! Bo wszystko to oblane jest nie tylko potem i łzami, lecz i krwią tysięcy i milionów rozstrzeliwanych i mordowanych chłopów rosyjskich.

Tak zbiera się zboże w okolicach „spożywczych", które nigdy *żadnych nadwyżek na zbycie nie miały*, gdzie żyli z zarobków postronnych i w ciągu całego roku wszystko do życia kupowali.

Jeszcze surowiej i bezwzględniej dokonywane są „chlebozagotowki" w tych krajach, które w zwykłych, przedwojennych warunkach nadwyżki te posiadały. Bo tam chłopi kiedyś byli istotnie zamożniejsi, gospodarstwa rolne całkowicie ich utrzymywały; gdzie 30—50% gospodarstw, a nawet całe wsie zaliczone są obecnie jako kułackie. W tych okolicach po zebraniu przez bolszewików „nadwyżki" nie pozostaje zupełnie nic, jak po przejściu szarańczy.

Po jakim tygodniu — dwóch od chwili dotarcia do wiosek wysłanych „zbieraczy" zboża i całych „brygad robotniczych" po całym kraju, jak długi i szeroki, po wszystkich drogach, szosach do wszystkich miast i miasteczek, stacyj kolejowych, przystani rzecznych, dniem i nocą, *pod konwojem, popędzane* przez oprawców stalinowskich, ciągną nieskończone szeregi furmanek chłopskich, całe obozy ze zbożem dla „proletariatu".

Gdy zacznie się zbieranie od chłopów zboża — przy każdym punkcie przeznaczonym na składnicę, przy każdym prawie urzędzie w gminie, powiecie, gubernii wywieszane są „*czerwone*" *i* „*czarne*" *tablice*. Na jednych zapisywane są wsie, gminy i powiaty, nazwiska kierowników „chlebozagotowok", które wyprzedzają inne w dostawach zboża; na drugich tablicach, „czarnych", miejscowości opieszałe, „sabotujące" poczynania partii i władzy sowieckiej. Do tych ostatnich miejscowości wysyła się z miast nowe brygady robotnicze do pomocy poprzednio wysłanym.

Cała prasa bolszewicka od głównych organów partyjnych i rządowych począwszy, a na ostatnim świstku skończywszy, wyprawia istne orgie, alarmy, szczucia przeciwko chłopom: „Chłopi pod kierownictwem kułaków i podkułaczników złośliwie niszczą swoje zbiory, pozostawiają na pniu; wymłócone zboże nocami zakopują do ziemi, po lasach; wywożą na sprzedaż prywatnym spekulantom; *chłopi zaprzysięgli się wygłodzić proletariat*. Nasza partia i rząd nie dopuszczą do tego. Zorganizowany proletariat pod wodzą Stalina da należyty odpór swym śmiertelnym wrogom klasowym — kułactwu i tym wszystkim, którzy idą na pasku kułaków. Wszyscy na front chlebozagotowok! Na front!"

Taka jest treść wszystkich gazet bolszewickich (a innych przecież nie ma) w całym państwie w czasie kilkomiesięcznej zbiórki



Trupy ludzi zmarłych z głodu w Rosji Sow.

zbożowej. To się nazywa „mobilizowanie wszystkich sił partyjno-sowieckich i społeczności proletariackiej“ na rachunek chłopów.

Na „front chlebozagotowok“, straszone widmem głodu, wyruszają coraz to nowe i nowe, uzbrojone od stóp do głów w rewolwery, granaty ręczne i karabiny maszynowe, brygady robotnicze, z fabryk, kopalń, urzędów.

Chłopi *pod batem* zbierają zboże z pola, *pod batem* młócą, *pod batem* ładują na furmanki i *pod batem* całymi „czerwonymi obozami“ odwożą do składnic rządowych. Jedni „zbieracze“ zboża i całe ich brygady za pośrednictwem gazet bolszewickich wyzywają innych na wyścigi, do „współzawodnictwa socjalistycznego“, kto prędzej i kto więcej zboża ściągnie od chłopów.

To dzikie, *opętane „współzawodnictwo“* rabunkowe gazety bolszewickie urządzają pomiędzy poszczególnymi powiatami, guberniami i prowincjami. Nikt nie może, nie śmie uchylić się od tego *bolszewicko-azjatyckiego „współzawodnictwa“*. Te nieliczne jednostki spośród wysłanych na rekwizycje zboża, które by chciały rekwizycje przeprowadzić w sposób możliwie przyzwoity, licząc się z potrzebami samych chłopów, z koniecznością pozostawienia im przynajmniej niewielkiej ilości zboża na przeżycie, piętnuje się jako ludzi chwiejnych, niekomunistów, którzy poddają się wpływom żywiołu chłopskiego, jako *nieuleczalnych prawicowców.*

Odwołuje się ich, zastępując bardziej energicznymi, „twardymi, nieugiętymi komunistami“. Za powolne ściąganie od chłopów zboża, rozpędza się całe Komitety Wykonawcze różnych stopni, pociąga do odpowiedzialności kierowników organizacyj partyjnych, spółdzielczych. Codziennie prasa bolszewicka zamieszcza obszerne wiadomomości z „frontu chlebozagotowok“, wyniki współzawodnictwa. Szafują napomnieniami, naganami dla pozostających w tyle; wyróżnieniami, pochwałami, zachętą dla przodujących, *gorliwych oprawców chłopów.*

Za zboże bolszewicy płacą chłopom przeciętnie po rublu za pud, wówczas gdy cena rynkowa wynosi 5 rubli i drożej. Jeżeli chłop nie dostarczy nałożonej na niego kontrybucji zbożowej, bo najczęściej tyle zboża nie posiada, przeszukuje się wszystkie skrytki, rozkopuje ziemię, czy gdzie nie ukrył, przeprowadza dochodzenia, śledztwa, areszty. Gdy nawet nie znaleziono rzekomo ukrytego zboża, to okoliczność ta wcale nie ratuje chłopa. Wszystko jedno winien jest, bo nie oddał tego, co miał wyznaczone. Przypuśćmy, że na chłopa nałożono 300 pudów zboża. Pod nadzorem „chlebozagotowitielej“ wymłócił wszystko zboże i okazało się tylko *200* pudów (w wielu wypadkach bolszewicy jeżdżą po wsiach z młocarniami parowymi, zbiory chłopskie młócą, tuż ładują na furmanki i odwożą do składnic). Za pozostałe niedostarczone *100* pudów nakłada się karę, licząc po 5 rubli za pud, co wynosi 500 rb. Za dostarczone 200 pudów należy się chłopu 200 rubli, za rzekomo „ukryte“ 100 pudów chłop ma zapłacić 500 rubli „kary“, czyli po oddaniu wszystkiego, co miał, nic za to nie otrzymawszy, chłop pozostał winien *bolszewikom na czysto 300 rb.* Za ten „dług“ licytuje się chłopu lub wprost zabiera inwentarz żywy i martwy, a gdy nie starcza, to i budynki.

Chłop winien się czuć zadowolony i szczęśliwy, jeżeli tylko na tym się kończy, jeżeli nie zostanie uznany za „wroga partii, klasy robotniczej i państwa proletariackiego“, za sabotażnika i jako taki nie zostanie aresztowany, rozstrzelany lub też zesłany do ciężkich robót.

Te sumy, które bolszewicy wypłacą chłopom za dostarczone zboże, *z nawiązką odbierają chłopom* z powrotem jako karę za nieistniejące w ogóle, rzekomo ukryte zboże.

Nie masz to, jak bolszewicki „handel“ z chłopami! Któż im dorówna? Taki sposób obrotu „handlowego“ między wsią a miastem, bolszewicy nazywają jakby na kpiny: *„nową socjalistyczną łącznością miasta ze wsią“*, — po rosyjsku „nowaja socjalisticzeskaja smyczka goroda z derewniej“.

Jednocześnie z „czerwonymi obozami“ ze zbożem, przed i poza nimi, gnane są *stada bydła* chłopskiego za niedodane — „ukryte“ zboże, pod konwojem pędzeni są chłopi — „sabotażniki“. Jednymi pociągami odwożą zrabowane zboże, drugimi „opornych“, sabotujących chłopów do więzień, na osiedlenie, do ciężkich robót. Tak musiały wyglądać chyba tylko *najazdy dzikich hord tatarskich w wiekach średnich.*

Jeżeli nawet w jakiejś gminie czy powiecie zbiórka zboża przeprowadzona została względnie łagodnie, jeżeli pomimo ujadania i szczucia gazet bolszewickich, chłopom pozostawiono pewną ilość zboża na przeżycie

i zasiew wiosenny, to resztki te są tak nieznaczne, że starczyłyby chłopu na przeżycie wraz z rodziną najwyżej na 2—3 miesiące. Widziałem jak chłopi po przeprowadzeniu „chlebozagotowok“ już w grudniu, piekąc chleb, do mąki dosypywali różne odpadki zbożowe. Liczyli, że w ten sposób na pozostawionych im resztkach zboża dłużej pociągną.

O ile w krajach burżuazyjnych przednówek chłopski zaczyna się na wiosnę, niekiedy od marca, to dla chłopów sowieckich przednówek ten zaczyna się zaraz po zbiorach. A trwa okrągły rok. *S. Przybylowski.*

Terror w Rosji Sowieckiej



Czy życie nie jest pełną znojów wspinaczką ku szczytom doskonałości.

Z ciekawej książki F. Olechowicza: „Prawda o Sowietach“, przytaczamy parę ustępów, ilustrujących stosunki w Rosji sowieckiej:

„INSCENIZACJE“.

Zdarzało się też, że opornego w zeznaniach więźnia, gdy nawet stosowanie karceru nie mogło zeń nic wydobyć, „brano na kawał“ — a mianowicie urządzano swego rodzaju inscenizację: wiązano, wieziono skrępowanego do lasu i tu, nad wykopanym dołem, przystawiano mu do głowy lufę rewolweru, żądając zeznań i obiecując darować życie w razie posłuchu.

Siedział w naszej celi niejaki Wołk-Michajłow, młody chłopak, zdecydowany kontr-rewolucjonista. — Pewnego wieczora wezwano go na korytarz...

Wrócił po paru godzinach blady, z wyrazem obłędu w oczach, z przebiegającymi po ciele nerwowymi dreszczami. Nic na razie nie mogliśmy się odeń dowiedzieć, co z nim się działo? Dopiero nazajutrz, gdy nieco się uspokoił, opowiedział nam o swojej wczorajszej podróży na Komarówkę.

W parę miesięcy potem rozstrzelano go.

PSYCHOZA.

W takich warunkach życia u wielu z nas zaczęły się objawy psychozy. Jeden z nas, spacerując po podwórku, usiłował wszystkie napotykane kałuże błotne przekraczać prawą nogą, będąc przekonany, że skoro uczyni to lewą, będzie niezawodnie rozstrzelany. Inny unikał zakładania rąk za plecy, przypuszczając, że może to sprowadzić wyrok śmierci. Inny jeszcze, kładąc się do snu, ustawiał na noc swe buty nosami ku drzwiom, będąc przeświadczony, że niestosowanie się do tego przyniesie mu nieszczęście. Gdy pewnego razu przez roztargnienie zapomniał ustawić swe buty w należytym kierunku, zbudził się

śród nocy i przerażony co rychlej naprawił swoje uchybienie.

Wszyscy niemal miewaliśmy koszmarne sny. W nocy wciąż słychać było krzyki i jęki przez sen. Wstrząs systemu nerwowego w więzieniach GPU jest tak silny, że nocne koszmary stają się nieodstępnymi towarzyszami na całe życie. Leżąc potem na ogólnych pryczach w obozie sołowieckim, wciąż słyszałem te nocne krzyki więźniów śpiących niespokojnym snem. Ja sam zresztą obecnie, po szczęśliwym wydobyciu się z „państwa dyktatury proletariatu“ niepokoję swych domowników krzykiem w nocy. To śnią mi się badania przez „sędziów“ GPU, to śni mi się turkot auta zajeżdżającego o zmroku po ofiary.

Często słyszeliśmy w sąsiednich celach krzyki wariatów. W mojej celi w moich oczach dostał obłędu pewien młodzieniec, sjonista, wpadając w atak furii. Obezwładniliśmy go i czekaliśmy pół doby nim odesłano go do szpitala.

„WOJKOWCY“

Zima już przeszła, minęła wiosna, zaczęło się lato. W przeludnionych piwnicach stało się duszno nie do wytrzymania. Stale dwóch z nas dyżuruje i, stojąc na pryczach, wymachuje kocem, wywołując w ten sposób przewiew.

Pewnej nocy w pierwszych dniach czerwca, zbudził nas jakiś niezwykły ruch na korytarzu, jakieś głosy, kroki licznych nóg, otwieranie cel. Po chwili drzwi naszej celi się otwarły i wtłoczono nam około dwudziestu nowych lokatorów. Już i bez nich było ciasno, spaliśmy wszyscy pokotem, jeden przy drugim, dusiliśmy się z braku powietrza, — teraz zaś już nawet mowy być nie mogło o tym, by jakoś leżeć. By dać miejsce nowoprzybyłym, musieliśmy wstać ze swych tapczanów, wynieść je na korytarz i ulokowywać się jak kto mógł w przeludnionej celi.

Cóż się stało?

W Warszawie na dworcu kolejowym młodociany monarchista rosyjski, Borys Kowerda, strzelił z rewolweru do posła sowieckiego, Wojkowa. Odbiło się to głośnym echem w całym Z. S. R. R. Nie wiem, czy można znaleźć choć jeden kącik na olbrzymim terytorium państwa socjalistycznego, gdzieby „mszcząca dłoń proletariatu“ nie wtrącała swych „wrogów klasowych“ do więzień, nie wysyłała do północnych tajg, nie rozstrzeliwała. Kto był owymi „wrogami?“ Każdy, kto kiedyś coś posiadał, bądź to dom, bądź przedsiębiorstwa jakieś, każdy też, kto chciał żyć życiem indywidualnym w ciszy swego domowego ogniska, stroniąc od koszarowego życia współczesności sowieckiej, każdy, kto stojąc w nie kończącym się ogonku zgrzytnąć zębami z niecierpliwości — każdy kwalifikował się jako wróg ustroju sowieckiego, każdy był kandydatem na uwięzienie..

Potem na etapach więziennych, a później jeszcze w obozie sołowieckim spotykałem wielu ludzi, którzy na pytanie, za co są skazani, odpowiadali krótko: „jestem wojkowiec“. Ten wyraz „wojkowiec“ tłumaczył wszystko. To znaczy, że winy w danym wypadku doszukiwać się próżno, że był zaaresztowany w okresie teroru, rozszalałego po zabójstwie pełnomocnika sowieckiego i dziś pokutuje w kazamatach jako „współwinowajca“ Kowerdy.

„MIECZ REWOLUCJI“

Cała Rosja żyje pod znakiem współzawodnictwa socjalistycznego i „udarniczestwa“ — wyścigu pracy. Każdy robotnik, każdy urzędnik, każdy, kto pracuje w jakimkolwiek kolektywie, winien jest wytwarzać nie tyle, ile wymagają od niego bezpośrednie jego obowiązki, lecz znacznie więcej. Owa nadwyżka pracy nosi pozornie charakter dobrowolny, stwarza ją rzekomy entuzjazm „mas“ — w istocie zaś jest inicjowana z góry i „aprobowana jednomyślnie“ przez steroryzowane masy. I wszyscy wszędzie pracują w jakimś szalonym tempie. Że w owym wyścigu pracy cierpi jakość produkcji — nie ulega to żadnej wątpliwości.

Tak też pracują i agenci GPU — instytucji, którą bolszewicy nazywają dumnym mianem „miecz rewolucji“. Pracują, rywalizując między sobą, kto z nich załatwi więcej spraw politycznych, który z nich będzie miał na swym sumieniu więcej złamanych istnień ludzkich. Byle więcej, byle srożej, byle bezlitośniej; litość bowiem w społeczności gepistów (czekistów) traktowana jest nie jako dodatnia cecha charakteru ludzkiego, lecz — wręcz przeciwnie — jako wada, jako burżuazyjne dziedzictwo.

„SAMORUBY“

W jednej z izb barakowych był t. zw. „okołodok“, t. j. ambulatorium dla przychodzących chorych. W razie pojawienia się obłoż-

nie chorych tam też stawiano tapczany i lokowano nieszczęśników. Na czele tej instytucji stał „lekpom“, t. j. felczer. Jaka była jego wiedza medyczna — wyrokować trudno. Medykamenty, którymi rozporządzał, składały się z jakichś proszków różowego koloru i dwóch rodzajów płynów. Były to środki wewnętrzne. Była też jodyna i jakieś szmaty, zastępujące bandaże. Codziennie przed wyjściem na roboty, po uderzeniu pierwszego dzwonu, przed drzwiami „ambulatorium“ stała kolejka chorych, pragnących otrzymać zwolnienie od pracy. Zwolnienie i to na jeden dzień otrzymywało się jedynie przy stwierdzeniu gorączki — co najmniej 38 stopni. Bóle reumatyczne (dość częste) lub inne choroby, przy których temperatura była normalna, nie zwalniały od pracy.

Doprowadzeni do rozpaczy ludzie dostawali pewnego rodzaju psychozy, która stawała się epidemiczna. Niezdolny do wykonania zadanej mu pracy, a wiedząc, co mu za to grozi, więzień w przystępie szału bezsilnej wściekłości kładł na pniu swą lewą rękę i obcinał siekierą palce, które rzucał w twarz dozorcy lub dziesiętnikowi, krzycząc: „Masz, potrzebne wam moje ręce robocze, więc sam czynię siebie niezdolnym do pracy“. Zdarzały się wypadki, że szaleńcy odrąbywali całą kiść lewej ręki. W lesie przy robocie nie było pomocy lekarskiej nawet takiej, jaką mieliśmy w obozie, w barakach. Toteż broczący krwią więzień własnymi szmatami od swej bielizny przywiązywał ranę i wracał do obozu.



Hasło bezbożników: usuwać krzyż.

Komunizm a religia

Komunizm, podobnie zresztą jak socjalizm, którego jest przyrodnim bratem dopóki nie czuje się jeszcze dostatecznie mocnym, by przejść do rewolucji politycznej, maskuje swą pracę hasłami bardzo liberalnymi i nie odsłaniającymi jego prawdziwego oblicza i zamiarów.

W kraju gdzie religia jest silnie zakorzenioną, komuniści nie zaczynają od zwalczania religii, gdyż zaraz by się odsłonili, ale występują przeciw duchowieństwu, posądzając je o wygodnictwo życia, o skąpstwo i chciwość, jednocześnie osłabiają siły moralne ludu przez szerzenie alkoholizmu, rozpusty, wolnej miłości, niemoralnych książek i prasy. O religii zaś mówią w początkowej fazie, że jej nie ruszają, bo zostawiają każdemu wolność sumienia. Tymczasem oficjalna, a przy wzmocnieniu swych sił w danym kraju brutalnie praktykowana nauka głosi wręcz co innego. Oto dowody.

W książce „A B C komunizmu“ Bucharina czytamy:

„W praktyce, komunizm jest nie do pogodzenia z religią. Taktyka partii komunistycznej zaleca swym członkom pewien odmienny rodzaj postępowania, moralność zaś religii inny. Między wskazaniami taktyki komunistycznej a nakazami religii istnieją przeciwieństwa nie dające się wyrównać. Komunista, działający według dyrektyw partii przestaje być wierzącym i musi odrzucić przykazania Boże. Natomiast wierzący, podający się za komunistę, ale który nie wypełniłby rozkazów partii w imię zasad religii przestaje być komunistą“.

Oto wyjaśnienie jeszcze bardziej dobitne i oficjalne, bo z ust Łunaczarskiego, ówczesnego ministra oświaty w Sowietach:

„Nienawidzimy chrześcijaństwa i chrześcijan: nawet najlepsi spośród nich muszą być przez nas uważani za najgorszych wrogów. Głoszą oni bowiem miłość bliźniego i miłosierdzie, co jest przeciwne naszym zasadom. Miłość chrześcijańska jest przeszkodą na drodze rozwoju rewolucji. *Precz z miłością bliźniego: nienawiści nam potrzeba!* Musimy się nauczyć nienawidzić, bo tylko za cenę nienawiści zdobędziemy świat. Skończyliśmy z królami ziemskimi, załatwimy się teraz z Królami niebios. Życzę z całego serca pismu „Bezbożnik“ pełnego sukcesu w walce z obrzydliwym straszakiem Boga“.

Odsunąwszy Boga, nie krępowali się już niczem bolszewicy. Zgładzili więc bez skrupułów tych, którzy im byli niewygodni. Warto przypomnieć, bo się o tym jakoś dziwnie szybko zapomina, że do 1923 r. zostało wymordowanych dziesiątki biskupów, 1.215 kapłanów, 1.962 zakonników, 3.447 zakonnic, 6.575 profesorów, 8.800 lekarzy, 54.850 oficerów, 260.000 żołnierzy, 105.000 oficerów policji, 48.000 żandarmów, 12.850 urzędników, 355.250 osób z inteligencji, 192.000 robotników, 815.000 wieśniaków.

Cyfry te do dzisiejszej daty należałoby przemnożyć przez 40—50% zwłaszcza co się tyczy włościan, których miliony zginęły w czasie dwóch głodowych okresów.

Dziś Hiszpania unaoczniła zachodniej Europie to, czegośmy Polacy byli świadkami w Rosji w 1917/21 r. Barbarzyństwo komunistów i anarchistów w Hiszpanii w niczym nie ustępuje wyczynom bolszewików w Sowietach. I nie ma się co dziwić, skoro Sowiety posłały do Hiszpanii swoich specjalistów do robienia rewolucji i rzezi. Jak wiadomo, zaczęli komuniści hiszpańscy pod kierunkiem emisariuszy bolszewickich od kościołów i księży. Nazywało się to jednak ciągle, że komuniści „nie walczą z religią“. Wilki w owczej skórze!

Naród rosyjski w żydowskiej niewoli

Bardzo często można się było spotkać na łamach prasy polskiej z opinią, że Stalin odżydza Sowiety. Dowodem na to miały być fakty usuwania żydów z różnych wybitnych stanowisk w ZSRR oraz okoliczność, że wśród skazanych w głośnych procesach byli również żydzi. Mylnym tym poglądem zajęła się „Myśl Narodowa“, która w artykule pod tytułem „Czy Stalin odżydza“ danymi statystycznymi udowadnia, że liczba żydów na najwyższych stanowiskach w Rosji Sowieckiej za Stalina znacznie się zwiększyła. Za Lenina ilość żydów na najwyższych stanowiskach wyrażała się liczbą 80.9%, zaś za Stalina wzrosła do 95.9%. I tak na dwu członków Sekretariatu Centr. Kom. Komun. Partii WKP (b) jest jeden żyd, w Biurze Organicyjnym Centr. Komitetu Komun. Partii WKP (b) 4 żydów i jeden nie-żyd, w Centr. Komisji Rewizyjnej przy Centr. Komitecie Partii Kom. WKP (b) sami żydzi w liczbie 11, w Komisji Kontroli Partii Komun. przy Centr. Komitecie Partii Komun. również sami żydzi w liczbie 27, w Komisji Kontroli przy Radzie Komisarzy Ludowych ZSRR 34 żydów, a 6 nie-żydów, w Komisariacie Ciężkiego Przemysłu sami żydzi w liczbie 20, w Komisariacie Lekkiego Przemysłu również sami żydzi w liczbie 7, w Komisariacie Przem. Leśnego 7 żydów, jeden nie-żyd, w Komisariacie Sowchozów sami żydzi w liczbie 8, w Komisariacie Rolnictwa sami żydzi w liczbie 8, w Komisariacie Finansów sami żydzi w liczbie 13, w Banku Państwa 2 żydów, w Komisariacie Handlu Zagran. 25 żydów, w Komisariacie Zaopatrzenia 15 żydów, jeden nie-żyd, w Centr. Zw. Spółdzielni Spożywców 5 żydów, w Naczelnym Arbitrażu 4 żydów. w Prokuraturze 4 żydów i 2 nie-żydów, w Komisariacie Spraw Zagran. 122 żydów, 9 nie-żydów, w Komisariacie Planowej Gospodarki Państwowej 14 żydów, 1 nie-żyd, we Wszechrosyjskim Centr. Kom. Wykon. sami żydzi w liczbie 21, w Komisariacie Spraw Wewn. (dawniej GPU) sami żydzi w liczbie 68, w Urzędzie Politycznym Czerw. Armii 22 żydów, w Centr. Radzie Zw. Wojujących Bezbożników 30 żydów, w Głównym Urzędzie Przemysłu Filmowego 12, w redakcji najważniejszych pism 13, w Międzynarod. Instytucie Zdrowia 3 żydów. *Ogółem na najważniejszych stanowiskach jest 581 żydów, 25 nie-żydów.* Żydzi zajmują zatem 95.9% najwpływowszych stanowisk.

—o0o—

Dyktatura nad proletariatem

Książka St. Łakomskiego: „Z przeżyć i doświadczeń robotnika polskiego w Zw. S. S. R.“, który po kilku latach powrócił z Rosji Sowieckiej, zawiera dużo materiału o stosunkach w Rosji Sowieckiej. Że nie są one różowe, np. dla robotników, świadczą o tym poniższe dwa ustępy:

UCIECZKA ZE ZWIĄZKU ZAWODOWEGO

Zasadniczo trzeba sobie jedno zadać pytanie, do czego w sowieckim państwie służy Zawodowy Związek Robotniczy? kogo on broni i przeciw komu? Otóż Związek Zawodoy ma na celu przede wszystkim roztoczenie wpływów na tych robotników, którzy stoją zdala od partii. W tym też celu tworzy w swoim łonie różnorodne sekcje, oświatowo-społeczne, które by czuwały nad światopoglądem robotnika i nie dopuszczały szerzeniu się wrogich partii wpływów. — Wszystkie jego placówki i sekcje obsadzone przez ludzi partyjnych, otrzymują dyrektywy z góry. Masa nie ma tu nic do gadania i oprócz płacenia składek miesięcznych w wysokości 2% zarobku (ostatnio 1%), agitacji za przyjęciem nowych członków do Związku lub przeciw dezercji z niego, rola jej się kończy. Kogo zaś Związek Zawodowy broni i przeciw komu, nad tym warto się zastanowić. O ile w pierwszej pięciolatce zdarzyło się jeszcze widzieć od czasu do czasu wystąpienie Związku w obronie robotnika, o tyle w pięciolatce drugiej należało to do wyjątków. Naodwrót Związki Zawodowe były z reguły inicjatorami obniżki płac robotniczych, rewizji norm i ich podwyższania, darmowych płac (i to bardzo często) na lotnictwo, motoryzację, pomoc zagranicznym rewolucjonistom, pomoc kołchozom i pod różnego rodzaju płaszczykami stosowanie wyzysku, nie mającego sobie równego. Często pod hasłem: „sami gospodarze“, „pracujmy dla siebie“, obdzierali bezbronnego biedaka bez litości, a na jego protest Zawodowy Związek miał jedną odpowiedź: „nie chcesz? dobrze, możesz iść“. A jeżeli poszedł, to na paszporcie zrobiono mu adnotację, świadectwo zaś wystawili mu takie, że go nigdzie nie przyjęto. Co zaś przy pomocy Związku Zawodowego robotnik otrzymuje, czy to premie do wyjazdu na odpoczynek czy inne, to na to każdy pracujący musi dwa miesiące w roku pracować darmo na rząd. Jeden miesiąc idzie na dobrowolną pożyczkę państwową, drugi miesiąc na przeróżne podatki, dodatki i darmowe prace, które jak z rogu obfitości sypią się na niego.

Z tego się widzi, że Zawodowe Związki w Sowietach są instytucjami na pasku rządowym i z obroną robotnika nie mają nic wspólnego, przeciwnie czuwają nad tym, aby nigdy indywidualnie swobodnym się nie czuł, aby — jeżeli już do partii wstąpić nie chce (a takich jest większość) — czuł jednak nad sobą oko bezpartyjnego(?) Związku Zawodowego, który nie tylko w pracy czuwa nad nim, bo były wypadki, że delegaci jego i do mieszkania przychodzili, badając, dlaczego stroni od pracy społecznej. Nic dziwnego, że choć późno, masy się w końcu ocknęły i z organizacji tej zaczęły masowo uciekać.

Poza tym i sama polityka rządu w drugiej pięciolatce nie podobna była do polityki w pięciolatce pierwszej. Władza sowiecka wyrosła już do niebywałej potęgi, z uzbrojoną do zębów armią, z potężną G. P. U., policją, polit-oddziałami, agentami defensywy, z nieprzeliczonym sztabem nowej, dobrze sytuowanej sowieckiej burżuazji. Dla niej były torgsiny, czerwone gwiazdy, sklepy naucznych pracowników, sklepy itra, zakryte składnice, pajki w naturze. Robotnik i chłop schodzili na plan dalszy. Jak się taka klika wytuczy, to tylko to co po niej zostanie, jest dla niego, tymczasem powinien pracować, milczeć i cierpieć.

DYKTATURA PARTII NAD PROLETARIATEM.

A cierpieliśmy nie mało, pościć kazali coraz częściej, mięso należało do rozkoszy, każdy chodził jak nie zielony to żółty. Podczas jazdy tramwajem do pracy widać było, jak wszyscy siedzą i śpią: wszystko to głodne, wycieńczone; zagadać z kim, stale o jednym: „Jak u was w stołowej karmią? co dają, jak z planem, na ileście wypełnili?“ — nareszcie — „oj życie, życie, dawniej urągaliśmy na popów, że każą głupim 40 dni pościć, a co to był za post, Boże Ty mój! Bolszewicy jak zrobili post *ot to ponimaju*, już piąty rok pościmy i końca nie widać. Dawniej jak ci kopicjkę

oberwali, to cała fabryka stanęła, a nieraz i drugie fabryki zastrajkowały, dziś oberwali nam 25% zarobku, chleb podnieśli 100% i cicho sza. Ot mołodcy bolszewiki, wytresowali duraków jak źrebaków w cyrku". Były to często uwagi bardzo przykre, a jednak prawdziwe. Czuło się, jak z każdym nowym dniem spada się niżej i niżej, ci, którzy przy przewrocie największe ofiary ponieśli, ci, którzy byli bohaterami rewolucji, twórcami i kościem tego ustroju, schodzili coraz bardzie na plan drugi.

Coraz jaskrawiej uwidaczniała się różnica między rządem i narodem, dyktatura nie proletariatu, lecz dyktatura partii nad proletariatem. W szkołach i w nowo otwartych akademiach, uczyli już i wypuszczali tysiące młodych sowieckich urzędników państwowych i innych uczonych, którzy dobrawszy się do rządowego żłóbka, dalecy byli dla jakiejś tam mdłej idei, komuś drugiemu obfity ten żłóbek oswobodzić. Tam, gdzie oni chodzili jeść i pić, zwykłego proletariusza nie puścili, a jeżeli i puścili, to



Kościółek w Rabce.

wtedy, gdy im był potrzebny, jak to miało miejsce podczas zjazdu kooperatywnego. Wówczas wszystkich delegatów zaprosili, ugościli za darmo, podając potrawy takie, jakich już dawno nie widzieli. Objedzeni, opojeni jak najlepiej, delegaci uchwalili podwyższenie składek udziałowych i energiczne ich ściągnięcie z głodomorów. Przy wyjściu delegatów ze Smolnego Instytutu, każdy z nich otrzymał w formie podarku pakiet przeróżnych produktów, a prócz tego po kilkanaście bonów na pierwszorzędne towary do osławionego torgisnu. Objedzeni raz do roku, mogli cały rok głodować.

Coraz częściej dało się zauważyć ciekawy nadzwyczaj objaw. Otóż stosunek rządu do ludności z każdym dniem stawał się więcej oficjalny. Pomimo szeroko rozbudowanego szkolnictwa i kolosalnego wzrostu oświaty, horyzont myślowy, poczucie indywidualne, sposób krytycznego pojmowania sprawy, były bardzo u ludności ograniczone. Cokolwiek kto mówił, czy robił, wszędy czuło się pieczęć rządu i jego plany, a nad nimi jak miecz Damoklesa –– dyktatura. Masy pracujące zupełnie bez woli, zastraszone, podobne raczej do bryły wosku, którą można gnieść jak kto chce. Gnietli też tę bezduszną masę jak chcieli. Drugi rok pięciolatki, zamiast poprawy, co jakiś czas nowe przynosił dolegliwości. Nie byłoby tak przykro, gdyby dla tej idei wszyscy jednakowo cierpieli, niestety, nie było tego i nie zanosiło się na coś podobnego, a nawet szeroko już weszło w przysłowie, że jak było jednym dobrze a drugim źle, tak i będzie, gdyż ludzie nigdy równi nie byli i nigdy nie będą.

Modlitwa

Chroń, Panie, wątłą duszy mojej zieleń
Od podeptania i martwych spopieleń,
Abym wśród życia Ostatniej Wieczerzy
Czuł jej aromat balsamiczny, świeży.

I niech rozpięty na krzyżu konania
Nie widzę słońca, co w pomrok się skłania,
Lecz niech mi Wiara, Matka Boleściwa —
Wskaże dal, gdzie się świt nowy odkrywa!

Leopold Staff

Katolikiem bądź!

„Katolikiem trzeba być w sposób bezczelny" powiedział Ludwik Veuillot. Należy się to Bogu.

Gdy kogoś bardzo kochamy, pragniemy nade wszystko zapewnić jego chwałę. Będę na świecie heroldem Bożej chwały. Będę prowadził życie j a w n i e katolickie, odważnie, w świetle dnia, będę wyznawał mą wiarę, aby przez to uczcić Boga i pokazać, że On jest dla mnie rzeczą pierwszą i najważniejszą.

A jeśliby kiedykolwiek ktoś przede mną śmiał się z Boga, z mojego Zbawiciela, z mojej religii — natychmiast postawą, słowem, wyznaniem wiary okażę, że przy mnie takie żarty ujść nie mogą. Jakto? Czyżbym zamilkł i ukrył się, gdyby ktoś wobec mnie zaczepił moją matkę? Bóg jest dla mnie więcej, niż najlepsza, najbardziej kochana matka.

Otwarte wyznanie wiary przystoi mojej własnej godności.

Jestem człowiekiem. Człowiek jest istotą logiczną. Wierzę; stwierdzam moją wiarę otwarcie; inaczej sam siebie upokarzam, wierząc w to, czego się wstydzę.

Jestem mężczyzną. Mężczyzna jest istotą odważną. Co? Czyż tak mało się cenię, że ulęknę się żartu, że zmieszam się wobec ironii? Czy dobrze się przypatrzyłem temu osobnikowi? To tylko on? Tylko tyle? I miałbym się bać?

Otwarte wyznanie wiary jest obowiązkiem wobec mego otoczenia.

Iluż ludzi patrzy na mnie, iluż czeka, aby moje śmiałe i otwarte wyznanie wiary ułatwiło im jawne i odważne praktykowanie? Liczba nieśmiałych jest wielka. Tłum jest nieśmiały. Iluż sumieniom dopomógłbym, jak bardzo przyczyniłbym się do obalenia przeszkód „względu ludzkiego", jeślibym wiarę wyznawał z bezczelnością!

Rzecz postanowiona. Będę katolikiem otwartym, bez wahania, zawsze i wszędzie.

CZUWAJ

Na pomniku grobowym żołnierzy poległych pod Verdun, czytamy następujący napis: „Pamięci żołnierzy francuskich, którzy w tym okopie śpią, stojąc — z bagnetem w ręku".

S t o j ą c! Byli na nogach, czujni, gotowi do ataku w chwili, gdy zalała ich fala, gdy z posad wyrzucona ziemia ich zagrzebała.

Umrzeć, jeśli trzeba, ale s t o j ą c. Zwycięstwo nie jest rzeczą zasadniczą. Najważniejszym jest to, żeby nie upaść, żeby s t a ć, żeby walczyć aż do wyniszczenia sił. Jedyne sprawy, które giną są te, za które nikt nie umiera. Nie mojego osobistego powodzenia żąda Bóg. Może moja ofiara jest jednym z warunków zwycięstwa ostatecznego. Muszę się oczywiście uzbroić tak, by zwyciężyć, aby w niwecz obrócić dzieło zła, zwalczyć nieprzyjaciół Kościoła: a l e B ó g m u s i p o z o s t a ć p a n e m w y n i k u. Jeśli mam zniknąć nie ujrzawszy zwycięstwa — cóż z tego? Tym większą wartość zasługującą będzie mieć moje poświęcenie, że było bezinteresowne, że nie otrzymało ludzkiej zapłaty. A Bóg z naszych kolejnych porażek buduje triumf ostateczny. Zdaje się, że większą swą chwałę upatruje w tym, że walczymy nie zwyciężając, niż gdybyśmy zwyciężali nie walcząc. Gdyby chciał zwycięstwa, zapewniłby je w jednej chwili. Ale jeden jedyny nasz szczery, choćby bezskuteczny, wysiłek ma dla niego większą cenę, niż łatwy, chwilowy triumf jego Kościoła. A więc cierpliwości!

Zresztą najlepszą taktyką, aby zmusić nieprzyjaciela do odwrotu jest trwać niewzruszenie na stanowisku być zawsze czujnym i gotowym. Nic tak nie imponuje przeciwnikowi jak zdecydowane słowa: tędy nie ma przejścia. Gdy wyławiano szczątki zatopionego w roku 1917 okrętu „Ariane", jeden z nurków zobaczył nagle w niepewnym świetle głębin stojącego jeszcze marynarza w pełnym rynsztunku, z bronią w ręku. Nurek przerażony tym widokiem zemdlał. Z trudem przywrócono go do przytomności.

Niech nieprzyjaciel zastanie mnie zawsze u z b r o j o n y m i c z u w a j ą c y m.

R. Plus (W obliczu życia).

20 miliardów rubli na zbrojenia

Przedłożony w 1937 r. preliminarz budżetowy Z. S. R. R. przewiduje na zbrojenia i wydatki wojskowe kolosalną sumę 20 miliardów rubli, co odpowiada według urzędowej relacji prawie takiej samej sumie złotych polskich. By zilustrować należycie tempo i rozwój sowieckich zbrojeń warto przytoczyć cyfry budżetu wojskowego z lat ubiegłych.

W r. 1934 wynosił on 1½ (półtora) miliarda! Został jednakże w praktyce przekroczony przeszło trzykrotnie, gdyż wydano faktycznie 5 miliardów. Na rok 1935 preliminowano 6½ miliarda, a wydano 8,2 miliarda. Na niebywałą jednakże miarę rozwijają Sowiety swoje zbrojenia dopiero od roku ubiegłego. W budżecie zeszłorocznym preliminowano na wydatki wojskowe 14 miliardów, obecnie przewiduje się wydatek 2-miliardowy! Jest to suma, która nie figuruje w budżecie żadnego z mocarstw świata!

Zbrojenia sowieckie ilustruje również dobrze wzrost stanu liczebnego czerwonej armii. W roku 1925 liczyła ona 562 tysiące ludzi pod bronią. W r. 1934 — 940 tysiące, na początku roku 1936 osiągnęła cyfrę 1 miliona 300 tysięcy, a po obniżeniu w sierpniu granicy wieku przy poborze do 19 lat powołano pod broń dodatkowo pół rocznika, co pozwala szacować obecny stan liczebny sowieckiej armii na prawie *2 miliony ludzi!* W roku 1936 przeprowadzono również doniosłą zmianę w organizacji czerwonej armii. Składa się ona, jak wiadomo, z dwojakiego rodzaju dywizyj. Z dywizyj terytorialnych i z dywizyj kadrowych, będących w stanie bojowym już w czasie pokoju i stanowiących t. zw. armię wypadową, uderzeniową. Do niedawna przeważały dywizje terytorialne w proporcji 74:26. W ciągu roku 1936 przekształcono szereg dywizyj terytorialnych na dywizje bojowe tak, że obecnie stosunek ten przedstawia się 77 na 23 na korzyść dywizyj kadrowych (uderzeniowych). W razie wojny może ZSRR zmobilizować około 10 milionów ludzi.

Równolegle z rozbudową organizacyjną armii lądowej szła dalsza rozbudowa sowieckiego lotnictwa, które jest dziś najbardziej wartościową częścią sowieckiej armii i liczy ponad 4.000 aparatów wojennych. Sowiecka organizacja obrony przeciwlotniczej Ossoawiachim liczy 12 milionów członków. Wreszcie wspomnieć należy o intensywnej rozbudowie przemysłu wojennego, którego główne bazy znajdują się w obszarze nadwołżańskim. Dla przemysłu tego stworzono pod koniec roku osobne „ministerstwo“ w postaci „komisariatu ludowego przemysłu obronnego“, którego kierownikiem został komisarz Ruchimowicz (żyd, b. członek „Bundu“).

Na zamierzenia sowieckie w dziedzinie zbrojeń na rok 1937 rzuca nieco światła, VIII Kongres Sowietów. Przemawiali na nim m. in. szef sztabu lotnictwa wojskowego Chrypin i dowódca marynarki sowieckiej Orłow. Chrypin stwierdził, że stan lotnictwa sowieckiegoo jest zadawalniajjący i zapowiedział na rok 1937 masową kampanię propagandową pod hasłem wyszkolenia z pośród ludności 100.000 pilotów, co uważa on „za oparte na realnych możliwościach“. Kampania ta już się rozpoczęła, ale pod hasłem przygotowania 130.000 wyszkolonych lotników!

W Nowy Rok wygłosił Stalin do wyższych oficerów sowieckiej armii przemówienie, w którym oświadczył, że czerwona armia musi się stać pod każdym względem najsilniejsza na świecie i że w r. 1937 zostanie przeprowadzone jeszcze ściślejsze zespolenie armii z partią. Oficerowie, którzy dotąd do partii nie należą (takich było dotąd około 30 procent) zostaną albo do partii przyjęci albo usunięci z armii. Stanowi to jedno jeszcze potwierdzenie faktu, że sowiecka armia jest jedynie narzędziem partii komunistycznej oraz Kominternu i dlatego zbrojenia sowieckie stanowią groźbę dla całego świata.

ANEGDOTY.

Ksiądz: — Wstydź się Józek! Nawet zwierzę wie, kiedy ma dość i kiedy należy przestać pić. Czyliż ty, człowiek rozumny, nie możesz powstrzymać się w piciu?!

Józek: — Proszę księdza proboszcza, jak piję wodę — to wiem, kiedy mam dość, ale jak piję wódkę, to nigdy nie mogę utrafić.

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie!...

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie:
Żywot najczystszy a więc godzien krzyża,
I krzyż — lecz taki, co do gwiazd Twych zbliża,
Najwyższe dałeś w czasie powołanie,
Tchem dzieje świata Tyś przegiął, jak kłosy,
Do pełniejszego dla nas wszędzie żniwa —
Ziemiś nam ujął, a spuścił niebiosy
I serce Twoje nas zewsząd przykrywa.
Lecz wolną wolę musiałeś zostawić;
Ty bez nas samych nie możesz nas zbawić,
Boś tak ugodnił [1]) wysoko człowieka
I naród każden, że Twój zamysł czeka,
Zawieszon w górze, aż własnym obiorem
Człowiek lub naród jego pójdzie torem:
Z wolnością tylko Twój Duch się wciąż swata —
Nikt niewolnikiem w bezmiarach wszechświata!
Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w niebie
Ponad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
Daj nam, o Panie, świętymi czynami
Śród sądu tego samych wskrzesić siebie!

ZYGMUNT KRASIŃSKI

Żal

Przyobleczony w szarą szatę.
Ze łzami w oczach idzie w dal,
Pytam się jego: ktoś ty taki?
On odpowiada smutno — Żal...
Przychodę wtedy, kiedy szczęścia
Już obumiera wonny kwiat.
I ze mną płacze wówczas cicho,
Taki znikomy, marny świat...
Kiedy tęsknota przędze snuje
Idę od Tatr do morza fal,
A wicher za mną poszum niesie,
Żem nieszczęśliwy zawsze — Żal...

Malwa Chądzyńska.



Na Anioł Pański biją dzwony
Niech będzie Chrystus pochwalony!...

Bocian

Kiedy on to tam od nas odleciał, a teraz oto na święty Józef, w przedniej straży bocianów przybył i bez żadnej ceremonii, z całą poufałością, zajął stare gniazdo na grzbiecie chłopskiej chałupy. Wyglądał tak, jak gdyby stąd wcale nie odlatywał...

Bocian na chłopskiej chałupie sam jak chłop żyje. Rano po rosie spieszy do pracy, w południe przybywa odpocząć, a po południu, kiedy ludzie idą do roboty, on — także. Na noc też z nimi razem powraca. Dopiero, gdy się dochowa dzieci, wtedy zmienia tak samo sposób życia, jak każdy człowiek. — „Ptak a ma rozum lepszy nieraz od drugiego chłopa“. Istotnie wzór to surowych obyczajów jednożeństwa, za-

pobiegliwości i gorliwości rodzicielskiej, a przytem — niepospolitego praktycznego rozumu. Stojąc na gnieździe, bocian zda się obserwować okolicę, czynności różnych ludzi swego otoczenia i stosownie do tego urządza swoje życie, okazuje względem współmieszkańców ufność lub niedowierzanie.

Jakiż jest poważny, kiedy na łące odbywa łowy na żaby! Istny profesor, zatopiony w studiach botanicznych. Ale nie tylko w tej postawie jest on charakterystyczny. Nieraz oto szalony wicher dmie; człowiek zaledwie może ustać na nogach, a bocian się trzyma na jednej, nastawiwszy pierś wiatrom, które go daremnie usiłują strącić z grzbietu stodoły. To znowu w powietrzu zatacza wielkie koła, jak gdyby chciał doświadczyć dzielności swych skrzydeł; wówczas cień jego pada na ziemię, a domowe ptactwo pierzcha w popłochu, mniemając, że to wielki łupieżnik, jastrząb.

A. Dygasiński.



Wiosna

Czas był wiosenny o świtaniu.

Kwietniowy dzień dźwigał się leniwie z legowisk, mroków i mgieł, jako ten parob, któren legł spracowany, a nie wywczasowawszy się docna, zrywać się ano musi nadedniem, by wnetki imać się pługa i do orki się brać.

Poczynało dnieć.

Ale cichość była jeszcze całkiem drętwa, tyle jeno, co rosy kapały rzęsiście z drzew pośpionych w mącie nieprzejrzanym.

Niebo, kiej ta płachta modrawa, przejęta wilgotnością i orosiała, przecierało się już ździebko nad ziemią czarną, głuchą i zgoła w mrokach zagubioną.

Mgły, niby mleko wzburzone przy udoju, zalewały łęgi i pola nizinne. Kokoty zaczęły piać na wyprzódki gdziesik po wsiach jeszcze nie widnych.

Ostatnie gwiazdy gasły kiej oczy, śpiączką morzone.

Na wschodzie zaś, jako zarzewie, roztlewające się spod ostygłych popiołów, jęły się rozżarzać zorze czerwone.

Mgły się zakolebały znagła, wzdęły i ruchający ciężko, niby wody roztopów wiosennych, biły w czarne pola, albo zasię, kiedy dymy kadzielne wionęły sinym przędziwem ku niebu.

Dzień się już stawał i przepierał z blednącą nocą, która przywierała do ziem grubym, przemoczonym kożuchem.

Niebo się rozlewało zwolna światłościami, zniżając się coraz barzej nad światem, że już kajś niekaj wydzierały się na jaśnię czuby drzew oprzędzone mgłami, a gdzieś znów na wyżach jakieś pola szare, przesiąkłe rosą wyleniały się z nocy. To stawy zamigotały poślepłymi lustrami, albo strumienie, kiej długachne, orosiałe przędze, wlekły się wskróś mgieł rzednących i świtów.

Dzień się już czynił coraz większy, zorze rozsączały się w martwe siności, że na niebie poczynały gorzeć, jakoby krwawe łuny pożarów jeszcze niedojrzałych, i tak się galanto rozwidniało, że ano bory wyrastały dokoła czarną obręczą, a wielka droga, obsiadła rzędami topoli pochylonych, utrudzonych jakoby w ciężkim chodzie pod wzgórze, dźwigała się coraz widniej na światłość, zaś wsie, potopione w mrokach przyziemnych, wyzierały gdzie niegdzie pod zorze, kiedy te czarne kamienie spod wody spienionej, i poniektóre już drzewa co bliższe srebrzyły się całe w rosach i brzaskach.

Słońca jeszcze nie było, czuło się jeno, że lada pacierz wyłupie się z tych zórz rozgorzałych i padnie na świat, który dolegiwał ostatków, ozwierał ciężko mgławicami zasnute oczy, poruchiwał się źdźiebko, przecykał zwolna, ale jeszcze się lenił w słodkim, odpoczywającym dośpiku, bo cichość padła barzej w uszach dzwoniąca, jakoby ziemia dech przytaiła — jeno wiater, jako to dychanie dzieciątka cichuśkie, powiał od lasów, aż rosy potrzęsły się z drzew.

Aż z tej omdlałej szarości świtów, z tych sennych jeszcze, omroczałych pól, jakoby w kościele rozmodlonym i oniemiałym, kiedy dobrodziej ma wznieść na Podniesienie Hostię Przenajświętszą — wystrzelił nagle głos skowronkowy.

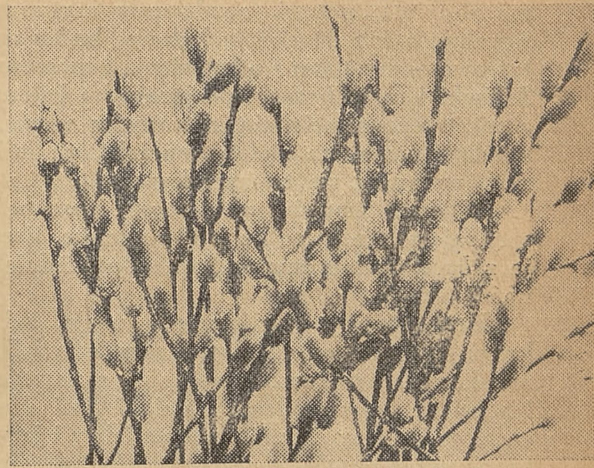
Wyrwał się gdziesik z roli, zatrzepotał skrzydłami i jął świergotać, jako ta z czystego srebra sygnaturka, jako ten wonny pęd wiośniany, tlił się w bladym niebie, bił w górę, głośniał, iż w onej świętej cichości wschodów rozdzwaniał się na świat cały. Wraz i drugie jęły się zrywać, skrzydełkami bić, w niebo się drzyć i śpiewać zawzięcie, a poranek głosić wszemu stworzeniu czującemu.

A po nich wnet i czajki zakwiliły jękliwie na moczarach.

Boćki te wzięły klekotać rozgłośnie gdziesik po wsiach, jeszcze nie rozpoznanych w szarościach.

Słońce zaś było już ino, ino.

Aż i ono pokazało się z za lasów dalekich, wychylało się z przepaści i kiedy tę ogromną, złocistą i rozgorzałą ogniami patynę wynosiły Boże, niewidzialne ręce nad sennymi ziemicami, i żegnając światłością



Bazie, bazie!... to wiosna już!

świat, żywe i umarłe, rodzące się i struchlałe, rozpoczynało świętą ofiarę dnia, że wszystko jakby znagła padło w proch przed majestatem i zamilkło, przywierając oczy niegodne.

I oto dzień się stał, jako to nieobjęte morze weselnej światłości.

Mgły kiej wonne dymy biły z łąk ku rozzłoconemu niebu, a ptactwo i stworzenie wszelkie uderzyło w wielki krzyk śpiewań, jakoby w ten pacierz serdecznych dziękczynień.

Słońce zaś urastało wciąż, wynosiło się nad bory czarne, nad wsie nieprzeliczone, coraz wyżej i wielkie, gorejące, ciepłe, kiej to święte oko miłosierdzia Pańskiego, brało we władną i słodką moc panowanie nad światłem. *Wł. Reymont*

DO HAL

Wnętrze Tatr jest puste i bezludne. Tylko przez dwa lub trzy miesiące w roku pasą się tam stada owiec, krów i wołów, strzeżonych przez pasterzy, którzy koczują w halach.

Zamknięci za skalnymi progami, przez większą część lata ukryci w chmurach, prani deszczem, śniegiem, osypywani gradem, ogłuszani piorunami, zupełnie na woli surowej natury, ledwo osłonieni dziurawym dachem i ścianami, przeświecającymi naprzestrzał, żyją oni życiem twardym i dzikim, pasterskim życiem koczowniczych plemion...

Kiedy już doliny zielenią się trawami i zbożami, przeginą śniegi w górach, i zima wygląda tylko z ciemnych kominów i żlebów, wybierają się pasterze z „dziedzin", ze wsi, na hale.

Płowe niebo wiosenne rozpina się ponad światem, ciepły wiatr przeciąga z za wirchów; brzegi potoków świecą się stokrotkami, dzwonkami, lśnią się jaskrem i gwiazda-

mi podbiela; potoki, pozdzierały i uniosły zawalające ich dna bryły lodowe; budzą się też owczarze ze snu i odrętwienia zimowego. Jałówki i owce beczą i pozierają ku halom, a niestrzeżone uciekają z szopy w wirchy, między turnie, na zielone upłazki, na których wysypują się trawy i kwiaty.

W dniu umówionym wszyscy gazdowie spędzają swoje owce na jedno miejsce, liczą je z *bacą* i zdają mu na jego odpowiedzialność.

Baca kropi owce święconą wodą, robi krzyż ciupagą na drodze, i cały *kierdel* [1]) z bekiem i brzękami dzwonków, z naszczekiwaniem psów wędruje kamienistymi drogami, przez lasy ciemne, przez wichry i jary, brnąc przez potoki, coraz wyżej do szałasów na halach.

Białe, zbite stado pstrzy się gdzie niegdzie plamami czarnych baranów; jeżą się rogi pokręcone, kiwają się garbate nosy, otoczone ogromnymi kudłami na skroniach, podbródku i na łbie. Oczy świecą się zielono wśród mroku leśnego, pod oczyma czarne lub rudawe obwódki. Przednie nogi pokryte gładką, krótką sierścią; na zadnich kręcona i gęsta wełna sięga do samego kopyta. Tryki, mniejsze od owiec, niosą na zgrabnych, garbatych łbach wielkie, wywinięte na boki, żłobkowane rogi.

Idą krowy łaciaste, jęcząc ogromnymi, miedzianymi dzwonami, wiszącymi u podbródka; konie niosą na grzbiecie, przyczepione do terlic, rozmaite statki, graty i kotły mleczarskie.

Stary baca, sam z twarzą owczą, z długimi kręconymi włosami, idzie spięty pasem szerokim, jak gorset, świecącym nabitymi guzikami i wielkimi mosiężnymi klamrami; przy nim bieży pies biały, kudłaty. Juhasi — w czarnych, moczonych w tłuszczu koszulach, w kapeluszach lśniących jak cerata od tłuszczu i brudu, w starych, zrudziałych od słoty i dymu ognisk cuhach i portkach odartych, z ogromnymi pasiastymi torbami wełnianymi, których długie na łokieć frendzle dyndają się im u kolan. Juhaski — w pomarańczowych chustach, w czerwonych płachtach, lub serdakach obcisłych na piersi, w granatowych spódnicach; nogi ich obwinięte białą szmatą do pół goleni i obwiązane czarną krajką, przytrzymującą kierpce.

Cała ta pstra czereda, obwiana parami oddechów stada, drze się w jędrnym i czystym powietrzu, oblana słońcem, wesoła i budząca swymi śpiewami, piskiem piszczałek, dudnieniem kobzy echa, drzemiące w wąwozach i wnętrzach gór...

Na koniec, przebrnąwszy moc potoków, przeszedłszy tyle gór, wydostali się ponad lasy i oto wchodzą na halę.

Szałas, zostawiony jesienią na woli wichrów halnych i wszelkiego złego, stoi z obdartym dachem. Czarne, zakopcone wnętrze, zasypywane śniegiem, zieje wilgocią i stęchlizną; przeszłoroczny popiół i węgle z w a t r y, z ogniska, zmieszały się w jakieś brudne błoto. Kto wie, kto tu zaglądał? Ile razy niedźwiedź, pasąc się na szałasisku, zazierał swoim czarnym ślepskiem przez szpary; jacy tu źli ludzie, albo też samo „złe“ siadywało w tej pustce! To też baca, wchodząc do pustego szałasu, mówi: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!“ Wogóle całe to pasterstwo otoczone jest mnóstwem zwyczajów, noszących charakter tajemniczego obrządku.

Kiedy już zagnali owce do s t r ą g i, zagrody, baca bierze żarzące węgle, sypie na nie święcone ziele i żywicę, odkrywa głowę, żegna się i milcząc, okadza strągę trzy razy od zachodu na wschód, następnie wysypuje węgle przed strągą i z juhasami na klęczkach odmawia modlitwy. Przy dojeniu owiec, przy przecedzaniu mleka, przy robieniu sera odbywają się różne praktyki i nabożeństwa.

Wreszcie dach naprawiony, w dołku przy drzwiach w a t r a chwieje się czerwonym płomykiem, dym napełnia czarne poddasze, po kątach stoją statki, na ścianach wiszą płachty, szmaty, torby i cuhy; całe to ubogie gospodarstwo, dające się zwinąć w półgodziny i przenieść na grzbiecie jednego konia i kilku ludzi, rozkłada się na paromiesięczne koczowisko.

We trzy dni po przyjściu stad na halę zjawiają się gazdowie, właściciele owiec, i idą z juhasami na cały dzień na pastwiska dla przekonania się, jaką jest pasza, i jaki udój; nazywa się to: przejść d o m i r u. Kiedy owce przypędzą do dojenia, każdy gazda, wydoiwszy swoje do g i e l e t y, bierze dwa jednakiej miary patyki i na nich nacina znak, jak wysoko sięgało mleko

---

[1]) Stado.

w gielecie. Jeden patyk zabiera ze sobą, drugi zostawia u bacy. Na jesieni, gdy owce wrócą do dziedziny, patyk ten służy do porachunku z bacą. Ile tygodni owce były w halach, tyle razy napełniają gieletę wodą, na wysokość miary, oznaczonej na patyku — wodę tę ważą: ile w niej funtów, tyle funtów sera ma baca oddać właścicielowi owiec. Sposób kontrolowania, jakkolwiek pierwotny — jest jednak dość skomplikowany.

Baca jest panem z ojcowską władzą na szałasie; jest on tak jak i juhasi płatny serkami, przy czym gazda dostaje mniej więcej jedną trzecią, a pasterze dwie pozostałe części całego letniego zysku.

St. Witkiewicz.

Melodie mgieł nocnych

(Nad Czarnym Stawem Gąsienicowym)

Cicho, cicho, nie budźmy śpiącej wody w kotlinie,
Lekko z wiatrem pląsajmy po przestworów głębinie...
Okręcajmy się wstęgą naokoło księżyca,
Co nam ciała przeźrocze tęczą blasków nasyca,
I wchłaniajmy potoków szmer, co toną w jeziorze,
I limb szumy powiewne i w smrekowym szept borze;
Pijmy kwiatów woń rzeźwą, co na zboczach gór kwitną,
Dźwięczne, barwne i wonne; w głąb zlatujmy błękitną...
Cicho, cicho, nie budźmy śpiącej wody w kotlinie,
Lekko z wiatrem pląsajmy po przestworów głębinie...
Oto gwiazdę, co spada, lećmy chwycić w ramiona,
Lećmy, lećmy ją żegnać, zanim spadnie skona...
Puchem mlecza się bawmy i ćmy błoną przeźroczą
I sów pierzem puszystym, co w powietrzu krąg toczą;
Nietoperza ścigajmy, co po cichu tak leci,
Jak my same, i w nikłe oplatajmy go sieci;
Z szczytu na szczyt przerzućmy się, jak mosty wiszące,
Gwiazd promienie przybiją do skał mostów tych końce,
A wiatr na nich na chwilę uciszony odpocznie,
Nim je zerwie i w pląsy znów pogoni nas skocznie...

Kazimierz Przerwa-Tetmajer

W POLICJI.

— Oskarżają mnie, panie komisarzu, o to, że ukradłem zegarek złoty. Po pierwsze, wcale nie ukradłem, a po drugie zegarek nie był złoty tylko niklowy.

❉

Ojciec: — Wiedz, że gdy muszę cię bić, boli mnie to tak samo jak ciebie.

Syn: — Niechże więc tata uważa na siebie i nie bije zbyt mocno.

❉

— Jasiu co się mówi cioci, gdy ci daje złotego?

— Mówi się: mało!

KRZYŻ ZASŁUGI.

— Jaki może być najstarszy order na świecie? — zapytywała pewna dama, której małżonka nie można było nazwać szczęśliwcem.

— Krzyż domowy — odparł jej ktoś.

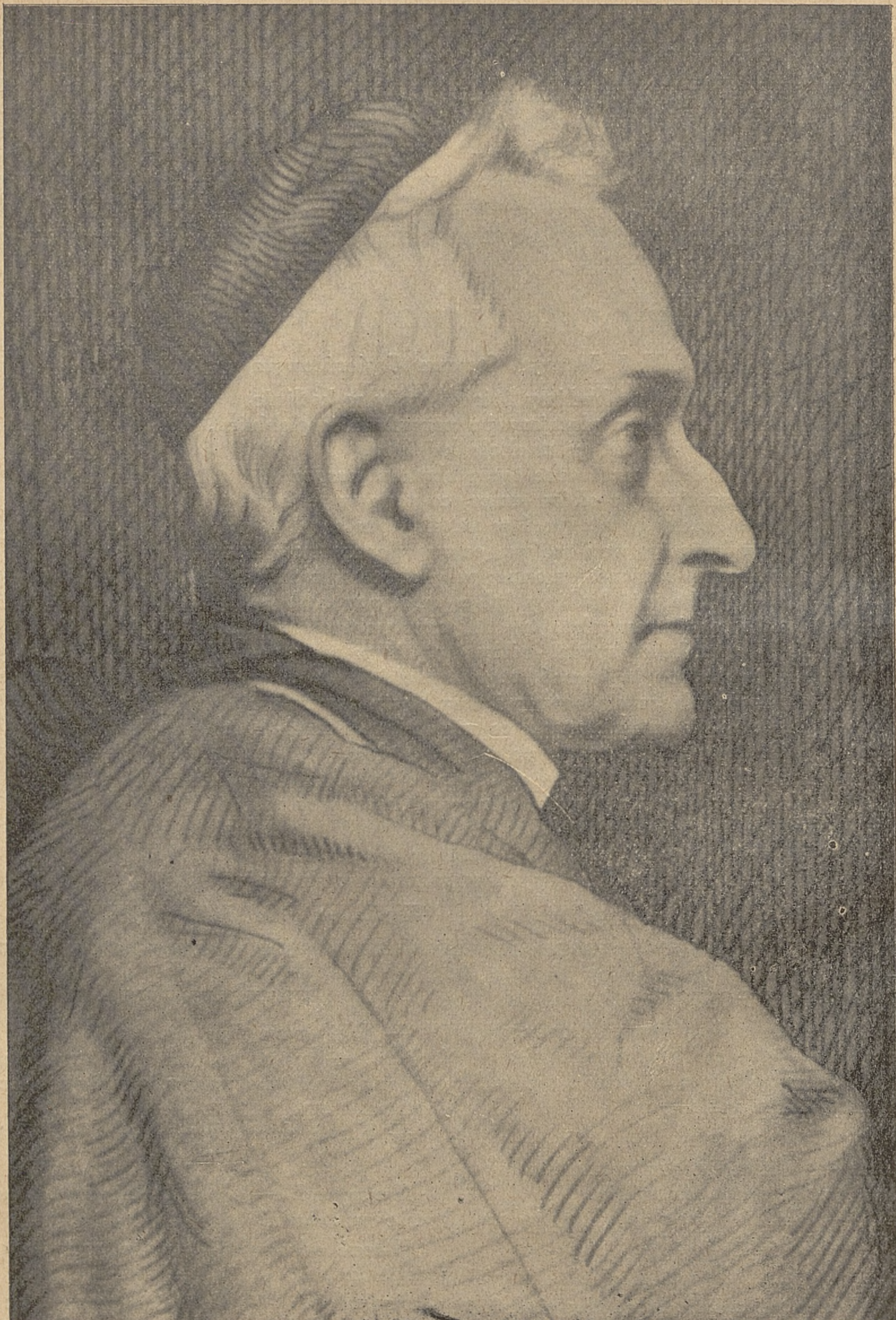
❉

Nauczyciel: — Jak będziesz odmieniał rzeczownik kura?

(Uczeń odmieniając, utyka przy piątym przypadku).

Nauczyciel: — No jakże będzie piąty przypadek? Jak zawołasz na kurę?!

Uczeń (uradowany): — Tiu... tiu... tiu!!



Jubileusz Księcia Metropolity

Niedziela 13 czerwca 1937 r. była dniem uroczystym dla Krakowa. Prastare miasto Jagiellonów gościło w swych murach dziesiątki tysięcy ludzi z całej archidiecezji krakowskiej. Dzień był wielki, bo obchodzono uroczyście 25-lecie sprawowania godności biskupiej przez J. E. Księcia Metropolitę Krakowskiego Dra A. Sapiehę. Wychodzące w tym dniu dzienniki przynosiły na wielu stronach „opowieści" o tylu dziwnych i wspaniałomyślnych dziełach Najdostojniejszego Jubilata, dziełach, w których zaangażowane zostały nie tylko własne fundusze Jałmużnika — ale przede wszystkim Jego wielkie serce. Stąd też ten napływ rzesz maluczkich wsi i miast z najodleglejszych zakątków diecezji a nawet kraju, będący odpowiedzią wdzięcznych serc za dotychczasowe objawy czynnej miłości. Najdostojniejszego Jubilata spotkały już przed tem sprawiedliwe, choć bynajmniej nie poszukiwane wyróżnienia. Rząd polski w uznaniu wielkich zasług obywatelskich, oddanych ojczyźnie w czasie wielkiej wojny w dziedzinie organizacji niesienia pomocy ofiarom wojny, a zwłaszcza dzieciom i za całokształt rozlicznych dzieł miłosierdzia przyznał wyjątkowe, bo rzadkie odznaczenie „Orła Białego".

Tak więc społeczeństwo i najwyższe władze Rzeczypospolitej Polskiej — zeszły się w samorzutnym hołdzie dla bogatego dorobku życia 70-letniego zastępcy apostołów na krakowskiej stolicy biskupów.

Niedziela 13 czerwca. Dzień był pogodny i ciepły, ale nie parny. Łagodny wietrzyk i przysłaniająca niebo lekka przeźroczysta zasłona białych chmur obniżyły temperaturę, która w dniach poprzednich dawała się poważnie we znaki. Ulice już od samego rana zaroiły się od barwnego ludu. Pociągi popularne, uruchomione ze wszystkich stacji w diecezji wyrzucały przez dworce w Krakowie i w Podgórzu co kilkanaście minut setki uczestników tej wielkiej uroczystości. Przez wszystkie rogatki miasta szły zwarte kolumny organizacji katolickich czy całych parafii, ciągnęły wartkie korowody furmanek, natłoczonych ludźmi z dalszych okolic.

Całe to mnóstwo ludzi, po przybyciu do Krakowa rozdzieliło się na miejsca zbiórki, wytyczone wpierw przez Instytut Akcji Katolickiej w Krakowie. — Stamtąd ruszono w określonych odstępach czasu w stronę Rynku Głównego, gdzie o godzinie 10 miała być celebrowana uroczysta Msza św. pontyfikalna z przemówieniami mówców.

Poprzed portalem przesławnego kościoła Najśw. Marii Panny bił w oczy z wysoka olbrzymich rozmiarów krzyż, przyobleczony białym płótnem, wywyższony ponad ołtarz. Sam ołtarz górował nad poziomem Rynku wysokością kilkudziesięciu stopni, pokrytych dla kontrastu czerwonym suknem. Bogata dekoracja z drzewek, zieleni i kwiatów nadawała całości nastrojowy i majestatyczny wygląd. O godzinie 10 olbrzymi plac Rynku od północnej strony wypełniony został szczelnie olbrzymią masą ludzi, obliczoną na conajmniej pięćdziesiąt tysięcy głów. Przed ołtarzem zajęli miejsca przedstawiciele władz państwowych i samorządowych, uczelni i instytucyj społecznych wszelkiego rodzaju. Mszę św. celebrował sam Najdostojniejszy Jubilat. W czasie nabożeństwa wygłosił wspaniałe kazanie Jezuita O. E. Kosibowicz, a po Mszy św. na mównicę wstąpiło trzech świeckich „kaznodziei": A później olbrzymie masy zakotłowały. Nadszedł czas defilady, która miała byc przyjętą przez Księcia Metropolitę i przedstawicieli władz przed Domem Katolickim. Sprawna straż porządkowa i wydyscyplinowane dowództwa oddziałów ustawiły w karne szeregi członków przeróżnych organizacyj, wśród których kolumny Stowarzyszeń Młodzieży Męskiej i Żeńskiej, Kobiet i Mężów górowały liczbą i zwartością. Kiedy poprzez szereg ulic łańcuch organizacji znalazł się przed Domem Katolickim, oddział za oddziałem przechodził przed trybuną Najdost. Jubilata w szyku galowym „na baczność". Postawa naszych organizacyj budziła wśród natłoczonych na trotuarach widzów niekłamany zachwyt. Trzeba byłoby tu epickiego pióra Sienkiewicza czy Reymonta, by oddać wrażenia siły, dostojności, ładu jakie biły z całości dwugodzinnej defilady. Napewno jednak każdy z uczestników wyniósł w swej duszy obraz czegoś niezwykłego, czegoś, co w swej historycznej perspektywie nie jest zbyt częstym zjawiskiem. I to pozostanie jako wielka spuścizna tego wielkiego „Dnia Katolickiego". *J. S.*

Głos z za grobu biskupa do swych wiernych

Dnia 27 marca 1932 r. zmarł w Pińsku, w opinii świątobliwości wielki biskup Polesia Ks. Zygmunt Łoziński. Stosownie do życzenia zmarłego biskupa na pogrzebie jego w dniu 29 marca nie wygłoszono żadnych przemówień, nie złożono żadnych wieńców. Natomiast z polecenia jego odczytano z ambony list do diecezjan, napisany przez niego w 1928 r. w czasie rekolekcji biskupich w Gnieźnie w przeczuciu bliskiej śmierci.

Oto poniżej ten wzruszający dokument wielkości i świętości duszy śp. Ks. Biskupa Łozińskiego:

W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen

Moi najmilsi Diecezjanie!

Nie zaczynam swego listu od zwykłego błogosławieństwa pasterskiego, bo, kiedy będzie Wam czytany, nie będę już Pasterzem



Waszym. Piszę go w czasie rekolekcyj, które uważam za przygotowanie się do śmierci. Każde rekolekcje trzeba za takie przygotowanie uważać. Śmierć jest blisko każdego z nas, a *dzień Pański przychodzi niespodzianie, jak złodziej*, podług porównania ewangelicznego. Dając rozmaite zarządzenia przedśmiertne, chcę tu przygotować dla Was moi najmilsi, słów kilka, i proszę, aby były przeczytane w czasie ceremonij pogrzebu mego, byście je przyjęli jako głos, przychodzący do Was z mej trumny.

Niech to będzie ostatnia moja dla Was nauka. Kiedy ją piszę, mam prawo jeszcze nazywać Was dziećmi swymi i z prawa tego korzystam z całą miłością, którą mi Bóg wlał do serca, czyniąc mnie Waszym ojcem duchownym.

Ta miłość rodzi i utrzymuje w duszy mojej gorące pragnienie spotkania się z Wami wszystkimi w królestwie chwały Bożej i oglądania Najśw. Oblicza Pańskiego po wszystkie wieki nie inaczej, jak wspólnie z Wami.

Zadaniem moim było prowadzić Was do nieba; jakżebym chciał, Dziatki moje najmilsze, zadanie to tak wykonać, aby nikt mi się z Was nie wymknął, nikt z Was nie zginął. Abym mógł z radością upaść w niebie przed tron P. Jezusa, wołając: „Panie, oto ci, których mi powierzyłeś, są tu wszyscy, nie brak nikogo". Jakżebym chciał widzieć twarz najmilszą Matki naszej Najświętszej, patrzącej na Was z uśmiechem radości matczynej.

Dzieci moje! Bardzo niedołężnie służyłem Wam, ani słowem, ani przykładem nie umiałem Wam być przewodnikiem, jakim mi być należało. Wybaczcie winy moje... Alem Was kochał bardzo i bardzo pragnąłem oddać za Was życie swe całe i zawsze prosiłem Pana Jezusa, aby mi dał dużo cierpieć za Was i przez cierpienie wysłużyć Kościołowi to, czego nie mogła dla niego zyskać moja praca nieudolna. Wielkim głosem tej miłości ojcowskiej wołam do Was — oto w tej chwili już z poza świata: Usłyszcie głos nie mój, ale Boży: Miłujcie Boga. *Szukajcie naprzód królestwa niebieskiego i sprawiedliwości jego, a reszta, której potrzebujecie* (Mat. VI 32), *będzie wam przy-*

dana (Mat. VI 33). *Nawróćcie się, a nie grzeszcie. Czyńcie pokutę, a wierzcie ewangelii* (Mk. I 15). *Czyńcie pokutę, albowiem przybliżyło się Królestwo Boże. Oto sędzia Przedwieczny blisko jest, we drzwiach.* (Mat. XXIV 33).

Patrzcie przecie: małoście razy widzieli mnie przy ołtarzu celebrującego, siedzącego na tym tronie, błogosławiącego Was. Słuchajcie: ile razy wołałem do Was, nauczałem Was i choć niezdarnie, napominałem. Razem z Wami modliłem się za innych zmarłych. A oto inny dziś odprawia nabożeństwo, a ja, a raczej ziemska powłoka moja leży w tej trumnie bez ruchu, bez głosu, bezwładna jak bryła, bo tylko bryłą jest i garścią prochu. Cudzego głosu użyć muszę, aby do Was przemówić: życie moje się skończyło, *jestem jakobym nigdy nie był istniał.* Ale, Dzieci moje, dziś mnie, jutro każdemu z Was. Wczoraj byłem jako jeden z Was, jutro Wy będziecie jako dzisiaj ja jestem: nicość na ziemi, a dusza przed sądem Bożym otrzymuje zapłatę, na jaką zapracowała... Na cóż chcecie Wy zapracować? Ach, póki czas: pracujcie na niebo, na oglądanie Boga, na wieczne miłowanie Go i weselenie się z Nim. Przestałem Wam być pasterzem i ojcem. Ale nie przestałem być przyjacielem waszym. Tak odważam się pisać, ufając miłosierdziu Ojca Niebieskiego, że mnie nie odrzuci od Siebie na wieki. A kto nie jest na tamtym świecie odrzucony od Boga, ten nietylko nie przestaje kochać swych przyjaciół, ale kocha ich daleko goręcej i potężniej. Byłem Wam wszystkim, wszystkim bez wyjątku, czy mi kto z Was był przychylny czy nie, przyjacielem szczerym i oddanym, choć nie zawsze, znowu dla nieudolności mojej, umiałem to okazać. Tembardziej będę nim w życiu za grobem. Ale w zamian o jedną łaskę żebrzę dla siebie u Was, najmilsi: módlcie się za mą grzeszną duszę. Właśnie dla pobudzenia Was do szczerej modlitwy, prosiłem, aby pogrzeb mój odbył się bez pustej parady, tak sprzecznej ze smutnym majestatem śmierci. Skromność surowa przy pogrzebie więcej z pewnością każdego do modlitwy pobudza, bo przepych sprawia tylko roztargnienie. Módlcie się, moi Najmilsi, za mnie i módlcie się gorąco za tych, za których ja miałem i mam obowiązek się modlić, a może nie wypełniłem go należycie. Módlcie się za nas, aby modlitwy wasze nie tylko poratowały nas przed Panem, lecz, abyśmy skuteczniej za Was mogli się modlić.

O Boże, Sędzio Sprawiedliwy i Zbawicielu nasz Najmilszy; Łasce Twej i opiece polecam tę cząstkę Kościoła Twego, która mi przez Namiestnika Twego powierzona była. Daj im Pasterza, któryby lepiej im, niż ja pasterzował. Polecam wierne w byłej mojej diecezji sługi Twoje, a także dzieci Twe krnąbrne i oporne i tych, którzy mię za pasterza swego nie uznawali i tych, co Ciebie nie znali. Polecam łasce Twej i opiece szczególniej mych współpracowników, kapłanów, których przyjaciółmi Swymi nazywałeś; polecam te tak gorąco przeze mnie umiłowane seminaria z ich wychowańcami, aby były zawsze rozsadnikami cnoty, świętości i zapału apostolskiego. Oddaję pod opiekę Twą niewinną dziatwę; broń ją od wszelkich wpływów zgubnych i niebezpieczeństw. Weź pod wpływ wyłączny łaski Swojej jej nauczycieli, przewodników i opiekunów. Oddaję Ci pod opiekę moją Rodzinę, przyjaciół osobistych i dusze, któreś szczególnemi węzłami ze mną związał; napraw Swą łaską do pełności to, w czem ja im nie usłużyłem lub zaszkodziłem. Racz, Boże, wypłacić według szczodrobliwości Swojej wszystkie dobra, które jestem winien komukolwiek. Polecam Ci też całą biedną Ojczyznę mę ziemską; uczyń z niej Królestwo Twoje i Królestwo Marii, Matki Twojej i ludy jej połącz węzłem miłości chrześcijańskiej. Polecam Ci Litwę ukochaną i Łotwę i Ruś i tę Rosję, dla której kazałeś nam pracować i inne ościenne kraje i cały ród ludzki — dzieło Rąk Twoich i nabytek Krwi Twojej. Rozpal Boże wszędzie cześć Najświętszego Serca Twego i rozszerzaj kult Tajemnicy Eucharystycznej. A Ty, Najmilsza Matko Jezusowa i nasza, wspomagań nas codzień modlitwami Swemi i osłaniaj płaszczem miłości Swojej i wraz ze wszystkimi zastępami niebieskimi wyproś nam wszystkim zbawienie wieczne i wieczne odpocznienie. Amen.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus na wieki wieków. Amen.

Gniezno, 14 września 1928 roku
W dzień Podwyższenia Krzyża Św.

Śmierć Piotra apostoła

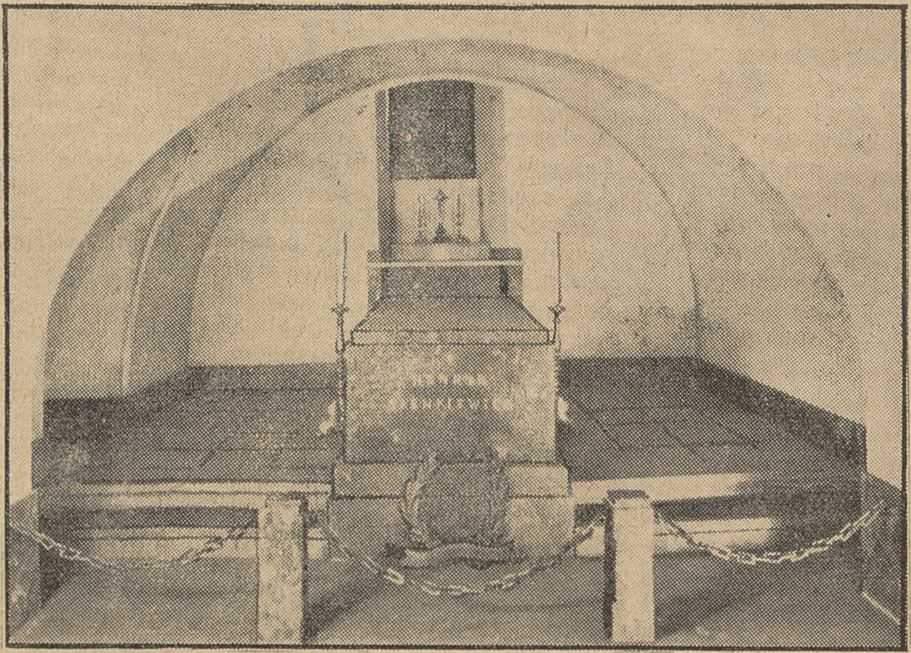
Wyjątek z powieści „Quo vadis?“

...Po południu otworzyły się bramy więzienia, i Piotr ukazał się wśród oddziału pretorianów. Słońce zniżyło się już nieco ku Ostii, dzień był cichy i pogodny. Piotrowi, ze względu na jego sędziwe lata nie kazano nieść krzyża, sądzono bowiem, że go udźwignąć nie zdoła, ani też nie założono mu wideł na szyję, by mu nie utrudniać pochodu. Szedł wolny, i wierni mogli go widzieć doskonale. W chwili, gdy wśród żelaznych hełmów żołnierskich ukazała się jego biała głowa, płacz rozległ się w tłumie, lecz natychmiast prawie ustał, albowiem twarz starca miała w sobie tyle pogody i taką jaśniała radością, iż wszyscy pojęli, że to nie ofiara idzie ku straceniu, ale zwycięzca odbywa pochód triumfalny.

Jakoż tak było. Rybak, zwykle pokorny i pochylony, szedł teraz wyprostowany, wyższy wzrostem od żołnierzy, pełen powagi. Nigdy nie widziano w postawie jego tyle majestatu. Zdawaćby się mogło, iż to monarcha posuwa się, otoczony przez lud i żołnierzy. Ze wszystkich stron podniosły się głosy: „Oto Piotr odchodzi do Pana“. Wszyscy jakby zapomnieli, że czeka go męka i śmierć. Szli w uroczystym skupieniu, ale w spokoju, czując, że od śmierci na Golgocie nie stało się dotychczas nic równie wielkiego i że jako tamta odkupiła świat cały, tak ta ma odkupić to miasto.

Po drodze ludzie zatrzymywali się ze zdziwieniem na widok tego starca, wyznawcy zaś kładąc im ręce na ramiona, mówili spokojnymi głosami: „Patrzcie, jako umiera sprawiedliwy, który znał Chrystusa i opowiadał miłość na świecie“. A owi wpadali w zadumę, poczym odchodzili, mówiąc sobie: „Zaprawdę, ten nie mógł być niesprawiedliwy“.

Po drodze milkły wrzaski i wołania uliczne. Orszak posuwał się wśród domów świeżo wzniesionych, wśród białych kolumn świątyń, nad których naczółkami wisiało niebo głębokiem, ukojone i błękitne. Szli w ciszy; czasem tylko zabrzękły zbroje żołnierzy lub podniósł się szmer modlitw. Piotr słuchał ich i twarz jaśniała mu coraz większą radością, albowiem wzrok jego zaledwie mógł ogarnąć owe tysiące wyznawców. Czuł, że dzieła dokonał i wiedział już,



Grób H. Sienkiewicza w podziemiach katedry św. Jana w Warszawie.

że ta prawda, którą całe życie opowiadał, zaleje wszystko, jak fala, i że nic już powstrzymać jej nie zdoła. A tak myśląc, podnosił oczy ku górze i mówił: „Panie, kazałeś mi podbić ten gród, który panuje światu, więcem go podbił. Kazałeś mi założyć w nim stolicę swoją, więcem ją założył. To Twoje miasto teraz, Panie, a ja idę do Ciebie, bom się spracował bardzo“...

Żołnierze poprowadzili go przez most Triumfalny, jakby mimowoli dając jego triumfowi świadectwo i wiedli dalej ku Naumachii i cyrkowi. Wierni z Zatybrza przyłączyli się do pochodu i uczyniła się gęstwa ludu tak wielka, iż centurion, przywodzący pretorianom, domyśliwszy wreszcie się, iż prowadzi jakowegoś arcykapłana, którego otaczają wierni, zaniepokoił się zbyt małą liczbą żołnierzy. Lecz ani jeden okrzyk oburzenia lub wściekłości nie ozwał się w tłumie... Naokół było spokojnie. Wzgórza zdawały się wygrzewać i odpoczywać w słońcu. Pochód zatrzymał się wreszcie między cyrkiem, a wzgórzem Watykańskim. Żołnierze wzięli się teraz do kopania dołu, inni położyli na ziemi krzyż, młoty i gwoździe, czekając, póki przygotowania nie zostaną ukończone, tłum zaś, cichy zawsze i skupiony, klęknął naokół.

Apostoł, z głową w promieniach i złotych blaskach, zwrócił się po raz ostatni ku miastu. Zdala, nieco w dole, widać było Tyber świecący; po drugim brzegu pole Marsowe, wyżej mauzoleum Augusta, niżej olbrzymie termy, które Neron właśnie był wznosić począł; jeszcze niżej teatr Pompejusza, a za niemi, miejscami widne, miejscami zakryte przez inne budowy Septa Julia, mnóstwo portyków, świątyń, kolumn, spiętrzonych gmachów i wreszcie hen, w dali, wzgórza, oblepione domami olbrzymie rojowisko ludzkie, którego krańce niknęły w mgle błękitnej, gniazdo zbrodni, ale i siły, szaleństwa, ale i ładu, które stało się głową świata, jego ciemięzcą, ale zarazem jego prawem i pokojem, wszechpotężne, nieprzemożone, wieczyste.

Piotr zaś, otoczony żołnierzami, spoglądał na nie tak, jakby spoglądał władca i król na swe dziedzictwo. I mówił mu: „Odkupioneś jest i moje!“ A nikt, nie tylko między żołnierstwem, kopiącem dół, w który miano wstawić krzyż, ale nawet między wyznawcami, nie umiał odgadnąć, że istotnie stoi między nimi prawdziwy władca tego grodu i że miną cezarowie, przepłyną fale barbarzyńców, miną wieki, a ów starzec będzie tu panował nieprzerwanie.

Słońce chyliło się jeszcze bardziej ku Ostji i stało wielkie i czerwone. Cała zachodnia strona nieba poczęła płonąć niezmiernym blaskiem. Żołnierze przybliżyli się do Piotra, by go rozebrać.

Lecz on, modląc się, wyprostował się nagle i wyciągnął wysoko prawicę. Oprawcy zatrzymali się, jakby onieśmieleni jego postawą; wierni zatrzymali również oddech w piersiach, sądząc, że chce przemówić, i nastała cisza niezmącona.

On zaś, stojąc na wyniesieniu, począł wyciągniętą prawicą czynić znak krzyża, błogosławiąc w godzinie śmierci:

— *Urbi et orbi!*

Henryk Sienkiewicz.

Chrystus na krzyżu

opis obrazu niem. malarza Grünewalda przez T. K. Huysmansa

(z francuskiego).

Chrystus wznosił się straszny na swym krzyżu, który przecinała w miejsce poprzecznej belki gałąź drzewa, źle oddarta z kory, uginająca się niby łuk pod ciężarem ciała.

Gałąź ta jakby była gotową do wyprostowania się i odrzucenia z litości daleko od tej ziemi obelg i zbrodni to biedne ciało, ściągane ku ziemi przez olbrzymie gwoździe, przebijające nogi. Ramiona Chrystusa prawie wyrwane z pasa barkowego, wydawały się powiązane w całej swej długości przez pokręcone zwoje muskułów. Oddarte pachwiny trzeszczały: zupełnie otwarte ręce poruszały przerażonymi palcami, błogosławiąc, mimo wszystko gestem, w którym mieszały się modlitwy i wyrzuty. Oba płaty piersiowe drżały, zatłuszczone potem: tułów porysowany był pręgami żeber wypchniętej klatki wzdęte i czerwone kawały ciała usiane żądłami insektów, upstrzone niby ukłuciami igły końcami bicza w ciele załamanym, a które naszpilkowały ciało tu i tam, jakby ostami.



Boże, Boże, mój...

Nadeszła godzina upławów krwi: potoczysta rana boku sączyła się, zlewała biodro krwią podobną do zgęszczonego soku granatu: różowawe upławy ropne, lynfa, ciecz wodna podobna do mozelskiego wina wyciekały z piersi, maczały brzuch, na którego dolnej części powiewał kawałek sfałdowanej bielizny: kolana przemocą ku sobie zbliżone tłukły się wzajemnie, skręcone nogi darły swe ścięgna aż do stóp, które założone jedna na drugą wyciągały się, rozpadały się w zgniliźnie, zieleniały z utraty krwi.

Podziurawione i posoką oblane odnóża straszny przedstawiały widok: ciało ich kwitło, zachodziło na główkę gwoździa a ich pokurczone palce zaprzeczały błagalnemu ruchowi rąk, przeklinały, prawie drapały ziemię podsiniałą masą rogową swych paznokci. Na szczycie tego rozkładającego się trupa sterczała olbrzymia i zmącona głowa: zwisała ona okolona nieułożoną koroną cierni — wyczerpana, z trudem roztwierała wyziębione oko, drżące spojrzeniem boleści i przerażenia: twarz była wyciągnięta, czoło zdyslokowane, policzki wysuszone: wszystkie rysy twarzy płakały, tylko rozdarte usta śmiały się szczęką ściąganą okropnymi tetanicznymi zrywami.

Męka była potworną, agonia zdawała się gasić wesołość w trwodze uciekających katów...

Wobec takiej krwią przesyconej i łzami zlanej Kalwarii, jakże daleko jesteśmy od tych ciepławych Golgot, które od czasu Odrodzenia znachodzą się w kościołach. Taki Chrystus, wstrząsany tetanosem nie był Chrystusem bogaczów, Adonisem z Galilei — dobrze wyglądającym modnisiem, o pięknych złocistych puklach młodzieńcem, o gustownie rozdzielonej brodzie, o rysach miłych i tuzinkowych, jakiego wierni od 400 lat podziwiają. Ten Chrystus był Chrystusem św. Justyna, św. Bazylego, św. Cyryla, Tertuliana, Chrystusem pierwszych wieków Kościoła, pospolitym, brzydkim, bo wziął na siebie cały ciężar grzechów i z pokory przywdział na siebie postać najbardziej odrażającą.

To był Chrystus ubogich, Ten, który upodobnił się do najbardziej nędznych spośród tych, których odkupił — do tych upośledzonych i żebraków, do tych wszystkich, nad których brzydotą i nędzą znęca się podłość ludzi: był to zarazem najbardziej ludzki z Chrystusów, Chrystus o ciele smutnym i słabym, porzucony przez swego Ojca, który wówczas tylko nie interweniował, kiedy już żadne nowe cierpienia nie mogły być dorzucone, Chrystus pozostawiony tylko na opiece swej Matki, której musiał podobnie jak ci wszyscy, którzy są dręczeni — wzywać rozpaczliwym krzykiem dziecka, wobec którego stała ona bezsilna i bezradna.

Zapewne z ostatecznej pokory zgodził się, by męka nie przerosła nasilenia powodującego utratę zmysłów: posłuszny niezbadanym wyrokom zezwolił, by Bóstwo Jego było jakby w zawieszeniu na okres policzkowania, biczowania, szyderstw i plwania, na czas łupieżczych cierpień aż do tych strasznych bólów niekończącej się agonii. W ten sposób mógł lepiej cierpieć, rzęzić, konać, dogorywać we wzgardzie, w upodleniu, w tej utracie swych praw idąc aż do końca, aż do sromoty zgnilizny, aż do stanu ropienia.



Zaułek w Wilnie.



Kaplica Matki Boskiej Ostrobramskiej w Wilnie.

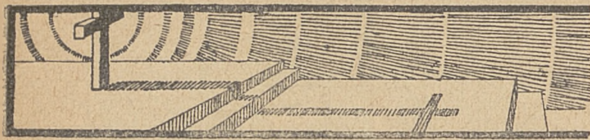


Drogowskaz życia

Jeśli w burzach żywota późniejszych człowiek nie utraci religijności żywej — dobrze mu z nią będzie. Kto w sercu swojem ma ją cichą, prostą i skromną, a obejmującą przecież wszystko, wielką i zwycięską; kto ufa i wie, że nad światem czuwa Bóg dobry, opiekun lasów i łąk, pasterz troskliwy zwierząt, Bóg, bez którego woli włos z głowy nie spadnie i zło nie ma przystępu: ten zna dobrze wartość i radość religijności.

Życie wydaje się wówczas niezwykle jasnem i zrozumiałem: dręczące pytanie: czemu? dlaczego? nie zjawia się wcale. Bo kto wierzy, ten Boga widzi w świecie. Sprawcę potężnego i kierownika gwiazd, słońc, ziem i wiatrów. Stwórcę przedwiecznego, ale czuwającego wciąż nad Swojem dziełem. Kto wierzy, ten wie, skąd i dlaczego światy są takie, jakie są, jaki był ich początek i jaki je kres wyznaczony czeka. Wie także, czem jest człowiek i dokąd dążyć powinien, z Bożych ust czerpiąc niezmienne drogowskazy. Dusza jego błądzeń nie zna, w ciemnościach nie bywa, — wie, gdzie jest świat — to i żywot wieczny. Serce lęku nie zna, ani ciężaru żywota nie doświadcza: bo z rąk Boga płynie wszystko. Cierpienie mu nie bolesne, ani złość ludzka straszna. Cieszy się miłością i dobrym czynem: ufa w bezpieczeństwo swe i dobro, ufa Temu, który rzekł: Jam jest chleb żywota: Kto do mnie przychodzi, łaknąć nie będzie, a kto wierzy we mnie, nigdy pragnąć nie będzie".

Dr B. Suchodolski



Modlitwa wieczorna rodziny

W ciągu dnia rodzina jest zazwyczaj rozprószona, nie tylko w mieście, gdzie członkowie zależnie od zawodu idą na szereg godzin w różne strony miasta — ale i na wsi. Wieczór dopiero zbiera się gromadka rodzinna razem: mówimy wówczas, że wszyscy zebrali się u „ogniska“ rodzinnego i w tym dosadnym powiedzeniu jest bardzo wiele prawdy i pod względem duchowym. W dawnym Rzymie u ogniska rodzinnego składano ofiary i zanoszono modły. Dziś rodzina chrześcijańska, zebrana wieczorem składa ofiary wznioślejsze, bo duchowe; ofiarę z myśli, woli i serca, składa ją w wieńcu kornych modlitw przebłagalnych i dziękczynnych.

Modlitwa wieczorna rodziny całej jest więc momentemześrodkowującym dnia całego. Trzeba, by ona naprawdę była mową dusz zbratanych, a nie zbiorem formułek powtarzanych sennie i z wyraźną niechęcią. Należy, by była odzwierciedleniem życia codzienego z jego kłopotami, troskami, ale i radością. Modlitwa musi być wspólna, tak, by każdy z członków rodziny brał w niej osobisty, żywy udział, musi też być stosunkowo krótka, by odmawiających nie ogarniało znużenie. — Poniżej podajemy jeden z rodzajów takiej modlitwy rodzinnej. Poprzedzić je może każdorazowo odczytanie wspólne ustępu z Ewangelii Świętej czy z „Żywotów Pańskich“.

I. Przed samym rozpoczęciem modlitwy uprzytomnić sobie należy, że modlitwa jest rozmową z Bogiem. Należy więc skupić się w sobie i nie oddawać się równocześnie jakimś zewnętrznym zajęciom. Później kilka minut należy poświęcić rachunkowi sumienia, badając się kolejno co do upadków i popełnionych błędów w stosunku do Boga, rodziny i bliźnich, w pracy, w życiu obywatelskim, społecznym, towarzyskim.

II. Wspólnie należy odmówić spowiedź powszechną. Pierwszą jej część odmówi głośno głowa rodziny (ojciec, matka), drugą część reszta rodziny.

III. Odmówienie aktu skruchy. Może uczynić to ojciec w imieniu wszystkich.

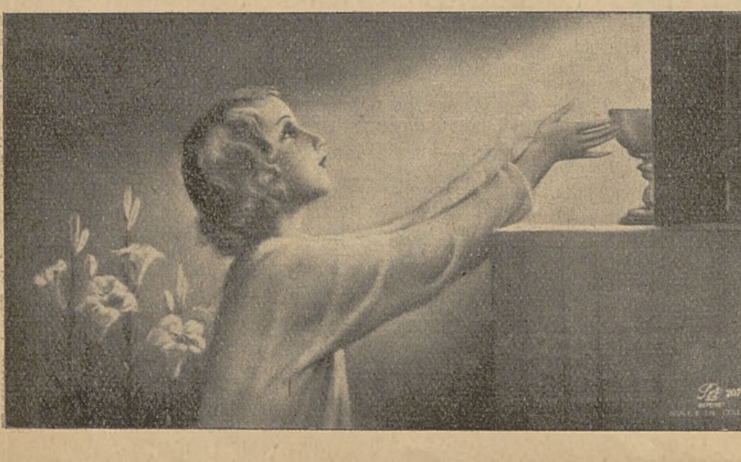
(Boże nasz, żałujemy szczerze, żeśmy tak źle odpowiedzieli na wezwanie miłości Twojej. Prosimy Cię kornie o przebaczenie nam. Z pomocą Twej łaski przyrzekamy Ci być jutro więcej czujnymi i więcej Ci oddanymi).

IV. Akt dziękczynienia: jeden z psalmów dziękczynnych z nieszporów niedzielnych, np. „Uwielbiaj duszo...“

WYJĄTKI Z HYMNU TRZECH MŁODZIEŃCÓW

Ojciec rodziny: Błogosławcie wszystkie sprawy Pańskie Panu, chwalcie, a wywyższajcie Go na wieki, Błogosławcie Aniołowie wszyscy Panu.

Wszyscy: Błogosławcie Panu.



Pozwólcie dziatkom przyjść do mnie, albowiem ich jest Królestwo niebieskie.

Ojciec: Niebiosa.
Wszyscy: Błogosławcie Panu.
Ojciec: Gwiazdy niebieskie.
Wszyscy: Błogosławcie Panu.
Ojciec: Góry i pagórki.
Wszyscy: Błogosławcie Panu.
Ojciec: Rośliny, rosnące na ziemi.
Wszyscy: Błogosławcie Panu.
Ojciec: Bydło i dzikie zwierzęta.
Wszyscy: Błogosławcie Panu.
Ojciec: Dzieci.
Wszyscy: Błogosławcie Panu.
Ojciec: Słudzy Pana.
Wszyscy: Błogosławcie Panu.
Ojciec: Święci i pokornego serca.
Wszyscy: Błogosławcie Panu.

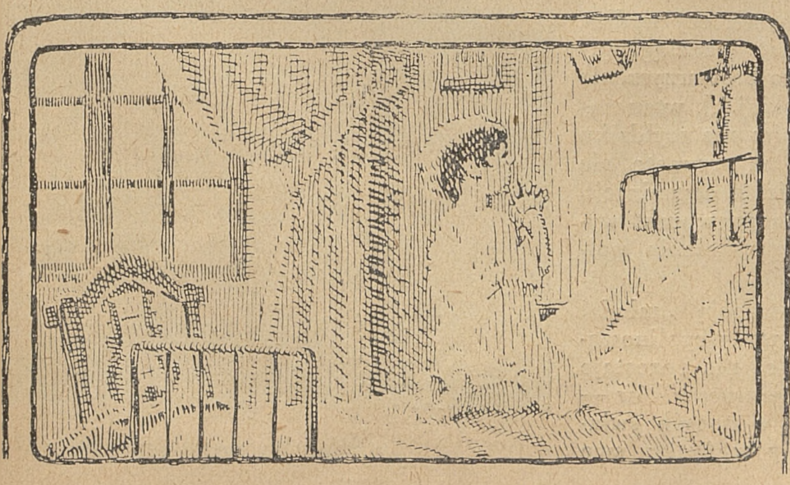
Błogosławionyś Panie na utwierdzeniu niebieskim i sławny i chwalebny i wywyższony na wieki.

V. Modlitwa do N. Marii Panny: Zdrowaś Mario, Anioł Pański lub litania.

VI. Prośba o błogosławieństwa:

Ojciec: Panie, Ty, który powiedziałeś: błogosławieni ubodzy duchem, albowiem ich jest Królestwo niebieskie“.
Wszyscy: Daj nam ducha ubóstwa.
Ojciec: Ty, który powiedziałeś: „błogosławieni cisi, albowiem oni posiądą ziemię“.
Wszyscy: Daj nam słodkość miłości Twojej!
Ojciec: Ty, który powiedziałeś: „błogosławieni, którzy płaczą, albowiem oni będą pocieszeni“.
Wszyscy: Daj nam siłę cierpieć po chrześcijańsku!
Ojciec: Ty, który powiedziałeś: „błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości: albowiem oni będą nasyceni“.
Wszyscy: Daj nam gorące pragnienie przyjścia Twego Królestwa!
Ojciec: Ty, który powiedziałeś: „błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią.
Wszyscy: Daj nam łaskę przebaczania!
Ojciec: Ty, który powiedziałeś: „błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądają.
Wszyscy: Daj nam czystość serca!
Ojciec: Ty, który powiedziałeś: „błogosławieni pokój czyniący, albowiem nazwani będą Synami Bożymi.
Wszyscy: Daj nam ducha pokoju!
Ojciec: Ty, który powiedziałeś: „błogosławieni, którzy cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości, albowiem ich jest Królestwo niebieskie.
Wszyscy: Daj nam siłę cierpienia wszystkiego, co będzie potrzebnym!
Ojciec: Ty, który powiedziałeś: „bądźcie doskonałymi, jak Ojciec wasz w niebiesiech“.
Wszyscy: Daj nam pragnienie, byśmy się uświęcili i kochali Cię wciągle więcej.

VII. Modlitwy (Ojcze nasz, Chwała Ojcu)
za Ojca Świętego,
za Kościół Święty,
za niewierzących i innowierców,
za rodziców, braci i przyjaciół,
za pokój,
za cierpiących i konających,
za zmarłych.



Zaszło już słonko
Wśród złotych zórz,
Klęknij, dziecinko,
I rączki złóż.



Młodzi idą...

Czy jestto jedno z tych popularnych haseł, wyjętych ze słownika obozów politycznych, kaptujących sobie młodzież?

Zapewne trochę i tak. Ale słowa te daje się też nieraz słyszeć wśród tłumu ludzi stojących na trotuarach miesteczek czy wzdłuż opłotków wsi, kiedy widać nadciągający z oddali oddział Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży męskiej czy żeńskiej. A wtenczas słowa te mają inne znaczenie: nie szyldziku politycznego, wystawianego na przynętę, ale wyrazu uczuć dumy i radości z organizacji, którą osoby starsze uważają za wprost wymarzone dla dorastającego pokolenia polskiego.

Przez tę bowiem organizację „młodzi idą...“ nie tylko krokiem wydyscyplinowanym, karnym i zwartym — co nie pozostaje też bez wpływu i na psychikę uczestników — ale co najważniejsza, idą... w sposób świadomy i należycie kierowany w życie: swe własne, rodziny i zawodu, jakoteż w życie szersze całego narodu. Bezprzecznie to drugie znaczenie ma wartości wyższego rzędu. I że tak jest, to wiedzą wszystkie te wsie i miasteczka — a tych jest bez liku, — które mają u siebie organizację młodzieży katolickiej. Być może, że nie błyszczy ona na zewnątrz, ani bogactwem mundurów, bo nie będąc przez nikogo subwencjonowaną, nie może wymuszać takich ofiar od swych młodych członków ze zubożałej wsi czy bezrobotnych środowisk miejskich — ani jarmarczną samoreklamą, bo jej praca skierowana jest więcej na osobiste, wewnętrzne urobienie, niż na efekt. Mimo to K. S. M. wrosły już w psychikę narodu.

Stanowią awangardę młodego pokolenia polskiego, zwłaszcza na wsi i to nie tylko z racji największej, bo 430-tysiącznej rzeszy swych członków, ile raczej z tytułu swej spoitości i zwartości. Naturalnie nie można się usypiać i nie należy tanim kosztem przypinać sobie zwycięskich wawrzynów. Organizacja K. S. M. napewno nie osiągnęła jeszcze swej górnej granicy możliwości, nie we wszystkich też środowiskach jest równomiernie prowadzona, ale jeśli ją porównać w całości z innymi równoległymi organizacjami młodzieżowymi wsi, to mimo rzekomo wyższego systemu wyrabiania samodzielności, te ostatnie organizacje wypuszczają w społeczeństwo jednostki klasowo może więcej bojowe, ale wskutek właśnie jednostronnego nastawienia — duchowo roz-



Druhny na kursie gotowania.



Wycieczki to zdrowa rozrywka.

brojone i nie sharmonizowane dla społecznej i narodowej pracy.

Trudno tu wchodzić w udowadniające szczegóły, bo nasz artykuł ma charakter informacyjny, a nie polemiczny. K. S. M. wydały już zresztą dziesiątki tysięcy ludzi i ci są najlepszym dowodem i sprawdzianem tężyzny i użyteczności organizacji. Jest rzeczą niewątpliwą, że użyteczność ta wzrośnie jeszcze przez większe dopasowanie się form organizacyjnych i treści programowych do danego środowiska. Ale są to zagadnienia, przekraczające ramy naszego drobnego wypracowania. Chodzi nam tutaj o podkreślenie rzeczy prostych.

Czym K. S. M. jest w życiu wsi czy miasteczka?

Na to mógłby dać odpowiedź każdy młody chłopak czy dziewczyna, która po skończeniu szkoły, mając 14 czy 15 lat, wstępuje do tej podstawowej dla życia wsi organizacji.

Program K. S. M. wszystkim już na wsi jest znany. Jestto program wszechstronnego katolickiego wychowania „do życia przez życie". Pojęcie takiego realnego, życiowego, ale opartego o najgłębsze założenia natury ludzkiej wychowania przenikają coraz więcej w plany pracy K. S. M.

Złośliwi powiadają, że to organizacja klerykalna, gdzie ks. proboszcz systemem ambony ugniata czy teroryzuje młode umysły członków. Poza tym nie wieleby się tam robiło. Na tendencyjne plotki odpowiedzą najlepiej fakty. Organizacja K. S. M. mimo swego finansowego ubóstwa stoi na czele przysposobienia rolniczego w Polsce.

Zajmuje od paru lat pierwsze miejsce we wszystkich państwowo sprawdzanych konkursach p. r. I to nie jest rzecz drobnej wagi. Wymaga ona bowiem niesłychanie wiele zachodów, pilności i starań i ma ogromne znaczenie dla podniesienia kraju przez udoskonaloną kulturę rolną. Otóż te „modlące się" organizacje K. S. M. okazują się jednocześnie najtęższymi w zawodowej pracy rolniczej. Przodują całej wsi, a praca na tym polu wyorana jest już trwałym dorobkiem. Nie zginie. A to jest przecież jeden tylko z odcinków pracy K. S. M. Możnaby go przedstawiać bardziej ponętnie, gdyby wejść w nieco bliższe szczegóły. Na to jednak nie mam tu miejsca. Ale nie zapominajmy o dziewczętach. Czy te liczne kursa gotowania. szycia, cerowania, haftowania i t. d. nie podnoszą sprawności życiowej i zawodowej tych, które mają być matkami i gospodyniami przyszłej polskiej wsi? Zmiany, jakie tu w sposób zaledwie dostrzeżony zachodzą przez wpajanie nowych metod i środków pracy muszą w najbliższych dziesiątkach lat przynieść niewątpliwe, dodatnie wyniki. Na inwentarz tej pracy składają się jeszcze inne liczne działy: praca oświatowa przez głoszenie samodzielnych referatów, pogadanek i przeprowadzanie ciekawych i rozbudzających



Książka jest przyjacielem druha.

społeczne myślenie ankiet — prowadzenie świetlic, bibliotek, czytelń — prowadzenie zespołów teatralnych, chóralnych i orkiestr — urządzanie wycieczek i pielgrzymek. Wszystko to służy do intelektualnego i estetycznego wyrobienia w duchu ludowej, narodowej, a zarazem katolickiej kultury.

Ale i to nie jest wszystko. K. S. M. wielki nacisk kładą na wychowanie rodzinne i obywatelskie.

Rodzina jest ośrodkiem specjalnie starannych uświadomień. Przez rodzinę idą przecież pierwsze wiązania społeczne i w jej ośrodku wypracowują się, niczym w kuźni, takie czy inne charaktery i sprawności.

Do życia obywatelskiego przygotowuje każde rozbudzone i utrwalone w swej woli współdziałania uczucie społeczne i związane z nim cnoty sumienności, punktualności, odpowiedzialności. Niezależnie od kształcenia woli środkami umysłowymi pracuje organizacja nad jej zahartowaniem przy pomocy środków fizycznych: wychowania fizycznego, gimnastyki, sportów, wycieczek i t. d.

Spieszymy wreszcie dodać, że na początku i u końca tych prac znachodzi się wychowanie moralno-religijne, jako to, które nadaje sens wszelkim poczynaniom życia i je harmonizuje. To wychowanie właśnie rozmyślnie pomijane przez inne organizacje młodzieżowe czy nawet pogardliwie przez nie wyszydzane stanowi kamień węgielny organizacji, jej tytuły do specjalnych wyróżnień. Każdy bezstronny obserwator przyzna, że tam gdzie to wychowanie postawione jest należycie i prowadzone systematycznie, organizacja tworzy ludzi naprawdę zwartych w sobie i do życia pozytywnie ustosunkowanych.

Sąd, jaki z tego pobieżnego poglądu zrobimy, będzie taki: Organizacja K. S. M. stara się cierpliwie budować przyszłość wsi i miasteczek polskich — niczego zaś nie rozbijać!

Uważa, że zanim jednostki wejdą do samodzielnego życia, muszą być do niego możliwie najwszechstronniej przygotowane, tz. muszą przejść, po wyjściu ze szkoły, jakby drugi stopień przysposobienia. System pracy tych organizacji daje ludzi wewnętrznie uporządkowanych, zestrojonych pod względem uczucia woli i rozumu, mających władać życiem we wszystkich jego przejawach.

Dlatego, beż uciekania się do sztucznych podniet i zachęcań wzywać należy młodzież obydwojga płci, by po wyjściu ze szkoły, kierowała się do tej organizacji, która chce być dla niej drugim domem i miejscem ciepłego, drogiego bratania się dusz dla przyszłego życia w doli i niedoli. *J. S.*



Druhny tworzą przyszłość wsi.

Katolickie Stowarzyszenie Mężów

Osią, około której koncentrowała się w 1937 roku praca organizacji było hasło Akcji Kat.: „Duch Chrystusowy w szkole i wychowaniu podstawą odbudowy narodów". — Dla urzeczywistnienia tego hasła podstawą pracy stowarzyszeniowej było pielęgnowanie życia religijnego, wokół tego hasła ogniskowała się również praca społeczno-oświatowa.

Dział religijny miał za cel pogłębienie wśród członków znajomości wiary świętej przez tak zwane kwadranse ewangeliczne, a przez to oddziaływanie na członków, by dla każdego stało się potrzebą „życie z wiary", wyrażające się w częstym łączeniu się sakramentalnym z naszym Wodzem, Chrystusem — życie z Kościołem, uwidaczniające się w interesowaniu się sprawami Kościoła Katolickiego i Jego rozszerzaniem się przez misje.

Jeżeli chodzi o praktyki religijne spełniane przez członków, to dane statystyczne przedstawiają się, jak następuje:

Komunii św. wspólnych urządzono 238; zaznaczyć tu należy, że liczba ta nie obrazuje dokładnie życia religijnego Oddziałów,

gdyż członkowie niektórych Oddziałów należąc do innych ściśle religijnych stowarzyszeń, tam odprawiają miesięczne, czy kwartalne Komunie św. Na uwagę zasługuje praktyka w Oddziałach, których członkowie nie należą do innych organizacyj, przystępowania co miesiąc wspólnie do Stołu Pańskiego.

Ponadto szereg Oddziałów wzięło udział gremialny w święcie K. S. M. M., rozumiejąc, że Stowarzyszenie to, z którego nasza organizacja czerpie nowe, młode siły, należy otoczyć opieką i udzielać mu swego poparcia.

Dział społeczno-oświatowy.

Praca w tym kierunku — skupiała się w urządzaniu referatów na rozliczne tematy, wśród których pierwsze miejsce zajmowała sprawa: wychowania młodzieży, współpracy rodziców ze szkołą, szkoły wychowującej na zasadach katolickich, szkoły wyznaniowej, oraz zwalczania koedukacji.

Poza tym przedmiot referatów stanowiło omawianie znaczenia rozwoju naszego Stowarzyszenia tak dla Kościoła, jak i dla Polski — katolicki program społeczno-gospodarczy — przedstawianie wzmagających się i zagrażających także życiu polskiemu niebezpiecznych prądów komunizmu, rasizmu — oświetlenie aktualnej kwestii żydowskiej.

Jako wstęp do rozbudowy szerszej pracy społecznej w szeregu odczytów zapoznawano członków ze spółdzielczością, zakładaniem kas bezprocentowych, koniecznością organizowania się robotników w Chrześcijańskich Związkach Zawodowych. Szereg Oddziałów zajęło się działalnością charytatywną, otaczając opieką biednych, urządzając dla najbiedniejszych w parafii dzieci gwiazdkę, i przeznaczając na pomoc dla biednych dochód z organizowanych imprez, przedstawień czy festynów.

Do pracy oświatowej Oddziałów należą referaty na tematy rolnicze, z zakresu higieny, potrzeby podniesienia czytelnictwa i popierania prasy katolickiej.

Stwierdzić musimy, że K. S. M., mimo iż napotyka na trudności, czy to z braku odpowiedniego lokalu na zebrania, czy ze strony wrogich wszelkim poczynaniom katolickim organizacyj, czy wreszcie braku ludzi, którzy by pracę stowarzyszeniową poprowadzili — mimo tego wszystkiego



Ryngraf złożony przez pielgrzymkę K. S. M. w Częstochowie.

organizacja, licząca zaledwie 3 lata istnienia, krzepnie, wzmacnia swe kadry nie tylko cyfrowo, ale co ważniejsza przez wewnętrzną spoistość i wyrobienie swych członków. Pogłębia się życie religijne i równolegle z nim tężeje życie moralne, stając się więcej czynnym i odpowiedzialnym za życie osobiste i otoczenia rodzinnego, zawodowego, czy gromadzkiego.

Katolickie Stowarzyszenie Kobiet

Katolickie Stowarzyszenie Kobiet istnieje w naszej diecezji od trzech lat, i należy do ogólnopolskiego Katolickiego Związku Kobiet, z siedzibą w Poznaniu. Celem naszego Stowarzyszenia jest pełnienie apostolstwa indywidualnego i zbiorowego. Przygotowanie do pracy apostolskiej dokonuje się w róż-

nych działach pracy naszej, a więc w dziale religijnym, oświatowym, charytatywnym, gospodarczym. Mamy obowiązkowe zebrania miesięczne kierownictwa i miesięczne zebrania ogólne, wspólne kwartalne przystępowanie do Sakramentów św., zamknięte i półzamknięte rekolekcje, różne kółka religijne. Urządzamy kilkudniowe kursy wychowawcze dla matek, które uczą jak postępować z dziećmi w miarę ich rozwoju, szerzą zrozumienie zadań i obowiązków, jakie spoczywają na kobietach, jako na matkach i żonach. Zrzeszamy jednakowoż nie tylko kobiety zamężne, ale przechodzą do nas wszystkie, od 25 roku życia, członkinie Stowarzyszeń Młodzieży Żeńskiej.

Oddziały nasze nie tylko korzystają z bibliotek parafialnych, ale zakładają także własne biblioteki. Mamy także w niektórych oddziałach świetlice, a w czasie miesięcy zimowych cieszą się dużą popularnością czytelnie zamienne.

Do zżycia się członkiń dopomagają zebrania towarzyskie, wycieczki, zwiedzania, wieczornice, akademie, przedstawienia, festyny, majówki, opłatki, święcone i t. d.

Jak każda organizacja ideowa, nie jesteśmy w stanie w cyfrach ująć naszą pracę i zobrazować jej wpływ i znaczenie. Nikt nie zdoła podać dokładnej liczby tych członkiń, w których przynależność do naszej organizacji rozbudziła myśl, pogłębiła wiedzę religijną, ustaliła przekonania, podniosła napięcie uczuć religijnych. Jednak, jak pisze nasze sprawozdanie związkowe, „z całą pewnością stwierdzić możemy, że poziom umysłowy ogółu członków z roku na rok się podnosi, wiadomości religijne się zwiększają, że wzmaga się wola w kierunku udoskonalenia życia osobistego i uszlachetnienia zbiorowego“. Praca nasza wewnętrzna i zewnętrzna dąży do odnowienia i uchrześcijanienia stosunków społecznych w duchu encyklik papieskich.

O duchu gorliwości apostolskiej mogą świadczyć te małżeństwa nielegalne, które doprowadzono do ołtarza, chorzy przygotowani do I. spowiedzi i Komunii św. przez nasze członkinie, gwiazdki dla ubogich, pomoc dla matek i niemowląt, przedszkola, świetlice dla młodzieży, ochronki i t. d. i t. d. Pragniemy podniesienia kultury w całym życiu kobiecym, tak na wsi jak w mieście, urządzamy też kursy praktyczne z zakresu higieny, gospodarstwa wiejskiego i domowego, jak kursy gotowania, szycia, uprawy lnu, robót ręcznych, warzywnictwa, sadownictwa i t. d. i t. d.

Niezmiernie dbamy o harmonię wśród członkiń, o to, byśmy wszystkie wnosiły, gdziekolwiek się znajdziemy, ducha pokoju i miłości. Cenimy sobie wysoko zaszczyt należenia do Akcji Katolickiej, do apostolstwa świeckich. Przekonane jesteśmy, że nie ma na świecie niczego, coby bardziej zasługiwało na wytężenie wszystkich sił, niż praca nad szerzeniem panowania Bożego na świecie i pomoc w pracy nad ratowaniem dusz dla Boga.



Delegacja K. S. K. na Kongresie w Poznaniu.

W TOWARZYSTWIE.

— ...jak będę miała lat czterdzieści...

— Czterdzieści to już pani nigdy nie będzie miała...

W SZKOLE.

Nauczycielka: — Jaki to czas: ja jestem piękna?

Uczeń: — Czas przeszły!

W SZKOLE.

Nauczyciel: — Daję ci trzy króliki, a twemu ojcu cztery. Ile królików macie w takim razie w domu?

— Dziewięć!

— Nie! Ciemięga jesteś. Trzy a cztery to siedem.

— Nie, panie profesorze. Będzie dziewięć, bo dwa mamy już w domu.

Zdaleka od złych książek i złej prasy

Pióro!...

Wśród nowoczesnej broni jest ono najmniejszą, ale najpotężniejszą!

Któż wypowie to, co ono robi?

Nie waży trzech gramów, a może lepiej służyć ideałowi niż ciężkie miecze Zawiszy Czarnego czy Podbipięty.

Pióro kruche, które bez wysiłku złamie dziecię, ty ze swej strony łamiesz bez trudu najbardziej dumnych ciemiężców.

Któż wypowie twoje złe wyczyny?

Ty, które nie kosztujesz więcej, w okresie drożyzny ponad trzy, cztery grosze, wznosisz majątki gorszenie budzące, w ruch wprawiasz złoto zepsucia.

Pióro! Maleńka broni, strzałko trzechcentymetrowa!...

Sto razy więcej możesz być niebezpieczną od strzał dzikich Karaibów. Na dwóch skrzydełkach metalowych, jakie rozdzielają twój koniec kołysze się kropla atramentu: kropla, ale jej siła działania jest straszniejszą niż ekrazytu.

— — — — — — — —

Są bowiem pióra, niosące śmierć!

Sztuka wojenna udoskonaliła sposoby strasznego okaleczania, ale na pogrzebowej liście zbrodniczych narzędzi obok bomb i kul wybuchowych należy umieścić śmiercionośne pióra...

Ostatecznie, kula uderza w czoło.

Pióro uderza w duszę.

Kula raz tylko uderza.

Pióro uderza wiele razy.

Po bitwie, na szerokich polach bitew, kiedy noc zapadnie można widzieć dzieło kul: kałuże krwi, rozerwane w strzępy członki ludzkie.

Ah! Gdyby można było dojrzeć dzieło rzezi moralnej, której dokonywują niektórzy autorowie: zniweczone bezpowrotnie sumienia!...

— — — — — — — —

Są pisarze złoczyńcy, bo zabijają.

Ci zaś, którzy zabijają nazywają się, dosłownie mordercami!

Jakiż jest opis zbrodniarza?

Wygląda on tak: Jest to apasz, o podejrzanej minie, który w nocy, na skraju lasu, trzymając palec na cynglu browningu, żąda oddania pieniędzy lub grozi śmiercią. Takiego widzi się później na ławie oskarżonych przed sądem przysięgłych lub na ciężkich robotach.

Tak jest ze zbrodniarzem.

A teraz...

Oto mamy pisarza o wytwornych mankietach, siedzącego przy biurku ze starego drzewa dębowego, ozdobionym w kwiaty.

Na biurku eleganckie przecinacze papieru i drobne przedmioty sztuki. Ludzie nazywają go wybornym pisarzem, sławą dnia! Bóg zowie go zbrodniarzem, mordercą dusz.

Zabija, nie jak zwyczajny bandyta, w przystępie gniewu, kiedy „krew go zalewa“ w czasie jakiegoś dramatu rodzinnego, ale dzień w dzień, na zimno, złośliwie spełnia ponurą pracę literatury zabijającej dusze.

O wiem dobrze, że jest on członkiem Akademii Literatury, że wysiaduje pod jej sklepieniem, że nosi wówczas ozdobne wyszycia na kołnierzu, a niekiedy miecz od parady.

Mimo to jest złoczyńcem.

Oburza nas, kiedy czytamy w gazecie, że ktoś z zazdrości wylał witriol na twarz swego rywala.

Więcej poważną sprawą, jest wlewać w serca czytelników pewne żrące kwasy: przecież lepiej jeszcze jest zniekształcić twarz niż duszę.

Miejmy się na baczności przed mordercami w smokingu.

— — — — — — —

Przeklęte apostolstwo celuje we wszystkich: w dzieci i w lud...

A przecież rzeczą daleko brzydszą jest zabrać ubogiemu duszę, niebo i Boga niż pozbawić go kąska chleba.

W duszy młodzieży rozgrywa się walka. Czy będę czytał?

Czy będziesz? — Odrzuciwszy ruchem instynktownym książkę, zdajesz sobie sprawę z jej niebezpieczeństwa?

Słyszysz to ostrzeżenie sumienia, które w człowieku głosem jest Boga i pierwsze poruszenia tego głosu czujesz już, kiedy kusi cię byś nie liczył się z obowiązkiem. Tak prawda krzyczy w nas.

A kiedy czytasz!... a czytasz gorączkowo i przebiegasz oczyma deprawujące strony,

wyobraźnia twa pokrywa się sromotą i podobnym jesteś wówczas do ekranu kina, na którym przesuwa się niemoralny film.

Przeczytałeś! Stało się! Ale ja, który kocham Cię z całej duszy, jakżesz cierpię dlatego, że ty już okryłeś się piętnem!

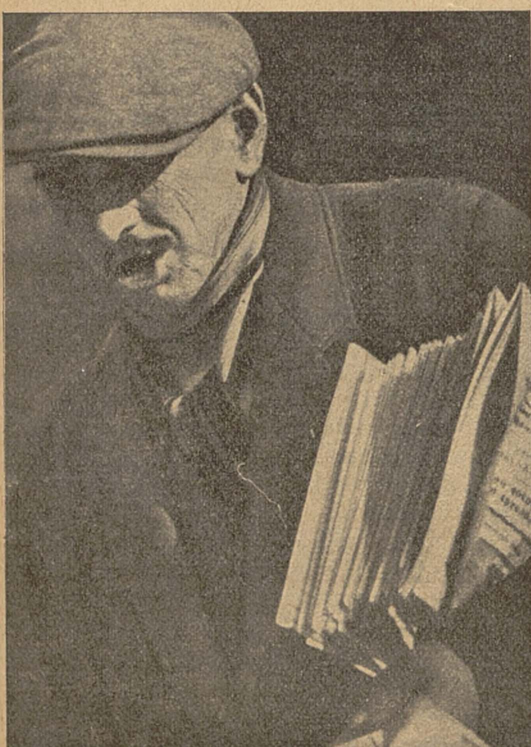
Przykro jest patrzeć na zniszczone burzą zboże i na piękne kłosy, powalone do błota.

Ale przykrzejszą patrzeć na spustoszone dusze!

Płakaliśmy nad naszymi ruinami z czasów wojny. W oczach Boga gorsze od ruin naturalnych są szkody moralne!

I nie ma się co łudzić: jest się w ruinie. I jak szybko się do tego dochodzi. Lat potrzeba, by zbudować świątynie wewnętrznych cnót! Jednej godziny wystarczy, by ją zniszczyć!...

Dlatego na pewnych książkach i prasie możnaby umieścić takie ostrzeżenie: „materiał wybuchowy, dotknięcie grozi śmiercią!"



Katolicy, czytajcie katolicką prasę!

Papieże o prasie

Prasa jest rzeczą pierwszorzędnej wagi. Przyjdzie czas, że stanie się ona jedynym środkiem udzielania prawdy ludowi.

Leon XIII.

Nie wiele pomyliłby się ten, któryby przypisał brudnej prasie nadmiar zła i opłakany stan rzeczy, do jakiego obecnie doszliśmy. *Leon XIII.*

Prasa jest królową świata: nie dosyć pojmuje się jej znaczenia: ani wierni, ani duchowieństwo, nie zajmuje się nią tak, jakby powinni. *Pius X.*

Wielką, szlachetną jest rzeczą budować kościoły, szkoły, stwarzać organizacje, ale przedsięwzięcia te osadza się na piasku, jeśli się im nie daje, jako fundamentu, uczciwej, niezależnej, katolickiej prasy.

Pius X.

Uczyńcie wszystko, aby ocalić prasę, to dzieło pierwszej potrzeby i aby ją doprowadzić do rozkwitu. Wspierajcie ją za cenę największych poświęceń. *Benedykt XV.*

Jest to koniecznością dla sfer katolickich, by interesowały się pismami katolickimi, czytały je, propagowały, popierały i wspomagały pieniężnie.

Ojciec Św. Pius XI.

CZYTAM, BO TAM JEST TAKI PIKANTNY ROMANS!

Oto częsta odpowiedź tych, w ręku których znachodzisz brukową gazetę. Wzruszająca historia — naturalnie miłosna!

Trudno, miłość jest pierwszym czy nawet jedynym prawem, wobec którego nie ma znaczenia ani autorytet ojca, ani prawa męża, ani dobro dzieci, ani wola Boga.

Bo oto są dwie osoby, które się kochają i muszą do siebie należeć. Niech zginą nawet wszystkie przepisy, kodeksy, cała podstawa życia społecznego, byle tylko ona mogła żyć z nim, a tamta z tamtym.

I temu nikt nie jest w stanie zaprzeczyć! Ktoby spróbował, musi być przygotowany, że mu przypną różne przezwiska: zacofaniec, klerykał, bigot, staruszek i t. d.

Oto czym żywi brukowa prasa umysły i serca tysięcy czytelników. *Czy duchowieństwo i katolicy zdają sobie z tego sprawę?*

Śmiech to zdrowie

GOŁĄB CZY GOŁĘBICA.

Pytano raz, czy gołąb Noego, niosący w dzióbie gałązkę oliwną, był samcem czy samiczką. Na to odpowiedział mąż gadatliwej żony:

— Z pewnością był to gołąb, gołębica nie zdołałaby tak długo trzymać zamkniętego dzioba.

NIE ZROZUMIAŁ.

— Macie tu lekarstwo dla waszej krowy! Trzeba jej co godzinę dawać po łyżce stołowej.

— Kiedy panie weterynarzu nie wiem jak to zrobić, bo u nas krowy jedzą ze żłobu, a nie łyżkami...

❉

Nauczyciel: — Jasiu, powiedz mi co to jest wiatr?

Uczeń: — Wiatr jest to powietrze, któremu się spieszy...

❉

— Czego ty smarkaczu beczysz, ledwo oczy otworzyłeś?

— A bo mi się śniło, że dostałem od dziadka trzy jabłka, z których zjadłem dopiero jedno, a mamusia mnie tymczasem obudziła.

❉

Każdy powinien zostawić po sobie pamiątkę, że nie żył darmo.

W SĄDZIE.

— Jak się pan nie wstydził kraść zegarek lekarzowi, do którego pan przyszedł o poradę?

— Co miałem panie sędzio zrobić, kiedy lekarz kazał mi brać lekarstwo co godzinę, a ja nie miałem zegarka.

OSTRZEŻENIE.

Na pewnej górskiej drodze jest w jednym miejscu nagły zakręt w prawo, potem znów w lewo.

— Dlaczego nie postawicie tutaj tablicy ostrzegawczej? — pyta turysta dróżnika.

— O tu na górze stoi tablica „Warsztat naprawy samochodów".

❉

Żona: — Na nic mi nie pozwalasz. Jeśli tak dalej będzie, to wrócę do rodziców.

Mąż: — O na to ci zaraz pozwolę!

NAD RANEM.

— Która to godzina, ty łajdaku?!

— Pierwsza, jak cię kocham aniołku!... Pierwsza!... Cztery razy biła, raz po raz!

PRZESADA.

— Byłem w Ameryce — opowiada, chwaląc się jeden — i pomyślcie, widziałem maszynę, do której z jednej strony wkładało się ziarno, a z drugiej wychodził gotowy już chleb i bułki!

— E to jeszcze nic — mówi drugi łgarz — ja byłem we Włoszech i widziałem maszynę, do której z jednej strony wsypywało się świeże winogrona, a z drugiej strony parobek wypędzał z szynku pijanych już gości!...

❉

Zapytany Poleszuk, ile kilometrów jest z Sarn do Niemowicz, odpowiada:

— Tamtego roku to było 11, ale teraz jest 9.

— Jakże to może być, cóż się stało?

— Ano, dwa słupki się przewróciły i już ich nie ma.

LEKCJA RACHUNKÓW.

Nauczyciel: — Powiedz Jasiu, ile jest razem: półpięta i półpięta?

Jaś: — Półpięta i półpięta, to jest cała pięta.

❉

Wierzyciel, który przyszedł odebrać pożyczone pieniądze pyta:

— Pan w domu?

— Nie. Wyjechał.

— Taak? To powiedz Marysiu swemu panu, ażeby wyjeżdżając w przyszłości zabierał także głowę, która przed chwilą wyglądała oknem.

❉

Sędzia: — Cóż, przyznajesz się do winy?

Złodziej: — Nie przyznaję się i nie przyznam. Mowa pana obrońcy i mnie przekonała, żem jest niewinny.

❉

— Och, jak dobrze, że cię spotykam przyjacielu. Pożycz mi 10 zł. zapomniałem pugilaresu w domu.

E wiesz co, pożyczę ci 20 gr. i jedź tramwajem do domu po pugilares...

Uroczystości jubileuszowe ks. dr. F. Machaya na Orawie

Orawa tego lata była świadkiem niepospolitych uroczystości, które się na jej terenie w tej porze odbywały. Oto wielki jej syn, ks. dr Ferdynad Machay, obchodzi w tym roku 25-lecie swego kapłaństwa. I rozradowały się wzgórza orawskie z starą babką naszą „Babią Górą“ na czele, rozszerzyły się serca Orawiaków i przepełniły radością chętną, by uświetnić rzadką i wspaniałą uroczystość swego ukochanego przywódcy narodowego, jakim jest dla Spisza i Orawy drogi Jubilat. Do swej wspólnej radości weselnej przygarnęły także rodaków ze Spisza, by jedną myślą i jednym sercem uświetnić srebrny jubileusz kapłański oraz uczcić zasługi swego Wodza, który pod koniec światowej wojny rzucił mężnie i nieustraszenie na tych ziemiach hasło: „Nasza droga do Polski!“ i za swym przewodem za pomocą swych wiernych współdziałaczy narodowych, złączył ziemię spiską i orawską z narodem polskim.

Orawka — jako matka orawskich kościołów — pierwsza zaprosiła do siebie czcigodnego Jubilata, by w tej świątyni podziękował Bogu Najwyższemu za wszystko, czego Mu Opatrzność w ciągu 25 lat użyczała, oraz by uprosić błogosławieństwo Boże na dalszą drogę życia kapłańskiego i na dalszą pracę dla ukochanej Ojczyzny. I piękne to było i budujące, kiedy Jubilat w czasie odpustu świętojańskiego w Orawce, w dzień Narodzenia św. Jana Chrzciciela, otoczony szacunkiem i życzliwością duchowieństwa i ludu orawskiego, przystąpił do stóp Ołtarza Pańskiego, by w tym drewnianym, najstarszym oraz macierzystym kościółku rozpocząć swe srebrne gody kapłańskie. W tym kościółku, który poniósł tyle trudu i ofiary dla ratowania wiary katolickiej na Orawie, i jest za to otoczony synowskim pietyzmem całej Orawy. Tutaj przybył najpierw — jakby na Wawel Orawski — nasz ukochany Jubilat w tak ważnej chwili życia, by w tej historycznej świątyni zaczerpnąć nowego natchnienia i świeżego zapału do dalszej pracy i walki za sprawę Bożą i narodową!

Dnia 4 lipca 1937 *w Lipnicy Wielkiej* na Orawie urządził księdzu Jubilatowi jego rodzony brat ks. kan. Karol Machay, miejscowy proboszcz, podobną uroczystość jubileuszową, na którą zjechało dużo gości duchownych i świeckich z Podhala i z dalszych stron Polski. Między innymi przybyli: całe duchowieństwo orawskie z ks. dziekanem Janem Góralikiem na czele, ks. dziekan spiski Stefan Andraszowski, jako manuduktor, ks. prałat Jan Madej, ks. kan. Łabędź, ks. Czartoryski — jako wicerektor Sem. krakowskiego,



Uczestnicy uroczystości jubileuszu ks. dr F. Machaya w Jabłonce na Orawie w pośrodku Ksiądz Jubilat z min. wojny gen. Kasprzyckim.



Nad grobem śp. Piotra Borowego stoją od lewej strony Ks. dr. F. Machay, Ks. J. Zieja, Józefina Machay-Mikowa, J. Piekarczyk, J. Wiktor powieściopisarz, Ks. dr. St. Sapiński.



Z jubileuszu X. dra F. Machaya.
Jeden z górali składa w Lipnicy Wielkiej życzenia Jubilatowi.

ks. Zieja — kaznodzieja jubileuszowy, ks. dr Sapiński, p. Jan Wiktor literat i inni serdeczni przyjaciele i znajomi Jubilata. Po nabożeństwie w kościele parafialnym pobożny lud orawski oraz przybyli goście odwiedzili grób ś. p. Piotra Borowego, na którym po przemówieniu ks. Józefa Buronia Jubilat złożył wieniec, by przy tak pięknej uroczystości przypomnieć sobie delegata orawskiego ludu na pokojową konferencję w Paryżu, oraz nieustraszonego obrońcę Spisza i Orawy. Wśród różnych życzeń pięknych i miłych, na uwagę zasługuje przemówienie, jakie przy grobie ś. p. Piotra Borowego wygłosił p. Wincenty Janowiak, wzorowy gospodarz w Lipnicy Wielkiej. Między innymi powiedział: „Innym po śmierci budują pomniki granitowe, żelazne, cementowe, — ks. dr Ferdynand Machay zbudował sobie pomnik trwalszy od tamtych za życia: złączył 35 tysięcy rodaków na Spiszu i Orawie z Macierzą Polską. To jest Jego największa zasługa w nowej, niepodległej Polsce!“

Główna uroczystość jubileuszowa jednak przypadła w udziale rodzinnej wiosce księży Machayów oraz ośrodkowi administracyjnemu Orawy. Uroczystość ta zbiegła się z miejscową uroczystością odpustową Przemienienia Pańskiego w dniu 6 sierpnia. Po triumfalnym przybyciu Jubilata z Lipnicy Wielkiej do JABŁONKI, jakie mu urządziła banderia jabłońska oraz po uroczystym powitaniu przy bramie triumfalnej obok domu gminnego, poprowadzono znakomitego rodaka do kościoła parafialnego, gdzie przed 25 laty odprawił prymicje. W otoczeniu licznego duchowieństwa i tłumu ludu z odśpiewaniem *Veni Creator Spiritus* rozpoczęto z asystą Sumę jubileuszową, podczas której ks. kan. Łabędź z Czarnego Dunajca wygłosił podniosłe kazanie odpustowe, wskazując na podwójną uroczystość tego dnia. Po Sumie Jubilat wraz z duchowieństwem z ks. dziekanem Janem Góralikiem jako manuduktorem na czele odśpiewał *Te Deum laudamus.* Po skończonym nabożeństwie odprowadzono Jubilata do Domu Gminnego, gdzie do stołu biesiadnego zasiadło mnóstwo zaproszonych na tę uroczystość gości.



Ksiądz Jubilat przy ołtarzu.



Zespół teatralny Zw. górali Spisza i Orawy w Łapszach Niżnich.

Rząd reprezentował minister gen. Kasprzycki; przybyli także przedstawiciele władz powiatowych oraz delegacje licznych Związków i Stowarzyszeń i t. d. Wojewodowie Gnoiński i Grażyński, generał Galica, senator Gwiżdż i dziesiątki innych osób oraz instytucyj nadesłały telegramy gratulacyjne. W czasie uczty obiadowej przemawiali minister gen. Kasprzycki, prof. dr Walery Goetel, prof. dr Szober, księża oraz liczni delegaci ze Spisza i t. p. Za wszystkie te powinszowania wyrażał Jubilat najserdeczniejsze podziękowanie, zaznaczając z niemałym wzruszeniem, że dla Polski pracował ze swymi współdziałaczami bezinteresownie, z miłości,



Ksiądz Jubilat w otoczeniu młodzieży prowadzącej Go do kościoła.

za swą pracę nigdy i nikomu rachunków nie przedkładał, bo uważał, że dla Ojczyzny pracować jest obowiązkiem najmilszym i sądzi, że wszystkie dla niej prace są tylko spłatą zaciągniętych długów. Podniósł i przyrzekł, że i w przyszłości tak pragnie postępować. Z różnych swych wydawnictw uzyskane 50 tysięcy złotych składa jako dar ze swej strony dla Związku Górali i Spisza, na kształcenie młodzieży z tych nowo do Polski przyłączonych ziemic oraz przysposobienia jej na dzielnych patriotów i nieustraszonych kresowych obrońców Polski. Obecni goście przyjęli z podziwem do wiadomości tak wspaniałomyślną obietnicę, obywatele zaś Spisza i Orawy niemilknącymi oklaskami dziękowali za tak wspaniały i nieoceniony dar jubileuszowy ze strony czcigodnego i nad wyraz szlachetnego Jubilata.

O godz. 17 odbyła się w Domu Ludowym T. S. L. uroczysta akademia, którą zagaił w imieniu Związku Górali Spisza i Orawy ks. Marcin Jabłoński, składając Jubilatowi — jako nowemu Prezesowi tegoż Związku — serdeczne życzenia oraz polecając Związek ten czułej opiece i miłości jego. Przemawiali jeszcze przedstawiciele i delegaci różnych organizacyj miejscowych i zamiejscowych, deklamowała dziatwa szkolna i śpiewała dorastająca młodzież; wreszcie Jubilata obsypano gradem kwiatów. W końcu odegrano sztukę sceniczną p. t.: „Honorni Orawiacy“ na tle powieści ks. dr. Fr. Machaya przez nauczycielkę z Jabłonki p. Dobrucką dla sceny opracowaną i odśpiewaniem: „Boże coś Polskę“ zakończono akademię.

Wszystkie te uroczystości, które przemieniły się na Spiszu i Orawie w żywiołową manifestację narodową — wywarły miłe i potężne wrażenie u wszystkich, którzy w nich wraz z ukochanym Jubilatem uczestniczyli.

Obserwator.

TATRY

W dali!... jakby ciągnący ławą huf kresowy,
Z gwiazdami na szyszkach, z proporcem obłoków
Zakamieniał, dotarłszy aż do nieba stoków,
Tak Tatry ciemnym murem zwarły dumne głowy!

Wielki, jak sny młodości — mroźny kraj śniegowy!
Gdzie król burz — halny orkan — błądzi w szacie mroków,
Gdzie wiszą gniazda orłów, gromów i potoków,
Gdzie mistrz świata w obłokach ma tron granitowy!

Tatry!... czemuż, jak siedzib szukające ptaki,
Myśli moje ku waszej zamarłej pustyni
Lecą przez mgłę tęsknoty i przez marzeń szlaki?

O, pustyni tatrzańska! bo na tym obszarze
Całej mojej ojczyzny — o skalna świątyni! —
W tobie jednej są jeszcze swobody ołtarze!

FRANCISZEK H. NOWICKI



W miasteczku „cudownego“ rabina

„Judoei signa petunt“
(Święty Paweł).

Między Lwowem a Krakowem jednostajna równina Polski rozpościera pod zwykle pochmurnym niebem wilgotne swoje łąki, ponure stawy, lasy i nużące wzrok błota, delikatne akacje, brzozy wysmukłe i drżące jodły, których zmęczone gałęzie, zda się, podczas najsilniejszych nawet upałów trwożnie oczekują śnieżycy zimowej. Małe konie ciągną wozy, wlokąc się po błotnistych drogach, które prowadzą niewiadomo dokąd.

Od czasu do czasu błysną barwnie pobielane chaty, kryte słomianymi strzechami; ukaże się sterta zboża, ukryta pod nadgniłym daszkiem drewnianym, wspartym na czterech tyczkach; i na wszystkich skrzyżowaniach dróg, na pagórkach, ożywiających niekiedy monotonię równiny, znajduje się zawsze wysoki, prymitywnie ociosany krzyż, z wizerunkiem rozpiętego Chrystusa — symbol smutku i rezygnacji. Te wysokie krzyże, wyolbrzymiałe na tle horyzontu, zdają się obejmować bólem swoim całą Galicję. One właśnie są panami, prawdziwymi mieszkańcami tej równiny, one ją zaludniają, one władają nią. Możnaby rzec, że ich wyciągnięte ramiona podtrzymują niebo, zawsze ciężarne groźbą deszczu.

Czy to Bóg Izraela, Bóg Abrahama i Mojżesza, Horebu i Synai chciał zachować w tym zakątku chrześcijańskiej ziemi, podobnej do Kalwarii — do krzyżowej drogi bez końca, obraz niezmienionego życia wybranego ludu, który przetrwał Egipt i Babilonię, zachowując zawsze na obczyźnie nietknięte, niezmienione obyczaje swoje, myśli, uczucia?

A może to Bóg Nowego Przymierza chciał utrzymać, obok wysokich krzyżów, synów dawnych świadków męki Chrystusowej?

Żydzi, wszędzie żydzi — moc nieprzebrana, 4, 5, 6 milionów, może więcej (któż ich zliczy, ruchliwych, wiecznie błąkających się wędrowców), biednych, jak Job biblijny, chudych, podnieconych, miotających się jak pająk wodny na sadzawce; uprawiają wszelki handel, prowadzą przeróżne drobne warsztaty rzemieślnicze, wytwarzające artykuły niezbędne dla chłopów polskich i ruskich.

W swoich zaś wiejskich ghettach wiodą życie tak odrębne od życia chrześcijańskiego otoczenia, tak ustalone w najdrobniejszych nawet szczegółach przez ścisłe przepisy prawa hebrajskiego, że życie to jeszcze dzisiaj może dać wierny obraz egzystencji, jaką wiedli ich przodkowie 2000 lat temu na przedmieściach Jerozolimy.

Pośród wieńca nieznanych szerokiemu światu wsi wznosi się święte miasto Bełz, tak samo brudne, tak samo zawszone, tak samo nieznane i jedynie tylko dla żydowskich wschodnich oczu jaśniejące, jak palma na piaskach pustyni. Rok rocznie, na wielkie święta, tysiącami zbiegają się tutaj z Rosji, Austrii, Niemiec, Rumunii, Górnych Węgier wierni Cudownego Rabina.

Obok wyrafinowanej praktyczności życiowej żydów, tak doskonale znających się na interesach, wkładających tyle sprytu i przebiegłości w kupno lub sprzedaż skórki królika, starej skóry, znoszonego ubrania, istnieje jakoweś niestłumione pożądanie czegoś nadzwyczajnego, oczekiwanie cudu z zaświatów.

I dlatego stałe ich podniecenie, ustawiczny ruch rąk i twarzy nietyle jest dowodem chorobliwego niepokoju rasy, ile raczej egzaltacji, entuzjazmu, wyuzdanego pragnienia czegoś nowego, budzącego podziw, niemożliwego, co bardziej jeszcze, niż interes przenika głąb duszy żydowskiej, co czyni żydów wiecznie niezadowolonymi z warunków obecnych, z którymi oni walczą, idąc na poszukiwanie lepszej doli do miast Zachodu lub Ameryki w pogoni za bajecznym bogactwem, albo też poddają się z bezgranicznym zaufaniem wyrokowi Cadyka wierząc fanatycznie, że jednym słowem mocen jest zmienić wszystko, co zechce.

Owo poszukiwanie wielkich przeznaczeń, pragnienie cudu, to nic innego, jak odwieczna idea Izraela, nadzieja i dążenie do ziemi obiecanej — odwieczna skłonność i instynkt rasy, który pozwala najbardziej fantastyczne marzenia przyoblekać w szaty możliwości. Niezwyciężona potęga nadziei, która wiodła patriarchów, Abrahama, Jakóba i Mojżesza i nie straciła dotąd nic na swej mocy. To samo nienasycone pragnienie, które pociągnęło niegdyś dzieci Izraela w piaski Arabii, wiedzie dzisiaj pociągami i wozami egzaltowane tłumy ich potomków do biednego miasteczka Bełza, do Cudownego Rabina.

Tego roku we wrześniu, w przeddzień pierwszego Tischri i świąt Rosch ha-schanah, które rozpoczynają nowy żydowski rok, tłumy pielgrzymów wysiadły z wagonów kolejowych na małej galicyjskiej stacyjce.

Objuczeni ogromnymi tobołami, które zawsze towarzyszą żydom w drodze, wlokąc za sobą po błocie chałaty lub unosząc je, jak stare niewiasty, dwiema rękami, defilowali pod spojrzeniem ukrzyżowanego Chrystusa z blachy, wzniesionego u wrót stacji.

Żywo gestykulując i szwargocząc, przechodzili 300 metrów, dzielących stację od miasteczka, po wyboistej rozmokłej drodze, po pomoście, rzuconym przez rzeczkę, i nareszcie byli u celu. Bełz — kilkaset małych przyziemnych domków...

Przez całą noc padał deszcz. Napróżno wąskie okna, za którymi kryją się zrzucone na kupę artykuły spożywcze, szukały schronienia za drewnianymi chodnikami, wzniesionymi ponad poziomem ulicy i biegnącymi wzdłuż domków; błoto, straszliwe błoto opanowało parapety, nagromadziło się na deskach chodników, początkowo miękkie, stopniowo coraz bardziej gęste, przekształcało drewniane pomosty w nowe bagniste drogi, i, wpełzając do kramów, kładło ciemne, wilgotne plamy na barwne tkaniny, skóry, futra, artykuły spożywcze, przenikało nawet do zamkniętych puszek, zawierających kolorowe cukierki.

Na placu targowym, między arkadami drewnianymi, które czynią rodzaj korytarza, wiodącego wokół błotnistej kloaki, wozy pielgrzymów tworzyły jakieś dzikie obozowisko. Pogrążone do połowy w kałużach, służyły podczas dnia jako żłoby dla koni, a w nocy były jedynym schronieniem dla swych właścicieli.

Gromada rozgadanych kaszlawników — ubogich pośredników, żyjących z obierania pielgrzymów, uwijała się dokoła; pod płóciennym nakryciem wozów bawiły się dzieci; stada gęsi przesuwały się poważnie między kołami wozów, a śnieżysta biel ich upierzenia była jedynym niezbrukanym przedmiotem w powodzi okalającego błota.

Lecz ani plac targowy, ani zajazd nie były świętym miejscem Bełza. Znajduje się ono nieco dalej. Jest to plac niemniej błotnisty, jak poprzedni — przecinają go w czterech kierunkach takie same chodniki drewniane, tylko nie ma już tutaj ani wozów, ani sklepów, mniej domów świeckich.

Po prawej stronie dom Cadyka, dom o wyglądzie nowoczesnym, budzący zdumienie dwupiętrową wysokością, niespotykaną w tej osadzie.

W głębi synagoga o wysokich murach, pozbawiona okien, zdobna fantazyjnymi upiększeniami. Podobnie jak i inne budynki, i ona opanowaną jest falą błota.

Obok bethamidrasch — rodzaj hali, służącej równocześnie jako biblioteka, refektarz i miejsce, gdzie przespać się mogą rzesze pobożnych. Zabudowania te tworzą

wielki czworokąt. Wolne przestrzenie między budynkami pozwalają widzieć wielkie, milczące przestrzenie zielonej, wilgotnej łąki i kościół katolicki z cebulowatą dzwonnicą, który okolicznym włościanom daje świadectwo obecności Boga chrześcijańskiego w tej, zdawałoby się, nawskroś żydowskiej mieścinie.

Ach! Pomimo, iż cała osada prawie wyłącznie zamieszkałą jest przez wschodnich wygnańców, jakże mało przypomina ona wioski Arabii i Judei! Ani jednej cechy podobnej — same przeciwieństwa! Miast kurzawy i piasku — błoto, wciąż błoto, zamiast lazuru nieba — nisko płynące chmury; zamiast białych igrających z wiatrem burnusów — zawsze jednakie, smutne, czarne szaty i buty, obciążone całorocznym błotem! Jak tu marzyć o Wschodzie wobec takiego obrazu? Czy mieszkańcy jakiegokolwiek wschodniego kraju odczuwają ciągłą groźbę deszczu ponad głową i takie rozpaczliwe błoto pod nogami? Czy spotykano tam, na Wschodzie, ludzi podobnych do tych postaci, o głowach przykrytych futrzanymi, wyjedzonymi przez mole czapkami?...

Wszystko to wieje chłodem, odstrasza nędzą!

A jednak... rzecz dziwna! Dość przekroczyć granicę Galicji, a ogarnia człowieka jakieś odrębne, oddalone, gorące tchnienie.

Może to czyni wdzięk żydowskich dzieci, ich piękne oczy, czerwoność ust, rozlewna miękkość kobiet, majestatyczność starców, wyrazistość twarzy, błysk oczu, które obiecują więcej inteligencji, niż jej jest u tych ludzi?

Wy nie jesteście już więcej w Europie — jesteście w Judei!

Życie zmieniło barwy zewnętrznych szat, rzuciło cienie północy, lecz żyje duch, który nie jest duchem Polski.

Światło zapalone na Wschodzie, nie może zagasnąć! Mogą padać ulewne deszcze, śniegi sypać przez szereg zim, coraz więcej błota gromadzić się na targu — nic to!

Żaden żywioł nieprzyjazny nie zmieni losu osady — na zawsze pozostanie ona zakątkiem Palestyny!

Blasku bystrych spojrzeń, niespokojnych lub poważnych, żaden deszcz przyćmić nie zdoła. Błoto całej Polski, nagromadzone przez lato na chałatach i butach — przy pierwszych promieniach palącego słońca — stanie się pyłem Judei, a smutne, czarne chałaty — to wieczne wspomnienie powiewnych szat Assyrusa i Estery!...

Kiedy po dziesięciodniowej podróży wysłannik Hounfalou pojawił się na placu targowym Bełza, tłum kaszlawników otoczył jego wózek zwartym kołem. Jeden z nich usadowił się zręcznie na siedzeniu Amrama i zaofiarował mu swoje usługi: 50 krajcarów za pilnowanie wózka... 5 krajcarów i szklanka wódki za pojenie konia... 20 krajcarów za wyczyszczenie zgrzebłem... 10 za nasypanie obroku... 6 za przechowanie kożucha... 3 za wskazanie rytualnej łaźni... 2 floreny za wprowadzenie do Cudownego Rabina.

Nie przestając mówić, on porwał bat i począł okładać nim współwyznawców, usiłujących uchwycić go za chałat, aby ściągnąć z wozu i zająć jego miejsce — lecz on nie dawał się i, ująwszy drugą ręką cugle, wprowadził zaprząg w labirynt wozów — wkrótce koła, dyszel, koń, wszystko było tak doskonale splątane z innymi kołami, dyszlami, zwierzętami, iż zupełnie stało się niemożliwym posunąć się naprzód lub cofnąć w tył: wózek utknął między innymi, jak statek ściśnięty przez krę.

Kaszlawnik ugodził się z Amramem, iż za 60 krajcarów będzie pilnował jego wozu, kożucha i nakarmi konia. Poczem karczmarz, podkasawszy aż do kolan piękny jedwabny chałat, skoczył w błoto i skierował kroki w kierunku domu Cadyka.

W domu Cadyka, począwszy już od wejścia na ganek z cegieł, o żelaznych poręczach, wszystkie pokoje i korytarze zapchane były oczekującymi. Mnogość chałatów, butów, zniszczonych czapek, bród i pejsów; ciżba, tłok, krzyk nie do opisania napełniały powietrze, przesycone wstrętnym zapachem starego tytoniu i przepoconej bielizny.

Wszyscy wrzeszczeli, pluli, wymachiwali rękami, gnietli się, deptali sobie po nogach, napełniali wściekłością dużą poczekalnię, w której czterech sekretarzy w kołpakach na głowach zapisywało po hebrajsku na białym drewnianym stole, prośby o posłuchanie, cel przybycia i przyjmowali równocześnie ofiary, które składali pielgrzymi.

Najpoważniejsi i najbogatsi współzawodniczyli ze sobą w złożeniu wspaniałego daru, a cyfry składanych przez nich ofiar podniecały i doprowadzały do szaleństwa, chciwość bezwstydnego tłumu.

Paląca, iście niewieścia ciekawość i bałwochwalcze ukochanie mamony rozpłomieniły oczy. Z podziwem podawano sobie z ust do ust wysokość sum, składanych przez najbogatszych pielgrzymów za dopuszczenie przed oblicze Cadyka. Właśnie w tej chwili, kiedy Reb Amram dostał się do przedpokoju, jakiś bogaty hurtownik z Kijowa ofiarował 18 razy po 18 rubli (ośmnastka jest liczbą świętą, która oznacza — życie — w kabalistycznym tłumaczeniu), i ta niebywała hojność, wśród nędznego, spragnionego nowości i przedmiotu entuzjazmu tłumu, budziła pobożny podziw i służalczą uniżoność — bogatego kupca otoczyły zwarte grupki pielgrzymów i tłum żebraczy.

Długi, ciemny korytarz, wiodący do komnaty Cadyka, był tak nabity stłoczonym tłumem ludzkim, że przedstawiał widowisko nie do uwierzenia: żydzi wiedli ożywione spory i kłótnie, nie poruszając przytem ramionami, nie wymachując rękami, ani nawet nie tarmosząc bród i pejsów.

Dwóch wielkich, rozrosłych drabów-sekretarzy kopnięciami i uderzeniami nóg broniło wejścia do pokoju Rabina przed wściekłym atakiem zapaleńców, szczęśliwych całodziennym pobytem w cuchnącym smrodzie, w głębi ciemnego przejścia, gdzie tylko od czasu do czasu, jak przez mgłę, mogli ujrzeć przez uchylone drzwi bajeczną osobę Cadyka.

Amram również pałał chęcią zbliżenia się do tajemniczych drzwi, ale nawet nie mógł marzyć o przebiciu się przez mur chałatów, futer, bród i pejsów. Popychany, uderzany, gnieciony, robiąc łokciami ze świętą energią, nadaremnie próbował przez dwie godziny utorować sobie przejście do stołu sekretarzy. Próżne wysiłki! Nadchodziła noc, i Amram miał właśnie tylko tyle czasu, by zdążyć do rytualnej łaźni przed wieczorną modlitwą.

Boże! Jakże okropną była ta łaźnia, w której od rana setki pielgrzymów zanurza te brudne ciała i prało zatabaczone chusty! Sala wilgotna i gorąca, błoto czarne i lepkie, woda wrząca i smrodliwa, pokryta tłustą powłoką, ponad którą wznosiły się łyse głowy, potargane pejsy i brody, z których lała się strumieniami woda, szkarłatne, od zbyt długiego parzenia, ciała! Ci, co jeszcze się nie kąpali, oczekiwali na brzegu.

Ubrani jedynie w długie brody i pejsy, wychudli, z pochyłymi ramionami, o białości bielizny lub raczej woskowej świecy, z brzuchami wydętymi rupturą, na cienkich, chudych nogach — przedstawiali rozpaczliwy obraz degeneracji, wykoszlawienia, zamierania, i gdzie cała moc życia i energii skoncentrowała się w oczach i ustach.

Przed wstąpieniem do świętej wody wypowiadali rytualne błogosławieństwo:

— „Bądź pochwalony Wieczny Boże, Panie Wszechświata, któryś nam rozkazał zanurzać się w wodzie oczyszczenia!“

I zaraz potem, rozchyliwszy nieco usta, z rozwartymi palcami, rozstawionymi członkami, tak, ażeby święta woda mogła oczyścić wszystkie części ciała, oni wślizgiwali się pod tłustą powłokę brudu.

Amram, zanurzywszy się, wrócił na powierzchnię, parujący całym ciałem, szkarłatny — odebrał ubranie, zawiązał mocno pas, który dzieli wyższe i szlachetne części ciała od niższych i więcej brudny jeszcze, niż przed wejściem, opuścił rytualną łaźnię.

Zachodziło słońce. Ten schyłek światłości, to dla żyda godzina, w której dzień się kończy, a rozpoczyna drugi.

Z pierwszą gwiazdką rozpocznie się 5659 rok hebrajskiego kalendarza i święto Rosch haschanah.

Od rytualnej łaźni, domu Cadyka, opuszczając Cethamidrasch, żydostwo czarnymi strugami płynęło na plac do synagogi.

Wysoka i wielka, wsparta na ciężkich, z cegieł, pobielanych słupach, rozbrzmiewała już ogłuszającą jarmaczną wrzawą. Ogromne mosiężne pająki i klatki drewniane, z zapalonymi świecami, z których kapał roztopiony wosk na chałaty, oświetlały posępny i zwarty tłum, który kiwał się z przodu w tył i z tyłu naprzód ruchem modlitewnym, pochylał się, jak dziwne żniwo głów pod pierwszym podmuchem wiatru. Z minuty na minutę grzmot jęków i modłów potężniał. Możnaby rzec, że wiatr zamienił się nagle w huragan gwałtowny. Łan głów to pochylał się, to wznosił we wściekłym szaleństwie.

Czasem, potrącając towarzyszy i obrzucany za to obelgami, niejeden pielgrzym, dręczony robactwem, skrobiąc się w różne części ciała, pędził do beczki, stojącej u wejścia do synagogi, albo do małych kropielnic, tworzących wzdłuż ściany zieloną pleśń, i tu

zanurzał palce, aby oczyścić się w świętej wodzie.

Dzieci kręciły się między starszymi otrzymując w biegu głośne policzki. Lecz nic nie mogło naruszyć głębokiej harmonii poruszających się z furią ciał i błagalnych głosów. Szlochanie zmieszało się z modlitwą, wkrótce większość ludzi zdawała się nawet już nie modlić — oni wyli, łkali, i z konwulsyjnie drgającego tłumu biła bolesna skarga, przechodząca gamą od kwilenia niemowlęcia do wściekłego ryku i gardłowego grania agonii. Bo pierwszy dzień roku żydowskiego nie jest świętem nadziei, lecz świętem skruchy i żalu. W ten dzień, jak owce przed pasterzem, przechodzą żydzi całego świata przed Wiecznym, który patrzy w trzy rozwarte księgi: Księgę Sprawiedliwych, Księgę Bezbożnych i Księgę tych, którzy nie są ani zupełnie sprawiedliwi, ani zupełnie bezbożni.

Sprawiedliwi zostają natychmiast wpisani w Księgę Życia, bezbożni — w Księgę Śmierci. Nad tymi zaś, którzy nie są ani zupełnie sprawiedliwi, ani zupełnie bezbożni, wyrok pozostaje w zawieszeniu.

Bóg Izraelski daje im dziesięć dni pokuty, nim zadecyduje o ich losie. Więc przez ten czas modlitwy i błagania bezustannie wznoszą się ku niebu z niesłychaną żarliwością — modły trwają aż do postu Jom Kippur, kiedy to Bóg wydaje ostateczny, nieodwołalny wyrok.

Jeszcze trzy godziny szalała modlitwa, trzy godziny rozdzierającego płaczu, wściekłego błagania, bezczelnych gróźb, trzy godziny pobożnej żebraniny, apelu do dobroci Boskiej, trzy godziny, podczas których zaciekli żebracy — zdawało się — chcą gwałtem wydrzyć niebu swoje zbawienie.

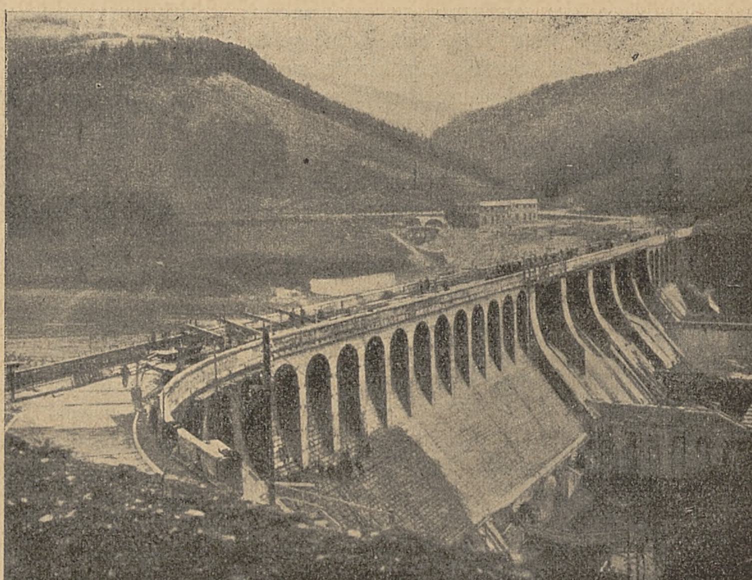
Nagle, jak zawsze w końcu tych ceremonii, święty szał ustał raptownie.

Służba Cadyka wnosiła do synagogi stoły i ławki, talerze i szklanki. Cadyk wydawał ucztę dla swoich wiernych, albowiem nawet świętom skruchy i żalu towarzyszyć powinna radość, której dostarcza obfita biesiada przy rzęsiście oświetlonym stole.

H. i J. Tharaud.

(Z książki: „Cień Krzyża").

Zbiornik wodny i zapora na rzece Sole w Porąbce



Liczne potoki górskie, spływające do rzeki Soły, w wypadku dłuższych deszczów nie mogą pomieścić w swych łożyskach nadmiaru wód. Urodzajne pola, łąki i zagrody oraz ważne arterie komunikacyjne zostają wtedy zalane, a wezbrana Soła, wpadając następnie do Wisły, po połączeniu z wodami wiślanymi zagraża bardzo często Krakowowi.

Wystarczy sobie uprzytomnić, że podczas jednej z największych dotąd powodzi w dorzeczu Soły w r. 1903 w chwili jej największego nasilenia pod Porąbką przepłynęło około 1200m^3 w ciągu jednej sekundy, aby zdać sprawę z grozy żywiołu. W stosunku do tej olbrzymiej masy wody jaskrawym kontrastem jest minimalny przepływ rzeki Soły, który według dokonanych specjalnych pomiarów przez Państwową Służbę Hydrograficzną wynosi zaledwie 1,6 m^3 na sekundę.

Na tle rozpiętości granic, w których waha się siła żywiołu wodnego, rola powstającego obecnie zbiornika wodnego w Porąbce staje się wyjątkowo doniosłą.

Zbiornik ten pozwoli, przy odpowiednim gospodarowaniu wodą, zredukować niebezpieczne przepływy powodziowe Soły do granic nieszkodliwych, natomiast kosztem zamagazynowanych wód minimalne przepływy Soły będą mogły być powiększone.

W ten sposób z jednej strony niebezpieczeństwo powodzi pod Krakowem znacznie się zmniejszy, a w wielu wypadkach może być nawet całkowicie usunięte, z drugiej strony podczas niskich stanów wody na Wiśle, zbiornik w Porąbce będzie mógł zasilać Wisłę wodami Soły w większym, niż dotąd stopniu.

Poza tymi dwoma zadaniami podstawowymi zbiornik dostaczyć może, w razie wykorzystania siły wodnej przy zaporze, około 27 milionów kilowato-godzin prądu elektrycznego rocznie dla uprzemysłowionej południowo-zachodniej połaci Polski.

Zakład w Porąbce będzie uzupełnieniem już istniejących innych zakładów energii elektrycznej, pracując z nimi na wspólną sieć.

Zbiornik wodny na Sole powstaje przez spiętrzenie jej wód zaporą. Powierzchnia sztucznego jeziora przy najwyższym spiętrzeniu rzeki wynosi 380 ha, największą głębokość — 22 m, długość jeziora — 7,7 km, a największa szerokość — 800 m. Pojemność zbiornika wynosić będzie 32 miliony m^3 wody.

Projekt zbiornika wodnego i zapory na Sole w Porąbce pierwotnie opracowany był przez ś. p. inż. Tadeusza Baeckera. W pierwszych latach Niepodległości w projekcie tym poczynione zostały pewne zmiany przez pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej, śp. prof. Narutowicza. Budowa rozpoczęta została w r. 1925. Wskutek jednak szczupłości kredytów, realizacja projektu postępowała w tempie powolnym i dopiero w r. 1934 rozpoczęto roboty na szeroką skalę.

Największym obiektem zbiornika jest przegroda, skonstruowana jako ciężki mur z betonu plastycznego i fundowana na pokładach skalnych, składających się z ławic piaskowca godulskiego, przewarstwionych łupkami ilastymi i krzemienistymi. Ilość betonu użyta do wykonania przegrody wynosi 100 tysięcy m^3, a ilość cementu 2 tysiące wagonów. Długość zapory wynosi 260 m, szerokość muru w koronie, wykształconej jako droga, dochodzi do 4,40 m. Wysokość przegrody nad dawnym korytem rzeki Soły wynosi 22 m, zaś maksymalna wysokość od najniższego punktu fundowania dosięga 35 m.

Celem uszczelnienia spękań skały pod zaporą wykonane były wiercenia i zastrzyki cementowe pod dużym ciśnieniem. Zastrzyki te pochłonęły około 70 wagonów cementu.

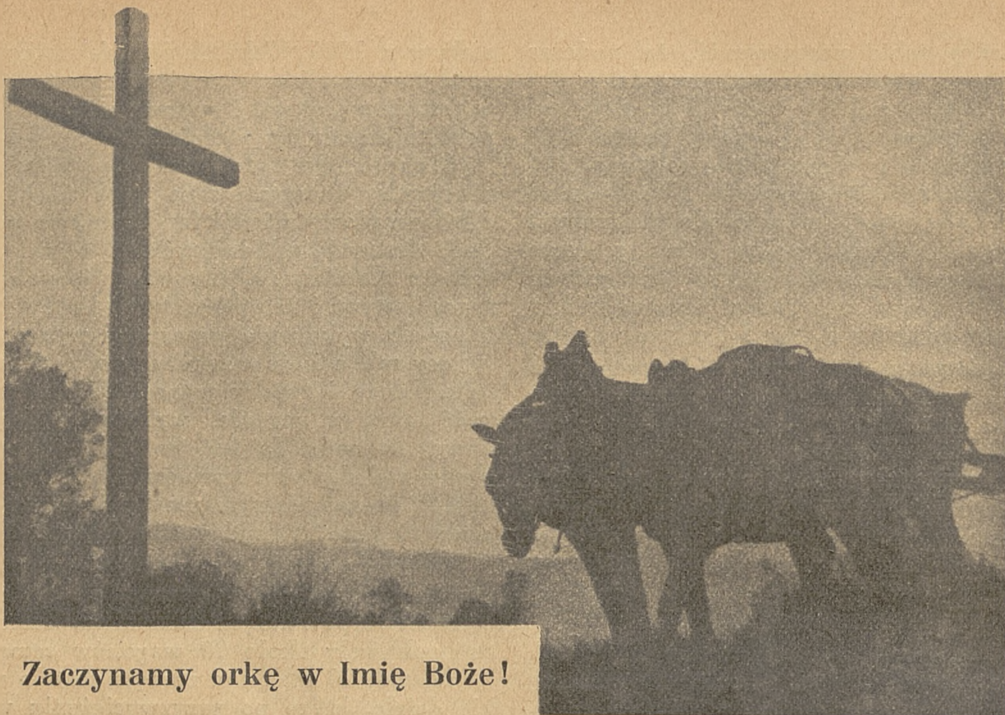
Niemal 20 lat temu zaczęte zostało wielkie dzieło, które po przyzwyciężeniu wielu przeszkód, dobiegło dziś do końca.

Zbiornik w Porąbce, projektowany jeszcze za czasów zaborcy, zostaje zrealizowany w niepodległej Ojczyźnie. Lecz tak projekt, jak i jego realizacja zostały wykonane pracą polskich sił technicznych, przy pomocy polskich rąk roboczych. A te zastępy rąk były znaczne. W roku 1934 dzienne zatrudnienie przy pracach na zbiorniku dochodziło do 1.850 robotników i 300 junaków, a na zaporze w 3-ch zmianach — 730 robotników. W r. 1935 zatrudnionych było na zbiorniku do 1.800 robotników i powyżej 600 junaków. Na zaporze pracowało wtenczas w 3-ch zmianach do 1.000 roboników.

Ogólne koszta budowy wraz z wywłaszczeniem gruntów wyniosą około 18,000.000 złotych.

PAMIĘTAJMY, ŻE...

1) dziennik jest jedyną szkołą dla tysięcy ludzi;
2) w tego rodzaju szkole każdy może nauczać, bez potrzeby posiadania dyplomu;
3) wiele ludzi bezwiednie wierzy gazecie trzymając się zasady, że „co wydrukowane, to prawdziwe“.



Zaczynamy orkę w Imię Boże!

O współczesnym kryzysie gospodarczym

Z pięknej książki „Ku lepszej przyszłości“ Stefana Turnaua, napisanej dla młodzieży w katolickich organizacjach, przytaczamy ciekawy rozdział: „O współczesnym kryzysie gospodarczym“ — w przekonaniu, że zachęci on wszystkich do przeczytania całej książki.

Jakoś w roku 1929 zaczęli nasi rolnicy narzekać, że główne ich produkty, zboże i świnie, ciągle tanieją i że gospodarstwo przestaje im się opłacać. Powiadali oni, że niższa cena za produkty byłaby dla nich do zniesienia tylko wtedy, gdyby to, co muszą kupić (obuwie, odzież, sól, nafta i t. p.) — było również odpowiednio tańsze, a także, gdyby zniżono im odpowiednio podatki. Tak to się na wsi mówiło, ale działo się tymczasem coraz to gorzej.

Jeszcze przed wystąpieniem „kryzysu“ w rolnictwie, nastąpiły w międzynarodowym życiu gospodarczym pewne załamania, wyrażające się między innymi w silnym zmniejszeniu konsumcji wyrobów przemysłu. Ale w takim rolniczym kraju jak Polska (rolnicy stanowią u nas dwie trzecie ogółu ludności) z chwilą pogorszenia się opłacalności gospodarki rolnej, musiała jasno wystąpić prawdziwość przysłowia, które mówi, że „gdy chłop ma pieniądze — mają je wszyscy“. I dlatego u nas skutki kryzysu zaczęło odczuwać społeczeństwo dopiero wtedy, gdy dotknął on rolnictwo. Od jego to dobrobytu zależą u nas zarobki większości zawodów, i gdy u rolnika „chuda fara“, źle musi się powodzić i rzemieślnikowi, i kupcowi, i adwokatowi, i lekarzowi, pogarsza się na klasie robotniczej w obniżeniu produkcji i unieruchomiania przedsiębiorstw. Wreszcie i podatki wpływają do kas skarbowych coraz gorzej; powoduje to trudności dla państwa, które musi utrzymywać wojsko, opłacać nauczycieli i urzędników, a nie ma z czego.

Tak właśnie stało się i u nas. Póki było „dobrze“, było dobrze u niejednego — gdy zaczęło się dziać źle, to naprawdę każdy z rozpaczą widział co chwila nowe dziury w gospodarstwie własnym i społecznym, którymi wciskała się bieda. Rolnicy, którzy w ciągu kilku lat doczekali się spadku cen swych wytworów o połowę i więcej, zaczęli popadać w ruinę, gdyż małe długi zaciągnięte za „dobrych“ czasów, stały się nieznośnym ciężarem, skoro obecnie nie byli w stanie

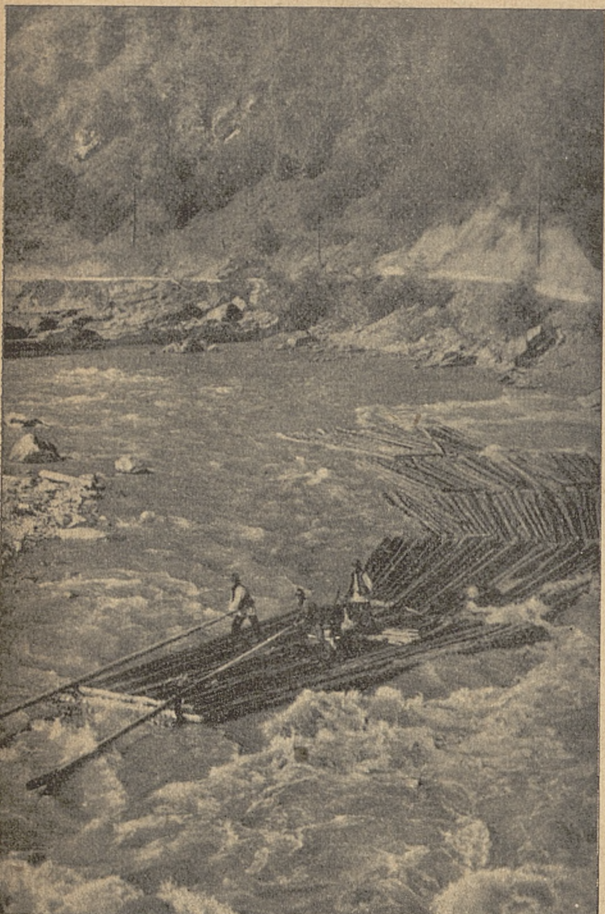
opłacić nawet procentów. Rząd podatków nie zniżył, przeciwnie nawet je podwyższył; gdy bowiem kryzys porujnował i zmniejszył obroty wielu przedsiębiorstw, wynikły stąd duże braki w kasach państwowych, które chciano nadrobić podwyższeniem wymiarów podatkowych. Przemysł fabryczny jako taki mocno się skurczył, wiele przedsiębiorstw zbankrutowało i upadło, ale „mocniejsi“ kapitaliści przemysłowi i właściciele kopalni zorganizowali się w t. zw. kartele i tym sposobem sztucznie utrzymywali z korzyścią dla siebie, a krzywdą dla społeczeństwa, wygórowane ceny za swe wyroby: cukier, naftę świetlną, węgiel. Tłumaczyli przy tym, że w razie zniżki cen ich wytworów musieliby zwinąć swe przedsiębiorstwa, gdyż nie pokryliby wtedy kosztów produkcji, a przez to zwiększyłoby się jeszcze bezrobocie i spadłaby jeszcze bardziej konsumcja produktów rolniczych, więc straciłoby na tym znowu rolnictwo, a przez nie całe społeczeństwo. Czy to prawda? Bo ostatecznie, gdy pod naciskiem rządu ceny wyrobów przemysłowych (nafty, cukru) wydatnie ostatnimi czasy obniżono, fabrykanci to wytrzymali, a dyrektorzy i członkowie rad nadzorczych wielu przedsiębiorstw akcyjnych pobierają sobie nadal pensje o zawrotnej wprost wysokości — muszą więc mieć z czego.

Inna sprawa, że jak już zaznaczyliśmy, gdy ludziom ze wszystkich zawodów zaczęło się powodzić coraz gorzej i sklepy coraz bardziej świeciły pustkami, liczne fabryki nie miały dla kogo produkować i mimo wysiłków ich właścicieli, wiele z nich podupadło, musiało unieruchomić część swoich maszyn lub nawet zupełnie pozamykać. Zamarły w Polsce i za granicą nieraz całe miasta fabryczne, jak np. u nas Zawiercie. Tysiące i dziesiątki tysiące robotników poszły na bruk, i oto w krótkim czasie doszliśmy do liczby pół miliona „zarejestrowanych“ bezrobotnych, a oprócz nich mamy setki tysięcy „niezarejestrowanych“ czyli nie pobierających zasiłków, a pozostających tak samo bez pracy, nieraz bez kawałka chleba. To ludzie głodni, bezdomni, nieodziani — z rodzinami, z drobnymi dziećmi, które płaczą, że im zimno, które chorują i giną z nędzy w oczach swych rodziców, którym serce się rozdziera, a nic na to poradzić nie mogą. Okropność! Jeżeli kiedykolwiek przedtem robotnikom powodziło się źle, to przecież nie było to tak straszne, jak współczesne bezrobocie, ta hańba cywilizacji XX wieku. Do czegóż to doszliśmy? Mamy pałace, mamy jeszcze garstkę przebogatych ludzi, mamy restauracje i lokale rozrywkowe — ba, mamy do wykonania tysiące niezbędnych robót publicznych (drogi, osuszanie bagien, budo-



Z obchodu katolików w Krakowie w rocznicę wydania społecznych Encyklik papieskich.





Spław drzewa na Czeremoszu.

wa szkół), tyle mamy pierwszych potrzeb niezaspokojonych u biednych ludzi, coby fabrykom dało aż nadto roboty (odzież, obuwie). A przy tym powiadamy, że nie umiemy dać pracy bezrobotnym, i poprzestajemy na tym, że z funduszów państwowych i ze składek społeczeństwa dajemy bezrobotnym zasiłki i „pomoce zimowe“ zamiast stworzyć dla nich źródła uczciwych zarobków, coby i oni woleli, i społeczeństwo całe lepiejby na tym wyszło!

Ale wróćmy do rolnictwa, do wsi! Trzeba powiedzieć, że obraz wsi naszej w czasie kryzysu nie byłby tak straszny, zwłaszcza w okolicach o lepszej glebie, gdyby nie „biedota wiejska“, gdyby nie ci, którzy mają ziemię w ilości niewystarczającej do utrzymania, lub też wcale jej nie mają (proletariat wiejski). Żyli oni dotąd z zarobków albo po folwarkach, albo przy fabrykach, albo też na emigracji lub robotach sezonowych za granicą. Teraz to wszystko się urwało. Folwarki, przyciśnięte kryzysem, ograniczają ilość donajmowanych robotników, fabryki do ostatnich czasów coraz to nowych zwalniały, a obce kraje, jak np. Francja, odsyłają naszych robotników do Polski, bo i tam kryzys i też nie mają dość pracy dla swoich. Wszystko to wali z powrotem na wieś i tu, „żyjąc powietrzem“, czeka zmiłowania Bożego. Oni to głównie stwarzają ten rozpaczliwy obraz wsi.

Lecz, jak już zaznaczyliśmy, nie tylko chłopi i robotnicy zostali dotknięci kryzysem. Dał on się we znaki również właścicielom ziemskim, kupcom, przedsiębiorcom różnego rodzaju. Szczególnie przykrym objawem jest bezrobocie wśród ludzi pracujących głową, wśród inteligencji. Zaczęło się ono bodajże od tego, że rządy państw — nie tylko w Polsce, ale i gdzie indziej — zaczęły redukować czyli zmniejszać ilość urzędników, dla oszczędności, wobec gorzej wpływających podatków. Ludzie ze studiami nauczycielskimi, handlowymi, inżynierskimi i t. p. nie mają się dziś gdzie podziać, i albo pozostają całkowicie bez pracy, albo też widzimy np. ukończone przyrodniczki, które godzą się za posługaczki, lub magistrów praw na posadach woźnych. A tymczasem, ileż to oświaty nam trzeba, ile by nasza młoda inteligencja mogła mieć stosownego do swych wiadomości zajęcia, przynoszącego społeczeństwu pożytek!

Jest to jeszcze jeden obrazek z szeregu tych, które nas tak zadziwiają i oburzają: Fabryki nie pracują, a tysiące ludzi nie ma całych koszul ani butów. Rolnicy muszą sprzedawać swoje zboże za bezcen i wydaje się go być jakby za dużo na rynkach, a tysiące i miliony nie mają co do ust włożyć. Masy bezrobotnych pozostają bez środków do życia, a kraj cały, to jedno wielkie pole do pracy i to bardzo potrzebnej. Dziwne to wszystko naprawdę, niepojęte!

Równie dziwne jest to, że ten „kryzys“ potrafił tak objąć cały świat. Nie oparła mu się Ameryka, w Stanach Zjednoczonych tysiące ludzi potraciło swe majątki, wiele pozamykano fabryk, wiele banków zawiesiło wypłaty, a pieniądz państwowy stracił o połowę swą wartość, co stało się i w Anglii,

później we Francji i we Włoszech i gdzieindziej. W całej Europie miliony bezrobotnych.

Skąd się to wzięło: ten spadek cen produktów rolniczych, to zmniejszenie zbytu towarów przemysłowych i związane z tym bezrobocie, te licho wpływające podatki itd. Skąd przyszło do tak ciężkiego „przesilenia gospodarczego“?

Rozmaicie tłumaczą to sobie ludzie. Ekonomiści, którzy w tym celu zestawili tysiące liczb, obrazujących rozwój przemysłu, handlu, rolnictwa w różnych krajach, którzy zbadali na podstawie dawnych zapisków przebieg innych „kryzysów“ jakie przedtem miewały miejsce, choć nie w takim natężeniu — ci ekonomiści piszą teraz o kryzysie książki i artykuły po gazetach, z których niejedną ciekawą i wiarygodną wiadomość można wyciągnąć.

Czytając to, my zwykli śmiertelnicy dowiadujemy się różnych rzeczy, nad którymi dotąd wcale nie zastanawialiśmy się. Każdy chłop wiedział od dawna, że gdy na targ wywiozą dużo prosiąt, a nie ma wielu nabywców, to cena ich spada, przeciwnie zaś idzie w górę, gdy prosiąt mało a kupców wielu. Teraz, przy sposobności kryzysu, dowiadujemy się, że to znane zjawisko z ceną prosiąt, jest jednym z wielu przykładów, dowodzących tak zwanego w ekonomii „prawa popytu i podaży“. Że ceny wszystkich produktów regulują się wedle tego prawa, tylko w szerszych rozmiarach i w sposób bardziej złożony, niż to jest ze świniami na targu.

Słyszymy dalej, że współczesne życie gospodarcze jest dziś na całym świecie ze sobą związane, że ma ono swój obieg krwi, którym jest międzynarodowy handel, i swoje serca w postaci „giełd“. Giełdy, to jakby targowice, na które jednak nie przywozi się samego towaru, lecz kupcy zawierają tam umowy na wielkie ilości różnych produktów, a także sprzedają i kupują różne „papiery“, które zastępczo stanowią cząstki majątków wielkich przedsiębiorstw („akcje“), a także całych państw. Ceny regulowane są tutaj głównie prawem popytu i podaży i zależą od cen na innych giełdach, tak np. ceny na giełdach gdzieś w Ameryce decydują o warunkach zbytu jakiegoś produktu u nas, a stąd o prawie do życia i pracy wielkich mas ludzkich. Nieraz tymi „giełdami“ kręcą dla swego zysku różni spekulanci, różni międzynarodowi bankierzy (głównie żydzi) a nawet politycy. Muszą oni być widocznie wielką potęgą, skoro Pius XI pisząc o nich, wyraża się z oburzeniem, że *„nikt wbrew ich woli nie może oddychać“*. Ks. dr Ferdynand Machay w swoich „Finansowych wskazówkach Ewangelii“ wyraża zdanie, że na giełdach uprawia się wprost „publiczny rabunek“. „Giełda jest bowiem targiem, gdzie nie ma żadnego towaru, a istnieje tylko cena. Zboże jeszcze nie zasiane, wełna jeszcze się nie zapuściła na skórze baranka, a na giełdzie można jej już nabyć miliony kilogramów. Giełda jest ustawową zachętą do nieróbstwa, — umożliwia bowiem ludziom sprytnym i niesumiennym spekulację, na



Kolejka linowa w Tatrach.

której jedni zarabiają olbrzymie fortuny, a drudzy tracą wielkie majątki".

Te macherki chciwych spekulantów, to jedna z przyczyn dzisiejszego kryzysu. Ekonomiści podają i inne. Wskutek zamknięcia mórz w czasie wielkiej wojny i niemożności dowozu do krajów „kolonialnych" (Afryka, Indie i i.) różnych produktów, dotąd wyłącznie w Europie wyrabianych, powstały w tych krajach zakłady przemysłowe i to spowodowało po wojnie nadmierną podaż tych artykułów. Była ona nadmierna i dlatego, iż skutkiem zniszczenia wojennego, wiele milionów ludzi na świecie zbiedniało i to spowodowało zmniejszenie konsumcji. Wprowadzenie coraz to doskonalszych maszyn zastępujących pracę ludzką z jednej, a pogorszenie opłacalności przedsiębiorstw między innymi z powodu wielkich ciężarów „ubezpieczeń społecznych" i związanej z tym dążności do zatrudniania jak najmniejszej ilości robotników, z drugiej strony — przyczyniły się również do zwiększenia bezrobocia, które znowu powoduje zmniejszenie konsumcji, a stąd spadek cen wytworów rolniczych i t. d. Mówi się również, jako o czynniku pogłębienia kryzysu, o nadmiernym wzroście potrzeb życiowych wśród różnych warstw społecznych, niewspółmiernym z dochodami, czyli „życiu nad stan", które powoduje rozstrój i upadek gospodarki jednostek, skąd wynika szkoda dla ogółu.

Rok 1936 przyniósł jakoby pewną poprawę w niektórych gałęziach życia gospodarczego: Ceny produktów rolnych nieznacznie wzrosły i właściciele gospodarstw wiejskich tu i ówdzie zaczynają się dźwigać. Ilość zarejestrowanych bezrobotnych trochę zmalała. Kupcy mówią, że utargi ich trochę się poprawiły. Minister skarbu ogłasza, że podatki wpływają trochę lepiej. Czyżbyśmy byli wobec początku końca straszliwego „kryzysu"?

Na pewno nic o tym nie wie jeszcze ten, który w swym położeniu nie doznał dotąd żadnej ulgi: bezrobotny miejski i wiejski, drobny urzędnik, głodujący akademik i t. p. Bo też poprawa, wzrost dobrobytu, zaczyna się zawsze od tych, którzy mają się stosunkowo lepiej; dopiero gdy chłop-gospodarz się podniesie, gdy lepiej zarobi kupiec i rzemieślnik, gdy ruszą fabryki — wtedy dopiero odetchną proletariusze i znajdzie się praca dla bezrobotnych. Daleka do tego jeszcze droga i niepewna.

I dlatego też, i jeszcze dla czego innego nie przekonają nas gadania tych, którzy powiadają: kryzys minie jak zły sen, jak minęły inne kryzysy, będzie znowu dobrze i nie ma się co uganiać za „rozwiązaniem kwestii społecznej", poszukiwać „nowego, lepszego ustroju". Wszystko to niepotrzebne!

Przeciwnie, uważamy, że to wszystko — tym bardziej teraz potrzebne.

Przede wszystkim, nawet gdy kryzys minie, nie będzie „znowu dobrze", bo tak naprawdę, to i przed kryzysem wcale „dobrze" nie było. Rzut oka na to, co się działo z warstwą robotniczą wtedy, gdy jeszcze o „kryzysie" nikomu się nie śniło, rzut oka na różne krzywdy i niesprawiedliwości, które się naokoło działy i dzieją niezależnie od „kryzysu", które pozostaną krzywdami choćby nie wiem jaka nastąpiła „poprawa gospodarcza" i choćby nie wiem jak szumnie o niej pisano — to wszystko utwierdza nas w przekonaniu, że koniec kryzysu nawet zupełny, nie może nas powstrzymać od prac nad rozwiązaniem kwestii społecznej i stworzeniem lepszego, sprawiedliwszego ustroju.

Że w ogóle takie kryzysy mogą mieć miejsce, że jest możliwe by skutkiem „przesilenia gospodarczego" miliony ludzi przez całe lata musiały cierpieć nędzę niezasłużoną — to już samo dowodzi tego, że porządek społeczno-gospodarczy, w którym żyjemy, jest zły i wymaga naprawy. Dlatego kryzys współczesny jest, jak to mówimy, kryzysem ustroju, a czasy dzisiejsze są przełomowe. Od nas zależy jak szybko i jak trafnie potrafimy urządzić współżycie ludzkie — na nowo.

Stefan Turnau.

Humor

A TO SPORTSMENKA!

— Nasza sklepikarka mogłaby wystąpić jako atrakcja sportowa.

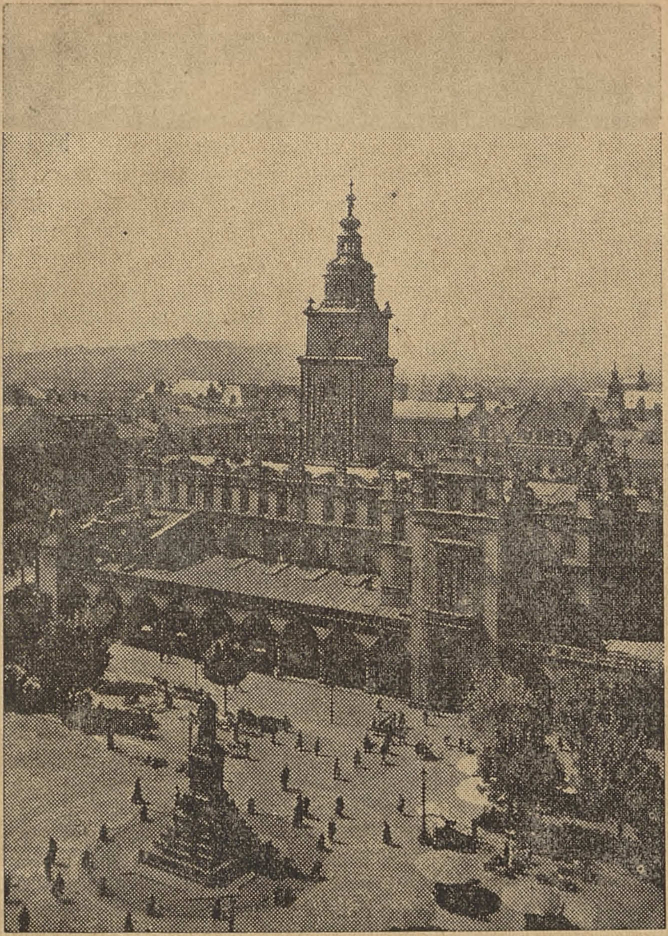
— Co mówisz, na jakim polu?

— Mogłaby otrzymać tytuł mistrzyni „lekkiej wagi".

*

— Od czego pochodzi wyraz dług?

— Od tego, iż się go najczęściej bardzo długo nie zwraca.



Fragment Rynku Krakowskiego.



Pomnik Tadeusza Kościuszki na stokach Wawelu.

SZCZYPTY SO-

Mickiewicz o życiu wewnętrznym.

...lękam się, abyście nie myśleli, że walka wewnętrzna jest stratą czasu, jest niepotrzebna światu zewnętrznemu. Od walki wewnątrz i od zwycięstwa zależy cała siła zewnątrz. Kraj i człowiek, wewnątrz bezwładny upada. Ludzie wewnętrzni często, jako sternik wśród burzy, rzucają się do rudla: patrzą w niebo, ruszają się mało, ledwie ręką czasem skiną, a los łódki jest w ręku ich. Drudzy biegają po pokładzie, krzyczą i mieszają tylko porządek, a cały krzyk ich jednej fali nie odwróci, jednego wiatru nie opanuje... Największą pomocą są: Ewangelia i Ciało Chrystusa. Pamiętajcie, co napisano jest, że apostołowie, spotkawszy Chrystusa zmartwychwstałego i długo z Nim mówiąc, nie mogli poznać Go, aż zaczął chleb łamać i dał im, wtenczas otworzyły się oczy ich.

Z „psalmu miłości" Krasińskiego.

Lecz jedyną tu koroną —
— — — — — — —
Wylać ducha na miliony,
Ciałom wszystkim rozdać chleba
Duszom wszystkim myśli z nieba,
Nic nie spychać nigdy w dół,
Lecz do coraz wyższych kół
Iść przez drugich podnoszenie...

Tylko szatan się nie śmieje...

Nie, wszystko — tylko nie życie religijne: trzeba by „zerwać z nią" — nie chodzić na pijatyki, nie czytać nieprzyzwoitych książek, a zato modlić się w kościele i w domu — czy słuchać Mszy św. i żyć moralnie! Nie! Mam czas na to, jeszcze nie jestem stary, zresztą, gdyby co zaszło to ksiądz mieszka niedaleko — możemy wówczas pogadać. — Oto usposobienie twoje, tamtego, trzeciego, tych... A tymczasem, jakżeż straszną jest rzeczą tak sobie igrać ze swym życiem! Słusznie pisze jeden ze współczesnych nam duchowo pisarzy:

„Oh, gdyby was można było przekonać do poważnego poświęcenia choćby jednej godziny religii, w przewidywaniu tej długiej wieczności, w której będziecie poważni, wbrew sobie samym! Zaprawdę, możecie się śmiać teraz, ale nie ma próżnego śmiechu, z drugiej strony grobu. Szatani drżą, chociaż się nie kruszą. Wy będziecie, wy właśnie — między tymi istotami niedobrowolnie poważnymi, jeżeli teraz jesteście na tyle głupcami, by być wesołkami i beztroskimi: jeżeli jesteście na tyle pozbawionymi umysłu, by w śmiechach, żartach i szyderstwie spędzać tę biedną chwilę, jaką macie tu na ziemi, która zbyt już jest krótką, by można było przygotowoć w niej całą waszą wieczność, i tę to jeszcze chwilę pomniejszacie, marnując swą młodość w grzechach. Gdybyście tylko mogli widzieć, kim jest ten, który poddaje wam wszystkie wasze próżne myśli, którymi zastępujęcie wasze obcowanie z Bogiem, przerażenie, jakie by z tego powodu wami owładnęło, uczyniło by was poważnymi, choćby już nie religijnymi. Gdybyście mogli widzieć to, co Bóg widzi, te sieci i przynęty, jakie na waszej drodze zastawia szatan, gdybyście mogli widzieć, jak wszystkie wasze lekkomyślne myśli, które kochacie, a które wydają się wam tak błyskotliwymi i przyjemnymi, więcej przyjemnymi, niż myśli religijne — są natchnione przez tego odwiecznego uwodziciela ludzkości, sprawcy zła, stojącego przy was, kiedy wyśmiewacie religię, zachowującego powagę, chociaż was pobudza do śmiechu, niezdolnego do śmiechu z własnych szyderstw, kiedy tańczących prowadzi was na zatracenie — wówczas, bezwątpienia ogarnęło by was drżenie, tak jak on drży, kiedy was kusi.

Lecz tego, wy nie możecie widzieć: nie możecie się wyłamać z ułudy, w jakiej żyjecie..."

Memento dla chrześcijanina.

Nic tak jasno nie określa prawdziwego ucznia Jezusa Chrystusa — jak gorliwość o zbawienie drugich. Osobiście nie mogę uwierzyć w zbawienie chrześcijanina, który nie zajmuje się wcale zbawieniem bliźniego swego. *Św. Jan Chryzostom.*

Tym bardziej posiadamy Boga, im więcej pracujemy nad tym, by Go wnieść do duszy innych. *Bossuet.*

Chrześcijanin jest człowiekiem, któremu Jezus Chrystus powierzył wszystkich ludzi.
X. Perreyve.

LI DUCHOWEJ

Z myśli do czynu.

II. (25 września 1899). Nikt nie wie, co się w nas dzieje, na dnie głębin duszy. Czuć Boga koło siebie, rozważać, modlić się, zgłębiać w sobie każdą myśl wielką, aby się nią przejąć, to składa się na życie wewnetrzne i to życie wewnętrzne jest najwyższą radością życia.

Ale te myśli, co nas poruszają, te pragnienia gorące, te szlachetne postanowienia, mają przechodzić w czyn, bo jesteśmy w pełnym życiu ludzkim i wielkie zadania mamy przed sobą. Chwila to wysiłku bolesnego, bo trzeba oderwać się od samego siebie. porzucić pole myśli dla pola urzeczywistnienia, stanąć otwarcie z czynem, choćby go nie zrozumieli lub źle zrozumieli, albo znieśli z grzeczności, jako dobro ludzkie. Należy czerpać u Boga niezrównaną siłę, uzbroić serce cierpliwością i miłością, aby zaczynać dzień w dzień, godzina za godziną, dzieło obowiązkowe każdego chrześcijanina: zbawienie moralne i materialne swoich braci.

(Z pamiętnika Elżbiety Leseur).

Co potem?

Potem, po śmierci? — Na to gotową odpowiedź mają materialiści różnych odcieni, reprezentowani najczęściej przez koła wolnomyślicielskie, komunistyczne, socjalistyczne: Nic potem! Koniec i klapa! Wrócisz cały do przyrody, rozłożą cię robaki i tyle! Gdybyście nie chcieli w to uwierzyć udowodnimy wam z pewnością naukową, że tak jest. Możemy się nawet założyć! No więc, widzicie, że mamy rację. A jeśli tak, to słusznie wnioskujemy, że z tego życia trzeba wyciągnąć możliwie najwięcej rozkoszy — (albo też odebrać sobie życie), bo potem nie pozostanie po nas, nawet szczypty zapachu.

Inna kategoria — to ludzie obojętni, w rodzaju starego Fedora Pawłowicza z Braci Karamazow (Dostojewskiego), który powiada do swego syna: „nie przystoi wcale poczciwemu człowiekowi do raju się pchać, jeśli ów raj nawet istnieje. Dla mnie zasnąć snem nieprzespanym i nie obudzić się więcej i nic więcej nie ma. Módlcie się za mną jak chcecie, a jak nie chcecie, to niech was diabli!“

Jakież to beznadziejne poglądy dla chrześcijanina, który wierzy w nieśmiertelność duszy i połączenie się z Bogiem!

Pismo Św.

Pisarz rosyjski Mereżkowski w książce swojej „Chrystus — nieznany“ umieścił wzruszające słowa o Nowym Testamencie:

„Codziennie czytywałem N. T. i będę czytał go, dopóki będą mogły patrzeć moje oczy i gdziekolwiek widno będzie— czy to w świetle słońca, czy przy blasku kominku, w jasny dzień lub ciemną noc, w szczęściu i w nieszczęściu, w dniach zdrowia i choroby, w chwilach ufności i w momentach rozpaczy, w radosnym podnieceniu i w przygnębieniu. Zawsze czuję się tak, jak gdybym czytał coś zupełnie nowego, coś dotąd nieprzeczuwanego, coś, czego nigdy nie zdołam przeniknąć, aż do najdalszej głębi, aż do ostatniego końca.

Starła się złota krawędź mojej książki, pożółkł papier, rozpadła się oprawa skórzana a grzbiet uległ rozluźnieniu. Niektóre stronice są oderwane, trzeba je na nowo przyszywać, ale ja nie mogę oderwać się od czytania. Cofam się z przerażeniem przed myślą, że mógłbym choć na dwa dni być oderwanym od niego... Co mają mi włożyc do trumny? Pismo Święte. Z czym powstanę w dniu zmartwychwstania? Z Pismem Świętym. Czego dokonałem na ziemi? Czytałem Pismo Święte...“

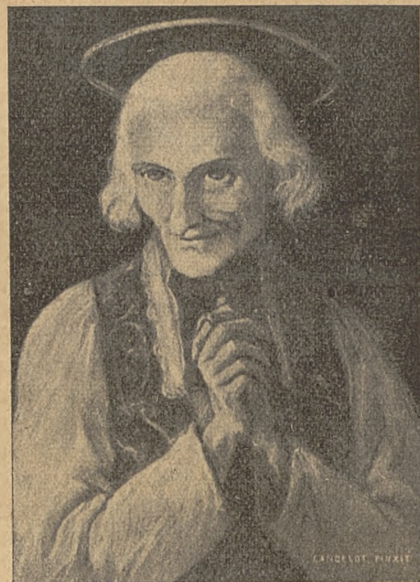
Przykazania domowe

W sieni domostwa p. Marii Rodziewiczówny, wielkiej powieściopisarki polskiej wisi tablica z dziesięcioma przykazaniami domowymi, ułożonymi przez samą autorkę. Trudno się nie zgodzić z ich zdrową a podniosłą treścią. Oto, jak one brzmią:

1) Czcij i zachowaj ciszę, pogodę i pokój domu tego, aby stały się w tobie. 2) Będziesz stale zajęty pracą wedle twych sił, zdolności i zamiłowania. 3) Nie będziesz śmiecił i czynił bezładu ani zamieszania domowego porządku. 4) Pamiętaj, abyś nie kaził myśli ni ust mową o złem, marności i głupstwie. 5) Nie będziesz opowiadał, szczególnie przy posiłku, o chorobach, ka-

lectwach, kryminałach i smutkach. 6) Nie będziesz się gniewał, ani podnosił głosu, z wyjątkiem śpiewu i śmiechu. 7) Nie będziesz zatruwać powietrza domu złym i kwaśnym humorem. 8) Nie wnoś do domu tego szatańskiej czci pieniądza i przekleństwa spraw jego. 9) Zachowaj przyjacielstwo dla Bożych stworzeń, za domowników przyjętych, jako psy, ptaki, jeże, wiewiórki. 10) Nie okazuj trwogi. a znoś ze spokojem wszelki Boży dopust, jak głód i chłód, biedę, chorobę i najście niepożądanych ludzi.

Błogosławieństwo Boga i Królowej Korony Polskiej niech strzeże fundamentów, węgłów i ścian domu tego oraz duszy i zdrowia mieszkańców. Amen.



Obok: św. Jan Vianney wielki asceta i mistyk.

O Liskowie

Polska, która posiada 73% ludności rolniczej jest specjalnie zainteresowana w tym, jak żyje i pracuje tak znaczna większość Narodu Polskiego i jakie przemiany przechodzi obecnie wieś polska. To też każdy z nas Polaków winien odbyć wycieczkę do Liskowa, tej, niegdyś zaniedbanej, ciemnej i głodnej wsi polskiej, a odrodzonej i zmienionej do niepoznaki dzięki 37-letniej pracy tamtejszego proboszcza, ks. prał. Wacława Blizińskiego.

Lisków leży na pograniczu dwóch powiatów: kaliskiego i tureckiego, niedaleko od Kalisza, a dojeżdża się doń przez niewielką stację Opatówek, gdzie znajdują się składy Spółdzielni Rolniczo-Handlowej w Liskowie.

Samochód wiezie nas szosą wysadzaną drzewami owocowymi, które na wiosnę, podczas kwitnięcia, zamieniają się w szereg blado różowych bukietów kwietnych, później zaś mienią się całą przebogatą skalą barw polskiej jesieni, a nieraz do przejeżdżającego samochodu spadnie, strącona pędem powietrza, smakowita gruszka lub jabłko.

Po drodze mijamy miasteczko Koźminek, niegdyś ośrodek handlowy okolicy, który wszedł już dziś w orbitę działalności Liskowa: Stowarzyszenie Rolniczo-Handlowe ma tam swoje składy zboża oraz młyn motorowy, zaś Spółdzielnia Mleczarska — filię.

Na rozstajnych drogach przy wjeździe do Liskowa stoi charakterystyczna dla tych okolic nie wielka, murowana kapliczka. To granica pól liskowskich, a zaraz za nią chluba Liskowa — Sierociniec, powstały w r. 1920, gdy trzeba było przytulić sieroty wyrzucone przez nawałę bolszewicką ze swego schroniska w Białymstoku. Przybyły tu i już pozostały, a dzięki ks. prał. Blizińskiemu, Sierociniec przetworzył się na stałą „Fundację im. św. Wacława", która wychowuje obecnie sieroty przeważnie z terenu województwa łódzkiego oraz przysyłane przez konsulaty z poza granic Polski.

Po prawej stronie drogi znajduje się duży kompleks budynków drewnianych, wzniesionych w roku 1921, a mieszczących dziś oddział dla chłopców, którzy mają tam sypialnie, jadalnie, sale do nauki, zabaw itd. Jest ich obecnie przeszło 150 w wieku od

lat 4 do 18. — Na terytorium Sierocińca mieszczą się Warsztaty szewsko-krawieckie, których wychowankowie uczęszczają na Kursy Dokształcające, aby zdobyć następnie dyplom czeladniczy, oraz Szkoła Rzemieślniczo-Przemysłowa o kursie 3-letnim z działami: stolarsko-zabawkarskim i ślusarsko-mechanicznym. Obecnie Szkoła kształci nie tylko wychowanków Sierocińca, dla których była pierwotnie założona, lecz również i młodzież z bliższej, a nawet i dalszej okolicy, to też przy niej istnieje i bursa.

Poza tym znajdują się tam jeszcze: Kąpiele ludowe — przeniesione do specjalnie wzniesionego w r. 1922 budynku, gdyż dawniejsze, ufundowane w roku 1910, zostały całkowicie zniszczone podczas wojny przez przechodzące przez Lisków wojska, dalej szpital, przeznaczony przeważnie dla dzieci, z mieszczącym się przy nim gabinetem dentystycznym i ambulatorium dla przychodnich chorych. W końcu ogrodu stoi niewielka kapliczka drewniana, gdzie odbywają się nabożeństwa dla chłopców.

Wszystko to tonie latem w zieleni i kwiatach, a ciągle rozbrzmiewa śmiechem i gwarem całej gromady małych wisusów, którzy czują się tu jak w najbliższej rodzinie.

Po drugiej stronie drogi wznosi się nowoczesny gmach — nowy pawilon Sierociński, przeznaczony dla 150 dziewcząt, wzniesiony w roku 1935 kosztem ćwierć miliona złotych, a wybudowany według planów i pod kierownictwem młodego architekta — wychowanka liskowskiego. W suterenach mieszczą się jadalnie, kuchnie, pralnie i inne ubikacje gospodarskie, na parterze kancelaria, biblioteka, sale do nauki i warsztaty: tkacki, hafciarski, trykotarski i krawiecki oraz duża sala rekreacyjna, gdzie też odbywają się zebrania i przedstawienia, a która po rozsunięciu ruchomej ściany zamienia się w kaplicę. Gmach ma kształt owalny z trzonem od tyłu. Na pierwszym piętrze znajdują się dwie sypialnie, które zajmują całe piętro i dzięki specjalnej budowie mają ze wszystkich stron okna i pełnię światła, a tylko w środku niewielką ścianę oporową. Na tymże piętrze mieszczą się też umywalnie i wanny. Na płaskim dachu urządzono taras dla słonecznych kąpieli, zabaw i odpoczynku dziewczynek. Stamtąd mamy piękny widok na cały Sierociniec i Lisków.

Nadzór nad Sierocińcem sprawują Siostry Służebniczki ze Starej Wsi. Charakterystyczną cechą jest tu wesołość i swoboda, jaka panuje wśród dzieci, co dowodzi o troskliwej i umiejętnej opiece, jaką są otoczone.

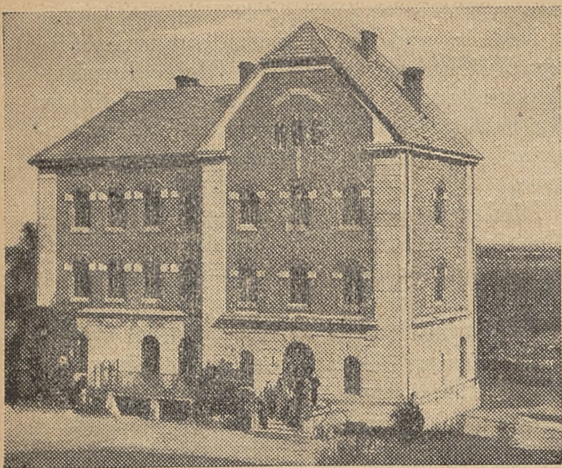
Niedawno powstał ten gmach, więc brak koło niego ogrodu, który dopiero został założony, jednak wokół wszędzie jest pełno kwiecia z basenem i fontanną pośrodku, zaś z boku znajdują się boiska i place do zabaw.

Opuściwszy Sierociniec, wchodzimy do wsi, na której granicy dwa kamienne słupy z datami „1900—1925" wzniesione zostały ku uczczeniu 25-lecia pracy społecznej ks. prał. Blizińskiego w Liskowie. Zaraz za nimi po prawej stronie mamy remizę Straży Ogniowej, wzniesioną w r. 1925 dla oddziałów: wiejskiego i Sierocińca. O założenie tej Straży wiódł ks. Bliziński wieloletnie boje z władzami rosyjskimi, niezmiernie ciekawe dla poznania ówczesnych stosunków.

Lisków i zewnętrznie wyróżnia się od okolicznych wsi, posiada bowiem oświetlenie elektryczne, a poza tym częściowo wodociągi, kanalizację, studnie artezyjskie oraz jezdnię z kostki kamiennej i chodniki cementowe. Ogrody są oddzielone od ulicy



Ks. prałat Bliziński, twórca Liskowa.



Lisków: Szkoła hodowlana.

jednolitym ogrodzeniem z siatki na podmurowaniu, co daje całości estetyczny wygląd.

Dowodem wysokiego uspołecznienia tutejszej ludności jest fakt, że gdy było trzeba oddać na regulację ulicy spore nawet kawałki ogródków, czyniono to chętnie i bezinteresownie, mimo że niejednokrotnie sąsiedzi równocześnie zyskiwali na ich stracie, otrzymując skrawki ziemi spod wyrównanej drogi.

W całej wsi widać stale ruch budowlany: rozbierają stare, drewniane chałupy i budynki, a na ich miejsce wznoszą się nowe, murowane. Działalność ta oraz zakładanie ogrodzeń i chodników jest zasługą Spółki Budowlanej, założonej w r. 1919, która zakupiwszy 10 morgów gruntu wzniosła na nim cegielnię z piecem hoffmanowskim i betoniarnię. Dzięki temu wieś ma na miejscu tani i dobry materiał budowlany bez potrzeby przywożenia go z daleka.

Niedaleko początku wsi wznosi się dom gminny, zbudowany w r. 1916 przez rzemieślników — uciekinierów ze zburzonego przez Niemców Kalisza, których w latach wojny utrzymywał w Liskowie ks. Bliziński. Mieści się tam urząd gminny, przytułek dla starców i mieszkania dla urzędników, zaś naprzeciwko wybudowano obecnie dwupiętrową „Gospodę Wycieczkową“, gdzie będą pokoje dla przyjezdnych i jadłodajnia oraz znalazła pomieszczenie poczta. Szkoda tylko, że zamiast nadać jej piękny wygląd dworu polskiego, wzniesiono ją w stylu nowoczesnym, nie pasującym do otoczenia.

Środek wsi zajmuje plac, przy którym wznosi się kościół. Jego wykończenie było pierwszym dziełem nowego proboszcza i stało się zaczątkiem wszystkich następnych przedsięwzięć. Przy tej pracy zdołał on skupić wszystkich parafian i nauczyć ich pracować dla wspólnego celu. Kościół niewielki, murowany, obecnie odnowiony wewnątrz i odmalowany. Poza nim wznosi się niewielka plebania, jedyny tutaj budynek nie zmieniony od czasu przyjazdu ks. Blizińskiego. W około placu kościelnego rozsiadły się i skupiły wszystkie instytucje liskowskie.

Na pierwszym planie należy wymienić macierz instytucji liskowskich — Dom Ludowy, wzniesiony w r. 1908. Na parterze jego mieści się Stowarzyszenie Rolniczo-Handlowe powstałe w r. 1907, jako pierwsza spółdzielnia wiejska w b. Kongresówce p. n. „Gospodarz“, do którego przyłączyły się następnie: Spółka Budowlana i Stowarzyszenie Zbożowe, tworząc obecnie jedną wielką spółdzielnię i przyjmując obecną nazwę. Posiada ono sklep, który zaopatruje Liskowian we wszystkie potrzebne im artykuły spożywczo - galanteryjne, poza tym składnicę materiałów budowlanych i opałowych, maszyn, narzędzi rolniczych, nasion, nawozów sztucznych, wreszcie własny młyn, cegielnię i betoniarnię. W sąsiednim lokalu mieści się Bank Ludowy im. Stefczyka, założony po długich sprzeciwach władz rosyjskich w r. 1900, jako Kasa Pożyczkowo-Oszczędnościowa. Dziś rozwinął się wspaniale, uwalniając od lichwy Liskowian i finansując wszelkie społeczne poczynania. — Prowadzi on też rachunkowość i kasowość wszystkich organizacyj liskowskich, co niezmiernie ułatwia im pracę oraz kontrolę, chroniącą od nadużyć. Należy doń też formalnie „Dom Ludowy“, będący jednak moralną własnością całej parafii.

Charakterystycznym dla tutejszych stosunków jest to, że ks. Bliziński umiał wyrobić u swych parafian zrozumienie potrzeby zgodnej współpracy dla przeprowadzenia pewnych zadań, a nie chodzenia w rozsypkę, jak to często gdzieindziej się widzi. To właśnie zjednoczenie w pracy społecznej

wszystkich dla wspólnego celu wydaje tu tak doskonałe wyniki.

Na piętrze Domu Ludowego mieszczą się: sala odczytowo-teatralna na 300 osób oraz siedziba licznych organizacyj, jak to: Kółka Rolniczego, Koła Gospodyń Wiejskich, Akcji Katolickiej, Przysposobienia Wojskowego, Katolickich Stowarzyszeń Młodzieży Męskiej i Żeńskiej, Związku Rezerwistów, Związku Strzeleckiego, Czerwonego Krzyża, Chóru, Orkiestry, Kółka Dramatycznego oraz świetlica, czytelnia i książnica.

Przed Domem Ludowym stoi pomnik Tadeusza Kościuszki, którego uroczyste odsłonięcie w r. 1918, połączone ze zjazdem ludowym z całego kraju, spowodowało dla wsi i miejscowych działaczy liczne represje ze strony Niemców.

Z tyłu Domu zaś znajduje się budynek piekarni, wzniesiony pierwotnie w r. 1910 dla kąpieli ludowych, a rozbudowany w r. 1913 dla założonej przez ks. Blizińskiego piekarni spółdzielczej, mającej na celu zaoszczędzanie gospodyniom pracy i kosztów przy wypieku chleba w każdej rodzinie oddzielnie.

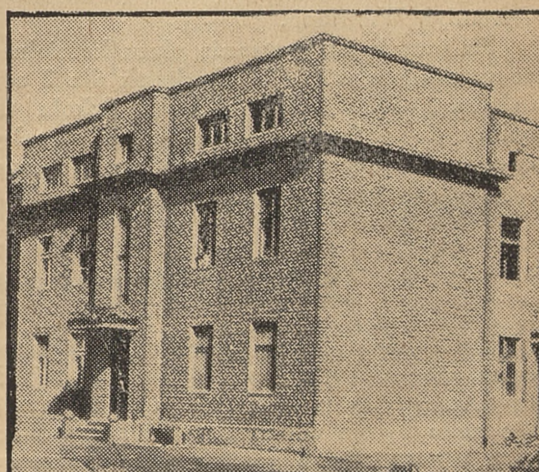
Obecnie wzniesiono obok Domu Ludowego salę odczytowo-teatralną na 1000 osób, konieczną wobec licznych zjazdów i zebrań, jakie się często odbywają w Liskowie.

Poza Domem Ludowym wznoszą się: gmach i zabudowania gospodarcze Szkoły Hodowlanej, zbudowanej w r. 1913 na Szkołę Rolniczą. Pierwotnie była ona utrzymywana przez Centralne Tow. Rolnicze w Warszawie, teraz zaś stała się własnością Wojewódzkiej Izby Rolniczej w Łodzi. Obecnie odbywają się w niej Rolnicze Kursa Społeczne, mające wielkie znaczenie, gdyż młodzież rolnicza, przybywająca nań, widzi przed sobą namacalnie, co może zrobić jednostka, obdarzona zdolnościami organizacyjnymi i poświęcająca wszystkie swe wysiłki dla dobra społeczeństwa. Poza tym otrzymuje ona poglądową naukę pracy w organizacjach społecznych.

Sąsiadująca ze szkołą Spółdzielnia Mleczarska, potężna dziś instytucja, ma przeszło 2.000 członków i 15 filii w okolicy, które dostarczają mleko lub śmietankę dla przerobu na słynne w kraju „masło liskowskie". Zanim powstała musiał o nią ks. proboszcz toczyć długie boje z Liskowiakami, którzy nie mogli początkowo zrozumieć konieczności powstania tej placówki. Dotąd bowiem lekceważono sobie groszowy, „babski" dochód z mleka, zaś koszta założenia mleczarni wydawały się im zbyt duże. Nie wierzono więc, aby spółdzielnia poszła i dała dobre rezultaty. Jednak wbrew wszystkim ks. Bliziński wspólnie ze znanym działaczem Antonim Piątkowskim i dzięki poparciu jednego z okolicznych dworów, przeprowadził swoje i założył w r. 1911 mleczarnię, która w krótkim czasie rozwinęła się doskonale, a obecnie w wielu gospodarstwach dochód z mleka jest podstawą ich egzystencji.

Mleczarnia, posiadająca nowoczesne maszyny i wytwórnie lodu sztucznego, mieści się we własnym budynku z pięknym kwietnikiem od ulicy i tak kształtem jak i otoczeniem przypomina raczej dworek wiejski lub podmiejską willę.

Przylega doń, oddzielony tylko kawałkiem pola wielki gmach oświatowy, zbudowany w roku 1918 przez ks. Blizińskiego z pomocą rzemieślników, uciekinierów kaliskich. Wzniesieniem tego gimnazjum, ks. Bliziński pragnął uchronić młodzież wiejską, kształcącą się w szkołach średnich, od zgubnego wpływu wielkomiejskiego i przez nie wyrywanie jej ze środowiska, w którym wyrosła i do którego winna wrócić, zachować ją dla wsi i wychować na światłych jej przewodników. Jednak w r. 1922 zamknięto



Młyn spółdzielczy w Liskowie.

gimnazjum na seminarium nauczycielskie, aby przyszłym wychowawcom ludu pokazać na miejscu, jak ma wyglądać, jak żyć i jak pracować, odrodzona wieś polska. — Przy ogólnej reorganizacji szkolnictwa w r. 1926 zamknięto seminarium, a obecnie w tym gmachu mieści się Żeńska Szkoła Zawodowa, założona w r. 1922 początkowo w Sierocińcu — dla dania miejscowym dziewczętom wychowania zawodowego — następnie zaś otwarta i dla przyjezdnych z całego kraju, to też dla nich przy szkole znajduje się bursa. Obszerne sale, szerokie korytarze pełne kwiatów i ozdób, rozbrzmiewają wesołymi głosami dziewczynek, które przysposabiają się tu do przyszłego życia praktycznego, ucząc się kroju, szycia, haftów, trykotarstwa, tkactwa, zdobnictwa, prowadzenia gospodarstwa domowego, przetwórstwa owocowego, ogrodnictwa, warzywnictwa, pszczelnictwa, hodowli i t. d. Jest to placówka, która bardzo się przyczyni do odrodzenia wsi, gdyż wiadomo, że „kobiety są tą szyją, która kręci głową mężowską".

W części gmachu mieszczą się liczne instytucje higieniczne, jak to: Sejmikowy Ośrodek Zdrowia, gdzie leczy się przychodnich chorych, głównie na oczy i choroby skórne, a poza tym: „Stacja Opieki nad Dzieckiem i Matką", połączona z „Kroplą Mleka". Dzięki opiece lekarza i higienistki wzrasta we wsi zdrowotność dzieci i zmniejsza się ich śmiertelność. Również mieści się tu i przedszkole, utrzymywane przez Koło Gospodyń Wiejskich.

Po przeciwległej stronie placu kościelnego wzniesiono w r. 1925 budynek dla 7 oddziałowej Szkoły Powszechnej. Szkoła ta należy do najbardziej wzorowych w całej okolicy. Na podkreślenie zasługują liczne organizacje młodzieżowe, istniejące przy niej i prowadzone przez samą młodzież. Poza budynkiem szkolnym znajduje się tu obszerne, dwumorgowe szkolne boisko sportowe oraz strzelnica.

Idąc dalej poza kościołem ku końcowi osiedla przy rozstajnych drogach, widzimy figurę Chrystusa, która z zapadnięciem zmierzchu jest oświetlona reflektorami. Pod nią wieczorami letnimi zbierają się na śpiewy i nabożeństwa wszyscy mieszkańcy wsi.

Skończyliśmy krótką i bardzo pobieżną przechadzkę, która w drobnym zaledwie stopniu daje pojęcie o tym, czym jest naprawdę i jak pracuje Lisków.

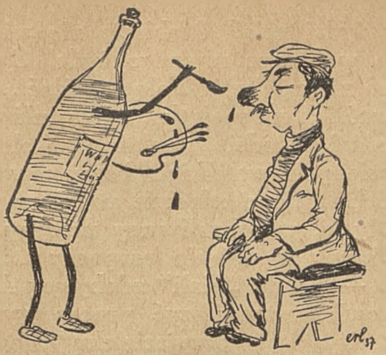
Ukazało się o nim kilka książek, lecz są one już wyczerpane, a zresztą byłyby dziś przestarzałe, gdyż każdy krok przynosi tam nowe zmiany, a ks. Bliziński po dokonaniu tak olbrzymiej pracy, po przeoraniu i przeobrażeniu biednej i zaniedbanej wioski na nowoczesną, zamożną i uspołecznioną wieś, rąk nie założył bezczynnie, lecz dalej pracuje nad jej udoskonaleniem. W roku obecnym ukaże się nowa, obszerna książka o Liskowie, pióra literata W. Karczewskiego.

W sąsiedztwie Liskowa, w miejscowości zwanej Krzyżówki, na zakupionych kilku włókach lasu, urządził ks. prałat Kolonie Letnie. wznosząc odpowiednie budynki. Bawi w nich corocznie przeszło 1.000 dzieci, rodziców bezrobotnych z całego przemysłowego okręgu łódzkiego. Przyjeżdżają one tu na lato, aby na świeżym, pełnym ozonu, żywicznym powietrzu, wśród drzew i zieleni, spędzić na zabawie i odpoczynku kilka tygodni oraz nabrać zdrowia i sił do dalszej pracy szkolnej w dusznych murach miejskich.

„Liskowianin"

Niekoronowany „król" polski

Tytuł wygląda na zagadkę. Przypuszczam, że gdybym rozpisał ankietę wśród czytelników, by podali kogo mam na myśli, nie mało by się napocili nad rozwiązaniem tego rebusu. Bywa bowiem tak, że rzeczy najprostsze są najtrudniej dostrzegane. Dlatego zdradzę wszystkim tajemnicę. — Tym królem to... alkohol. Żarty czy naciąganie? Zastanówcie się czy nie mówię prawdy! Pewnie, że dziwny to król i trudno stwierdzić, gdzie i kiedy zaczęła w Polsce władać jego dynastia. Nie wiem czy historycy zajęli się tym królem... Imię tego króla cieszyło się jednak od niepamiętnych czasów wziętością we wszystkich warstwach naszego narodu. W stosunku do niego nie istniały



Wódka
maluje nos pijakowi.

żadne spory dworskie, ani nie kłócono się na zjazdach elekcyjnych, ani nie stawiano żadnych „liberum veto". Król-Alkohol tak zawładnął sercami i umysłami Polaków, iż na Zachodzie Europy przyjęło się powiedzenie o nas, że nie jesteśmy obywatelami Rzeczypospolitej Polskiej, ale poddanymi Króla Jegomości — Alkoholu.

Otóż niekoronowany król-Alkohol kosztował Polaków niesłychanie dużo. Substancja króla w takiej ilości przeszła przez gardziołka wielbicieli, że snadnie z tej „cieczy" mógłby wyróść drugi Bałtyk, a gdyby pieniądze wydane na nią obrócić, dajmy na to, na zbudowanie floty, musiałaby dziś Anglia schować się przed nami w mysią dziurę. Ale dajmy sobie spokój niefrasobliwemu fantazjowaniu o rzeczywistości, która jest przykrą, ba straszną! Nie dlatego przykrą, że na Międzynarodowym Kongresie Przeciwalkoholowym, który we wrześniu 1937 roku obradował w Warszawie — Polacy musieli twarz „posypać porządnie pudrem", by ukryć swe rumieńce wstydu, ale dlatego, że alkohol zjada kompletnie siły naszego narodu, degeneruje naszą rasę, spycha ją na szary koniec w pracy cywilizacyjnej i kulturalnej, obniża niesłychanie poziom moralny i naraża na utraty zbawienia duszy miliony wierzących. Nie mam specjalnego podziwu dla statystyki, ale choćby w nią nie wierzyć w 100%, to liczby jakie ona podaje w przedmiocie spożycia alkoholu w Polsce i wydanych nań przez obywateli pieniędzy mają snadnie kogoś przyprawić o „złą krew". Bowiem cyfra około 700 miln. złotych składanych rokrocznie na ołtarzu króla-bożka jest, jak na nasze stosunki, czymś iście horendalnym. Gdyby jeszcze zebrać w jedno ten cały splot spokrewnionych z alkoholizmem ujemnych zjawisk, to mielibyśmy obrazek nie z „1001 nocy", ale z przedsionków piekła, czy nawet z piekła samego!

Ale mówmy więcej otwarcie! Boli zapewne niejednego z nas, że Polska „nierządem" stoi, bo jej cni obywatele piją czas czy nie w czas, na umor. Chodzi jednak nie o platoniczny ból, ale o zmianę sytuacji! Dziś tyle mówi się o reformach ustroju społecznego, jakby to był jakiś skrzypiący legendarny wóz o trzech kołach, chromający poza nami. Tymczasem ustrój to my sami! Otóż próbujcie zmieniać ustrój w narodzie pijaków. Próżne słowa i próżny trud! Cóż więc? Trzeba najpierw zabrać się do tego śmietnika i to każdy — każdy na swym podwórku — powiedzmy otwarcie „u siebie". Bo u kogo to zło nie siedzi za kołnierzem? Czy warstwy robotnicze i włościańskie wolne są od gangreny alkoholu? Byłoby fałszywym wybielaniem twierdzić, że tak! Wszyscy wiemy, że alkoholizm to jedna z tych nierozłącznych klęsk społecznych, związanych z życiem braci robotniczej! Powiedzą niektórzy, trudno; nie da się inaczej! Robotnik musi mieć swoje rozrywki! Bodaj, to bodaj! Widziałem nieraz te rozrywki. — Robotników ogłupiałych od wódki, o wyrazie tak matołkowatym, jakby co dopiero wyszli z muzeum straszaków. Widziałem ich, nurzających się w błocie i w kałużach — słyszałem miotających przezwiska i przekleństwa, nie dające się tu powtórzyć! A przypominać, że przy kieliszku dochodzi



Wódka
urwała głowę pijakowi.

najczęściej do swarów, bójek, wydobywania noży — i zabójstw... że po kieliszku robi się w domu t. zw. „sądny“ dzień żonie i dzieciom, które się bije i katuje. A co powiedzieć o strasznych spustoszeniach fizycznych u pijącego i jego potomstwa? Ile pijaków trafił niespodziewanie paraliż — zjadła przedwcześnie gruźlica, rak, delirium tremens czy zgorzel mięśni?

A czy żona ma co więcej wsadzić do garnka, czy mieszka się lepiej? Czy dzieci lepiej są ubrane, odżywione, wychowane? Dajmy spokój gardłowaniu o lepsze warunki, o jakiś lepszy ustrój, jeśli tego zła tkwiącego w nas — nie wykorzenimy wpierw w całości! Weźmy przykład z żydów! Zacni nasi „protektorowie“ prowadzą 80% wyszynków w Polsce. W ich kieszeni toną miliony złotych, wydawane na wódkę przez naszych robotników i włościan. Czy nie jest to najpaskudniejszy kapitalizm, najbardziej wyrafinowany i wołający o pomstę do nieba! A czy żydzi piją? Osobiście nie widziałem jeszcze w Polsce pijanego żyda! Żydzi nie piją, bo nie są głupi. Wolą rozpijać „gojów“, rujnować ich na majątku, zdrowiu i umyśle, aby później ludzi zupełnie wykolejonych, pozbawionych wszelkich hamulców moralnych i oparcia o zdrowie rodzinne i narodowe życie, wepchnąć przy pomocy fałszywych haseł, w objęcia rozpaczy i... komunizmu. — Kiedy „biali“ zdobywcy Ameryki postanowili przyspieszyć proces wyniszczenia Indian, „po przyjacielsku“ podali im „ognistą wodę“. I swoje osiągnęli! Żydowskie karczmy gęstą siecią obsiadły ziemię polską i „po przyjacielsku“ trują tejże ziemi właścicieli i obrońców, by ich z niej chytrze wydziedziczyć! — Ale poco ja to piszę?

Czy my Polacy umiemy widzieć, myśleć i chcieć? Przecież my mamy swoje wygodne przysłowie „mądry Polak po szkodzie“. Czy to nie wystarczy? *J. S.*

O wychowawcy

Określenie wychowania: W pochodzeniu słowa tkwi pojęcie wyprowadzenia poza siebie, powyżej siebie. Wychować dziecko



znaczy więc postawić dziecku przed oczy pewien ideał, który go przewyższa i udzielić mu koniecznej pomocy do praktykowania tego ideału, mimo przeróżnych trudności, jakie mogą mu wyrosnąć na drodze. Całokształt wychowania domaga się więc rozwoju działalności ciała, ukształtowania inteligencji i serca, stopniowego wzmacniania się woli. Ciało jest narzędziem działania, inteligencja kierowniczym światłem, serce uczuciem, które pociąga, a wola potęgą wykonania.

Cele wychowania: Wychowanie opiera się całkowicie na wychowawcy w tym sensie, że on sam zna cele życia. Dziecko kompletnie ich nie zna i wchodzi w życie zanurzone w ciemnościach. Stąd olbrzymia odpowiedzialność wychowawcy. Jeśli się myli co do celów istnienia, całe wychowanie jest fałszywe. I w tym punkcie krzyżują się różne pomysły co do życia ludzkiego: czy jest ono na to, by dawało szczęście czy rodziło doskonałość moralną?

Czy człowiek ma żyć „swoim życiem“ czy dla innych? Czy czyny ludzkie pociągają za sobą odpowiedzialność i wobec kogo — siebie, społeczeństwa czy Boga? Dane za-

patrywania zmieniają całkowicie metody wychowania. Nie w ten sam sposób wychowuje się dziecko, któremu zakłada się na ziemi maksimum szczęścia, albo które się wćwicza do pewnej doskonałości moralnej. Nie tych samych sposobów wychowawczych używa się, kiedy się wierzy albo nie wierzy w sankcje pozagrobowe i t. d. Ważną więc jest rzeczą określić ideał, do którego się skierowuje uświadamiająco dziecię i jasno wskazać źródła i prawdziwe przęsła moralności.

Błędem najczęściej spotykanym u wychowawców jest to, że nie mają oni w umyśle i sercu dokładnej idei doskonałości osoby ludzkiej — do jakiej należy doprowadzić dziecko.

Co sądzilibyśmy o rzeźbiarzu, który by na chybił trafił jeździł dłutkiem po bryle marmuru, z której rzekomo chciałby uczynić dzieło sztuki, gdyby wpierw nie utrwalił w wyobraźni idei dzieła do wykonania. Bez wątpienia, nazwalibyśmy go wariatem i nierozumnym. Tymczasem zbyt często się zdarza, że rodzice podobni są do tego rzeźbiarza. Bóg powierza im dziecię, jako niekształtną bryłę z odziedziczonymi namiętnościami, a oni zabierają się do ukształtowania go, nie zadając sobie jednak wpierw trudu zastonowienia się, jak mają wyglądać cechy i zalety, które stanowią doskonałość. Uderzają więc w bryłę dłutkiem, „jak się zdarzy“ i dziwią się potem, że młodzieniec, który wychodzi z ich rąk jest bezkształtną masą nieujarzmionych namiętności.

Zanim się więc wychowawcy zabiorą do swego dzieła, muszą wpierw przepoić swój umysł i serce ideałem jasno określonym. Muszą sobie z góry przedstawić typ „doskonałego dorosłego człowieka“, do którego należy ukształtować, wychować dziecko.

Pamiętaj...

Pamiętaj o czwartym przykazaniu Boskim i postępuj zawsze według niego.

Rano powiedz ojcu i matce „dzień dobry“ i pocałuj ich w rękę“. To samo uczyń wieczór, gdy idziesz spać, życząc rodzicom dobrej nocy.

Po obiedzie i wieczerzy podziękuj rodzicom.

Pomagaj matce w zajęciach domowych. Cokolwiek ci matka poleci, wykonaj jak najsumienniej.

Wszelkie uwagi ojca i matki przyjm pokornie i grzecznie — staraj się zastosować do ich życzeń.

Nie odpowiadaj nigdy rodzicom niegrzecznie, opryskliwie lub zuchwale.

Bądź im posłuszną we wszystkim. Gdy jesteś poza domem, u obcych, pisz często do rodziców, bo wiesz, jak bardzo zajmuje ich wszystko, co ciebie dotyczy.

Mów zawsze dobrze o swoich rodzicach i nie pozwól, aby w twojej obecności ktokolwiek źle o nich mówić się poważył.

Krewnym okazuj życzliwość i miłość i bądź im posłuszną. Gdyby jednak nakazywali ci coś takiego, czego rodzice zabraniają, wolno ci w grzeczny sposób odmówić. Nie obmawiaj nigdy swoich krewnych.

Nie szydź z nich, choćby nawet mieli jakie wady i śmieszności.

Żyj w zgodzie z rodzeństwem. Starszej siostry lub brata posłuchaj, gdy ci dobrze radzą, lub, czegoś zakazują.

Młodszemu rodzeństwu nie dokuczaj.



Opiekuj się nim, pomagaj w nauce, przy myciu, ubieraniu i rozbieraniu.

Nie chwal się, że ty umiesz już to lub owo, a oni nie. W czasie choroby siostrzyczki lub braciszka staraj się im czas uprzyjemnić. Przeczytaj głośno jaką powiastkę, opowiedz bajkę, podaj lekarstwo.

Bądź choremu pocieszycielką i pomocą.

Nie dawaj rodzeństwu nigdy złego przykładu.

Dla sąsiadów bądź uprzejmą i grzeczną.

Osobom starszym na znak powitania nie kiwaj głową, tylko się ukłoń skromnie i uprzejmie.

Nie zaglądaj do okien cudzych mieszkań.

Nie ruszaj i nie przeglądaj cudzych rzeczy. Nie czytaj nigdy cudzych listów.

W sąsiednich ogrodach nie zrywaj kwiatów, nie strącaj owoców.

Pamiętaj o siódmym przykazaniu Boskim.

Dla służby powinnaś być grzeczną.

Nie rozkazuj, tylko proś.

Nie mów „daj", „podaj", „przynieś", tylko „proszę cię, podaj mi" i t. d. Otrzymawszy to, o co prosisz, podziękuj.

Sługi z innych domów nie wypytuj o nic.

Nie skarż na służącą przed rodzicami.

Nie składaj swych przewinień na służbę.

Dla gości, bawiących w domu twych rodziców, bądź uprzejmą, grzeczną i gościnną.

Witaj ich z radością.

Nie wyśmiewaj, ani ich nie przedrzeźniaj.

Przy stole usłuż im, podając np. półmiski.

Nie myśl o sobie, tylko uważaj, aby każdy z gości był obsłużony i zadowolony.

Gdy przyjdzie znajoma osoba z dziećmi, zabaw dzieci, aby się nie nudziły, przy stole obsłuż je i zachęcaj do jedzenia.

Gdy goście wychodzą, pomóż im przy ubieraniu się.

Na Boże Narodzenie

„Duch jest Bóg: a ci, który Go chwalą, potrzeba, aby Go chwalili w duchu i w prawdzie".

(Św. Jan IV, 24).

W miesiącu grudniu obchodzimy, po okresie adwentowego oczyszczenia dusz, pamiątkę najradośniejszego dla człowieka mysterium Narodzenia Boga w ciele ludzkim. Dusze, proste i czystego serca, w dniu tym mają w oczach łzy wzruszenia i radości; wiedzą bowiem, że przez wcielenie Słowa Bożego otwarła się dla nich nadzieja nieba i że „ukryci w Chrystusie", jak powiada św. Paweł, dojdą po tym ziemskim pielgrzymowaniu do oglądania Ojca Niebieskiego twarzą w twarz. Ale są i tacy, i tych niestety jest przerażająca większość, dla których ten okres schodzi do poziomu ich banalnego i nieciekawego życia. — Tacy na Mszę św. t. zw. pasterską przychodzą z przeładowanym żołądkiem i zalaną głową, jeżeli chodzą z wizytami po znajomych, to żeby rzęsiście „zakropić się" wódką. Kiedy już wpadną do kościoła, to na Żłóbek spoglądają, jak na teatr marionetek. Żadna głębsza myśl czy refleksja nie obudzi się w ich umyśle. Przecież wszystkie te nabożeństwa i dekoracje, to dla ludu, jak wogóle cała religia, do której przyznawać się poważniej byłoby rzeczą ubliżającą dla człowieka myślącego, czy na stanowisku! A tymczasem jakżeż wygląda rzeczywistość? Oto z przepastnych głębin wieczności zeszedł na naszą ziemię Deus absconditus — Bóg ukryty.



On Duch, niepojęty Bóg, z głębin wieczności...

Czy jesteśmy w stanie — pyta się angielski myśliciel Newman — z tej rzeczywistości zdać sobie sprawę? Wydaje nam się wzgląd nie łatwe do pomyślenia i przyjęcia, że Bóg nie ma końca, ale czy rozum nasz nie do-

znaje zawrotu na myśl, że Bóg nie ma początku? I czy naszą wyobraźnię nie wprowadza w stan zupełnego zamieszania to, że skoro Wszechmocny nie ma początku, to musiał całą wieczność żyć sam? Co za przerażająca w swej tajemniczości myśl! Dla nas ludzi szczęście polega na szukaniu jakiegoś zajęcia, jakiegoś celu: my śmiertelnicy nie możemy pojąć dłuższego odpoczynku, chyba jako stanu bezczynności czy apatii: jesteśmy znużeni, jeśli rozmyślamy godzinę tylko. Cóż zawarte jest przeto w tym powiedzeniu, że Bóg spędził nieskończone okresy sam z sobą? Jakiż był cel Jego istnienia? Był celem sam dla siebie: jakżeż to trudne do pojęcia! Skoro żył tak sam z sobą przez całą wieczność, to mógł, gdyby był chciał, nic nie stworzyć. I tak od wieczności do wieczności On tylko by był: i nikogo by nie było, ktoby świadczył o Jego istnieniu, kontemplował Go, uwielbiał i dzięki Mu składał. Przygniatająca to myśl! Nie byłoby ani przestrzeni, ani czasu, ani następstwa, ani zmiany, ani postępu, ani celu, ani końca. Jeden Nieskończony Byt od początku do końca i nic więcej. I dlaczego On? Cóż więcej przykrego jest dla wyobraźni, czy myśl o Jednym tylko Bycie, czy wogóle o niczym?

Jesteśmy tu w obliczu nagiej, surowej, przerażającej tajemnicy, ciążącej na nas swym ogromem.

I gdyby nie tajemnica Wcielenia, ta tajemnica, że Bóg stał się człowiekiem... — Tajemnica niepojęta, ale tak radosna i pełna ukojenia, przebaczenia i mimo swej wzniosłości tak pociągająca i wzruszająca!

Jest nam niezrozumiałą i tylko możemy ją uwielbiać, kiedy słyszymy, że Wszechmocny Bóg, który „wieczność zamieszkiwał“, przyjął ciało i krew z ciała Najśw. Panny, był w Jej łonie, ssał Jej piersi, był posłusznym rodzicom ziemskim, pracował w niskim zawodzie, doznawał wzgardy od swoich, był policzkowany i lżony od swych stworzeń, został przybitym do krzyża i zmarł śmiercią złoczyńcy, a teraz w formie chleba spoczywa na ołtarzach, w ukryciu tabernakulum. Jakżeż to w wysokim stopniu niepojęte: a jednak chociaż ta myśl obezwładnia naszą wyobraźnię, pokonuje też i serce nasze. W istocie, nie można sobie wyobrazić myśli bardziej podbijającej nasze uczucie, bardziej je szarpiącej i przeszywającej.

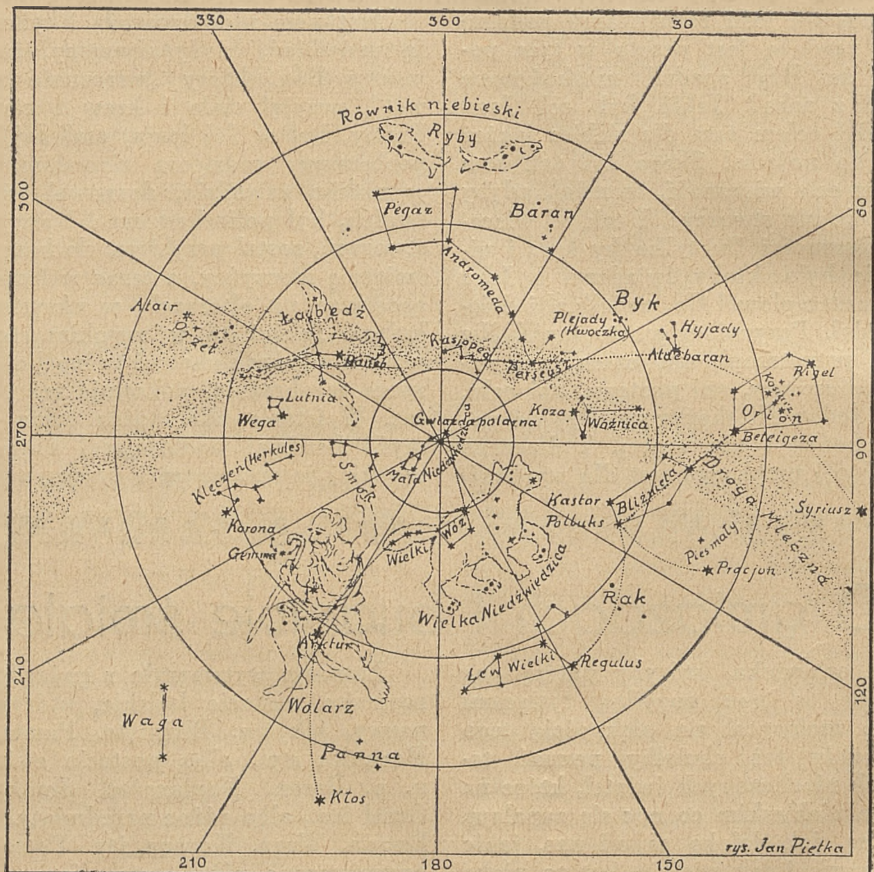
O gwiazdach i budowie świata

Nie ma człowieka, któryby patrząc na niebo usiane w noc pogodną tysiącami gwiazd, nie zachwycał się pięknością tego widoku. Każdy też chciałby poznać tajemnicę tych niezliczonych świateł, które na firmamencie niebieskim co noc się zapalają, czym one są, jak daleko są od nas, jakie ruchy wykonują i jak wielkie jest to niebo gwieździste. Ciekawość ta paliła ludzi od początku, dlatego już ludy najstarożytniejsze zajmowały się gwiaździarstwem, czyli astronomią. Szczególnie ludy na Wschodzie, ludy koczujące, spędzające noce pod gołym niebem, miały dużo sposobności wpatrywać się w gwiazdy i rozmyślać nad nimi. Więc też nauka astronomii najdawniej rozwinęła się na Wschodzie, zawiera ona spostrzeżenia, które i dziś mają znaczenie, ale zawiera też bardzo wiele wytworów fantazji, wytworów nieraz ciekawych i pięknych, lecz nie mających nic wspólnego z prawdziwą nauką.

Fantazja wytworzyła z gwiazd na niebie rozmaite postacie ludzkie, którym nadano nazwy, jak np. Bliźnięta, Panna, Wolarz, Herkules itp., albo postacie zwierząt, jak n. p. Baran, Koziorożec, Smok, Łabędź, Orzeł itp., albo różne przedmioty, jak: Wóz, Lutnia, Waga, Korona itp. Postaciom tym przypisywano różne symboliczne znaczenia. N. p. Wóz Wielki miał przedstawiać wóz Dawida, Smok to był ten, którego Archanioł Michał pokonał, Łabędź symbolizował gołębicę Ducha Św., Korona, koronę zbawienia itd., u różnych ludów miały różne znaczenie gwiazdozbiory czyli konstelacje. Prócz tego przypisywano niektórym gwiazdom, mianowicie planetom, wpływ na losy ludzkie, stawiano z gwiazd t. zw. horoskopy, czyli przepowiednie. Wszystkie te fantazje nie należą do astronomii, ale do astrologii, która dzisiaj nie ma znaczenia i nią się zajmować nie będziemy.

Pierwszym zjawiskiem, które zauważyć każdy może na niebie, jest to, że gwiazdy tworzą ze sobą grupy zawsze jednakie. Spostrzegamy te grupy, czyli konstelacje, najprędzej na gwiazdach bardzo jasnych, ale gdy się uważniej całemu niebu przyglądamy, to zauważymy, że wszystkie gwiazdy z małymi wyjątkami, zachowują się tak, jakby były przytwierdzone na stałe do tej olbrzymiej półkuli, którą niebem nazywamy. Drugim zjawiskiem, które każdy zauważy, jest to, że całe niebo, z gwiazdami razem, wykonuje w ciągu nocy obrót od wschodu na zachód. Gwiazdy, które były z wieczora na wschodniej stronie nieba, nad ranem znajdują się na stronie zachodniej, niektóre znikają na zachodzie pod horyzontem, a inne wynurzają się na wschodzie. Przy pomocy przyrządów astronomicznych można się przekonać, że ten ruch sklepienia niebieskiego odbywa się także w dzień, tak, iż w ciągu 24 godzin całe niebo obróci się raz dookoła. Jest to ruch pozorny, bo obróciło się nie niebo, ale obróciła się ziemia do koła swej osi, w kierunku przeciwnym, t. j. od zachodu na wschód.

Wszystkie gwiazdy na niebie, dla łatwiejszej orientacji, podzielono na grupy, zwane gwiazdozbiorami lub konstelacjami i ponadawano im imiona. Orientowanie się na niebie nie jest rzeczą trudną, trzeba tylko uwagi i obserwowania nieba pogodnego, najlepiej wtedy, gdy nie świeci księżyc. Najdogodniej wziąć za podstawę powszechnie znany gwiazdozbiór *Wielkiej Niedźwiedzicy*, której część stanowi *Wielki Wóz*, zwany także Wozem Dawida. Składa się z siedmiu gwiazd, z których cztery są kołami wozu, a trzy jego dyszlem. Gdy tylne koła połączymy linią i przedłużymy ją pięciokrotnie,



Rys. 1. Mapa nieba północnego z ważniejszymi konstelacjami.

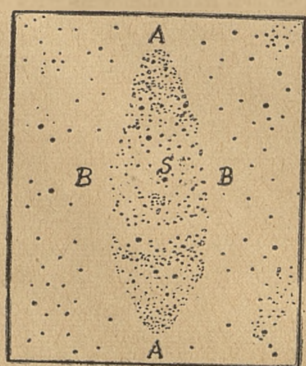
znajdziemy *gwiazdę biegunową*, czyli *polarną*. Łatwo ją odróżnić, bo w pobliżu niej nie ma żadnych większych gwiazd. Należy ona do gwiazdozbioru „Małej Niedźwiedzicy“, ale mało widocznego, tak, iż wydaje się odosobniona. Jest to bardzo ważny punkt dokładnie strona północna świata. Jeżeli oś ziemską przedłużymy ku niebu, to trafi ona bardzo blisko tej gwiazdy. Dlatego gwiazda polarna pozostaje ciągle nieruchoma, a inne wszystkie gwiazdy okrążają ją do koła w ciągu 24 godzin. A więc i Wielki Wóz jedzie do koła tej gwiazdy, ale nie w kierunku dyszla, tylko tak, jakby był przymocowany sztywną linią, przez tylne koła poprowadzoną, do gwiazdy polarnej. Po drugiej stronie gwiazdy polarnej, naprzeciw Wozu Wielkiego, znajduje się, już na Drodze Mlecznej, gwiazdozbiór *Kasjopea*, w kształcie spłaszczonej litery W. Posunąwszy się na tej Drodze na prawo, znajdziemy obfitego w gwiazdy półkolistego *Perseusza*, a jeszcze dalej na tejże Drodze gwiazdozbiór *Woźnicy*, który zwróci naszą uwagę wielką żółtawą gwiazdą, zwaną *Koza*.

Wróćmy teraz do Wozu Wielkiego i poprowadzimy przez dwie ostatnie gwiazdy dyszla linię, którą przedłużmy, aż natrafimy na przedłużeniu bardzo jasną gwiazdę pomarańczową *Arktura*, należącą do gwiazdozbioru *Wolarza*. Przedłużywszy tę linię jeszcze raz tyle, co poprzednio, spotkamy piękną białą gwiazdę *Kłos* w gwiazdozbiorze *Panny*. Następnie, patrząc w kierunku dyszla Wielkiego Wozu, znajdziemy łatwo *Koronę Północną*, sześć jasnych gwiazd, które tworzą półkole, zwrócone stroną wypukłą ku Arkturowi. Środkowa, najjaśniejsza gwiazda Korony, nazywa się *Gemma*, (Klejnot).

Popatrzmy na Drogę Mleczną, na ten białawy szlak, opasujący niebo. W tym miejscu, gdzie się Droga rozdwaja, rozpostarł skrzydła *Łabędź*, prześliczny gwiazdozbiór, złożony z samych bardzo jasnych gwiazd. Nieco dalej, na jednym odgałęzieniu Drogi Mlecznej, znajduje się gwiazdozbiór *Orzeł*, którego środkowa, jasna gwiazda, nazywa się *Atair*. Przy drugim odgałęzieniu Drogi błyszczy pięć jasnych gwiazd *Lutni*, w której najjaśniejszą jest *Wega*. Między Lutnią, a Koroną znaczny obszar nieba zajmuje: *Klęczeń*, przez Greków nazwany Herkulesem.

Jeżeli od Kasjopeji, leżącej na Drodze Mlecznej, popatrzymy niżej, natrafimy na rozległy gwiazdozbiór *Andromedę*, w trzech najwybitniejszych gwiazdach. Ostatnia z tych gwiazd jest narożnikiem wielkiego czworoboku, który się nazywa *Kwadratem Pegaza*. Poprowadziwszy linię od środkowej gwiazdy Kasjopei ku środkowej Perseusza o przedłużywszy ją dwukrotnie, natrafimy na świetną gwiazdę: *Aldebaran*, w konstelacji *Byka*. Na przestrzeni między Bykiem a Perseuszem widać małą grupkę siedmiu gwiazd, zwaną *Plejadami*, albo *Kwoczką*, albo *Babami*.

Linia poprowadzona od Plejad, przez Aldebarama, natrafi na trzy jasne gwiazdy w jednej linii, które się nazywają *Przepaską Oriona*, albo *Kosiarzem*. Cały zaś *Orion* tworzy czworobok wydłużony, którego dwa przeciwległe narożniki tworzą jasne gwiazdy: biały Rigel i czerwona *Beteigera*. Jeżeli przedłużymy linię trzech gwiazd Kosiarza, napotkamy bardzo jasną gwiazdę: *Syriusza*.



Rys. 2. Przekrój przez układ Drogi Mlecznej, czyli galaktyczny.



Rys. 3. Mgławica spiralna w konstelacji Psów gończych.

Na przedłużeniu linii łączącej Rigel z Beteigezą, znajduje się konstelacja *Bliźniąt*, w której są gwiazdy: biały *Kastor* i żółtawy Polluks. Na łuku poprowadzonym od północnego boku czworoboku Oriona, leży gwiazda *Procjon*, należąca do konstelacji *Małego Psa*, a na drugim łuku od tegoż boku poprowadzonym, zobaczymy świetną gwiazdę: *Regulus*, w konstelacji *Wielkiego Lwa*.

Konstelacyj jest o wiele więcej, wymieniliśmy najważniejsze, u nas widoczne. Wszystkie są złożone z gwiazd stałych.

Już bardzo dawno ludzie nauważyli, że niektóre gwiazdy nie okazują się stałymi, ale wędrują wśród konstelacyj po swoich drogach. Nazwano je gwiazdami błędnymi, czyli *planetami*. Znamy ich dzisiaj osiem, a razem z ziemią jest ich dziewięć. Bo ziemia nie jest niczym innym, jak jedną z planet. Nie jest wcale środkiem świata, jak przed Kopernikiem mniemano, lecz bardzo skromne miejsce zajmuje we wszechświecie. Wszystkie planety krążą dookoła Słońca, są one nieodstępnymi jego towarzyszami, od niego mają pożyczone światło, własnego nie posiadają. Ciekawym byłby opis planet, lecz nie mamy tu miejsca na to, więc tylko krótko o nich nadmieniamy.

Merkury jest najbliżej słońca (około 50 milionów kilometrów), jest planetą małą, średnica jego jest 2½ razy mniejsza od średnicy ziemi. Obiega słońce dokoła w 88 dniach. Przedstawia się oczom jako gwiazda 1-szej wielkości.

Wenus krąży dokoła słońca w odległości około 100 milionów kilometrów, wielkość jej jest prawe taka, jak ziemi. Jest ona tą piękną gwiazdą wieczorną, która ukazuje się na niebie zaraz po zachodzie słońca i tą gwiazdą poranną, czyli jutrzenką, która błyszczy zanim słońce wzejdzie.

Ziemia krąży wraz ze swoim księżycem dokoła słoyca w ciągu jednego roku. Odległość jej od słońca wynosi blisko 150 milionów kilometrów. Gdybyśmy mogli popatrzeć na ziemię np. z Wenery, widzielibyśmy ją jako gwiazdę tej wielkości, co Wenera.

Mars jest planetą nie wiele większą od Merkurego, a znacznie mniejszą od Ziemi i Wenery. Średnia jego odległość od słońca



We wrześniu 1937 z defilady wojska w Bydgoszczy.

wynosi około 250 milionów km. Obiega cłońce w 687 dniach. Mars świeci blaskiem czerwonym, widzieć go można przez całą noc. Stosunki na Marsie są dość podobne do ziemskich, stąd jest przypuszczenie, że może żyją na nim istoty rozumne, podobne do ludzi. Posiada dwa księżyce.

Jowisz jest najpiękniejszą bryłą wśród planet, wszystkie razem planety zmieściłyby się w jego wnętrzu. Odległość jego od słońca wynosi 777 milionów km, na okrążenie słońca potrzebuje blisko 12 lat. Świeci na niebie, jako gwiazda pierwszej wielkości, spokojnym, żółtym światłem. Dokoła Jowisza krąży pięć księżżyców, kto ma dobry wzrok, może trzy z nich zobaczyć.

Saturn jest mniejszy od Jowisza, okrąża słońce w okresie przeszło dwóch lat w odległości 1424 miliony km. Odznacza się tym, że otoczony jest trzema pierścianiami dokoła jego równika i że posiada aż dziewięć księżyców.

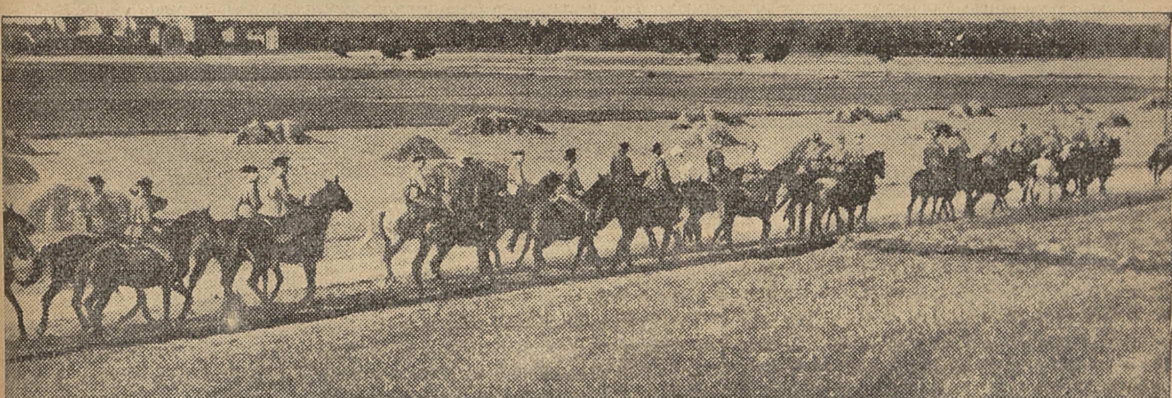
Uran odległy jest od słońca na 2900 milionów km, drogę dokoła słońca odbywa w 84 latach. Jest mniejszy od Jowisza, gołym okiem trudno go zobaczyć, bo jest gwiazdą 6 wielkości.

Neptun porusza się wśród gwiazd bardzo powoli, bo okrąża słońce raz na 165 lat. Ponieważ jest znacznie mniejszy od Urana, a odległość jego od słońca wynosi 4490 milionów km, przeto gołym okiem wcale widzianym być nie może.

Pluton został nie dawno odkryty, jeszcze nie obliczono jego wielkości, a odległość oszacowano na około 6000 milionów km.

Te tysiące milionów kilometrów nie dają nam pojęcia o wielkości i o rozmieszczeniu planet w przestrzeni, albowiem zbyt wielkie liczby nie przemawiają do wyobraźni. — Najprościej byłoby narysować na papierze słońce i planety w odpowiednim pomniejszeniu, czyli skali, tak jak się rysuje plan domu, albo mapę gruntu. Ba, ale gdybyśmy narysowali słońce wielkości dziesięciozłotówki, to arkusz musiałby być tak wielki, jak Główny Rynek w Krakowie. Spróbujmy więc tak: Niech balon o średnicy 20 m, uwięziony na Rynku w Krakowie, przedstawia nam Słońce. Wtedy Merkuremu należy dać wielkość średniego jabłka i umieścić go na ulicy Grodzkiej koło kościoła św. Piotra. Planeta Wenus, wielkości piłki nożnej, będzie na granicy Stradomia i Kaźmierza (na plantach Dietlowskich), a Ziemia, tak samo wielkości piłki nożnej, będzie na moście Podgórskim. Mars, jako dziecinny balonik, znajduje się w Podgórzu, w połowie ulicy Kalwaryjskiej, zaś ogromny Jowisz, wielkości balonu o średnicy 4 m, będzie unosił się w Swoszowicach (10 km od Krakowa). Saturn, jako balon o 3 m średnicy będzie w Głogoczowie (19 km), Uran, jako kula o 1 m średnicy, w Lubniu (38 km), a Neptun, także jako kula o 1 m średnicy w Nowym Targu (60 km). Ostatni Pluton, o wielkości dyni, znalazłby się w Zakopanem (80 km). Tak wyglądałby model układu planetarnego.

Zadziwia nas teraz małość tych brył, a wielka rozrzutność przestrzeni. Cóż jednak powiemy, że cały ten układ 9 planet

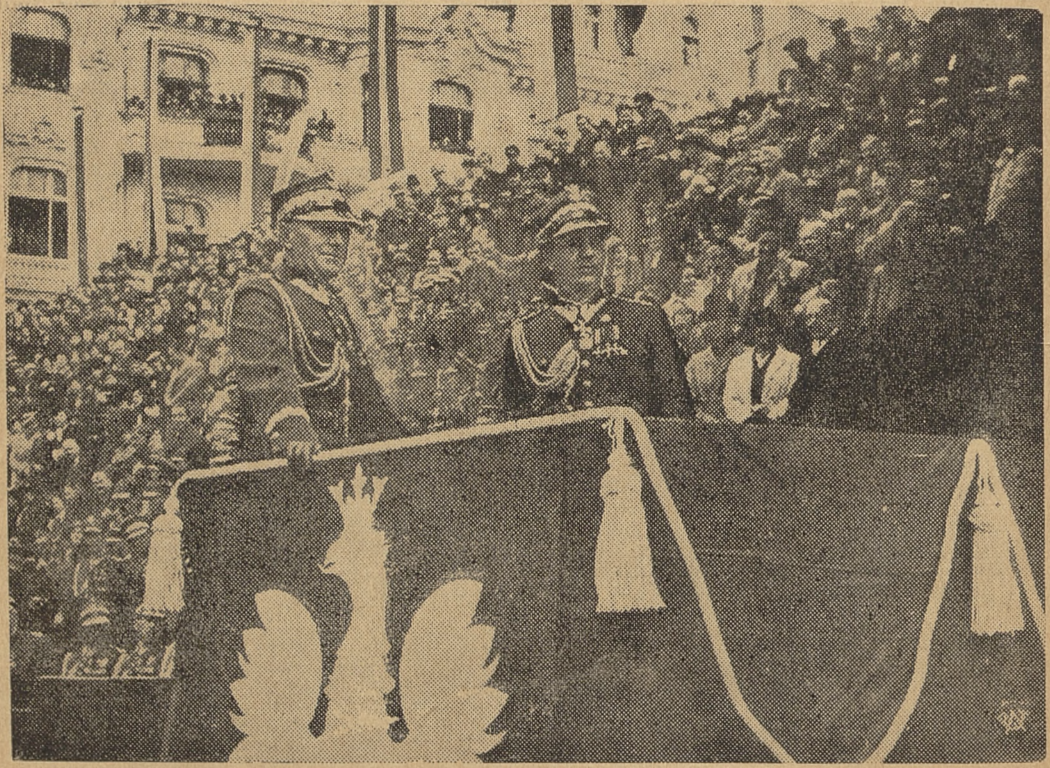


Ułani, ułani, chłopcy malowani...

razem ze słońcem — to drobiazg wobec odległości gwiazd stałych. Jakże daleko są gwiazdy stałe? Tak daleko, że kilometrami tej odległości mierzyć nie można, bo otrzymalibyśmy tak długie cyfry, jak droga z Krakowa do Warszawy. Tegoby nikt, ani nie napisał, ani tym bardziej nie przeczytał. Tu trzeba innej jednostki do mierzenia, jednostki specjalnej, astronomicznej. Taką jednostką jest „jeden rok światła". Cóż to jest? Wiadomo, że promień światła przebiega w jednej sekundzie 300.000 kilometrów, otóż odległość, którą promień przebiega w ciągu jednego roku, nazywa się „rokiem światła". Ile rok ma sekund, tyle razy po 300.000 km. — To jest jednostka astronomiczna, to jest ten łokieć, którym mierzymy odległość gwiazd stałych.

Odległość najbliższej gwiazdy wynosi około 4 lata światła, inne gwiazdy są odległe o kilkanaście, kilkadziesiąt, kilkaset, a nawet kilkatysięcy lat światła. Gdyby cały nasz układ, t. j. słońce z dziewięciu planetami mógł być oglądany z jakiej gwiazdy stałej, wydałby się drobiazgiem tak małym, że zaledwie dostrzeglibyśmy słońce w postaci małej gwiazdki, a planet wcale byśmy nie widzieli. Stąd odwrotnie wnioskować możemy, że gwiazdy to są ciała niebieskie, świecące własnym światłem, z natury swej i wielkości podobne do słońca, że są to, jednym słowem, odległe, a liczne słońca. Jeżeli do koła tych słońc krążą bryły ciemne, podobne do planet naszego układu, co jest bardzo możliwe, to dostrzec ich nie jesteśmy w stanie.

Wszystkie te gwiazdy, czyli słońca, razem wzięte, stanowią jedną przeogromną gromadę, w której środku, mniej więcej, znajduje się nasz układ planetarny. Jesteśmy jakby w środku roju pszczół, albo w środku chmary komarów igrających w powietrzu. Ogólny kształt tej przeogromnej gromady wygląda jak kula mocno spłaszczona, jak soczewka mocno z dwóch stron wypukła. Z powodu tego kształtu, patrząc z naszej ziemi na gwiaździste niebo, w kierunku brzegów soczewki (AA), widzimy wielkie zgęszczenie gwiazd, które nam się przedstawia jako Droga Mleczna. — Patrząc zaś



Marsz. Rydz-Śmigły i min. wojny gen. Kasprzycki przyjmują defiladę wojska w Bydgoszczy.

w kierunku poprzecznym (BB), widzimy gwiazdy rzadziej rozsiane, bo przez cieńszą ich warstwę patrzymy. Droga Mleczna, oglądana przez teleskop, pokazuje się jako gęste zbiorowisko gwiazd różnej wielkości, stąd cały układ nazywa się *układem galaktycznym* (gala po grecku, mleko).

Pomyślmy teraz — o ile pomyśleć potrafimy, bo się w głowie mąci — że ten zawrotnej wielkości „układ galaktyczny", nie jest jeszcze czymś ostatnim, czymś jedynym w całym wszechświecie. Skądże taka myśl szalona? Oto, zapomocą najnowszych przyrządów astronomicznych dostrzeżono na niebie utwory jeszcze dalsze, niż gwiazdy stałe. Przedstawiają się te utwory w postaci delikatnych kłaczków mgły, dlatego nazwano je *Mgławicami*. Jedne z mgławic są zbiorowiskiem gwiazd, inne są zbiorem materii gazowej, z której jeszcze nie utworzyły się pojedyncze gwiazdy. Mgławice mają często kształt zwojów spiralnych, jak pokazuje rysunek (3) mgławicy, znajdującej się w konstelacji „Psów gończych". Układ galaktyczny ma też prawdopodobnie kształt spiralny, który na rysunku (2) nie jest widoczny, bo spirala jest przedstawiona nie na płask, ale w przekroju. Prócz gwiazd świecących pojedynczo, i oprócz mgławic, znajduje się w przestrzeniach niezliczona ilość brył ciemnych, nie świecących, a także ogromna ilość materii gazowej, nie świecącej. Astronomowie mówią, że tych ciemnych ciał jest nawet więcej niż jasnych. Albowiem we wszechświecie istnieją ciągłe i nieustanne przemiany, ciągłe tworzenie się nowych światów, starzenie się i umieranie jednych słońc, a rodzenie się i rozwijanie nowych. Potrzeba na te przemiany miliony i miliardy lat czasu, lecz Pan Bóg jest wieczny, z czasem się nie liczy. Tak samo i z przestrzenią. Co dla naszego umysłu jest nie do pojęcia wielkim, to dla Pana Boga jest maleńkim ułamkiem, najmniejszym drobiazgiem. Jeżeli cały układ galaktyczny, to znaczy, całe niebo ze wszystkimi gwiazdami i z Drogą Mleczną, jest jedną tylko mgławicą, pośród tysięcy, a zapewne milionów, innych mgławic, to czymże w takim razie jest nasz układ planetarny, t. j. słońce z dziewięciu planetami? Drobiazgiem. A czym nasza ziemia? Jeszcze marniejszym drobiazgiem, pyłkiem, nicością!

Wszechmoc Boża objawia się w każdym, najmniejszym stworzeniu na ziemi, lecz kto się wpatruje w niebo gwiaździste — tego ogarnia zdumienie i lęk przed nieskończoną Bożą potęgą. *Jan Piętka.*

Jak Karol chodziół do asyntyrki?

(Opowiadanie orawskie z r. 1912).

Wracałem na wakacje z miasta do Jabłonki. — Na drodze, między Chyżnem a Trzcianą, spotkałem wesoło maszerującą gromadę chłopaków. Wracali z asyntyrki. Jedni ze „snureckami" na kapeluszu, inni bez nich. Co pewien czas zatrzymywała się cała gromada i wtedy buchały z niej całe kaskady śmiechu, po czym znów ruszali w dalszą drogę do domu, gdzie z niecierpliwością czekano na nich: kogo „odebrali", kogo nie.

W gromadzie dobrze rozwiniętych, smukłych młodzieńców zwracał uwagę niedorostek z pękatym brzuchem, długim tułowiem, krótkimi kończynami, o wystraszonym wyrazie twarzy. Bardziej jeszcze raził ubiór jego. Pantalony, zawinięte wysoko, kabot poniżej kolan, rozcięty z tyłu, na piersiach aż trzy czerwone „szpilki", medalik z misyj w Lipnicy i podobizna Franciszka Józefa; słomiany kapelusz na głowie, a na nim „pióro", jak miotła aster i georginij, pod pazuchą węzełek. Istna karykatura człowieka. Przejeżdżając obok rozochoconego towarzystwa, odrazu spostrzegłem, że to on jest powodem wesołości rekrutów.

Niezgrabnymi ruchami, z wielkim wysiłkiem starał się dotrzymać kroku towarzyszom, ale szło mu to ciężko, niezdarnie. Nijako mu było pozostawać w tyle, bo przecież i on rekrut, a nadążyć trudno. Lipniczanie swoją drogą nie chcieli go zostawiać samego, nie z litości, ani miłości bliźniego, ale nie mieli by poprostu z kim dokazywać. To też odpoczywali dość często, by mu dać odsapnąć, ale wtedy to rozwiązywały się dopiero języki na dobre. Oczywiście wszystko szło pod adresem Karola.

Porwany wesołością tej niedoszłej kompanii, zażartowałem i ja na widok tak ory-

ginalnego rekruta, — dopędziwszy ich.

— Ciebie napewno do huzarów odebrali, żeś tak paradnie ubrany.

Rozchichotała się na to cała paczka, razem z nim.

— Zazieroł by koniom pod ogony, cy bedo jojka nieść, ale na stołecku, bo by inacy nie dowidzioł — dodał ktoś.

— Ej, lepiej by mu było w infanterii, bo maszeruje i strzelo odrazu — mówi drugi.

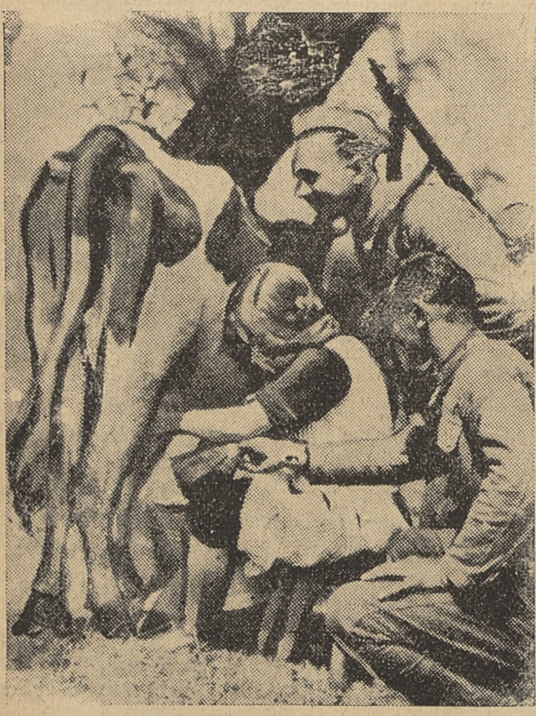
— To go ku kanonom dać, tam trzeba takich.

— Nolepi by mu było spod sumarów gnój kidać, narobił by se perfumu, co by nim dziewki i panicki polewoł we śmigórzd.

Podobnym dowcipom nie było końca. Karol śmiał się razem ze wszystkimi, widać jednak było, że mu to nie w smak. Dobrał się wreszcie i sam do głosu i jąkając się, odciął się stanowczo:

— Śmiejcie się jacy, kieście głupi, uwidzicie, cy mie za rok nie odbiero!

W głośnym, serdecznym śmiechu, jaki powstał po tym oświadczeniu, trudno było zrozumieć coś wyraźnego, wszyscy coś krzyczeli i śmiali się na całe gardło. My popędziliśmy konia i zostawiliśmy rozbawione towarzystwo w Jeleśni.



Na manewrach
żołnierze czekają na udój mleka.

Po powrocie do Lipnicy Karolowi wstyd było, że se nie może przypiąć snurecki za kapelusz o węgierskich barwach narodowych — bo to było za Madziarów — najbardziej zaś hańbił się Marysi, od której dostał kwiaty na pióro.

Pasał nadal gęsi na kamieńcu, z długą habiną w ręku, albo krowę na powrozie. Jest to jego rzemiosło, wykonywane z nadzwyczajną sumiennością. Nic go z pastwiska nie spędziło przed czasem. Ani ziąb przenikliwy, ani psota dokuczliwa, ni też skwar, chyba, że mu się krowy rozgziły. Pilnował wiernie powierzonego mu dobytku, jak pies, i to za ostatni kąt, udzielony mu na nocleg, za trochę klóski z kwaśnym mlekiem i moskola owsianego. Jeżeli dali mu do tego jeszcze jakieś podarte, stare buty, zgrzebną koszulę, poortczęta z pradziadka, to był cały jego zarobek roczny. Pimomo to nigdy nie narzekał, nie miał wielkich wymagań, był zadowolony, pogodny, śpiewał pasąc krowy, a jak miał sposobność, to i zatańczył po swojemu. W niedzielę zaś dziękował Panu Bogu za swą szczęśliwą nędzę w ten sposób, by Mu się to — w jego rozumieniu — najlepiej podobało. Nigdy więc nie szedł do kościoła bez pióra. W zimie, kiedy nie ma żywych kwiatów, miał je z bibuły. Modlitwą jego zaś było ciągnienie miechów. A jaki był z tego dumny; uważał siebie prawie że za tak ważnego i niezbędnego w kościele, jak ksiądz, albo rektor. Zaczął też coraz częściej przebywać z panami, stawiając się na równi z nimi.

Zdawało się, że życie Karola płynie jak najszczęśliwiej. A jednak tak nie było. Nie dała mu spokoju myśl o nieszczęśliwej asyntyrce. Muszę być wojokiem — mawiał do siebie — bom się odgrażał tamtym, ale jak to zrobić? Słyszał o babie w Lesku, o chłopie w Harklowej, o doktorze w Slanicy, do których ludzie chodzili w różnych dolegliwościach. — Najchętniej byłby poszedł do Lesku, ale nie było kiedy, musiał przecież paść, potem daleka to droga na jego nogi. Ale poradzić się trzeba było, bo sam nic nie mógł wymyślić. — Kiedyś opowiadał mu Sanko, że w Jabłonce na placu mieszka Siejwa, co to pijawki i cebulę sprzedaje, ona też potrafi porobić. Nie widziało mu się, że to żydówka, ale blisko, będzie mógł obejść

przez południe. Tak też, nikomu nic nie mówiąc, uczynił. Wziął szóstkę, którą kiedyś dostał od rektora za ciągnienie miechów i poszedł do Siejwy. Opowiedział jej swoje zmartwienie. Nie wiele z tego rozumiała, bo mówi niewyraźnie, ona zaś głuchawa; zapytała tylko, czym się zajmuje?

— Pasę gęsi i krowy — odrzekł.

Dała mu wtedy taką radę:

— Podój w św. Bartłomienia krowę na ocieleniu przy syworze z Murgasa, kiedy bedo sygnować na ranio, ale tak, co bv cie nikt nie widzioł. Dodaj do tego zesłorocnego sadła z siwej gęsi i dwie łyżki fisztronu. Wymiesoj to tarajką z kocierpki w komorze na srąbku, a kiedy bedzie wiater od grapy, to się wysmaruj tym po pod ziobra tak, co by ci smolec z tyłku kapoł, to bedzie z ciebie wojok, jak trzeba.

Czekał Karol niecierpliwie św. Bartłomienia, robił wszystko, co mu kazano. Zawiał wiatr sprzyjający, Karol smarował się, dobrze sobie skóry nie zdarł, ale smalcu jak nie ma, tak nie ma.

A to wszystko przez to, że go podpatrzyła przez płot Bolibruska i skończyły się jego sny o wojsku. Nie wzywali go nawet do drugiej asyntyrki.

Kronika wydarzeń religijnych i kościelnych

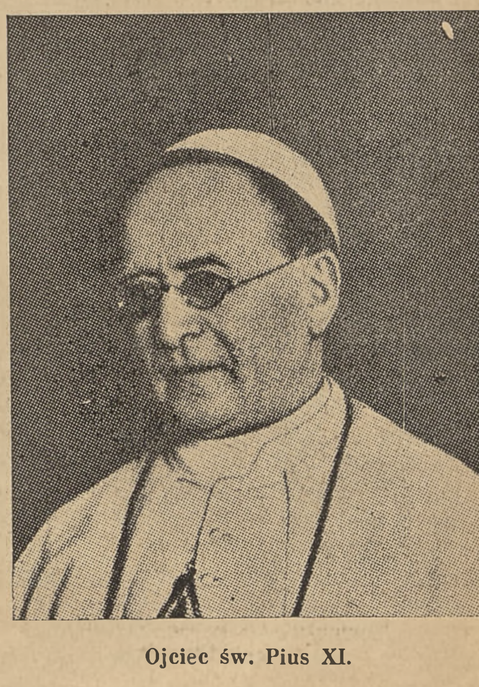
Byłoby rzeczą conajmniej śmieszną i pretensjonalną chcieć w paru słowach wyczerpać bogactwa tego życia, jakie pulsuje w łonie tej wielkiej społeczności Chrystusowej — nazwanej Kościołem Katolickim. Przecież to przeszło 350 milionów osób, z których każdego historia jest odrębnym dramatem, godnym pióra największych geniuszów. Wcale nie przesadzamy!

Wielka, jedyna prawdziwa demokracja chrześcijańska ceni każdego człowieka nierównie wyżej, niż to czynią takie czy inne obozy, z lewa czy z prawa. Mówimy skromnie „nierównie wyżej“, gdy tym czasem należałoby powiedzieć „nieskończenie“ wyżej, boć przecie każdy z ludzi ma wartość nieśmiertelnej duszy, okupionej krwią samego Boga. Znane to prawdy, bo katechizmowe, ale godne przypomnienia w chwili, kiedy śmieszne w swych roszczeniach ideologie wyłażą wprost na szczudła, by wszem głosić swe jedyne recepty zbawienia człowieka czy zapewnienia mu szczęśliwości na 100%.

Przypominamy więc dla ilustracji tych powyższych krótkich wywodów, że przecież kilkadziesiąt lat temu nieznana nikomu pasterka Bernadetka Soubirou otrzymuje od Niepokalanej Dziewicy objawienie, które staje się początkiem przepięknego kultu i tego triumfalnego marszu już nie milionów, ale miliardów ludzi do stolicy Królowej Niebios w Lourdes!

Przypomnijmy, że młoda i piękna panieneczka Tereska Martin zamyka się jednego dnia za kratami Karmelu, „przepada“ — jak się to mówi — dla świata, a za lat kilkadziesiąt triumfująco wychodzi na szeroki świat jako ubóstwiana, choć odeszła w zaświaty, królewna!

Młoda święta nikomu prawie za życia nie była znaną, drobne uczynki, którymi nanizane było Jej życie, niczem nie przypominają wielkich spotkań bokserskich czy głośnych skandali aktorów i aktorek w Hollywood, a jednak mają niesłychanie zdobywczą i nieustanną moc przyciągania i duchowego zarażania.



Ojciec św. Pius XI.

Oto postacie, napozór nikłe w historii świata, które jednak wagą swego „innego jakoby“ życia przesuwają w społeczności milionów dusz wielkie złoża uczuć, zachwytów, głębokich zadumań i nieodwołalnych postanowień. W wielkim zbrataniu dusz, jakim jest katolicyzm, następują dzień po dniu te ciche erupcje świętości i łaski wybranych dusz, odkupujących zbawienie tysięcy innych czy zapalających wciąż inne światła. Czyż nie jest zatem koniecznym poczynić te wstępne uwagi, kiedy z nieumiejętności odczuwania tego, co zachodzi w głębiach dusz poszczególnych ludzi i niemożności oddania tego na papierze, ograniczymy się do zarejestrowania w tej kronice suchych, zewnętrznych raczej faktów, które przykuwały uwagę giełdy publicznych informacji z racji zaciążenia w ten czy inny sposób na arenie międzynarodowego życia? Wyznajemy naszą słabość, ale się przed nią nie bronimy! Dlatego zaczynamy!

Faktem, który po dziś dzień jeszcze ciąży na przeznaczeniu losów Europy — to wojna domowa w Hiszpanii, przypominająca ze względu na głoszone i bronione hasła dawne „święte wojny“ religijne. Trudno w paru zdaniach pisać o właściwych przyczynach wojny, jej obecnym układzie i przepowiadać taki czy inny koniec. Niestając po stronie rzekomych faszystów czy rzekomej demokracji, bronionejj przez socjalistów, komunistów i anarchistów wystarczy przypomnieć, że katolicka Hiszpania straciła w niej kilkaset tysięcy ludzi na samych frontach i niemało tysięcy osób w egzekucjach czerezwyczajek hiszpańskich. Specjalnie przedmiotem nienawiści władz czerwonych i podjudzonych tłumów stało się duchowieństwo świeckie i zakonne w Hiszpanii; ofiary idą tu w tysiące. Wielkie zniszczenia i spustoszenia świątyń i zabytków cofają chrześcijańską kulturę w tym kraju o dziesiątki wieków wstecz. Katolicy wszystkich innych krajów z napięciem śledzili i śledzą zmagania się i ofiary obu stron. Przyznać jednak należy, że Komintern i lewicowe ugrupowania rozwinęły w całym świecie daleko silniejszą i skuteczniejszą propagandę na rzecz wyznawców swojego sztandaru niż to czynią narodowe czy katolickie obozy. Papież niejednokrotnie polecał modlić się za ciężko dotkniętą Hiszpanię i prosić gorąco Boga o pokój i sprawiedliwość w powaśnionym kraju.



Komuniści hiszpańscy strzelają do posągu Chrystusa.

Ale Ojciec św.! On sam spowodował niemało trosk w sercach milionów katolików. Pamiętamy wszyscy komunikaty o stanie Jego choroby i mniej lub więcej złowróżebne przepowiednie o rychłym zakończeniu Jego życia. Tymczasem Opatrzność Boża sprawiła, że „odmłodziła się niczem orłowa młodość Jego“ — papież nie tylko wyszedł z choroby, co w Jego wieku 80 lat, było prawie cudem, ale zadziwił świat, wydając trzy wielkie i wspaniałe Encykliki o komuniźmie, rasyźmie niemieckim i sytuacji w Meksyku. Ale nie uprzedzajmy faktów, bo musimy jeszcze parę słów poświęcić Międzynarodowemu Kongresowi Eucharystycznemu w Manilii na dalekim Oceanie Spokojnym. Odbył on się w lutym. Zgromadził, mimo odległości, setki tysięcy uczestników z całego świata. Z Polski wyjechała większa grupa duchowieństwa i świeckich z Księciem Metropolitą Krakowskim na czele. Kongres Eucharystyczny był wspaniałym hołdem, złożonym wśród narodów żółtej rasy Chrystusowi, utajonemu w Najświętszym Sakramencie. — Przez pare dni serca katolików całego świata łączyły się w jedno „hosanna“ uwielbienia dla Pana niebios i ziemi. Przypominamy, że jednocześnie urządzili komuniści Międzynarodowy Zjazd Bezbożników w Moskwie dla uchwa-

lenia gwałtowniejszej niż dotąd propagandy bezbożnictwa. To też poniekąd było powodem, że Ojciec św. ogłosił pod koniec marca znaną już dziś na całym świecie Encyklikę o bezbożnym komuniźmie, w której głowa chrześcijaństwa poddaje surowej krytyce fałszywe zasady komunizmu i wskazuje środki naprawy dzisiejszych stosunków. — Druga, w pare dni później ogłoszona Encyklika o rasyźmie niemieckim wywołała w całej Europie ogromne zainteresowanie i uznanie z wyłączeniem naturalnie państwa hitlerowskiego. Był to już najwyższy czas, gdyż nauka rasyzmu jest zlepkiem niebezpiecznych błędów, sam zaś rasizm polityczny w zastosowaniu ich przeszedł wszelkie granice. Encyklika o Meksyku przypomniała jeszcze raz światu te niecne wyczyny, których dopuszczają się ciągle władze socjalistycznego państwa w stosunku do Kościoła i katolików. Ojciec św., mimo swej niezwykłej cierpliwości nie mógł dłużej milczeć.

Ale skoro jesteśmy przy Encyklikach, to czyż godzi się nie wspomnieć o wspaniałych obchodach rocznic wydania Encyklik społecznych „Rerum Novarum“ (o położeniu robotników) i „Quadragesimo Anno“ (o przebudowie społecznej)? Obchody te urządzane w całej Polsce w okresie między 15 a 20 maja przypominają katolikom, że Kościół ma głęboką naukę społeczną, zastosowaną do dzisiejszych czasów, że obowiązkiem jest katolików jak najrychlej wcielać ją w życie. W miesiąc po obchodach Encyklik miała Polska nielada zaszczyt i obowiązki goszczenia u siebie Międzynarodowego Kongresu Chrystusa Króla w Poznaniu (między 25 a 28 czerwca). Kongres zgromadził elitę katolicką, głównie Europy i dał wnikliwy rozbiór przyczyn i metod działania bezbożnictwa.

Pod koniec wakacji szkolnych urządził Nacz. Instytut Akcji Katolickiej w Polsce tygodniowe studium w Warszawie na temat:



Kardynałowie na Kongresie Chrystusa-Króla w Poznaniu.

„Katolicka myśl społeczna w Polsce“. Studium mające wykładowców głównie spośród profesorów uniwersytetu zdobyło wielki rozgłos w całej Polsce. Katolicyzm społeczny w Polsce staje się coraz bardziej czujnym i aktywnym; dowodem tego jeszcze to silny udział uczonych polskich w Międzynarodowym Kongresie Przeciwalkoholowym w Warszawie we wrześniu 1937 r. Alkoholizm to nasza plaga narodowa, gorsza od wojen, zarazy i niewoli. Katolicy zdają sobie z tego sprawę i dzielnie biorą się do pługa.

Na zakończenie przypomnieć wypada tę imponującą serię wszelkich narodowych pielgrzymek do Częstochowy — najpierw kwiatu inteligencji polskiej, bo tysiącznych rzesz akademików, następnie zaś kobiet, mężów katolickich, nauczycielstwa, ziemian i robotników. Są to fakty pocieszające, wprost opatrznościowe, dające rękojmię, że kraj nasz krzepnie w sobie i że religia katolicka staje się zaczynem odrodzenia wielkich sił Polski, co daje nadzieję, że z wielkich zmagań dzisiejszych wyjdzie nie tylko obronną, ale i zwycięską ręką.

J. S.

Kronika wydarzeń politycznych

Nie jest rzeczą łatwą pisać o polityce w Polsce, bo bardzo różnorodnie przedstawia się jej pojęcie, zależnie czy kto siedzi na wsi czy w mieście, jest socjałem czy konserwatystą, emerytem czy czynnym biurokratą, ma udry z natrętnym komornikiem czy jest bezwłasnościowym, wolnym ptaszkiem it. d.

Ale jeszcze nie o to chodzi, że są różne gusta i zapatrywania polityczne. Jest z nimi jak z potrawami; na to nie ma rady. Gorzej

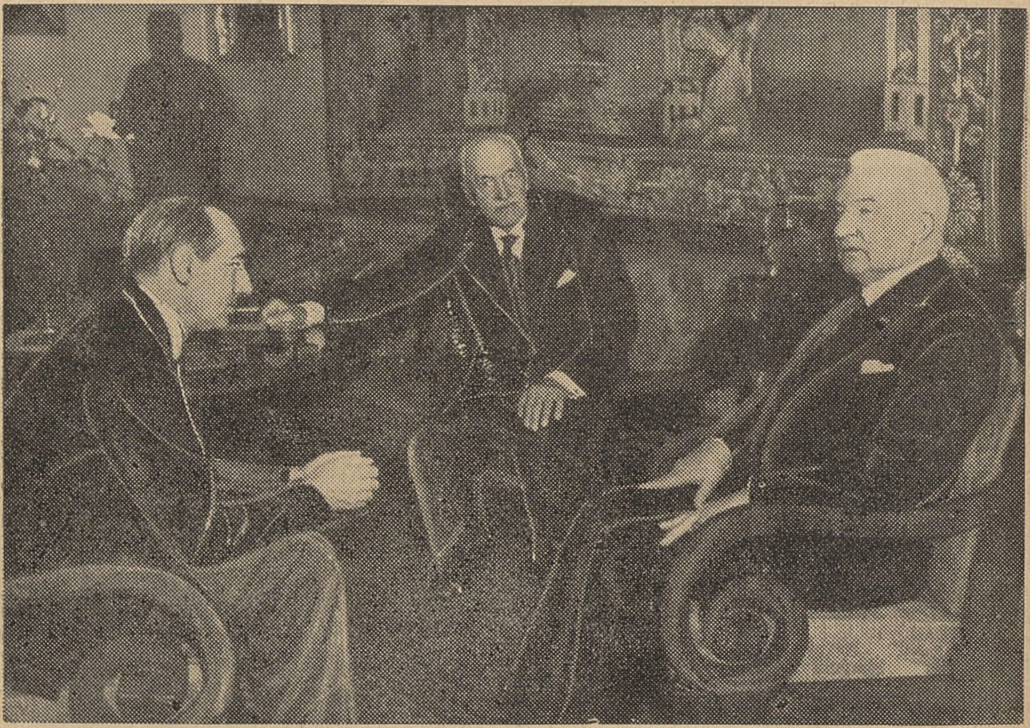
natomiast, że paskudne zacietrzewienie partyjne każe niejednym widzieć wszystko przez zaciemnione szkła, drugich zaś przedziwna obojętność dla spraw publicznych asekuruje przed jakimikolwiek wstrząsami i postanowieniami. Dla jednych więc tych parę zdań będzie zbyt uproszczonym rachunkiem z politycznego kalendarza Polski za rok 1937, dla drugich zgoła fałszywym. Ostatecznie, zgodzić się można z takimi sądami. Polityka nie jest czymś łatwo wymiernym i łatwym do oddania. Jestto alchemia mogąca przyprawić o zawrot głowy zawodowych badaczy tych spraw, a nie dopiero laika, który zabrał się naiwnie do zestawienia ważniejszych wydarzeń. Ale skoro się zaczęło, trzeba i poprowadzić dalej.

Otóż rok 1937 był dla wielkiej 34-milionowej rodziny, jaka jest Polska okresem dalszej wytężonej pracy nad rozbudowaniem swojego gospodarstwa i swej kultury. Rok 1937, mimo gróźb i zapowiedzi ogólno-europejskiej zawieruchy, przeszedł dla Polski — dzięki jej znacznym wysiłkom — w pokoju. To już wynik nie do pogardzenia, bo każdy rok bez wojny pozwala nam wzmocnić nasze siły. Obok tej jednak wartościowej cechy, życie wewnętrzne Polski, — bo o nim najpierw należy mówić — nie daje pola do układania wesołych bilansów.

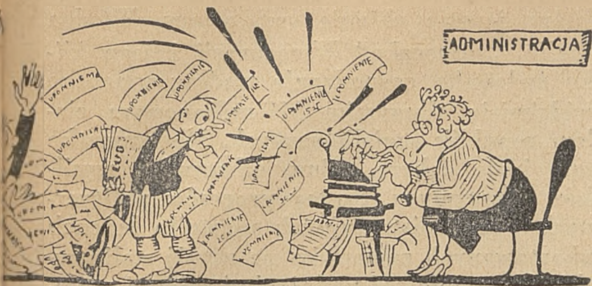
W pierwszym rzędzie jeśli chodzi o polityczną organizację kraju.

Ostatnia konstytucja, wyrosła zapewne z intencji wzmocnienia władzy Prezydenta i usunięcia anarchicznego parlamentaryzmu, stała się dla życia politycznego źródłem nieporozumień i niepokoju.

Oparte na przesłankach nowej tej konstytucji, wybory dały Parlament o odmiennym przekroju. Do tej konstelacji doszedł fakt zarysowującego się coraz więcej rozpadu dawnych form organizacji politycznej, będącej u steru rządu. Wchodzące dotąd w jej skład formacje, wycofały swe sztandary z dotychczasowej kombinacji puszczając wodze nowym aliansom politycznym, odpowiadającym więcej historycznym tradycjom i temperamentowi. Ożywiła się tzw. opozycja, otrząsając ze swych kadr lekkie uśpienie, by ruszyć do zawarcia nowych przymierzy czy wzmocnić rekrutację swych sił. W obozie rządowym po dłuższym okresie



Estoński min. Spraw Zagr. Akel wraz z min. Beckiem z wizytą u P. Prezydenta R. P. na Zamku.



Administracją w karykaturze.

wahań i przygotowania, pułk. Koc sformułował w pamiętnym swym przemówieniu radiowym główne zasady ideowe nowej ogólno-polskiej organizacji politycznej: Obozu Zjednoczenia Narodowego, przez prasę w skrócie nazwanego Ozonem. Deklaracja pułk. Koca ma niewątpliwie wiele dodatnich i celowych sformułowań. Poza obozem żydowskim, cała prasa polska zgodziła się, że zasady O. Z. N. idą po linii historycznej misji Polski. Brakowało jednak deklaracji bliższego skreślenia swych form organizacyjnych, co jednym dawało pole do różnych przypuszczeń a innych skłoniło do odłożenia decyzji na później i przeczekania co z tego wszystkiego wyniknie. Po pewnym czasie, skoro gorąco deklaracji jakoś rozeszło się już po kościach i widocznym się stało, że nowy obóz nie będzie mógł przyjąć form totalistycznych harce partyjne na nowo rozgorzały. W chwili gdy to piszemy jesteśmy świadkami tworzenia się różnych frontów: demokratycznego pod kapturkiem żydów, komunistów i socjalistów — frontu z Morges, Naprawy i t. d. Niepewne są co do swych aliansow Stronnictwo Narodowe i Stronnictwo Ludowe. Ale gry politycznych partii nie stanowią jeszcze sedna rzeczy. Równolegle ciągną się utarczki na mniejszych odcinkach samorządu, związków zawodowych, szkolnictwa, reform rolnych, skarbowości, podatkow i t. d. Idzie walka o kęs chleba, o podział bochenka, ale wre też walka o idee, o światopoglądy, o zapanowanie nad człowiekiem. Ale nie należy tracić ufności i popadać w niegodny uwiąd działania czy rozbrajający pesymizm, tym bardziej, że naprawdę bardzo wiele już zdziałaliśmy w naszej Ojczyźnie na polu gospodarczej odbudowy, mimo braku kapitałów, ogólno - światowego kryzysu i t. d. Byleby tylko nie rozluźniały się wiązania moralne, byleby wzrastała gorliwość o wspólne dobro, o wzajemną pomoc w duchu szacunku, sprawiedliwości i miłości, a malała zazdrość, czerwona nienawiść, warcholstwo i samolubstwo, a niewątpliwie dobry z natury charakter polski przy większej systematyczności i wytrwałości żdziała wiele dobrego. W dziedzinie polityki zagranicznej, która wypracowuje się w zasłonach gabinetów dyplomatycznych należy nam podkreślić jeden zasadniczy ton: utrzymanie pokoju i dobrych stosunków z sąsiadami przy zachowaniu niezależności i swobody ruchów. Wykładnikami obu tych założeń były posunięcia naszych mężów stanu na szachownicy europejskiej czy to będzie wyjazd marszałka Rydza Śmigłego do Francji, czy częste wyjazdy min. Becka do rządów różnych państw czy przyjęcia w własnym domu panujących czy przedstawicieli obcych narodów. Godnym przypomnienia jest zwłaszcza wizyta królewskiej rodziny zaprzyjaźnionej z nami Rumunii — dająca sposobność do wyrażenia więcej bezpośredniego uczuć gorącej, wzajemnej sympatii. — Do zanotowania są również wizyty ministrów spraw zagranicznych Szwecji i Estonii, wespół z krajem Orła Białego gospodarujących na wodach Bałtyku.

Wreszcie dowodem dużej równowagi i dojrzałości Polski jest fakt naszej samodzielności, nie dającej się wciągnąć w orbitę wielkich ideologicznych bloków faszyzmu czy komunizmu, które w tej chwili rozdzie-



Ś. p. ks. Skorupka,
bohater z wojny polsko bolszewickiej

rają Europę na dwa wrogie sobie obozy. Nie znaczy to, by oczywiście nie było u nas zwolenników jednej czy drugiej strony, by zwłaszcza ku tej drugiej nie ciążyło żydowstwo, ale na ogół nie przyszło do nas i — miejmy nadzieję w Bogu, że nie przyjdzie — do bratobójczych rozpraw...

To też na progu 1938 musimy patrzyć w przyszłość z ufnością, choćby należało przy tym zachować jak najwięcej ostrożności i czujności.

Jeślibyśmy teraz przeszli na podwórko naszych sąsiadów, to mielibyśmy do zanotowania przeróżne, nieraz niepokojące wypadki. Stosunki z Czechosłowacją nie były nigdy od czasu wojny i ze zrozumiałych powodów zbyt przyjacielskie. Można nad tym ubolewać, ale winy za to my nie ponosimy. Sytuacja Czechosłowacji nie jest wesołą. Pod względem układu narodowego, obciążona jest Czechosłowacja wysokim procentem mniejszości; z tych niemiecka silnie zagospodarowana, siedzi w pobliżu granicy niemieckiej, z poza której oddziaływują na nią wpływy Macierzy. Czechosłowacja wie dobrze, czym ta łączność i solidarność niemiecka pachnie na wypadek wojny, której też Czechosłowacja porządnie się obawia i stąd mamy jako równowagę przymierze czesko-bolszewickie.

Mówią, że Czechosłowacja wpadła z deszczu pod rynnę, gdyż komunizm wtargnął bez przeszkody w życie ludności i skutki jego opłakanej agitacji dają się już silnie odczuwać, zwłaszcza w szkolnictwie i w sferach wojskowych. Chłodne stosunki z Polską pogorszyły się jeszcze przez publikację książki, napisanej przez posła czechosłowackiego w Bukareszcie, w której autor omawiając sprawy polskie, wyraził poglądy więcej niż nieprzyjazne pod naszym adresem. Tak więc prawdziwa, niezbyt różowa rzeczywistość przesuwa na dalszy plan możność połączenia się ludów słowiańskich w jakąś spólnotę i współpracę. I nie tylko stan dzisiejszy Czechosłowacji odkładać każe takie zamysły na lepsze czasy, ale i sytuacja w Sowietach, gdzie nastrój terroru i dyktatury nie pozwala na więcej, jak na ostrożne i czujne śledzenie, by coś z tych oparów komunistycznych nie przedostało się za tę stronę słupa granicznego. Sowiety przechodziły w tym roku krwawą czystkę wewnętrzną, która jeszcze chłonie swe ofiary. Władca Stalin, „słoneczko“ Wszechrosji i jego klika żydowska gospodarują według własnego widzimisię olbrzymim 170-milionowym ciałem republik socjalistycznych. Nie wszystko tam idzie dobrze, mimo olbrzymich wysiłków i przymusu. Szereg procesów politycznych i administracyjnych ujawniło łańcuch ukartowanych zamachów na ustrój stalinowski. Olbrzymie zaś nadużycia i sabotaże miały rozstroić ogromny aparat biurokratyczny, dzierżony rękoma komunistów. Kraj przypatruje się z biernością tym wszystkim mrożącym krew wyczynom i nieufając — zresztą zupełnie słusznie — ogłoszonej pod koniec tamtego roku nowej, rzekomo demokratycznej konstytucji popada w coraz większy bezład moralny i umysłowy; nic to dobrego nie wróży dla komunistów, którzy też czują swoją słabość i rzucają się jak mucha w ukropie. Lękają się w dodatku nie tylko wewnętrznych przewrotów, ale i koalicji japońsko-niemieckiej. Bo Niemcy, nasz zachodni sąsiad dyszą dziś do Sowietów, jakąś nienawiścią, złe świadectwo wystawiającą narodowi niemieckiemu. Prawda, że Niemcy byli przed paru laty na progu bolszewizacji i że Międzynarodówka komunistyczna nie spoczywa ani na chwilę, by podminować ustrój hitlerowski. Niemniej te ciągłe wzajemne pogróżki niczym dobrym nie wróżą. Niemcy zbroją się dziś całą parą, nastawiają na cele wojskowe całą gospodarkę narodową i mając zapewnione przymierze z bojowo usposobioną Italią nie kryją się ze swymi planami w Europie. A te pod płaszczykiem obrony Europy przed komunizmem zapowiadają wojnę. Że ona nie będzie bezinteresowną, to pewne: że chciwość niemiecka może sięgnąć i po tych, którzy komunizmu nie tolerują — to też wielce prawdopodobne. Stąd też należy się mieć na baczności! Piszemy wiele o wojnie i przygotowaniach do niej: nie jest to wesołe i byłoby lepiej pisać o innych sprawach. Ale jeśli chodzi o politykę międzynarodową, to dziś siedzi za pazuchą właśnie upiór wojny, a my będąc między dwoma nieprzyjaznymi sobie blokami nie będziemy mogli dokazać tego, by nie wpaść w tryby koła młyńskiego. Przepowiednie pogody układają się lepiej na nieboskłonie, niż w sercach ludzi, zamieszkujących dzisiejszy glob. Dzieje się zaś

tak dlatego, że tak rządzeni, jak i rządzący nie idą za nauką Chrystusa Pana. Do nich też można zastosować słowa z Ewangelii św. Jana:

„Światłość w ciemnościach świeci, a ciemności jej nie pojęły“.

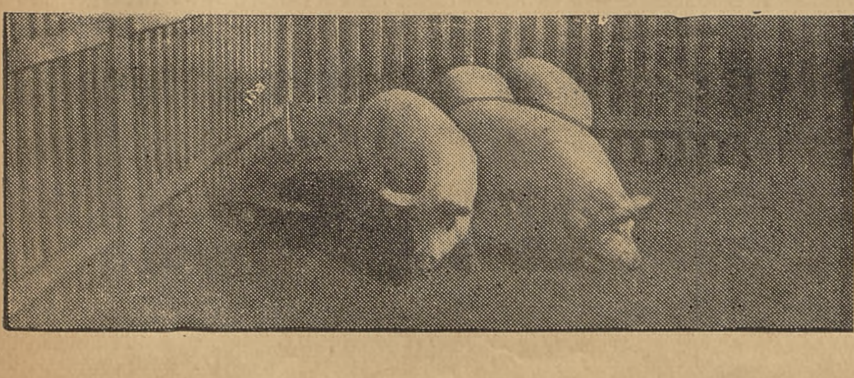
J. S.

Budujcie gnojownie

Wezwanie podane w tytule jest jedną z najważniejszych a bardzo zaniedbanych spraw naszego całego rolnictwa. — Bo oto zważmy: Obornik i gnojówka czy gnojownica są nawozami najlepszymi, zawierającymi wszystkie składniki jakich roślina potrzebuje do swego odżywiania się w łatwo dostępnej formie. — Tego nawozu, który nic nie kosztuje, bo jest w każdym gospodarstwie w wystarczającej ilości — rolnicy nie przechowują odpowiednio — często uważają za coś niepotrzebnego będącego ciężarem w gospodarstwie, który trzeba co jakiś czas usunąć z podwórza, skutkiem czego nie uzyskują z zastosowania jego takich korzyści, jakich należałoby się spodziewać, gdyby nawóz ten był dobrze przechowany i odpowiednio użyty. Równocześnie nasz rolnik narzeka na niskie plony na polach i łąkach, na drożyznę nawozów pomocniczych i wiele innych trudności.

Pracę nad podniesieniem rolnictwa na naszym Podhalu musimy rozpocząć od podstaw a tą jest przede wszystkim w każdym gospodarstwie *dobra gnojownia i należyte przechowywanie obornika.*

W niektórych okolicach Polski, gdzie mają murowane stajnie i dużo słomy na ściółkę nie budują rolnicy gnojowni, lecz cały obornik przechowują pod bydłem i zwierzętami. Na naszym Podhalu nie jest to możliwe, choćby z tego względu, że nie ma dostatecznych ilości ściółki. Obornik musi więc być przechowany na gnojówni i tu — uważajcie kochani Czytelnicy — zachodzić mogą ogromne straty we wszystkich składnicach gnoju, jeżeli gnojownia nie jest odpowiednio urządzona a obornik należycie składany. Jakież to są te straty i jak się odbywają! Otóż z obornika słońce i wiatr wyciągają składnik azot a deszcz wypłókuje wszystkie: azot, fosfór i potas, które są b. ważnymi materiałami odżywczymi dla roślin. Porównywano dobrze i źle przechowywane oborniki w laboratoriach i w doświadczeniach założonych na polu i z badań tych okazało się, że obornik źle przechowany może stracić do 3/4 swej wartości w stosunku do obornika dobrego. Gdy starano się wyrazić w pieniądzu te wartości i zastąpić je nawozami pomocniczymi, np. żużlami, superfosfatem czy solą potasową, to obliczono, że trzeba by wyłożyć obok gnoju od 1 krowy w ciągu 1 roku kwotę 30—50 zł. Przecież to jest cyfra ogromna, która już po dwóch lub trzech latach zwróci koszt zbudowania betonowej — bardzo porządnej gnojowni. Wielu rolników tłumaczy się: „ja wiem, że z gnoju źle przechowywanego ogromne wartości giną, ale cóż zrobię, nie stać mnie na budowę wzorowej gnojowni“. Rolnicy tak mówiący zupełnie słuszności nie mają. Obornik dobrze przechowywać można i bez wzorowej gnojowni. Wprawdzie dobra gnojow-

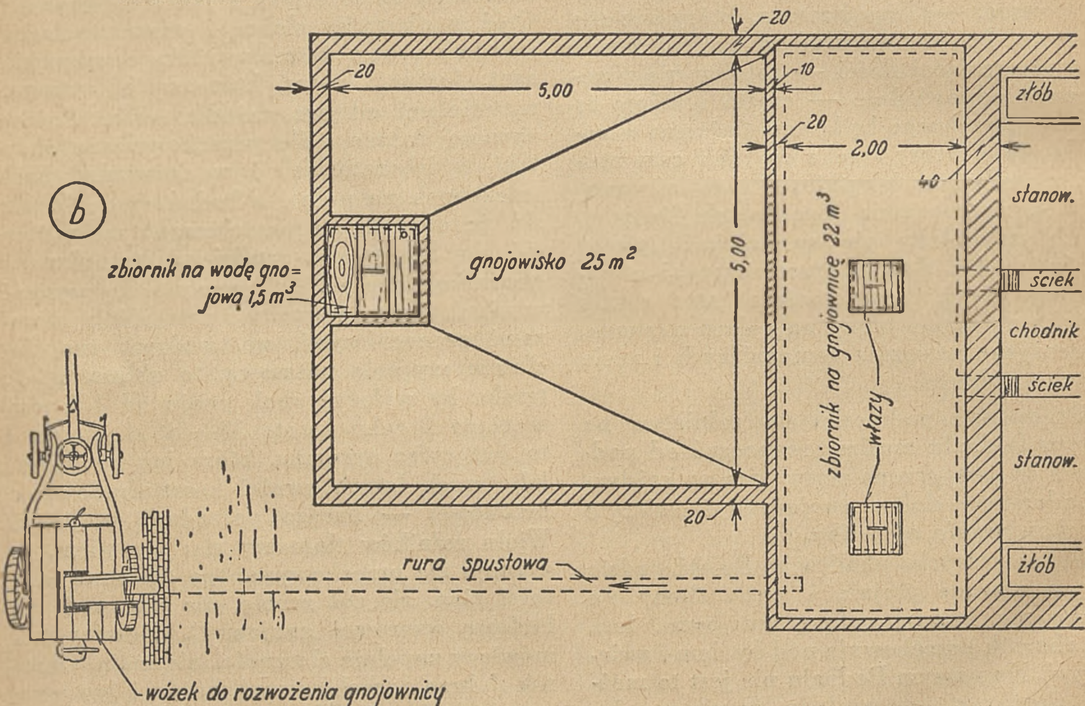


Świnki... ważny przychowek gospodarstwa wiejskiego

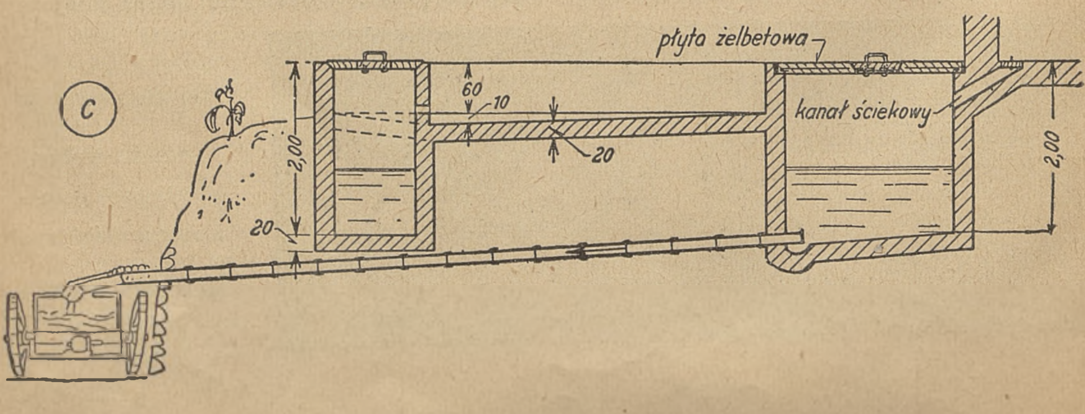
a



b


20
20
5,00
10
20
2,00
40
żłób
stanow.
ściek
chodnik
ściek
stanow.
żłób
zbiornik na wodę gno=
jową 1,5 m³
gnojowisko 25 m²
5,00
zbiornik na gnojownicę 22 m³
włazy
20
rura spustowa
wózek do rozwożenia gnojownicy

c


płyta żelbetowa
60
10
20
kanał ściekowy
2,00
2,00
20

nia dużo w tym zagadnieniu pomaga, ale nie jest ona jedynym warunkiem dobrego obchodzenia się z obornikiem.

Gnojownię wybudować możemy z materiałów różnych, np. gliny, drzewa, kamieni, cegły i betonu. Rolnik nie mający funduszu na zakupno materiałów może zawsze wybudować gnojownię sposobem gospodarskim: z gliny z dodatkiem drzewa lub kamieni, które zawsze znajdzie w pobliżu. Tylko chcieć i nie mówić „moje gospodarstwo leży na glebie gliniastej i nic mi wspód nie ucieknie", bo choćby nawet tak było to z gnojowni nieurządzonej niekoniecznie spodem giną składniki nawozowe — uciekają w powietrze i po powierzchni spływają. Na urządzenie gnojowni z gliny należy przygotować tłustego iłu — wyłożyć nim dno miejsca, gdzie leżeć ma obornik i dookoła otoczyć wałkiem, aby woda deszczowa i z podwórza nie spływała do zbiornika na nawóz i tym samym nie zabierała z niego najcenniejszych składników. Pozatem przy każdej gnojowni należy urządzić zbiornik na gnojówkę. Jeżeli kogoś nie stać na urządzenie zbiornika z betonu może jakąkolwiek starą beczkę lub skrzynię drewnianą osadzić w ziemi na nieprzepuszczalnym ile i już zabezpieczy swe gospodarstwo przed przykrymi stratami gnojówki, tego doskonałego nawozu pod buraki, na łąki, pastwiska, do sadów, pod warzywa i t. d.

Urządzając gnojownię trzeba też pomyśleć i o uporządkowaniu stajni. Nie powinna pod dylami wewnątrz stajni znajdować się próżna przestrzeń, gdzie zbiera się gnojownica zanieczyszczająca powietrze w stajni oraz gdzie wylęgają się szczury. Równe i szczelne dyle należy położyć na ubitej polepie z gliny i nie zostawić tam żadnej próżni. Płynne odchody zwierząt muszą w całości spływać rynienką do zbiornika a stałe należy regularnie usuwać i układać na gnojowni.

Którego rolnika stać na to lub ma gdzie pożyczyć niewielkiej zresztą kwoty na cement powinien stanowczo wybudować wzorową gnojownię. Opłaci się ta praca w każdym gospodarstwie a wyłożony koszt zwróci się już po dwóch a najdalej trzech latach w całości, bo przez to, że będziemy mieli więcej i to lepszego obornika i gnojówki wzrosną w gospodarstwie plony i tym samym dochody.

Jak wybudować gnojownię z betonu, to jest z materiału najwięcej do tego celu używanego przedstawione jest na rycinie.

Bezpośrednio przy samej stajni zbuduje się *zbiornik* na gnojówkę względnie gnojownicę. Najlepiej jest budować go kształtu prostokątnego o objętości 2—3 m^3 na jedną sztukę bydła. Duża objętość zbiornika jest konieczna ze względu na produkowanie w czasie lata *gnojownicy*, t. j. mieszaniny płynnych i stałych odchodów zwierzęcych bez ściółki a w pomieszaniu z wodą. W lecie od maja do lipca obornika nam nie potrzeba, bo go użyć nie możemy, natomiast potrzeba nam dużo nawozu płynego gnojownicy, którą w podany sposób przygotowujemy. Stosując latem nawożenie gnojownicą podnosimy produkcję paszy, a mając jej pod dostatkiem, wyprodukujemy w pozostałych miesiącach dosyć a nawet więcej obornika niż dotychczas. Zbiornik musi być z wierzchu nakryty silnymi dylami lub płytą zelazobetonową.

Bezpośrednio do zbiornika na gnojownicę przylega gnojowisko, t. j. miejsce dla składania stałego nawozu. Wielkość gnojowiska wynosić ma na 1 sztukę bydła 3 m^2, na konia 2½ m^2, na świnię 1 m^2. Gnojowisko budujemy 40—50 cm pod powierzchnią terenu (zbiornik na gnojownicę zagłębiony jest 1½—2 m), a ponad teren, otoczony murem, również około ½ m wysokości. O ile gnojowisko jest duże budujemy wjazd lub też przejazd dla łatwiejszego ładowania gnoju na wozy.

Przy wzorowej gnojowni powinniśmy też wybudować obok gnojowiska jeszcze jeden mały zbiorniczek na tak zw. *wodę gnojową*. Doświadczenia wykazały, że nie dobrze jest, gdy ciecz spływająca z gnoju łączy się z gnojówką, która wtedy łatwo się rozkłada i ulatnia się z niej cenny składnik azot. Lepiej więc wybudować jeszcze jeden mały zbiorniczek, a ustrzec się od tych strat.

Beton, z którego budujemy gnojownię powinien być odpowiednio przygotowany, a składniki ściśle dobrane, aby był mocny i gnojówka go nie nadgryzała. O czysty piasek lub żwir nie jest zazwyczaj trudno, zatem zrobić dobry beton nie przedstawia większych trudności. Za najwłaściwszą mieszaninę dla budowy ścian gnojowni uchodzi 1:2:4, t. j. 1 część cementu, 2 części piasku, 4 części żwiru lub tłucznia (tłuczonego

kamienia). Ściany gnojowni powinny być grube na 20—30 cm, przy czym należy je ubijać za oszalowaniem z desek podpartych ryglami. Ściany należy po ich stwardnieniu wyprawić mieszaniną cementu „sikkofiks“ i piasku w stosunku 1:2.

Przy urządzeniu gnojowni należy też całkowicie nieprzepuszczalnie urządzić wnętrze stajni z kanałkami prostokątnymi, bo praktyka wykazała, że takie są wygodniejsze. Stanowiska dla zwierząt winny być krótkie 1.50—2.00 m, gdyż, jak się przekonano, na takich łatwiej jest utrzymać czystość wśród zwierząt i produkować latem gnojownicę. Stanowiska muszą mieć lekkie nachylenie do tyłu a kanaliki spad, aby mocz zwierząt szybko spływał do zbiornika.

Przechowywany obornik należy układać i ubijać aby zachowywał stale mierną wilgoć, w porze suchej zlewać wodą. Celem zabezpieczenia obornika przed wysuszającymi promieniami słońca dobrze jest posadzić obok gnojowni kilka drzew rzucających duży cień, np. lipy, kasztany i t. p.

Rolnicy drogiego Podhala! Chcecie poprawy swych gospodarstw i polepszenia swego bytu *budujcie gnojownie.* Gdy we wsiach waszych będą przy każdym gospodarstwie gnojownie zyska na tem nie tylko wasz dobrobyt, ale podniesie się również tak zaniedbana higiena i etyczny wygląd wsi, które rozwiną się w pierwszorzędne letniska. Dużo trudności życia, na które dziś narzekamy i które nas gniotą znikną gdy nauczymy się szanować i dobrze przechowywać obornik i gnojówkę, te najlepsze z najlepszych nawozów.

Gospodarstwo rolne w górach

Rolnicy w górach chcąc osiągnąć w swych gospodarstwach dochód nie mogą naśladować rolników z nizin, którzy uprawiają stosunkowo duże ilości zboża. Tutaj, podobnie jak wszędzie w górach, nie opłaca się uprawa zboża na większą skalę, bo tak gleba jak i klimat nie sprzyjają wydaniu przez zboże wyższych plonów.

Że tak jest to przekonywują nas o tym coroczne obserwacje rolników oraz porównywanie wysokości plonów uzyskiwanych na nizinach i w górach. Gdy np. plony owsa w Poznańskim, na Pomorzu lub koło Krakowa wahają się na 1 hektarze (ok. 2 morgi) około 20—25 q ziarna, to w górach plony te wynoszą średnio od 6—8 q. A ileż to razy sieje się w górach zboże i zaledwie „brat brata wyda“, a całym wynagrodzeniem rolnika za jego trudy i wkłady, to garstka słomy na paszę dla bydła lub podściół. Gdzież tu mówić o dochodzie, o zapłaceniu podatków z ziemi, należytym ubraniu się i życiu rolnika?

Jakżeż ma więc rolnik na naszym kochanym Podhalu gospodarować i co uprawiać, aby mieć dochód ze swej znojnej pracy? Spośród wszystkich roślin uprawnych najwyższe plony, dorównujące tymże na nizinach a czasem nawet je przenosząc, wydają tutaj rośliny pastewne zwłaszcza koniczyny oraz trawy, następnie ziemniaki, buraki, len oraz niektóre warzywa. Chcąc postępować zgodnie z prawami natury, ułożonymi przez Stwórcę, musi więc rolnik tak swoje gospodarstwo zorganizować, by pod te rośliny poświęcić większy obszar, zaś inne płody, mające gorsze warunki plonowania, np. zboże, ograniczyć i przeznaczyć pod nie tylko pola lepsze, na których mogą wydać dobre plony. Fakt ten jest tym ważniejszy, że zmniejszenie obszaru pod zbożami nie wpłynie na obniżenie ilości ziarna uzyskiwanego w gospodarstwie, bo gdy zboże zasiejemy na roli dobrze uprawionej i wynawożonej, to nawet na mniejszym obszarze uzyskamy te same lub nawet lepsze rezultaty co poprzednio. Wszak każdy wie o tym, że gdy jeden rolnik zasieje na jałowej ziemi, np. ½ ha owsem a drugi tylko ¼ ha, ale na glebie dobrze uprawionej i wynawożonej, to b. często ten drugi rolnik, który mniejszy obszar zasiał zbierze większe plony niż ten pierwszy. A ileż to na Podhalu widzimy pól zwłaszcza wyżej położonych z takim marnym zbożem, że aż żal patrzeć.

Dostosowanie rolnictwa do warunków przyrodniczych wskazuje, że *gospodarstwa muszą mieć kierunek hodowlany oparty na produkcji paszy.* Tak też jest, bo na dochód gospodarstwa na naszym Podhalu składa

się wyłącznie sprzedaż produktów zwierzęcych jak mleka, masła, sera, jaj, przychowku, a zboże uprawiane jest wyłącznie na własne potrzeby. Skoro tak jest, to rolnicy na Podhalu, podobnie jak we wszystkich naszych okolicach górskich, muszą starać się, aby hodowla naprawdę dała im dochód i była racjonalnie prowadzona. Do tego potrzebne jest przede wszystkim podniesienie produkcji paszy, aby hodowane zwierzęta były dostatecznie przez cały rok żywione.

Celem podniesienia produkcji paszy, która ma tak dobre widoki udawania się, muszą rolnicy odpowiednio zmienić swe *płodozmiany*. Najważniejsza zmiana polegać tu przede wszystkim będzie na rozszerzeniu pola z koniczyną i przedłużenia jej trwałości. — Obecnie rolnicy stosują zazwyczaj następujący płodozmian:

1) ziemniaki (na oborniku),
2) owies,
3) owies z wsiewką koniczyny,
4) koniczyna,
5) koniczyna z trawą,
6) owies lub żyto, o ile się ono udaje,
7) owies.

Zmiana, którą rolnikom stanowczo zalecam polega przede wszystkim na tym, że owies z wsiewką koniczyny zastosujemy od razu w 2-gim roku płodozmianiu, przy czym obok siewu koniczyny czerwonej i stosowanej tu i ówdzie tymotki dodamy jeszcze cokolwiek koniczyny szwedzkiej, rajgrasu angielskiego i ew. kupkówki. Tak złożona mieszanka koniczyn z trawami trwać będzie 3—4 lat, znakomicie powiększy nam obszar pod roślinami pastewnymi przez co przyspoży nam karmy dla zwierząt i umożliwi racjonalną hodowlę. Poprawmy płodozmian, który powinny u siebie wszystkie gospodarstwa na Podhalu wprowadzić jest następujący:

1 rok ziemniaki (na oborniku), też buraki pastewne;

2 rok owies — zasilony supertomasyną z wsiewką koniczyny z trawami;

3 rok koniczyna z trawami;

4 rok koniczyna z trawami;

5 rok koniczyna z trawami;

6 ew. koniczyna z trawami lub żyto ew. owies;

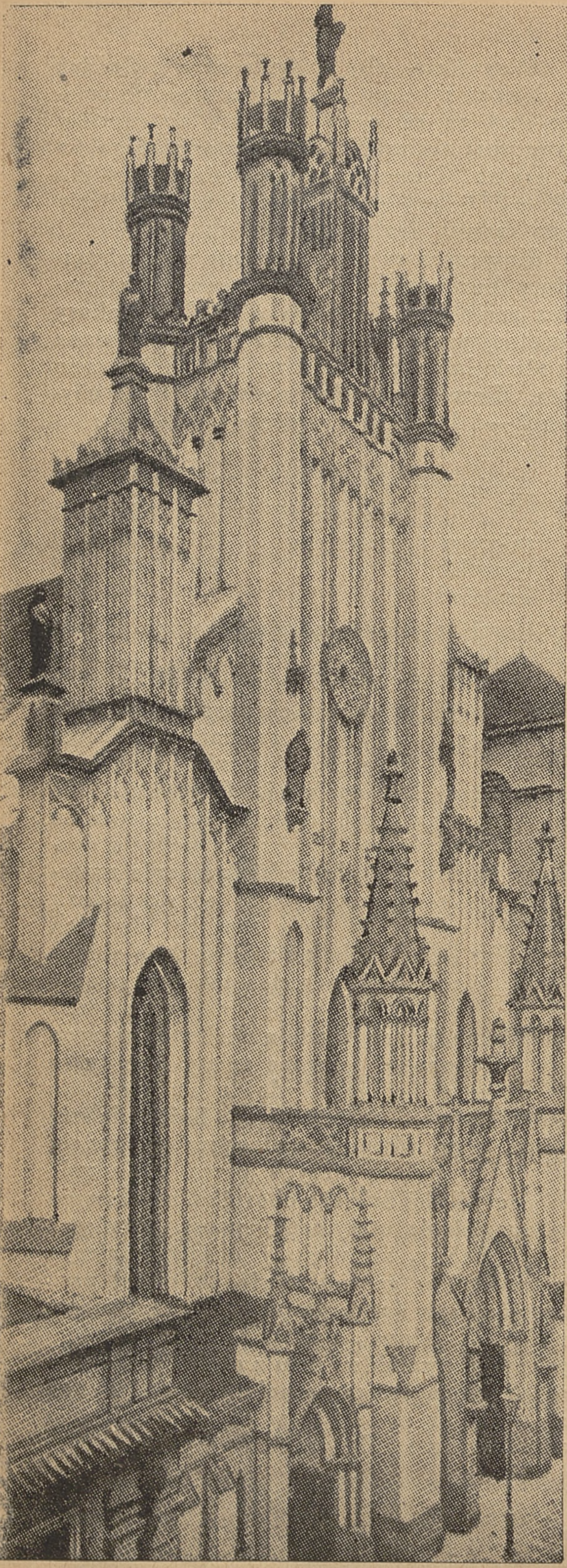
7 owies z dodatkiem azotniaku.

Oczywiście, aby owies można było już w drugim roku po oborniku zasiać nie można siać go za gęsto (tak jak to niestety zazwyczaj się robi) — trzeba wysiać go na 1 hektar (2 morgi) rzutowo nie więcej jak 200—220 kg — napewno i tak wyrośnie i to ładny.

Koniczyna czerwona zasiana w pomięszaniu z koniczyną szwedzką, tymotkę, rajgrasem angielskim i kupkówką da duże pokosy świetnej paszy do żywienia w postaci siana w zimie lub skarmianiu na zielono w czasie lata. Mieszankę koniczyn z trawami na użytek 3—4 lat możemy różnie ułożyć np.:

	w kilogramach:		
Koniczyny czerwonej	11.5	8.5	12.0
„ szwedzkiej	7.0	4.5	3.0
rajgrasu angielskiego	5.5	8.0	10.0
tymotki	2.5	5.0	4.0
kupkówki	—	5.0	4.0

Ilości te podane są na 1 hektar. O ile chcielibyśmy zasianą mieszankę koniczyn z trawami użytkować jako pastwisko, musimy złożyć ją cokolwiek inaczej np. dać: koniczyny białej 10 kg, rajgrasu angielskiego 15 kg. O trwałość mieszanki przez 3—4 lat możemy być spokojni. Oczywiście nie możemy zapominać o tem, że mieszanka taka najpóźniej po pierwszym pokosie drugiego roku wymagała będzie zasilenia nawozami (najlepiej gnojownicą) co się jednak sowicie opłaci, bo poza tym bez żadnych wkładów będzie rolnik posiadał duże zbiory paszy, na której przecież tak mu zależeć musi. Prowadzenie gospodarki w opisany sposób ma, jak się w wielu okolicach naszych gór przekonano, ogromne zalety. Nie tylko tą drogą podnosimy hodowlę zwierząt, dla której mamy wystarczające ilości dalszej paszy, lecz również podnosimy pośrednio plony na polach ornych przez posiadanie większej ilości dobrego obornika, uzyskanego ze skarmienia otrzymanej paszy. Pamiętać także należy, że większy obszar koniczyn z trawami w gospodarstwie, to mniej prac sprzężajnych (orki, bronowań) i trzymanie gleby zadarnionej, a przez to zabezpieczanie jej przed wypłukiwaniem z części najżyźniejszych, co zwłaszcza na polach pochyłych, na stokach gór może być w okresach deszczowych znaczne i dla rolnika przykre.



Sad

Był sad.
Drzewa owocowe, zasadzone w rzędy
Ocieniały szerokie pole; spodem grzędy.
Tu kapusta, sędziwe schylając łysiny,
Siedzi i zda się dumać o losach jarzyny:
Tam, plącząc strąki w marchwi zielone
[warkoczu,
Wysmukły bób obraca na nią tysiąc oczu;
Ówdzie podnosi złotą kitę kukuruza,
Gdzie niegdzie otyłego widać brzuch harbuza
Który od swej łodygi aż w daleką stronę
Wtoczył się, jak gość między buraki czerwone

Grzędy rozcięte międzą. Na każdym przykopi
Stoją jakby na straży w szeregach konopie —
Cyprysy jarzyn, ciche, proste i zielone;
Ich liście i woń służą grzędom za obronę,
Bo przez ich liście nie śmie przecisnąć si
[żmija,
A ich woń gąsienice i owad zabija.
Dalej maków białawe górują badyle;
Na nich myślisz, iż rojem usiadły motyle,
Trzepocząc skrzydełkami, na których si
[mieni
Z rozmaitością tęczy blask drogich kamien
Tylą farb żywych, różnych mak źrenicę mami
W środku kwiatów, jak pełnia pomiędz
[gwiazdami,
Krągły słonecznik, licem wielkim, gorejącer
Od wschodu do zachodu kręci się za słońcem

A. Mickiewicz.

Czytelniku,

Jeśli podoba ci się ten kalendarz, to polc zakupić go innym.

Jeśli widzisz w nim błędy, powiedz nan a będziemy ci wdzięczni i postaramy si poprawić!

* * *

Pamiętaj jeszcze, że apostolstwo dobrej książki jest apc stolstwem katolickim i narodowym.

Obok przepiękna katedra św. Jana w Warszawie.

TROCHĘ CYFR Z MAŁEGO ROCZNIKA STATYSTYCZNEGO ZA ROK 1937.

Miasta w Polsce w 1937 r.

Warszawa	1,232.000
Łódź	653.000
Lwów	317.000
Poznań	265.000
Kraków	242.000
Wilno	208.000
Częstochowa	132.000
Bydgoszcz	133.000
Sosnowiec	133.000
Lublin	121.000
Chorzów	116.000
Gdynia	101.000

Polska w cyfrach.

Długość granic — 5.529 klm.
Powierzchnia — 388.600 klm. kw.
Liczba powiatów — 264
Liczba miast — 603
Liczba gmin wiejskich — 3.133
Gęstość zaludnienia — 83 na 1 klm. kw.
Ludność (1931 r.) — 32,107.300
Rzymsko-katolików — 20,827.000
Grecko-katolików — 3,362.000
Prawosławnych — 3,387.000
Mojżeszowego wyznania — 3,137.000
Ewangelików — 842.000
Inne wyznania — 152.000

Udział żydów w przemyśle

Jan Kasprowicz opowiadał mi, że w pewnym okresie swego życia, a mianowicie zaraz po przyjeździe do Galicji, był członkiem „Czytelni Naukowej", gdzie zbierała się radykalna inteligencja, między innymi socjaliści, a wśród nich poseł Diamand. Gdy razu jednego rozpoczęła się dyskusja w kwestji żydowskiej i ktoś z obecnych powiedział, że żydzi, będący u nas, winni przyjąć nasz język, wówczas Diamand odpowiedział: „policzmy wszystkie domy, należące do was i do żydów, policzmy sklepy i fabryki oraz kapitały w bankach, a wówczas zabaczymy, czy wy u nas, czy my u was".

Kasprowicz mówił mi, że te słowa zraziły go do socjalistów i radykałów żydów. Poseł Herman Diamand nie należał ani do nacjonalistów żydowskich, ani do sjonistów. Sjonizm zwalczał całe życie, popierał dążności niepodległościowe Polski całkiem szczerze, lecz jego namiętna natura posiadała albrzymi podkład przywiązania do żydostwa i nie uświadamiał on nawet sobie, iż jest dumny z potęgi materialnej żydów.

W jednym mieście, podczas dyskusji w radzie miejskie w sprawie kredytów na cele żydowskie, jeden z radnych żydowskich podniecony dyskusją, zawołał: „nasze kamienice, a wasze ulice". Tak, olbrzymia większość kamienic w całym byłym zaborze rosyjskim i austriackim należy do żydów. Gdybyśmy,



według życzenia, wypowiedzianego przez Diamanda, policzyli domy, sklepy, fabryki i kapitały żydowskie w Polsce, to prawdopodobnie okazałoby się, że przewaga materialna jest po stronie żydowskiej. Jedyną przeciwwagą była wielka własność ziemska, w której uczestnictwo żydów nie jest jeszcze znaczne. Lecz reforma agrarna i kryzys rolniczy, z całym nastawieniem naszej polityki gospodarczej i społecznej w odrodzonym Państwie Polskiem, dziesiątkowały wielką własność ziemską. Widzieliśmy, że żydzi mają przewagę liczebną w handlu. Jeżeli zaś uświadomimy sobie, że handel hurtowy, o ile nie jest prowadzony przez związki, znajduje się w rękach żydowskich, to możemy przyjąć, że przeszło ¾ handlu jest w posiadaniu żydów. Handel towarowy akumulując kapitały przeobraża znaczną część ich w kapitał przemysłowy. Stąd znaczna część przemysłu znajduje się w rękach żydowskich. Przed wojną przemysł, związany z rolnictwem, powstały z renty gruntowej, był przeważnie polski; po zdziesiątkowaniu wielkiej własności wychodzi on z rąk polskich do żydowskich. W rezultacie kierownictwo produkcją narodową przechodzi w ręce żydowskie. Żydzi zdobywają przewagę w warstwie zwierzchniej i decydować będą o naszej kulturze, literaturze, nauce. Wyszliśmy z jarzma rosyjskiego, wchodzimy pod panowanie żydowskie.

W. Studnicki („Sprawa polsko-żydowska").

Wilkowa wdzięczność

(Opowiadanie góralskie ze Spisza w gwarze, jaką tamtejszy lud mówi).

Jantek Jadamiok, ten, co to mioł Tereske od Pacygów za babe...

— Tako ohyda, co sie nimogła bez dźwierze do kumory zmieścić, a w kościele kied zaśpiewała, to sie chorągwie trzęsły, a nieboscyk ksiądz Haber, to sie lem od ontorza obzierali. — ozwoł się któryś ze starych chłopów.

— Tota, tota — potwierdziół ujek — ale słuchojcie dali. Ten Jadamiok seł roz z Rakus du domu. W Rakusak mioł kumotre. Odkozała mu, ze ji chybło wełny i cy by jej nie pozycół z worecek. Jantek odniósł ji godny worek i wracoł do Zoru. Palica w ręce, kapelus na uchu — bo mu kumotra dała kondek cegosik przełknąć — prózny worek pod pazuchom. Idzie.

Kied skręciół od Sarpańca ku Kotlinom, słysy — dziesik w lesie strzylajom. Myśli se:

— Iście bedzie dziesik polówka; moze Bielanie polujom.

Rusół wartko naprzód i lem sie migło, juz był przy Śmierdzącej młace.

Naroz — hip, bez przykope. Dzie sie wzion — tu sie wzion, stoi przed nim z wywiesonym ozorem zziajany wilk. Okrutno herezyjo, jesce takiego nie widzioł. Zląk sie chłop, jak sie patrzy, nogi sie pod nim zatrzęsły i nie dziwota.

A wilk pilno do niego:

— Nie bój sie, nic ci nie ublizym, ale ratuj mie. Okrutno śryda jogrów idzie za mnom, zastrzelom mie. Mój ślicny, mój piykny, lem mie pilno ratuj! Uwidzis, jak ci sie za to odsłuzym.

— Dobrze godać, ratuj, ale jak? — pyto sie Jantek.

Iście ciężko było nojść sposób. Ale Jantkowi sie luto zrobiło wilka. Śmierci sie przecie kozdy boji. Jaz naroz zbocół, ze mo prózny worek, i nie wiele myślęcy go nadstawio i „wlazuj" — pado — przeniesym sie, niwto nie pobocy, co niesym. Potym cie puscym.

Wilk sie wielo nie wagowoł. Wloz. Jantek go wzion na plecy i idzie. Cienzko była wereda [1]), ale równo siedziała, nie rusała sie, to sie dało nieść.

Useł ze trzy stajania i tam, dzie cysarka skręco ku Kotlinom, spotkoł w lesie po obu stronak drogi całom śryde jogrów. Bielanie i jakiesik cudze panowie. Śli syrokom liniom, kozdy mo flinte w gorści. Pozdrówkoł tych przy skraju i idzie i idzie. Wilk ani nie zipnie ze strachu.

Doseł do Kotlin, ale sie juz mocnie zagrzoł i pado wilkowi:

[1]) potwór, stwora.



Ilustracja przedstawia wielkiego myśliciela św. Augustyna.

Rozmyślał on nad tajemnicą Trójcy św., ale nie mógł dojść do całkowitego zrozumienia jej głębin. Idącemu raz nad brzegiem morza ukazało się dziecko przelewające wodę z oceanu w dołki wykopane w piasku. Św. Augustyn zdziwiony, zapytuje się, poco to robi. Dziecko odpowiedziało, że chce przelać ocean. Żachnął się Święty, że to niemożliwe. Na to dziecko: „Tak niemożliwe, jak i zbadanie do cna tajemnicy Trójcy św.“. Po czym dziecko miało zniknąć.

— Juz my w Kotlinak. Tu cie bechnym, boś cienzki, jak nas orsacki [2]). Ale wilk nie, coby go choć lem bez Kotliny jesce przeniós.

Jantkowi sie juz nogi poceny przegibać i plątać, ale niesie.

— Wilk sie ślubiół odsłuzyć, to sie opłaci — pomyśloł.

Za Kotlinami, na brzyzku — juz nimóg dali — bechnół wilkiem o ziym.

— Tu cie porazi z wilkiem. Takoś bestyjo cienzko. — i ociero se pot rękowem.

Wilk za ten cos wyseł z worka, przeciągnół sie, strzepnół kudłami i ozdar kufe [3]) do śmiechu:

— Toś ty chłopie uwierzół, ze jo ci sie odsłuzym dobrym za dobre? Ha, ha, ha. Jo cie zjym — i juz ukazuje ostre zembiska.

Jantka strach przeseł, ale i złoś chyciła. Odskocół od wilka, ścisnół mocni palice w gorści i ozkrzycoł sie:

To tak? Jo ci zywot uratował i natropiół sie z tobom, a ty tak weredo zatracono, zazryć mie fces? To tako twoja wdzięcność?

A wilk na to:

— Iii ty głupi. To nie wiys, ze dziś sie niwto na świecie nie odsługuje dobrym za dobre, ale złem? Jo cie musym zjeść, od tego jek przecie wilk. Ale pockoj, zrobimy próbe. Jak mie do trzeciego razu przeświacys, ze tak nie jest, to ci dom pokój. Jak sie dokoze moja prowda, to cie zjym!... Pódźmy, uwidzimy!

Idom. Jantek by rod i uciók, bo tez ta nie bars wierzy we wdzięczność na świecie, ale wilk daje na niego dobry poziór. Prześli piykny fałat [4]) drogi, piyknie we zgodzie i nic. Jak tak idom dali, wilcysko lem roz zjezy sierść, zawyrcy i hip w smreki przy drodze. Cosik zaskucało doraz zołośnie tak, jakby pies jaki. Wocymgnieniu wilk wywlók ze smrecków psa. Ale Boze, co za biedota. Chudy, styrany — jaz luto było patrzeć. A ze strachu to sie lem tak trząs biydok.

— Co tu robis w smreckak? — pyto sie wilk psiska.

Pies sie lem trzęsie i trzęsie.

— Odpowiadoj, kie sie cie pytom! — wrzaśnie wilk.

Przysiadło psisko na ogon od strachu i pocyno sie cicho skarzyć, jak go gazda morzół na staroś, co juz nimóc było wytrzymać; małowielo prasnół do mnie i skałom. Tako ludzko wdzięcność.

— Wiis, tu mos jeden przykłod — godo wilk — ale podź dali.

Zochabili psa i pośli.

Jantkowi sie mrocno zrobiło w sercu. Zol mu było psa, ale i staroś o siebie pocyna go gnieść. Co śnim bedzie, kied tak doli pódzie. Obiecowoł se, ze zodnemu zwierzęciu nie ublizy wiency, jak sie wyratuje.

Ale wilk mu ozkurzół myślenie, bo powiado:

— Przegros, biedoku, przegros. Patrz, tu mos doraz drugi przykłod.

Poźroł Jantek, dzie mu wilcysko ukazuje i widzi: na łące przy wodzie pasie sie jakosik końsko śmierść. Samo skóra naciągniona na kościak. Podeśli blizy. Kobylsko ik pobocyło, ale sie ani nie rusy. Nimoze. A potem śmierść sie śmierści nie boi. Kied stanęli z wilkiem całkiem blizko, końsko rusyło ogonem, ale lem tak, byle zbyć, narównało grzbiet — taki, coby nim móg drzewo rzezać — potem poźrało ku nim kaprawym okiem i nic. Pasie sie dali. Wilka to pogniywało, ze tak za nic nimo jego persune Jak skocy i zabrese:

— A cóześ tako honorno, co ani nie pozdrówkos, kie mie widzis? Patrz, co ci ten zaparsywiony kozuch nie ozedrym, jaz ci sie ś niego kości wysujom. Widzis jom, jako mi pani!

Kobylsko z biydom dźwigło odartom syje z okrutnom bułom na garle. Buła zacyna skokać to do góry, to na dół, a dopierz potem dziesik z brzucha wyseł głos :

— Iii, dej pokój. Nie zalecoj sie do mnie — nie skoro. Idź swojom drógom a mnie zochob sie paść. Niech chódź kielo — telo poskubiym. Jak wypiykniejem, potem przydź w zaloty. Mos casu dość.

Wilk sie ulitowoł nad tom kupom kości i pyto sie jus inksym głosem:

— No to juz lem przeboc, kied jek cie uraziół, ale wtos cie tys tak urządziół, biydoku?

— A ktozby, kied nie gazda — odpowiado szkapsko. Kieby jeś ty widzioł, kielo jo mu długik drzew wywlekła z Lendackiego, z Gęsiej syje, albo i z Ruskiego; skoda godać. Telo kubików byś nie porachowoł, choć jeś pono mądry, jak kozdy wilk. Haj! Wiz, te bułe na garle mom od chomąta. Kie jek

---

[2]) starosta.
[3]) pysk, paszczę.
[4]) kawał.

była młodo i mocno, to ta było sytkiego doś. I owsa i siana. Teroz, kie jek słabo na staroś, to zdychoj z głodu. Nie dostanies nic. Kieby choć lem śmierść fciała przyść i zabrać, ale i to nie. Fcioł mie wcora cyganom gazda przedać, pytoł seś korun. Ale hej. ośmioli go i poszli. Gazda sie ozgniywoł, dół mi pore kłonicom cy cymsi i wygnoł won. Teros mi jus przydzie skapnąć.

Łzy pocyny kapać biydnemu końsku z kaprawego oka.

Wilk warknął:

— Podźmy! Wiis, tako waso ludzko wdzięcność i lutość nad zwierzęciem. Jo wilk, a luto mi, człekowi nie luto. Wyhasnuje i wygno. Jo cie tys nie bedym lutowoł. Jesce ci jeden przykłod ukozym, a potem jeś mój. Zjym cie!

I ukozoł strasne zębiska we śmiechu. Potem pocął hipkać z radości i wywijać ogonem z ukontentowanio. A Jantek nimóg słowa przegodać ze strachu. Zimne mrówki pocyny mu gonić po plecak, a w głowie jaz hucało od wseliniejakik myślenek.

— Doł jek se z tym wilkiem — myśłoł — ale ftoby sie był spodzioł, ze tak źle na świecie i nimo nijakiej sprawiedliwości i wdzięcności. Boze, kieby sie lem jaki ratunek naseł, kieby sie naseł! Już nie bedym świekrze na despet robiół ani jom biół... Bekiesowi tyz wrócym tych trzysto korun, co my sie o nie prawocili i jo wygroł, choć jek mu w skutku był dłuzny i on mioł prowde... Za tego Liptoka, co my sie to przedłoni pobili na Widomym kosorze i on potem niedługo umar, na Omsom świętom dom!...

Kied tak w dusy lamentuje i śluby cyni, cosik zasuściało w krzokach i miendzy jałowcami, na brzysku, ponad drogą ukozała sie liska. Nie było casu sie cofnąć — stanęła. Zlękła sie godnie wilka, ale widzi, ze idzie z człekiem i nic mu nie robi, to iście i iej sie nic ni moze stoć.

Przyodzioła gębe w uśmiech — zwycajnie jak to liska — pozdrówkała piyrso i pocyna piykne słówka godać:

— Dzies tez Pon Bóg prowadzi? Jak wom to piyknie! Tak se dwa idom, jak powy.

Ale pobocyła, ze Jantek okrutnie cosik markotny i doraz obróciła:

— A coz wom to gazdo, coście taki stropiony na gembie? Powiedzcie, moze co poradzimy...

— Ee, mało ty ta poradzis, choć jeś ta i liska — pedziało sie Jantkowi.

Ale liska:

— Lem powiedzcie, uwidzymy.

Jantek sytko opowiedzioł: Jak wilkowi uratowoł zywot, jak go schowoł do worka i przeniós — a wilk miasto sie dobrym



Modlitwa wieczorna przy figurze. *Mal. Andrioli.*

odsłuzyć, fce go zieść, bo sie teroz niwto dobrym za dobre, ale złym odsługuje. Juz mu wilk to dwa razy dokozoł na psie i kobyle. Jesce roz mu dokoze, to go potem zje.

Liska popatrzyła chytrze, a potem sie zacyna cudować:

— Jak wyście mogli takiego okrutnego wilka we worku przenieść? Dy on sie wom ani nimóg zmieścić do takiego małego worka. To nieprowda! Nie wierzym i nie wierzym.

Ale gazda, ze hej i hej. I pocyni sie zbywać. Liska swoje, a gazda swoje. Jaz to nagniywało wilka i pado:

— Liska wse fce być mądro a wse plecie do światu. Wera ze mie gązda przeniósł w tym worku!

Ale liska nie i nie dać sie przegodać; wse swoje:

— Nie wierzym, godojcie, co fcecie. Cheba, ze sie na włosne ocy przeświacym. — Wilk sie juz ospajedzioł doprowdy i godo gazdowi:

— Dej worek, wlazym, niek widzi i nie brese telo, ze mie juz złoś biere.

Chłop nastawiół worek a wilk wloz, lem mu jeszce głowa styrcała won.

— Wiis, ześ sie nie zmieściół! Głowe ci widno! Nie prowda! — woło liska.

— Zeby cie poraziło z liskom! — krzyknół wilk i schowoł sie i z głowom do worka.

Liska pilno pocichu do chłopa:

— Zawiąz worek!

Jantek zawiązoł, bo juz miarkowoł, co liska fce.

— Ha, ha, ha, — śmieje sie liska na całe gardło — wloześ? To piyknie! Teroz wierzym, ze cie gazda przeniós! Ale ty zbóju łakomy nie zezres go juz i nikogo wiyncy. A teroz dostanies zapłacone za twojom wdzięcność! I liska sie na cosik przydo na świecie. Bier gazdo kij i bij! Bij! — i zabij!



Progów naszej Ojczyzny strzeże żołnierz polski. Cześć mu!

Kronika Orawy i Spisza z r. 1937.

Zacznijmy *od Jabłonki*. Ku wielkiej radości nie tylko Jabłonczan, ale całej Orawy, odnowiono nareszcie kościół w Jabłonce. Zdjęto popękane sklepienie i wstawiono nowe sklepienie z drzewa i desek w stylu ostrołukowym. Kościół zyskał na tym wiele. Pytanie tylko, czy ta przebudowa będzie trwała? Kościół w Jabłonce upiększył się wprost do niepoznania. Dzięki gorliwym zabiegom ks. proboszcza Łyska wstawiono już dwa piękne okna z obrazami malowanymi, t. zw. witraże. Zgłaszają się już ofiarodawcy dwóch nowych okien z obrazami Matki Boskiej Częstochowskiej i Ostrobramskiej. Ze starej zakrystii ma być zrobiona kaplica Męki Pańskiej, a nową zakrystię mają zbudować od strony północnej.

Mówiąc o kościołach, należy wspomnieć o bardzo pięknym wymalowaniu kościoła *w Lipnicy Wielkiej* według artystycznych wskazówek p. Kazimierza Puchały. Wybudowano nareszcie nową plebanię w Lipnicy Wielkiej, piękny piętrowy dom. Dawna fara będzie zburzona. Warto wspomnieć o ślicznym nagrobku ś. p. Marii Machayowej, wykonanym z polskiego, wołyńskiego granitu i ozdobionym przepiękną, bronzową rzeźbą Matki Najświętszej dłuta Karola Hukana. Na grobie ś. p. Piotra Borowego stanął potężny krzyż.



Młodzież w Chyżnem na Orawie z ks. A. Zarembą.

W Lipnicy Małej w 1937 roku nie pracowali przy *dalszej budowie kościoła.* Po wytchnieniu i zebraniu nowych ofiar pieniężnych, wiosną 1938, dzielni małolipniczanie zabiorą się do wykończenia swojego ukochanego kościoła.

Nową szkołę postawiono w Kiczorach (Lipnica Wielka), w Jabłonce zaś rozpoczęto budowę wielkiej, 7-klasowej szkoły ku uczczeniu pamięci pułkownika Masnego, urodzonego w Barwałdzie koło Wadowic. Szkoła siedmioklasowa w Jabłonce już istnieje, ale rozrzucona w kilku miejscach i budynkach. W r. 1938 mają budować szkoły w Podszklu i w Podsarniu, gdzie budynki szkolne są zupełnie zbutwiałe.

Do Orawki mają się sprowadzić *SS. Serafitki*, by objąć opiekę nad sierotami, starcami opuszczonymi, i by kształcić młodzież żeńską w prowadzeniu gospodarstwa domowego dla coraz liczniejszych letników. Życzymy ks. kanonikowi Jabłońskiemu, by to bardzo potrzebne dzieło jak najrychlej uruchomił. Szlachetną ofiarodawczynią na ten zbożny cel jest pewna obywatelka z Orawki, w Ameryce zarabiająca.

Jednym z najważniejszych wydarzeń na Orawie jest niewątpliwie *droga*, której budowę rozpoczęto w r. 1937 przez Krowiarki nad Zubrzycą, i która ma połączyć Katowice z Zakopanem przez Żywiec, Zawoję, Zubrzycę, Jabłonkę, Czarny Dunajec, Witów. Podbabiogórze orawskie uzyska przez tę drogę doskonałe połączenie ze „światem".

Droga ta ma być wykonana jako pierwszorzędna a u t o s t r a d a. Z Zubrzycy pod Babią Górą ma być zrobiona odnoga do obu Lipnic, i w ten sposób z całego Podbabiogórza, słonecznego i południowego, powstałoby wspaniałe uzdrowisko. „Związek Górali Spisza i Orawy" powinien się już teraz zająć opracowaniem planu tego uzdrowiska.

Drugim bardzo wielkim wydarzeniem na Orawie jest *osuszanie t. zw. „puścizny" oraz „borów"*. Praca, którą inż. Czerwiński dotychczas wykonał, otwarła dla obywateli Jabłonki nigdy niespodziewane warunki bytu. Dotąd przywożono z borów trochę jafernika i mietlicy na ściółkę do stajni, a tylko na małych skrawkach pasło się bydło albo siano owies. Po osuszeniu częściowym oka-

zało się, że w puściźnie i w borach można będzie doskonale gospodarzyć. Za kilka lat— jeżeli osuszenie wykonane będzie w dotychczasowym biegu — powstanie Nowa Jabłonka, osobna gmina z własnym kościołem i szkołami.

Z wybitniejszych orawiaków zmarli w r. 1937: Jan Marmuła-Tomcsányi z Piekielnika, emer. inspektor szkolny, radca ministerialny w Budapeszcie. W Jabłonce zmarł Ignacy Sandrzyk, gospodarz, który w marcu 1919 miał odwagę pójść w towarzystwie ś. p. Borowego, Halczyna i ks. Ferdynanda Machaya do misji ambasadora Noulens'a w Poznaniu i prosić o przyłączenie Orawy i Spisza do Polski. W Podbielu (ČSR) zmarł ś. p. ks. Jan Schelling, długoletni proboszcz w Podwilku, a w Budapeszcie zmarł jabłonczanin, ks. Andrzej Kobylak, kapłan diecezji jagerskiej na Węgrzech, proboszcz w Ujhuta, niedaleko Budapesztu. Po przyłączeniu nas do Polski ś. p. ks. Hondras pracował przez dwa lata w Podwilku. Był to ksiądz o wielkich zdolnościach i wielkiej szczerości oraz pracy. Niech Pan Bóg będzie dla wszystkich nagrodą za ich pracę, i niech im da spokój słodki!

Na *Szpiszu* nie ma takiego ośrodka, jak Jabłonka, do której ciągną wszystkie drogi z wiosek orawskich. Są tam właściwie trzy grupy wiosek: I. Niedzieca z Falsztynem, Kacwin, Łapsze Niżne i Wyżne, Łapszanka. Administracyjnie do tej grupy jest przyłączony i Trybsz, ale geograficznie raczej ciąży do II. grupy: Jurgów, Rzepiska, Czarna Góra. III. grupę tworzą: Frydman, Krempachy, Dursztyn i Nowa Biała.

Dzięki temu położeniu geograficznemu, wioski spiskie są włączone do trzech gmin, co się powinno korzystnie odbić na uczuciowym zrastaniu się z całością Rzeczypospolitej.

Z wydarzeń spiskich na pierwszym miejscu należy wspomnieć *scalanie gruntów*, czyli t. zw. komasację w Łapszach Niżnich. Mieszkańcom Łapsz należy się szczere podziękowanie za obywatelskie zrozumienie scalenia gruntów, które im przysporzy dużo ziemi i umożliwi wydatniejszą oraz wygodniejszą gospodarkę. Komasacja obok osuszania gruntów, krytych gnojowni i t. p. jest jednym z głównych środków podniesienia dobrobytu na wsi.

Na terenie Łapsz Niżnich rozpoczęto *parcelację dóbr Salamonowskich*. Parcele kupują przeważnie łapszanie.

Pisząc o sprawach gospodarczych z radością trzeba powitać *stworzenie serowarni w Dursztynie*. P. starosta Głut przyczynił się w wielkiej mierze do jej powstania. Również przy jego czynnej pomocy wywiercono studnie w Trybszu i w Jurgowie. W tych dwóch wioskach wre od pracy. *W Jurgowie rozsze-*



Młodzież ze Spisza i Orawy na „Zjeździe Gór" w Wiśle.

rzono i pięknie wymalowano kościół, a *w Trybszu* z wielką troskliwością odnawiają stary *kościółek św. Elżbiety*, którego ścienne malowidła w podziw wprawiają nawet wielkich artystów. W Trybszu i Jurgowie robią poza tym *kamienne chodniki* koło drogi. Kółko Rolnicze w Jurgowie przystąpiło do zbudowania elektrowni.

Coś przebąkiwują *o budowie szkoły 7-klasowej* dla Krempach i Nowej Białej. Jeżeli taki zamiar naprawdę istnieje, obie wioski powinne się radować i dopomóc do powstania tak ważnej placówki kulturalnej na Spiszu. Odległość jednej wioski od drugiej jest tak nieznaczna — tylko przejście przez most, że właściwie nie ma przeszkody, któraby powstrzymywała budowę szkoły.

Sensacją Spisza są dwa muzea: jedno się mieści na plebanii w Kacwinie, u ks. kanonika Świstka, a drugie w „kaštelu" frydmańskim, u ks. Noworolskiego. Szczególnie muzeum ks. Świstka obfituje w bogactwo zbiorów kościelnych i ludowych. Kacwin zwiedzają bardzo wybitni ludzie. M. in. oglądnęła muzeum p. marszałkowa Piłsudska z córkami.

Wielką bolączką spiską jest *sprawa pastwisk i hal jurgowskich* w granicach republiki czeskosłowackiej, oraz oszczędności spiszaków, złożone w Kasie Oszczędności w Starej Wsi, jakoteż wydostanie pieniędzy sierocińskich z Lewoczy. Stosunki między Polską a Czechosłowacją są — po zawarciu przymierza między bezbożną Rosją sowiecką a Pragą — tak ciężkie, że uporządkowanie tych spraw przewleka się. Mamy nadzieję, że w kalendarzu następnym będziemy mogli napisać o szczęśliwym załatwieniu tych doniosłych dla Spisza zagadnień.

W r. 1938 ruszy również dalsza *budowa drogi z Trybsza do Łapsz.* Jest to właściwie przedłużenie drogi orawskiej i połączenie Cieszyna i Katowic — przez Orawę i Zakopane ze Spiszem, Czorsztynem i Szczawnicą.

O „Związku Górali Spisza i Orawy"

Jak wiadomo, dnia 9 lipca 1936, powstał na nowo zorganizowany „Związek Górali Spisza i Orawy", którego prezesem jest ks. Ferdynand Machay, pierwszym wiceprezesem ks. kanonik Marcin Jabłoński, proboszcz w Orawce, drugim wiceprezesem Paweł Bizup, młynarz z Trybsza, sekretarzem Józef Stanek, skarbnikiem Pius Jabłoński, profesor gimnazjalny w Nowym Targu, a członkami zarządu: J. Pojedyniec, wójt w Łapszach Niżnich, Maria Wiśmierska z Łapsz i Józefa Machay-Mikowa z Lipnicy Wielkiej.

Pierwsze Walne Zebranie Związku odbyło się 19 września 1937, w Łapszach Niżnich, w pięknej sali Domu Ludowego. Ze sprawozdania dowiedzieliśmy się, że Związek ma już koła we wszystkich wioskach na Orawie i Spiszu. Większa część tych Kół znaczniejszej pracy nie wykazała, a tylko siedem pracowało żywo i żwawo. Liczba członków wynosi 1.513 osób.

Związek utrzymuje stały sekretariat w Nowym Targu (Rynek 15), którego kierownikiem jest Józef Stanek. Jego obowiązkiem jest udzielanie pomocy Spiszakom i Orawiakom przy załatwianiu różnych spraw w Nowym Targu. Znaleźć go można we środy, czwartki i piątki od godz. 8—15 w biurze Sekretariatu. W inne dnie sekretarz Związku ma objeżdżać teren, zwiedzać Koła miejscowe, pomagając im w uruchomieniu oraz prowadzeniu działalności.

Związek utrzymuje najlepsze stosunki z władzami duchownymi i świeckimi, zakłada biblioteki, chóry ludowe i teatry amatorskie. Dużo uwagi poświęca zagadnieniom gospodarczym, jak spółdzielnie, Kółka Rolnicze i t. d., i t. d. Celem Związku jest pobudzić społeczeństwo spisko-orawskie do pracy dla wielkości państwa polskiego, chronić interesów ludności, pielęgnować właściwości kulturalnych i obyczajowych Spiszaków i Orawiaków oraz rozwój gospodarczy ziemic tatrzańskich i babiogórskich.

Humor

— Coś ty taki przerażony? — pyta Antek swego przyjaciela.

— Bo przed chwilą w moich oczach człowiek utonął.

— To dziwne! — Ja sądziłem, że on utonął w wodzie.

Dwa wieprzki Hondrasa

(Zdarzyło się w Rabczy na Orawie w Czechosłowacji).

— Źle, niescęście się na nas dom wali — wołała płaczliwym głosem Katryna, żona Hondrasa.

— Cóż ci się robi, ze się tak drzes? — zapytał Hondras.

— Jakoz by mi się nie robiyło, kie oba wieprzki zryć nie chcą, ba jacy postękują. Tej nocy na Grapie styry świnie zdechły, w Kicorach zaś ani jednej zdrowej nima...

— No nie płac zaroz, dy się jesce nic złego nie stało. Jak wieprzki zachorowały, trza je zakłuć, mięso się nom i tak przydo, są juz póno doś podkormione.

— Jednego trza przedać, na co nom telo stuki i spyrki.

— No dy go przedej, kieś tako mądro! Któz ci chorego wieprzka kupi?

W południe wieprzki znów źle żarły, co jeszcze bardziej zaniepokoiło Hondrasa i Katrynę. Niewątpliwy to już objaw choroby — myśleli obaj.

Nie zastanawiali się już więc, czy oba wieprzki kłuć, czy też tylko jednego, tłuściejszego. W obawie, by któryś z nich nie padł ofiarą choroby, postanowili zakłuć oba.

Nazajutrz rano ledwie koguty zapiały, u Hondrasa był już wielki ruch. Znoszono wodę, stawiano ją w wielkich żelaznych garnkach na śparchecie [2]). Hondras ze swoim bratem Połykantem [3]) przygotowywali koryta, wieszali łańcuchy na tragarzach kuchennych, brusili noże na brusku. Nawet mały Józuś wyszedł z łóżeczka i przypatrywał się w uroczystej ciszy tym niewidzianym jeszcze zajęciom rannym.

Gdy brzask poranku grudniowego zaczął przemieniać się w światło dzienne, cały dom — niczem orszak pogrzebowy ruszył ku chlewom.

W pochodzie gaździna Katryna szła na przodzie, niosąc w cebrzyczku smaczne żarcie. Sukni jej trzymał się Józuś, odziany długim kabotem ojca. Tuż za matką leciała Marysia siedmioletnia, a trochę w tyle Hondras z bratem Połykantem. Na polu była lekka odwilż. Hondras odchylił drzwiczki chlewu. Chore wieprzki nie dały się skusić, bo do zdechnięcia mało im już brakowało. Katryna trzymając żarcie pod nosem wieprzka, wołaniem: gudziu, gudziu, gudziu... ne gudziu, ne gudziu... przyprowadziła biedną ofiarę pod drzwi sieni. Tutaj oddała cebrzyk Marysi do trzymania. Gdy wieprzek wsadził ryj do smakołyków i zaczął żarcie od niechenia wąchać, za tylne nogi chwycił go Połykant, za przednie Katryna, raz dwa wywalili chorego wieprzka na bok, Połykant wsadził mu długi nóż pod gardło. Trwało to wszystko 2—3 minuty wśród przerażającego kwiku wieprzka. Bronił się, chciał się wyrwać z rąk zabójców, ale ci trzymali go mocno w swych spracowanych dłoniach. Na skinienie ojca Marysia podstawiła miednicę pod gardło, by się nie zmarnowała ani jedna kropla krwi, obficie z wieprzka wybuchającej. Kwik ofiary stawał się coraz słabszym, coraz cichszym, aż wreszcie po 5—6 minutach przestał zupełnie. Z chlewu natomiast dochodziły odgłosy przeżałosnego kwilenia. W kurniku kogut piał prawie że bez przerwy, u sąsiadów wył pies przejmująco, jakby wyrażał wieprzkowi współczucie.

Zabitego wieprzka wsadzono na koryto i wnet zabrano się do uśmiercenia drugiego, przy czym omal że się nieszczęście nie stało. Gdy bowiem Hondras wraził nóż do wieprzka, ten ostatnim wysiłkiem wyrwał się z rąk Katryny, która straciwszy równowagę, upadła na ziemię i wywróciła miednicę z krwią wieprzka pierwszego!

— Ludzie, co robicie? Telo skoda! Z cegoz bedziemy kiski dzioć, kie się krew wyloła — krzyczała Katryna zawstydzona i zgniewana.

— Dyś go mogła lepi trzymać, toby był laworu [1]) nie wywróciół — odciął się Hondras, również zły, że się krew wylała.

— Bo któz widzioł kłuć naroz dwa wieprzki — dorzuciła Katryna.

— No dyś ich mogła dali kormić, byłyby pozdychały, a kapustę i rzepę [2]) byłabyś maściyła łupinami.

[1]) Stuka = mięso.
[2]) Śparchecie = blat kuchenny.
[3]) Pilikarp.

[1]) Lawór = miednica i [2]) rzepa = ziemniaki.

— Roboty jaze strach, a uni się dogadują! Katryna! Idźze przygotuj gorką wodę! — zakomenderował Połykant.

Zawstydzona Katryna poleciała, obaj zaś bracia umieściwszy i drugiego wieprzka na korycie, zanieśli je do kuchni. Katryna powlewała do koryt gorącą wodę, a Hondras i Połykant obracali w niej wieprzki, wzięli do prawej ręki po nożu i zaczęło się oczyszczanie wieprzków ze skucin. Sprawne ręce braci — gdyż obaj się zajmowali świniobójstwem — wnet zakończyły tę pracę. W stawach tylnych nóg Hondras wyciął małe otwory, powkładał do nich wygięte drewienka bukowe, o które Połykant zahaczył łańcuch i oba wieprzki zawiesili na tragarzach, ku ogromnej pociesze Józusia.

— Babo, dejze ciepłej wody. Przed pitwaniem obmyję jesce roz skórę. — Po ukończeniu mycia rzek Hondras uroczyście:

— No, bracie, zacynojmy w Imię Boze!

Połykant okazał się słabszym od brata rzeźnikiem. Jakoś głębiej zapuścił ostry nóż, przeciął jelito, co spowodowało wybuch nieznośnego zapachu.

— Mamusiu, to nie jo — wołał Józuś, gdy go zapach doleciał.

Hondras skoczył do brata, zręcznie wyjął jelita, oczyścił z tłuszczu i kazał wynieść do sieni, by w kuchni swą wonią nie przeszkadzały.

— Bedzie ta jako spyrka? — zapytała Katryna.

— Moze na półtrzecia palca — odrzekł Hondras.

— Nie duzo bedzie z tych wieprzków omasty. A kielok sie koło nich nachodziyła. Ka jakie dobre pomyje, syćkok im do cebrzycków wlewała.

— No, nie zawodzoj nom babo. Widzis przecie kielo roboty.

— Kieś tyz taki robotny! A jo nimom co do gorków kłaść.

— Zaroz ci domy serca, płuca i wątroby.

Pół godziny nie minęło, a wieprzki były oswobodzone od wszystkich wnętrzności. Wątroby, serca i duży kawał z podgardla gotowały się już w dwóch wielkich garnkach. W trzecim postawiła Katryna pęcaki, w czwartym krew. Wszystko to było przeznaczone do kiszek.

— Maryś, przyłóż do śparchetu. W kumorze wisi wionek cesnoku, urwij dwie główki i ładnie mi je obieres — rozkazywała matka swej córeczce.



JAN GAŁDEN
sekretarz T-wa przyjaciół Spisza i Orawy w Warszawie, zajmujący się serdecznie młodzieżą spisko-orawską, uczącą się w stolicy.

Drzewo było trochę wilgotne, bo strasznie w ogniu strzelało. Hondras i Połykant mieli się już zabrać do obierania jelit z tłuszczu i czyszczenia ich na polu, gdy im w nosie dokuczliwie zawiercił przemiły zapach oparu alkoholowego z przymieszkiem cynamonu i goździków. Katryna oczu swych nie spuszczała z kastrolu [1]), zagląda-

[1]) Kastrol = rondel.

jąc doń co chwila i nakrywając go znów szczelnie i pospiesznie.

— Zewrzała juz — rzekła zadowolona i odstawiła kastrol na nalepę. Poleciała do świetlicy, z listwy wyciągnęła flaszkę, wypłókała ją ciepłą wodą i wstawiwszy do ucha lejek, wlała do niej zawartość kastrolu.

— No chłopi, pokrzepcie się przy robocie — rzekła, stawiając na stół flaszkę z warzoną gorzałką i kieliszki. — Podgardle zaroz bedzie dobre pod ząb. Maryś podejze strykowi i tatusiowi chleb ze sofy.

Dwaj bracia raczyli się warzoną. Mały Józuś kręcił się po izbie, nie wiedząc, na co prędzej patrzeć. Zapomniał zupełnie o płaczu rannym, którym upominał się zwyczajnie o śniadanie. Marysia nie opuszczała mamusi, patrząc pilnie, co robi i wykonywała skrzętnie jej rozkazy.

Po chwilce Katryna odkryła duży garnek i wbiła widelec w gotujące się podgardle.

— Bedzie juz! — zawyrokowała z uśmiechem.

— Maryś podej mi miskę ze sofy, tę z duzym kwiotkiem i mniejso miseckę blasaną!

Podgardle parowało na misce, napełniając kuchnię miłą wonią, ślinkę z języka wyławiającą. Katryna odkroiła spory kęs, położyła na blaszankę, posoliła, na kawałki pokrajała i zaniosła na stół.

— Zagryźcie, coby wom gorzołka nie zaskodziyła.

— E... e... e... e... — zaczął nagle płakać Józuś.

— O rety, rety, kie jo o tobie całkiem zabocyła. Maryś, dejze małą miseckę.

Józuś ucichł jakby przeciął. Matka pokrajała na drobniutkie kawałeczki podgardle.

— Maryś, pomogoj mamusi. Co trza jesce zrobić?

— Posolić, mamusiu.

— To posól, ale nie duzo, siadnij z Józusiem na ławę i jedzcie cichutko.

— Ale nie bez chleba — dodała prędko Katryna, widząc, jak dzieci same mięso zajadają.

— Necie po kromce chleba!

Zapach krwi i wieprzowiny przywabił do sieni psa ze sąsiedztwa. Znalazłszy tam jelita, porwał je w pysk i uciekał z nimi. Obrócony twarzą do okna Połykant zobaczył złodzieja.

— Ej zjadło dziś, pies nom cosik porwoł — rzekł głośno i wyleciał za nim. Ledwie wyszedł na pole, wnet wrócił, by zawiadomić Hondrasa, że dwaj strażnicy czescy zbliżają się ku domowi.

— Krew się nom wyloła, pies nom jelita porwoł, juz doś wielko skoda, a tu jesce ci byciarze przychodzą, by im zapłacić ich niezdarny czeski podatek. Jo im wiera nie głupi płacić od dwóch świń. Wynieśmy wartko dwa połetki do kumory, coby nie spostrzegli, ze my dwa wieprzki zabiyli.

Błyskawicznie zdjęli dwie połówki z tragarza, zanieśli do kumory, sprzątnęli jedno koryto, zanosząc go aż do boiska. Na zrobienie dokładniejszego „porządku“ nie było czasu, bo we drzwiach rozległo się czeskie pozdrowienie:

— Na zdar! Dobre jitro!

— Piyknie witomy — odpowiedział Hondras. — Niechze panowie pozwolą do świetlicy. Babo, podej ze panom warzonej i cóś przekąsić.

Wśród popijania i zajadania, jeden ze strażników wypisał kwit na 25 koron czeskich. Hondras wypłacił pieniądze, z serdeczną gościnnością dalej ich częstował, a w duchu dodawał: żebyście mi się jak najprędzej z domu wynieśli.

Strażnicy nie lubili Hondrasa. Ileż to razy on ich już ośmieszył i w pole wyprowadził przy przemycaniu różnych towarów z Polski. Przy świniobiciu nie mieli go o co podejrzewać, zainkasowawszy więc należną się skarbowi państwa kwotę, pożegnali gospodarza. Przed wyjściem stanęli na chwile w kuchni, przypatrując się pokrajanemu już wieprzowi. Strażnik Wykidal zobaczył wiszące u tragarza drewienko na łańcuchu.

— A to co? — zapytał zdziwiony.

— Niby o co sie pon pyto, — zagadnął naiwnie Hondras, wściekły na siebie i brata, że łańcucha z drzewem nie usunęli.

Równocześnie w sieni zawyrczały złowrogo jakieś psy. Katryna wyleciała, Marysia za nią. Hondras miał już gotowe kłamstwo, ale nie mógł nim zażegnać niebezpieczeństwa, bo Marysia wpadając do kuchni, całym gardłem i jakby płacząc zwiastowała:

— Tatusiu, psy nom pozarły drugiego wieprzka!

— Siedzis cicho — krzyknęła za nią matka.

Strażnicy popatrzyli na siebie porozumiewawczo.

— To Hondras dwa wieprzki zabił, a nam zapłacił tylko od jednego — pomyśleli obaj i cieszyli się, że wreszcie uda im się chwycić na kłamstwie sprytnego krętacza.

Na okrzyk Marysi Hondras i Połykant wybiegli do sieni, ale za nimi poszli i strażnicy. Z kumory dolatywały lamenty Katryny:

— Telo skoda! O Boze mój, telo skoda!

Strażnicy odchylili drzwi kumory. Hondras kręcił się koło nich, powtarzając grzecznie:

— Tam nima poco iść, nima poco iść, prosę panów, cołkiem nima.

— Żona tam narzeka, trzeba ją pocieszyć — rzekł jeden ze strażników i pchnął drzwi, które otworzyły się na oścież.

— A-a-a! — wyrwał się okrzyk z piersi strażników, gdy zobaczyli na safarni leżące połówki.

— Do godziny boskiej — nima u mnie biydy, mom wzdy duzo omasty. Cłowiek ciężko pracuje, to musi niezałować na omastę... — chciał Hondras jakoś zagadać, ale strażnik Wykidal przerwał mu.

— Panie Hondras, zapłaci pan potrójną karę, że się pan ośmielił działać na szkodę skarbu państwa.

— Jo, karę? Za co?

— Za to, żeście zakłuli dwa wieprzki, a zgłosiliście do opłaty tylko jednego.

— Nie doś mom skody, ze mi ten wieprzosek zdechnął, zek drugiego przed casem musioł zakłuć...

— Więc te połówki są z wieprzaka zdechłego — zapytał strażnik?

— A juści! (Żonie szepnął: wynoś mi się stąd).

— To rzeczywiście trudno żądać od was zapłaty.

— Byłaby to strasno krzywda!

— Więc istotnie zdechł ten wieprzek — zapytał jeszcze raz Wykidal.

— Zdechł, zdechł — panie komisarzu.

— I na chorobę zdechł?

— Przeciez nie na zdrowie — odparł łagodnie Hondras, radując się, że sprawa zupełnie nadspodziewanie taki dobry obrót

— Jeżeli więc wasz wieprzek zdechł na chorobę, to połówki musicie zakopać do ziemi — zawyrokował Wykidal.

— Zakopa-a-a-ć? — zapytał przerażony Hondras. Strach jego był jednak krótki, w duchu ucieszył się wnet tym wyrokiem.

— Zakopię, do wiecora się spyrkom nic w ziemi nie stanie, a wiecór, albo w nocy wykopię, ale wom kary nie zapłacę — pomyślał i rzekł poważnie:

— Wiedzioł jo o tym, ze tę zdechlinę trzeba zakopać. Baba moja Katryna juz od świtu lamenci: „Telo skoda, telo skoda“ i musi przestać lamencić, bo jak zdechlina, to zdechlina, jeść jej przecie nie bedziemy.

Za godzinę połówki leżały już w ogrodzie zakopane. Strażnicy odeszli ucieszeni, że ukarali nareszcie przebiegłego przemytnika.

Oj, było też długo do wieczora! Nie cieszyło Hondrasa ani dzianie kiełbas i kiszek, ani obiad bardzo uroczysty przy świniobiciu.

Nikt z domowych nie jadł z ochotą, wszyscy milczeli. Katryna i Marysia co chwila wyglądały do ogrodu, czy jaki złodziej nie kradnie ich słoniny.

— Psy wygrzebują połetki — wpadła Katryna z wielkim krzykiem.

— Te przeklęte psy! Wystrzylom ich do jednego! — krzyknął Hondras.

Psy nie bały się jakoś jego gniewu i gróźb, lecz zawzięcie grzebały i wąchały na „grobie“ wieprzka. Nie było innej rady, tylko pełnić straż na miejscu i napędzać żarłoczne i dokuczliwe psiska. Hondras ubrał się w kożuch, wziął siekierę do ręki i zaczął w ogrodzie niby to majstrować, poprawiając cięciami to żerdzie, to słupki ogrodzenia.

Psy bały się bliskiego z nim sąsiedztwa i ulotniły się, nadciągając natychmiast jeżeli Hondras wszedł na chwilę do mieszkania.

Nigdy jeszcze nie oczekiwał Hondras z takim upragnieniem nadejścia ciemności wieczornych jak teraz. Każda minuta trwała ponad godzinę. Włócząc się po ogrodzie przemyśliwał, jak to z pozornie małego kłamstwa w wielkie popadł kłopoty i szkodę.

Z zachmurzonego nieba zaczął padać śnieg. Jasność dnia przechodziła stopniowo w półmrok, zmierzch i ciemność. Coraz większe i gęstsze płatki śniegu jakby wzmocniły mrok oczekiwany. Uradowany Hondras

wziął łopatę i motykę, lecąc chciwie po zakopane połówki. Katryna kręciła się koło domu, by pilnować, czy przypadkiem strażnicy nie nadchodzą. Wołaniem: „Maryś“ miała o tym męża zawiadomić. Na szczęście nikt nie nadchodził.

Jakież było zdumienie Hondrasa, gdy na świńskim grobie spotkał się ze starym cyganem, Michałkiem.

— Cóż wy Michałku w moim ogrodzie o takiej porze robicie? — zapytał.

— Podobnoście tu zdechłego wieprzka zakopali, a jo bardzo potrzebuję takiego mięsa na lekarstwo — odpowiedział cygan.

— Dom jo wom lekarstwa, wynoście mi się stąd!

— Pomału gaździcku, pomału. Docie dobrowolnie jedno połówkę?...

— Nic nie dom. To spyrki z mojego wieprzka. Wy Michałku aniście mu zryć nie nosiyli, aniście z jego chlewa nie kidali.

— Jakosigeście nie bardzo dobrze kidali, kie wom zachorowoł i zdechnął.

— Bedziecie cicho! Wynoście się z mojego ogrodu.

— Dobrze gaździcku, jo się wyniosę, ale w takim razie z tej zdechliny ani wy jeść nie bedziecie, ani jo.

Hondras nie odpowiadał. Złość rozpierała mu piersi. Miał ochotę sprać cygana, ale się powstrzymał.

— No gaździcku, docie połówkę — zapytał cygan ponownie.

Hondras ścisnął zęby i pięści w podnieceniu, ale po chwili namysłu podał rękę cyganowi:

— Niechze bedzie święto zgoda między nami!

Wykopanie „zdechliny“ i „zgodliwy“ podział nastąpił błyskawicznie.

Do „grobu“ wrzucili trochę podartych jelit, zasypali je cienką warstwą ziemi, by psy miały co grzebać.

Gdy Hondras wrócił do izby, rzucił połówkę na ziemię, usiadł przy stole, zawiesił głowę i milczał.

— A kaześ podzioł drugą połówkę — zapytała Katryna.

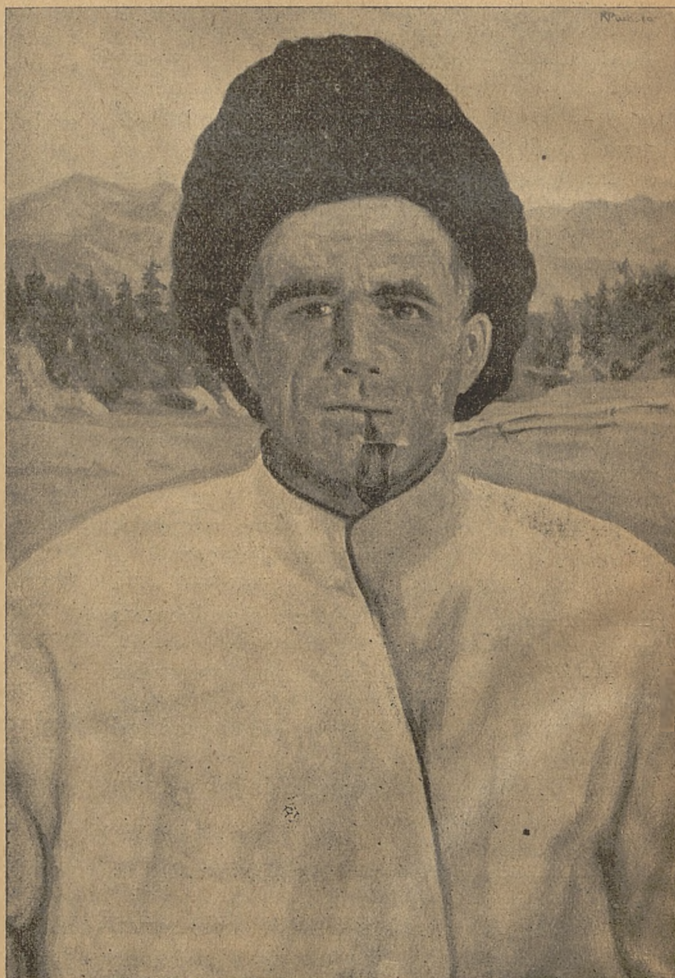
— Drugo połówka zawandrowała do cygana — odpowiedział głosem pełnym przygnębienia, gniewu i wstydu. A wnet dodał:

— Kłamstwo mo krótkie nogi. Trza bedzie o tym nie zabocyć. *Rabcon.*

Humor

— Oskarżony! Dlaczego pan nie żyje jak się należy, ze swoją żoną?

— A właśnie, że nie mogę... bo mnie pan sędzia zawsze zamyka do paki...



Mal. K. Puchała.

Śp. WOJCIECH HAŁCZYN
delegat Spisza do Wilsona.